150

ZAMEK KRAKOWSKI.

—

TOM I.

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
WE LWOWIE
KSIĘGARNIA I SKŁAD MUZ.

ZAMEK
KRAKOWSKI.

ROMANS HISTORYCZNY Z WIEKU XVI

PRZEZ

AUTORA LISTOPADA.

Et dulce moriens meminiscitur Argos.
VIRGILIUS.

TOM I.

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE.

PETERSBURG.
NAKŁADEM B. M. WOLFFA.
1853.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach
090804

POZWALA SIĘ DRUKOWAC,

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury liczby exemplarzy prawem przepisanéj. Petersburg, d. 16 Stycznia 1850 r.

Cenzor I. Srezniewski.

CZCIONKAMI E. PRATZA.

I.

Komu tylko zdarzyło się jechać z Daszowa do Liniec, lub z Liniec do Daszowa, temu musi być pamiętną wieś nazwana Kalnik, położona na połowie drogi: gdyż niebyło przykładu żeby pojazd lub wóz wjechawszy do téj wsi, niezatrzymał się przed karczmą, na jéj środku stojącą. Jest-to wieś obszerna; chałupy w niéj odznaczają się czystością i budową, ledwo że nie koło każdéj z nich jest sad, a gdzie niegdzie nawet pasieka. Kalnik słynie wesołością swoich parobków, pięknością swoich dziewek, zalotnością swoich mołodyc. To pewna, że Kalnik leży wśród okolicy któréj płodność ledwo że nie wyrównywa téj szczęśliwéj ziemicy, którą Nil corocznie stłuszcza, że trzoda wiejska wypasiona na rżyskach Kalnickich jest nierównie liczniejsza niżeli we wsiach sąsiednich, i że między siołami Ukraińskiemi, odznacza się jakąś wyższością, która ujść nie może uwagi wędrowca.

Wszakże Kalnik dziś już nie jest tém czém był przed laty, i jak każdy stary, wiele widział i wiele doświadczył. Na końcu XVI wieku, był miastem bardzo handlowém, w łonie swojém mieścił kilka narodów i wyznań. Był monaster czernic, kilka cerkwi, zbór arianów, kirka ewangielicka, dwie bóżnice: jedna żydowska, druga karaimska; nawet kościołek ormiański. Prawie wszystkie te budowy były ceglane, pobielone, i wcale przyzwoicie utrzymywane. Jeden tylko kościół wiary panującéj, pokryty pozieleniałemi gontami, odarty z tynku, z po-za przezroczystego częstokołu wyglądał: nieborak zdawał się wstydzić swojego ubóstwa,

na widok tych przybyszów jakoby natrząsających się z pokory gospodarza. Był to jeden z najmniéj jeszcze złych skutków indygenatu nadanego w Polsce nowinkom Wittembergskim, Genewskim, i zuchwalszym jeszcze wymysłom nowochrzczeńców, arianów, które niebaczna młodzież, wychowaniem zagranicznem zarażona, przywiozła do Rzeczypospolitéj, rozprzestrzeniała pomiędzy ludźmi łaknącymi za modą, a tém potrząsała prawa kardynalne narodu, pod rządem nadto łagodnych Jagiellończyków.

Kalnik w czasie wojen Jana Kaźmierza dwa razy zrabowany: raz przez Szwedów, potém wkrótce przez Rakocego; nakoniec do szczętu zniszczony został przez Tatarów Krymskich, zjednoczonych z Ukraińskiém chłopstwem zbuntowaném. Ujrzał swoje gmachy w popiół zamienione, i prawie wszystkich swoich mieszkańców zabranych w jassyr. Od téj klęski już nigdy nie powstał. Na gruzach kwitnącego miasta osiedliła się wieś z przychodniów Województwa Czernichowskiego. Prawica czasu nawet szczątków dawnych murów nie szanowała. Zdarza się czasem, że jaki wieśniak, ryjąc ziemię dla lochu warzywnego, lub dla wbicia słupów na stodołę, wykopuje jakieś naczynia bądź mosiężne bądź miedziane, których użytku nierozumie; jakieś stare srebrne pieniądze, nawet białogłowskie ozdoby szczerozłote, co wszystko u arędarza wiejskiego przemienia się na trochę gorzałki. I kiedy potomkowie sług, a nawet poddanych, dawnych panów Ukrainy, wywłaszczywszy prawych jéj dziedziców, sami zostali jéj panami; Kalnik, niegdyś stolica wielkiego hrabstwa, dziś jest pokorną attynencyą wprzód nieznanego Daszowa.

Kalnik przechodził bądź spadkiem, bądź kupnem, z rąk do rąk: należał do Koniecpolskich, Dolskich, Wiśniowieckich, Platerów, Potockich; ale w czasie kiedy to się działo co opowiadać zamyślam, Hrabstwo Kalnickie było własnością potężnego domu Zborowskich Owczesny jego pan, był ów Marcin, Kasztelan Krakowski, głowa Dyssydentów wyznania Augsburgskiego, starzec dumny, chciwy władzy i bogactw dla swojego rodu, i dla téj żądzy zawsze gotów wszystko poświęcić. Po wyjściu z lat dziecinnych oddany przez swojego ojca do Akademii Krakowskiéj, oddał się naj-

wyuzdańszéj rozpuście i zuchwalstwu bez granic, a potém został jednym z głównych naczelników tych uczniów, którzy opuścili ojczysty zakład nauk. Młody Marcin dostał się do Wittembergu i tam poddał z zapałem młodociany umysł pod naukę Lutra i Melanchtona. Gdy powrócił do Polski dla objęcia spadku po zmarłym dopiero ojcu, wkrótce został w Koronie naczelnikiem wyznawców Augsburgskich jak Górka Helweckich, i z tym ostatnim związawszy się małżeństwem z jego siostrą, tak groźnym pokazał się swojemu Królowi, że ten, dla zaskarbienia sobie jego przyjaźni, obsypał go urzędami i starostwami, aż nakoniec usadowił w najwyższém senatorskiém krześle. Starzec pyszny z rodu, urzędów i sławy rycerskiéj, a więcéj jeszcze z licznego potomstwa: bo miał ośmiu synów, po większéj części już zaszczyconych wysokiemi urzędy, i tyleż córek usadowionych zamęzciem w najwyższych domach Polskich; ale sił starganych w długim zawodzie w usługach Królów i Rzeczypospolitéj, już się nieoddalał od swojego Zborowskiego zamku. Tam najznakomitsi Dyssydenci nieprzestawali go nawiedzać, a on im swoich rad udzielał. Cieszył się iż jego synowie odwagą i światłem ściągali ku sobie uwagę narodu, tak jak jego córki słynęły powszechnie pięknością i dowcipem. I żył sobie w ojczystym zamku; a inne jego dobra były powierzone Gubernatorom ze szlachty ubogiéj, ale karmazynowéj, a zasłużonéj jego domowi.

Gubernator Kalnickiego zamku i hrabstwa nazywał się Zdora; był to syn starożytnego choć ubogiego szlachcica z Ziemi Trembowelskiéj, który umarł w usługach dworu Zborowskich. Syn jego służył za chłopca u Pana Marcina, kiedy ten jeszcze chodził do Akademii Krakowskiéj, i towarzyszył panu swojemu w jego podróży do Wittembergu. Nieodstępny sługa, bez wahania przejął się jego zdaniami religijnémi, bądź jako prawdziwy klient, oddający siebie z duszą i ciałem swojemu patronowi, bądź z rzeczywistego pociągu. Bo zaprzeczyć nie można, że nowa nauku, uwalniając poniekąd od uczynków nieco trudnych do spełnienia, a wymagając tylko wiary dla zbawienia, wiele okazywała powabów dla ludzi niewiele pochopnych do dobrych uczynków. Koniec

końców, po powrócie Pana Marcina, Pan Zdora wielce mu został pomocnym w rozkrzewianiu wiary pomiędzy szlachtą Niemieckiego wyznania, i w prześladowaniu katolickiego duchowieństwa żyjącego na jego ziemi. Pan Marcin ożenił go z jedną ze swoich nałożnic, a po śmierci Gubernatora Kalnickiego, który, jak to dawniéj bywało, siebie nie wzbogacił zarządem czterdziesto-letnim tak znacznych dóbr, jemu powierzył rządy Hrabstwa Kalnickiego, z nieograniczoną władzą nad poddanymi.

Pan Zdora najskrupulatniéj przeniosł do służebnictwa swojego, zasady czerpane z Teologii Wittembergskiéj. Pod nieba wynosił swojego pana, dwa razy na miesiąc posyłał do Zborowa kozaka z rapportem, przy którym nieomieszkiwał dołączać list napełniony panegirykami dla największego i najmędrszego Senatora całéj Rzeczypospolitéj. Na rocznice jego urodzin sam przyjeżdżał do Zborowa, przy winszowaniu uroczystości padał mu do nog jak długi — rzecz wtedy niesłychana w służebnictwie szlacheckiém; ale to czynił nie przez zbytnią uniżoność, ale przez jakiś entuzyazm niczém nieumiarkowany, a pobudzony widokiem jego obliczów, przypominających mu wszystkie jego cnoty i zasługi. Pan Krakowski to wszystko brał za gotowe pieniądze, i wywzajemniał się jemu nieograniczoną ufnością; a Pan Zdora, służąc panu, o sobie nie zapominał; a niemając innego celu jak tylko spanoszyć siebie, po trzydziesto-letniéj administracji Kalnika, zawsze się kurcząc, zawsze siebie mianując chudym pachołkiem, już tyle miał na stronie gotówki, że jeżeli dotąd nienabył dla siebie szerokiego dziedzictwa, to jedynie z obawy żeby Panu Krakowskiemu nie przyszło na myśl wejść w to — a zkąd do tych dóbr przyszedł? a potém puścić na niego swoich synów, znanych po większé części za paniczów najzuchwalszych i najgwałtowniejszych w całéj Rzeczypospolitéj. I nieraz z połowicą swoją suszył sobie głowę nad tém: jakby to po najdłuższém życiu Pana Krakowskiego, jakoś gładko skończyć z jego spadkobiercami, i wynieść się z pieniędzmi w jakąś stronę oddaloną; bo dość był przejął z wychowania zagranicznego, żeby być przekonanym że kto ma pieniądze, temu wszędzie dobrze.

Zaprzeczyć niemożna, że Pan Zdora z wielką zręcznością wzbogacał siebie, zachowując stateczną łaskę swojego pana. Obowiązywał go tém, że mu corocznie więcéj dosyłał grosiwa niż ten po którym zajął posadę. Prawda że za jego poprzednika chłopstwo żyło w dostatkach, zamki Kalnickie i Kopyczynieckie były w stanie obronnym, że ledwo mysz przez ostrokoły przedrzeć się mogła. Szlachta służbą wojskową w zamkach opłacała grunta co je uprawiała z łaski domu Zborowskich; utrzymywano ogromne myślistwo, ową szkołę strzelców i jazdy, mogącą być obróconą w potrzebie na korzyść Rzeczypospolitéj. A za Pana Zdory chłopstwo było uciśnione, szlachta zaczynszowana, strzelce w okład pańszczyzny wpisani, zamki wiatrami ogrodzone. Nawet poznawszy że Pan Krakowski, jak to zwykle bywa w podeszłym wieku, nabywał coraz więcéj przywiązania do gotowych pieniędzy, zdołał w niego wmówić, że zamiast tak wielkich wydatków na utrzymanie zamków, lepiéj połowę tych wydatków obrócić na zaspokojenie Tatarów i Niżowców, a tym sposobem dobra będą bezpieczne, a panu przybędzie brzęczączki. I to co pan i sługa w Polsce wyhodowany miał by za zgrozę pomyślić, że godzi się pokój okupywać pieniędzmi, pierwszy Senator, sam kiedyś dzielny wojownik, na to zezwolił.

Każdy ma swojego gryzącego mola, miał go i Pan Zdora w osobie syna — Pana Ezechiela, który mu nieraz stawał kością w gardle, a którego, jako jedynaka, namiętnie miłował. Był to chłopiec nie złego serca, i nie małych zdolności, ale miał w sobie rozwiniętą wrodzoną burzliwość Polską, nawet w stosunkach swoich z rodzicami, bo tu nie miał téj przeciwwagi która u innych wzniecaną bywa wychowaniem katolickiém. Po innych domach szlacheckich, młodzieniec jakkolwiek zuchwały, drżał na widok swoich rodziców, wszystko, nawet chłostę, bez szemrania z ich rozkazu odbierał, i ani pomyślić się odważył, by w ich postanowieniu o sobie w czémkolwiek się sprzeciwić; ale po rodzinach dyssydenckich wychowanie na innych zasadach przyjęte, obaliło było tę patryarchalność w stosunkach ojca z synem, pana ze sługą. Pan Marcin Zborowski, wkrótce po swoim powrócie do kraju, założył był w Zborowie szkołę. Mistrzów

dla niéj sprowadził z Niemiec, w celu by ta szkoła dostarczała Pastorów i Ministrów obywatelom wyznania Augsburgskiego. Wszakże, pomimo nakładów i starań, ten zakład jego widokom nieodpowiedział. Młodzieniec w niéj wyćwiczony, nawykły wszystko wyrozumować, a nie kierowany łaską i duchem pokory, jak po seminaryach katolickich, gdy kończył swoje wychowanie, rzadko kiedy dawał siebie nakłonić do bakałarstwa katedrowego, które u dyssydentów zastępowało kapłaństwo, i przekładał zabawy rycerskie, odpowiedniejsze przyrodzeniu polskiemu. I kiedy seminarya i nowiciaty katolickie mnożyły w Koronie i Litwie kapłanów i zakonników; pastorów i ministrów trzeba było jak wprzódy sprowadzać z Niemiec.

Pan Ezechiel był oddany do szkoły Zborowskiéj: kres życzeń jego ojca, było go widzieć kiedyś ożenionym i pastorem; ale po kilkuletnim szkolnym zawodzie, młodzieniec uciekł ze szkół, przenosząc nad wszystkie zarzuty teologji, giermkowstwo przy Panu Hieronimie Ossolińskim, zięciu Pana Krakowskiego, ale gorliwym katoliku, który był rad przyczynić się do wyrwania młodego szlachcica z téj szkoły. Pan Ezechiel towarzyszył swojemu nowemu panu w nieszczęśliwéj wyprawie Połockiéj, gdzie swoją dzielnością ściągnął jego uwagę tak dalece, że został jego ręką passowany na rycerza, i otrzymał stopień nadliczbowego towarzysza w jego Chorągwi. Kto inny na jego miejscu był by się wysoko pokierował, ale, po skończeniu wojny, służba u Dworu niedawała się pogodzić z zuchwalstwem jego przyrodzenia. Będąc dworzaninem, nietylko że ulegać niechciał sędziwemu marszałkowi dworu Pana Ossolińskiego, Kasztelana Sandomierskiego, ale tak mu dokuczył krnąbrnością swoją, że został oddalonym. Udał się więc do Zborowa, jako do protektorskiego gniazda; i niezawiódł się w nadziejach swoich. Pan Krakowski łaskawie przyjął syna zachowanego sługi, i kazał mu zostać przy dworze swoim: a że bardzo zgrabnie tańcował, został wkrotce niezbędną figurą wszystkich kadrylów zamku. Ale na nieszczęście zaczął się zalecać do Panny Krakowskiéj, Krystyny, już obiecanéj Panu Chodkiewiczowi, Kasztelanowi Wileńskiemu, i to tak widocznie, że się to

nieukryło przed Jaśnie Oświeconym jéj ojcem. Ta zuchwałość przechodziła wyobrażenie jakie miał o wolności ewangielickiéj. Wszakże żadnéj gwałtowności się niedopuścił; kazał tylko żeby we dwudziestu czterech godzinach oczyści zamek Zborowski, i nigdy doń niewracał. Rad-nierad Pan Ezechiel musiał się udać pod skrzydła rodzicielskie, a P. Gubernator luboć o wszystkim wiedział, od siebie go nieodepchnął. Tak mieszkał od półtora roku, golizną swoją przykuty do ściany rodzinnéj. Ojcu, pomimo ustawicznych nalegań, pomagać nie chciał w gospodarstwie, nieznajdywał towarzystwa odpowiedniego swojemu sposobowi myślenia, i gdyby miał o czém, niezawodnie opuściłby Kalnik natychmiast, bo w nim się nudził śmiertelnie.

Ojciec, jak się wyżéj powiedziało, miłował go wielce, wszakże nie więcéj od swojego worka, do którego udziału przez żaden sposób niechciał go przypuścić A matka jeszcze skąpszą była od ojca. Ile razy Pan Ezechiel napiera się o siaki taki grosz, Pan ojciec zawsze wymawia siebie swojém ubóstwem. «Tu niema nic mojego,» prawi «to co Waść widzisz jest najprzód Boskie, a potém pańskie. Oprócz zasług co je pobieram, złamanego halerza nie posiadam. Człowiek jak ja poczciwy służy żeby żył: mam co jeść, i tego Waści nieżałuję, a pieniądz skąd się weźmie u mnie? Albo to ja okradam mojego pana? jak robią inni, których się niewymienia. Poczciwy sługa musi być zawsze gołym. Niech poczciwie pracuje aż póki pan nieprzypomni sobie starego sługi, że już daléj pracować nie zdąży, i że trzeba mu dać kęs łaskawego chleba. A kto Waści winien żeś chudym derwiszem? Ja za Waści Panu Bogu nie odpowiem: niczegom nie zaniedbał żeby Waści na człowieka wykierować; dawno byś był pastorem w Zborowie. Pięćset złotych na rok, dworek jak cacko, przy nim ogród i łąka, i akcydensików nie mało: to nie piechotą chodzi: od Waści zależało w kosmatniejszéj skórze chodzić niż ja. Wojaczka więcéj Waści przypadła do smaku niż rozpamiętywanie słowa Bożego. Nie dziwuj się że cierpisz niedostatek, kiedyś los dobrowolnie odpychał. Tuszyłem że w mojéj starości będę miał z Waści podporę, a jak widzę chcesz mi być ciężarem.»

Necessitas frangit legem — jak Pan Ezechiel się spostrzegł że już dziury pokazują się na jego opończy, i że one nawet nieumieją przemówić do serca rodzicielskiego, powiedział sobie: «Przecie mam konia, zbroję, koncerz i kopią, a więc winienem sam sobie dać radę. Oręż nie tylko bronić, ale w potrzebie i żywić powinien. Ojciec twardy: bo wiem że ma pieniądze, tylko zmyśla stary sknéra; a więc oręż mnie wesprze.»

I w saméj rzeczy nocną porą zaczął się popisywać w bliskości Kalnika. Nikogo nie zabijał, ale jakie mógł kontrybucye nakładał na tych co na jarmarki przybywali do Kalnika, a za to dawał im protekcyą i eskortował ich aż do miasta. Nie tak-to wielkie były z tego korzyści, ale przynajmniéj to mu dawało obuwie i takie siakie odzienie; a w ówczesnych wyobrażeniach podobny przemysł był uważany za szlachetną zabawę, niekażącą honoru rycerskiego, jako naprzykład handlowanie łokciem lub miarką. Miewał on wielkie przeprawy z ojcem swoim, jak zobaczył że zamiast opierania się zbrojnego Tatarom i Zaporożcom haracz im opłacał. Nieprzestawał nalegać żeby zamki postawił w stanie obronnym, ofiarował dowództwo swoje nad nimi i wszystkimi kozakami Kalnickimi. Ale stary miał w tym swoje rachuby żeby płacić a niebić się, i usprawiedliwiał się z tego przed synem jak teolog z professji.

— Waści w głowie bitki, boś młody, mnie staremu inaczéj się rzeczy wydają. Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. Jak Waść się zaczniesz bić, będą padali cudzy, ale ginąć będą i nasi. A czy Pan Bóg przykazał żeby więcéj ważyć nędzny kruszec, niż aby jednego z takich co ich na swój obraz i podobieństwo stworzył? Lepiéj się opłacić, niż stać przyczyną chrześciańskiéj krwi przelewu. Pismo wyraźnie mówi: kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie. A Św. Paweł nie mniéj wyraźnie pisze, że kto niema miłości bliźniego, taki Bogu nie może być miłym.

— Co mi to za bliźni Tatarzyn, co wierzy w Mahometa a nie w Pismo święte; lub Zaporożec, co w nic nie wierzy.

— A Panie Ezechielu, co też Waść mówisz; a czy tak Waści uczono w Zborowie. Otoż to skutek tego, że Waść

nigdy nie chodzisz do kirku na naukę. Tamby Waści przypomniano, że każdy człowiek jest naszym bliźnim, bo został okupionym krwią naszego Zbawiciela.

— Jeżeli tak, po cóż Doktor Luter tyle hałasu narobił, i tak długich wojen stał się przyczyną, jeżeli i bez jego nauki można być zbawionym.

— O, o, o, — a jak Waść zuchwale sądzisz o tym wielkim mężu. Był to człowiek nadzwyczajny, i nadzwyczajne miał od Boga natchnienie, żeby poprawić Jego Kościoł.

— I ja mam nadzwyczajne natchnienie, by z najezdnikami puścić się na ostre. Jest to wyraźny głos Boży. Jegomość o tém sam się przekonasz, byleś tylko kazał zwołać kozaków, których strzały już pozardzewiały, a tylko ich kosy i sierpy wyglądają gdyby zwierciadła. Nawarzę ja kaszy, że Jegomości aż serce rość będzie. Albo to nie śmiech ludzki, że bydło pasie się po wałach zamkowych, i nie bramą wchodzi, ale tędy gdzie był częstokoł; aż mnie wstyd.

— Wstydź się sobie Waść, kiedyś tak wstydliwy, a ja tak zrobię jak zechcę. A że to jaja chcą zaraz mieć więcéj rozumu niż kury! Więcéj trzydziestu lat rządzę temi dobrami bez Waścinéj rady, i nadal jakoś się bez niéj obejdę. Waść byś rad mi wszystko do góry nogami przewrócić. To tylko szczęście, że Bóg niedał świni rogów. Ruszaj-że sobie Waść z Panem Bogiem, a mnie zostaw, bo ja nie próżniak.

Właśnie nazajutrz miał być jarmark w Kalniku. Dwóch Zaporożców już przybyło do zamku dla odebrania zapłaty: dla tego Pan Zdora pozbył się syna, który odszedł rozzłoszczony. Zaporożcy przybyli na wózku parokonnym, a ich wierzchowce w całym moderunku szły lózem przy koniach powozowych. Jak weszli, Pan Gubernator najuprzejmiéj ich przywitał, częstował ich gorzałką i słoniną wędzoną, pogawędził z nimi; co mu nie przeszkodziło odliczyć im dwieście złotych, za które wziął kwit na pięćset, podpisany przez nich znakiem krzyża, i zaprosiwszy ich na obiad, sam ich zaprowadził do żony. A że miał słabość dla syna, wrócił na chwilę do swojéj kancelaryi i posłał po niego, gdyż pora obiadowa się zbliża, i że rad parę słów mu powiedzieć.

Przybył Pan Ezechiel jeszcze cokolwiek rozdąsany. Stary zaczął mu głaskać policzki i rzekł do niego:

— Mój kochany, ty młody, ale jak się moich lat doczekasz, będziesz inaczéj myślał. Tobie tylko burdy w głowie. Bić się nie sztuka, nawet pobić można; ale potém... Patrz na ten kwit; pięćset złotych wydać musiałem; żal, ale cóż robić: nietyle byłoby żalu żeby to moje własne pieniądze, ale pańskie; a jednak podobna sztuka cztery razy na rok się powtarza. Prawda że szkoda, ale też za-to święty pokój. A wszak wiesz jakie nieszczęście spotkało przeszłego roku Gubernatora Xięcia Wiśniowieckiego na zamku Dziunkowskim. Ledwo nie co roku Tatarzy na niego napadali; lada ofiarą był by się od nich wykupił, ale on po twojemu myślał, i na ich żądanie zawsze ta sama odpowiedź: a-za-się gałgany, i dawaj na nich strzały wypuszczać, i z samopałów strzelać, po tém na koń i ścigać uciekających. A jak Tatar wpadnie w jego ręce, zaraz i na wałach wisi. Przez dwadzieścia lat mu się to udawało, a dwudziestego pierwszego ktoś ze straży go zdradził, i nocną porą wpuścił Tatarów do zamku. Oddali za swoje; bo Gubernatora ze skóry odarli żywcem, a dzieci i kobiety, co ich znaleźli w zamku, w jassyr zabrali, załogę w pień wyrznąwszy. Otóż mu sława: a ja chwała Bogu bez ostrokołów spokojnie siedzę, i bez obawy włażę w moją pościel. Poznasz się za stołem z moimi Zaporożcami, Ezechielku, oni ci się spodobają, bo to bywalce; nagadają tobie o swoim nowym Hetmanie — jakiś Samucha, który do nich niewiadomo skąd przybył przed trzema laty, a taką miłość między nimi wzbudził ku sobie, przez wielkie czyny swoje, że po śmierci Hetmana, jego wyniesli nad sobą. Tylko bądź dla nich grzeczny, i pamiętaj że kto mojego gościa skrzywdzi, ten mnie skrzywdzi: a ja siebie niedam skrzywdzić.

III.

Ojciec i syn weszli do bawialnego pokoju, i tam zastali Gubernatorowę bawiącą przybyłych gości. Oba Zaporożce byli dość ubogo ubrani. Kolety i szarawary z domowego sieraku, na tém koszulka z ogniw żelaznych, i pałasz szeroki u boku: oto cała ich była parada; a reszta rysztunku, jako spisy, huńki z kapturem uzbrojonym wewnątrz gęstemi prętami żelaznemi, łuki i kołczany, zostawione były w części na ich wózku, w części pod piecem w pracowni gubernatorskiéj. Oba nie okazywali na sobie więcéj lat trzydziestu, mieli głowy ogolone, z długimi seledzcami. Jeden z nich, a który zdawał się mieć starszeństwo, mógł by uchodzić za przystojnego, gdyby nie nosił na prawém oku plastra kitajkowego, a jeszcze większego plastra na lewym policzku, a do tego żeby miał ludzki dźwięk mowy — ale kiedy się odzywał, było w jego głosie coś tak chropawego, tak harkawego, że aż przykro było słyszyć; było to coś podobnego do organu którego by dudy popękały. Drugi był sobie kozak barczysty, zézooki, dzióbaty: włosy miał w seledzcu rude a kędzierzawe; wyraz jego twarzy zdradzał doświadczonego rozbójnika. Z resztą o ile jego kolega był mówiący, o tyle on sam był milczący. Gęby do mówienia nie otworzył, jeno głowę miał najczęściéj zwieszoną na piersiach, i wszystkiemu zdawał się przysłuchiwać ciekawie.

Pan Zdora przedstawił syna gościom, i powiedział: — Jak się Panowie poznacie, będziecie siebie kochali. Bo i mój syn, jak Waszmoście, jest doświadczony w rycerskiém rzemiośle: pod Polockiem przecie się popisywał, i jest paso-

wanym rycerzem; od półtora roku mieszka przy mnie. Obaj kozacy skłonili się dość nizko przed Panem Ezechielem, który zaledwo głowę schylił. Rozmowa szła w języku russkim, bo na Ukrainie mowa lacka jeszcze niebyła rozpowszechniona. Gospodarstwo wielce było zajęte gośćmi; w tém oznajmiono że na stole gotowo; i pani Gubernatorowa podała rękę oplastrowanemu kozakowi, a za nimi wszyscy poszli do sali, i zasiedli około okrągłego stołu, na środku izby stojącego. Stół się całkowicie otoczył — bo oprócz Gubernatorstwa i gości, przybyło jeszcze trzech oficialistów klucza Kalnickiego, pastor miejscowy, który niemałe miał znaczenie między sługami pana dyssydenta, i dwie panienek respektowych. Wszyscy zajęli swoje miejsca — nawet Pan Ezechiel; lubo dumny rycerz, widoczny gwałt sobie uczynił, gdy usiadł brat-za-brat między chłopami; wszakże uczynił to: raz, żeby się nienarazić ojcu, powtóre, że już kozak jednooki zaczął był opowiadać różne czyny bohatérskie swojego Hetmana, i różne szczegóły o życiu zaporozkiém, co go zajmowało. Jednooki musiał spostrzedz że nie bez trudności Pan Ezechiel dał siebie nakłonić do siedzenia obok niego za stołem, bo zaraz po polewce odezwał się, ale, co dotąd niebyło, czystą polszczyzną, témi słowy.

— Jak to ludzie łatwo z powierzchowności sądzą. Szlachcic jak się spotka z Zaporożcem, to zdaje mu się, że mu korona spadnie z głowy, jeżeli go do jakiéjś poufałości z sobą przypuści; a to dla tego że go widzi w sieraku a nie w axamicie, i że zamiast litego pasa, widzi na nim pas z jałowiczéj skóry; a niewie tego, że na Zaporożu jest mnóstwo szlachty tak herbownéj, że może Kapituła Krakowska ich by się niepowstydziła.

— O ile mogę sądzić z waszecinego wysłówienia, — rzekł na to Pan Ezechiel, pokręcając wąsa — i waszeć sam musisz być z tych liczby.

— Może Waszmość zgadłeś, może i niezgadłeś, a w wątpliwości sustine et abstine.

— Tymeś mnie waszeć dobił — odparł Pan Ezechiel śmiejąc się. — Już tedy niéma wątpliwości, żeś rodowitym szlachcicem, kiedy nawet do szkół chodziłeś swojego czasu. A ponieważ

mam zaszczyt jemu się przedstawić nomine et cognomine, jako Ezechiel Zdora, Towarzysz Pancerny chorągwi J. W. Ossolińskiego Kasztelana Sandomierskiego, chociaż wprawdzie nadkomputowy, ale do jego usług zawsze gotowy; godziło by się i waszeci wywiązać się groszem za moje trzy szelągi, i nietaić przedemną swojego honoru.

— O mój mościwy Panie Towarzyszu Pancerny, chętnie bym rad jemu we wszystkim dogodzic, ale moje szlachectwo, — dajmy na to że jest rzeczywiste, — gdzieś na kołku wisi z swojém nazwiskiem. Bo jak przystałem na zaporozką wiarę, jak ręką odjął, zaraz zapomniałem o swojém dawnym nazwisku. Dopiéro przypomnę go sobie, jeżeli mi do myśli przyjdzie opuścić Zaporoże, by powrócić do lackiego żywota. Jednak myślę że nim to nastąpi, Dniepr jeszcze dużo wody swojéj zmiesie do Limanu.

— Jakże przecie Waszeć się wabisz, bo jużci co żyje, ma swoje nazwisko. Niepodobna mi wierzyć, że kiedy wasz Hetman waszeci potrzebuje, gwiżdże chyba na niego jakby na psa.

Tu czmychnął Zaporożec, kwaśno zmierzył Pancernego i groźne oko jego spotkało się z obojętnym wzrokiem Pana Ezechiela. Było cóś tak przerażającego w tém spotkaniu, że pani Gubernatorowéj aż usta posiniały od strachu. Ale małe zdarzenie rozpędziło chmurę, i wypogodziło ich oblicze. Osa zaczęła brzęczyć około twarzy Zaporożca.

— Panie Towarzyszu Zaporozki, — odezwał się pan Ezechiel, — strzeż się żeby osa waszeci nie ukąsiła.

— Dziękuję za przestrogę, — odpowiedział, i zaczął się oganiać serwetą, dopóki osa nie upadła na solniczkę. — Do tak miłego gospodarstwa — przedłużył Zaporożec — jak pan Gubernator i jego szanowna małżonka, nic dziwnego że i proszeni i nieproszeni się garną. Wszakże w tak zacnym domu, nawet osy nieszczęście spotkać niepowinno; ona jest tylko przygłuszoną, niech-że sobie na wolném powietrzu żyje.

To rzekłszy wstał od stołu, wziął solniczkę, otworzył okno, i osę wraz z solą wyrzucił na trawę; potém usiadł na swojém miejscu i powiedział:

— Mości Towarzyszu Pancerny, chciałeś wiedzieć jak mnie nazywają swoi — u nas niema ani imion, ani nazwisk, ale

imioniska, na które zasłużyć trzeba, bo u nas nic darmo. Nasz Hetman nazywa się Samucha. odkąd samopas jeżdżąc został napadnięty od sześciu Tatarów; bo kiedy nasi przybyli mu trafunkiem w pomoc, zastali wszystkich sześciu leżących na ziemi; a sługa pański jest attamanem, i nazywa się Detyna — a to z powodu, że kiedy my dobywali zamek Ciecierski, ja pierwszy nocną porą wdrapałem się z dwóma kolegami na wał. Żołnierz na warcie strzegący wałów, zbliżył się i krzyknął: kto tam? ja rzuciłem się na niego, i siekierą uderzyłem po łbie, że już odtąd milczy: bo nim go uderzyłem powiedziałem mu: «cyt detyna.» Za nami i reszta dostała się na wały. Zamek ze skarbcem wpadł w nasze ręce, a Hetman nazwał mnie Attamanem Cyt-Detyną. Otoż-to teraźniejsze moje szlachectwo, póki go na lepsze jeszcze nie zamienię.

— Winszuję go waszeci z całego serca, Mości Attamanie Cyt-Detyna. I przyznam się, że chciałbym aby raz w życiu obaczyć waszego Hetmana, o którym naród tutejszy cuda opowiada. Jakaż jest ziemia która go na świat wydała, a któréj tyle zaszczytu przynosi.

— Jużci nie Zaporozka, Mości Towarzyszu Pancerny, bo na Zaporożu nikt się nie rodzi. Dziecie się nie rodzi bez kobiety; a u nas kobiety na lekarstwo nie znajdziesz; ale gotowi rycerze z całego świata do nas przybywają, każdy z nich zostaje Zaporożcem, i zapomina czém był wprzódy. Bo smaczny chleb, chleb Zaporozki, a miodu, ryb, nabiału, tucznego mięsiwa, w bród.

— To wszystko piękne, jednak bez kobiet, musi wam być tęskno.

— Bynajmniéj; kobieta w rycerskiém kole, to istne szydło w worku. Gdybyśmy mieli kobiety między sobą, namnożyły by się wnet swary, zawiści: zamiast na cudzych, na siebie byśmy napadali; przepadło by nam braterstwo. Człowiek bojowego rzemiosła powinien z przyjemnością spotykać kobiety, ale mieszkać z niemi, nigdy. Mieszkając z kobietą wojownik doczekałby się dziatek, a pisk dzieci odejmuje odwagę rodzicielskiemu sercu, a i dla obcego ucha nie jest muzyką przyjemną. Na licho wprowadzać do nas ko-

biety, kiedy my je nawiedzamy w ich własnych domach; albo to my kąt zagrzejem na Zaporożu? Czarna ziemia naszą matką, a szeroki świat naszym ojcem. Ledwo czwarta część roku na Siczy, i to daj Boże, a reszta za Siczą. A kiedy my puszczamy się w świat, to na to żeby w nim dostać tego, czego na Siczy nie mamy.

— Bez wątpienia Mości Attamanie, zawód wasz nie jest bez powabów, ale do wszystkiego wdrożyć się trzeba. Pod tak dzielnym wodzem jak wasz Samucha, i trudy, i dolęgliwości powinny być przyjemne. Wiem o wielu jego bohatérskich czynach, ale radbym wiedział jakim on jest w pożyciu. Jak waszeci wiadomo, człowiek, choć rycerz, nie zawsze na koniu z kopją w ręku; i my nie od tego, a przecie siedząc za stołem bawimy się rozmową.

— W pożyciu jest on najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem. Póki widzi szablę w ręku przeciwnika, póty jest wściekłym zwierzem. Ale jak mu broń wypadnie, jest mu dobroczyńcą, ojcem. Niech no Pan Towarzysz Pancerny tutejszego ludu zapyta. Wprzód gadania nie było z naszymi, bywało wszystko co widzą, pustoszą. Przechód Zaporoża był straszniejszy niż szarańczy budziackiéj, niż czumy krymskiéj. Ale jak Samucha został Hetmanem, wojujemy więcéj z Tatarami, co wprzódy niebywało, a Polska i Ruś niewiele szkody od nas mają. My z niemi po Bożemu, upominamy się o haracz, bo ten się nam należy. Zapłacisz haracz, mieć będziesz pokój, nie zapłacisz, to widać że pokoju niechcesz; a jeżeli wojna wyjdzie tobie na biedę, przypisz ją sobie, a nie nam. Volenti non fiat injuria: Pan Gubernator akuratnie nam się uiszcza, dobrze też za to wygląda, i na naszą przyjaźń skarzyć się nie może.

— Drażliwą strunę poruszyłeś Mości Attamanie, bo nie do mnie należy wnikać w sprawy mojego ojca; ale pozwól sobie powiedzieć, że gdybym ja tu był na jego miejscu, albo żebym miał vocem decisivam w jego radzie, nie tak łatwo byś trafił do swojego, jak go nazywasz haraczu.

— A to czemu?

— Temu, że może bym się domagał o złożenie jakichś dowodów przekonywających, że on wam się istotnie należy.

— Na co gruntowniejszych dowodów nad ten, — odparł Attaman stuknąwszy o rękojeść swojéj szabli.

— Na taki indukt mam u boku mojego odpowiednią replikę. I niewiem kto kogo by przekonał: czy Waszeć mnie żebym mu zapłacił, czy ja waszeci, żebyś to wyniósł, coś z sobą przywiózł, a cudzego zaniechał.

— Nie wątpię o męztwie Waszmości, Mości Towarzyszu Pancerny, i z tym się nic taję, że lepiéj wychodzę na łaskawéj i spokojnéj przyjaźni wielmożnego Gubernatora, niż bym mógł wyjść na zbrojnéj niechęci jego godnego syna. Bo czybym sam szwank poniósł, czybym waszmości krew szlachetną przelał, niemiałbym czego sobie winszować; ale ponieważ interes z Panem Gubernatorem już złatwiony, niech każdy przy swoim zostając, niemyśli tylko o zabawie w tak gościnnym domu.

— Obaczymy, — mruknął pod nosem Pan Ezechiel. I gdy wszyscy wstali od stołu, on wyszedł na dziedziniec, jakby już miał dość ze znajomości świeżo zabranéj.

Kroki swoje skierował ku stajni, gdzie przynajmniéj sześć razy na dzień nawiedzał swego rumaka, pomimo tego że mieszkał w blizkim jego sąsiedztwie, bo swoją główną kwaterę był założył w masztarni przy stajni będącéj, gdzie sypiał ze swoim Świrydem, kozakiem przez pół spolaczonym, poddanym klucza Kalnickiego, który od lat kilku podzielał swojego pana dobrą i złą dolę. Jeszcze niebył doszedł do stajni, kiedy turkot pojazdu wjeżdżającego na dziedziniec obił się o jego uszy. Obrócił głowę za sobą, i ujrzał porządną brykę krytą, czworokonną, zajeżdżającą pod ganek komissaryi. Wylazł z niéj poważny starzec, którego natychmiast poznał. Był to Pan Błażéj Mroczek, dworzanin Pana Krakowskiego, zaszczycony szczególnym zaufaniem całego domu Zborowskich, a wierny swojego Pana i Rzeczypospolitéj sługa. Pan Gubernator wybiegł na ganek żeby przyjąć znakomitego gościa; z głęboką uniżonością go powitał, i wprowadził przed sobą do domu. Pan Ezechiel pobudzony ciekawością, na czas późniejszy odłożył nawiedziny swojego konia, i powrócił do izby gościnnéj, gdzie zastał i nowo przybyłego gościa, i tych z którymi dopiéro obiadował.

Stary szlachcic w obu rękach trzymał rękę Pani Gubernatorowéj, i z głową schyloną przepraszał ją, że ośmiela się stawić przed nią w podróżnym ubiorze.

— Ach Mości Chorąży Dobrodzieju, — odezwał się Gubernator, — czy się godzi takie ceremonie robić z swoimi prawdziwymi i obowiązanymi sługami. Wszak to dla nas szczęście takiego gościa przyjmować. Czémże mamy mu służyć? My tylko co po obiedzie, ale natychmiast będzie chudopacholski obiadek i dla Pańskiéj Wielmożności.

— Nie, nie, najpokorniéj dziękuję; po dobrym śniadaniu, któreby rannym obiadem nazwac się godziło, wyjechałem z Zorniszcz. To dla mnie starego wystarczy aż do wieczerzy, co ją z łaski Waszmości dostanę.

— Kochanko — rzekł Gubernator obracając się do żony — pamiętaj żeby wieczerza była godna naszego gościa, który pierwszy raz nas nawiedza, żebyś się przed nim niepowstydziła że z ciebie niepotém gospodyni. Wasza Wielmożność niech raczy usiąść. Oto są panowie Towarzysze Zaporożcy; obaj ludzie godni, przyjaciele naszego Skarbu, a których życzliwością się szczycę. Przybyli oni do Kalnika na jarmark jutrzejszy, a oto mój syn Ezechiel, który miał szczęście być mu znanym w Zborowie, jeżeli tylko smarkacz mógł ściągnąć ku sobie uwagę Pana Chorążego.

— A jakże nie, znam — wszakże Pan Ezechiel był jednym z mężniejszych Towarzyszy w Chorągwi Pana Kasztelana Sandomierskiego; przecie to kolega obozowy mojego syna, i po wyprawie Połockiéj, która o bogdajby nigdy nie była nastąpiła, z nim razem był pasowany na rycerza.

— Nie z jednym tylko ale z obydwoma synami pańskimi kolegowałem, — odpowiedział Pan Ezechiel, nizko się skłoniwszy — a z młódszym lat kilka chodziłem do szkół. Pozwól Wielmożny Chorąży zapytać siebie, gdzie się teraz znajdują ci zacni kawalerowie?

— Jednego mam tylko syna Marcina, ten się ożenił, ma dziatki które kiedyś wychowa w bojaźni Bożéj i w miłości ludzkiéj, a teraz pracuje jako szlachcic stateczny na roli dziedzicznéj, i téj pilnuje, pokąd, czego Boże nie daj doczekać, powołanym nie będzie do Pospolitego ruszenia.

— A Pan Kaźmierz, ów rycerz niezwalczony, któremu we władaniu kopją i szablą, ledwo Pan Samuel mógł sprostać.

— Daleko Panu Kaźmierzowi do Pana Samuela — odezwał się Zaporożec jednooki, ale po rusku.

Pan Ezechiel spójrzał pogardliwie na interlokutora, poczém przedłużając rozmowę: — Przebacz Panie Chorąży Dobrodzieju, że o moim najdroższym przyjacielu śmiem go pytać — w jakich stronach dopiéro się znajduje.

— Niewiem — odpowiedział starzec z głębokiém westchnieniem — jużem powiedział że jednego mam tylko syna, drugi... Niech się dzieje święta wola Boża. Jaki los mojego pana spotkał, taki doświadcza jego najdawniejszy sługa. I Pan Samuel, i mój niegdyś Kaźmierz, od kilku lat uciekli razem z rodzicielskiego domu. Zresztą, co mam myśleć o osobistych przygodach, kiedy nieszczęścia publiczne, na nas jak grad rzęsisty spadły. Tak, tak, my słudzy stracili Pana, Senat przewodnika, Korona i Litwa, ojca.

— Jak to? — odezwał się Gubernator.

— Nieinaczéj; Knyszyn i Zborów okryły się kirem; piąty tydzień jak skończył dni swoje Zygmunt August. Zszedł ten wielki Król, nie zostawując ani potomka, ani nawet bliskiego krewnego. Pierwsze to bezkrólewie w którém przewidzieć nie można, czyimi będziemy poddanymi. Panowie Rady długo taili to nieszczęście przed narodem, oddalając wojnę domową, a może i rozpadnięcie Rzeczypospolitéj; ale Panu Krakowskiemu natychmiast po śmierci Króla wyprawiono umyślnego który mu doniósł o wszystkiém, a w krótce potém i synowie jego przybyli. Ale jak się o tém nieszczęściu dowiedział Pan Krakowski, dawna jego niemoc się wzmogła, i od czterech dni zaniósł Królowi i na tamten świat służbę nieskażoną.

— Nasz Pan umarł! — krzyknął Gubernator, załamując ręce

— Umarł na ręku mojém, Mości Panie Zdora, a ja dziesięciu laty od niego starszy, musiałem go przeżyć. Ale co też to było przez pięć ostatnich dni jego śmiertelnego żywota! Wszyscy synowie otaczali jego łoże; mówię wszyscy, bo Pana Samuela mam ledwo że nie za przepadłego; a jednak Pan Krakowski umierając najwięcéj był nim zajęty.

Błogosławił go po kilkakrotnie, i często powtarzał: — To mi był najmilszy syn, a że ja najniegodziwszy grzesznik, sprawiedliwy Bóg zawsze mnie w nim najwięcéj dotykał. — Sprowadził do zamku dwóch jezuitów ze Lwowa, i w ich rękach, a w przytomności naszéj, rewokował swoje nowinki. Głośno wyrzekł: — Wracam na łono ojczystego Kościoła, który byłem opuścił, nie z istotnego przekonania, ale ze swawoli, z dumy, z łakomstwa, żeby być głową potężnéj partji, żeby się ciągle targować z moim panem, a tém wywyższac dom mój nad wszystkie szlacheckie domy. Nigdy nie pokładałem nadziei mojego zbawienia na niemieckiéj nauce. I lubo byłem dyssydentem, nie odganiałem nigdy od siebie sług wierzących po dawnemu, bo zawsze bałem się umierać między takimi, coby xiędza do mnie niedopuścili. I waści Panie Mroczku zawsze miłowałem, pomimo różności naszych zdań. Kiedy waść z nieboszczką moją żoną, odmawialiście koronkę, ja z was drwiłem, a teraz przyznaję żeście mieli rozum, a ja byłem głupi. A choć źle żyłem, że nie tracę nadziei w miłosierdziu Bożym, to przypisuję jedynie modlitwom mojéj żony; bo to była święta za życia kobieta: matka szesnaściorga dzieci: a gdzie wiele dzieci, tam wiele błogosławieństwa.

— A my wszyscy płakali: ryk był w całym Zborowie. Nikt nie jest bez grzechów, ale to był dobry pan i sprawiedliwy. Daj mnie Boże tak umierać jak on. Bo to pokilkakrotnie się spowiadał: a z jaką skruchą pożywał ciało i krew Pańskie; a z jaką przytomnością przyjął oleje święte; jak czule nas przepraszał za zgorszenia jakieśmy mieć mogli z jego spraw. Jeszcze w wigilią śmierci swojéj mówił synom: — To napróżno: ja was nieskłonię wszystkich żebyście wrócili do staréj wiary. Bo zwłaszcza tobie Panie Marcinie, jako Marszałkowi Wielkiemu Koronnemu, bardzo wygodnie w czasie bezkrólewia stanąć jako naczelnik silnéj partji dyssydentów, żeby się dobrze potargować z Elektem. To będziecie robili, co ja kiedyś robiłem; daj wam Boże żebyście przynajmniéj jak ja skończyli. Ale zaklinam was na śmiertelnéj pościeli, żebyście niedopuszczali by dyssydent nad wami panował, bo biada domowi który się pierwszy

targnie na prawo kardynalne narodu. Wszak wy wiecie jak o tym trzymał mój srodze wielki przyjaciel i swat — Xiążę Mikołaj Radziwił, Wojewoda i Hetman, ów zdobywca Inflant. Król był tak zapadł przed laty na zdrowiu, że już byli o nim zwątpili. A ja mówię Xięciu: a nuż nieszczęścia, Król niezostawi potomka, czyby niedobrze wtedy zaprosić z Królewca jego siostrzeńca. Uchowaj Boże, odpowiedział Xiążę. Król Rzeczypospolitéj powinien być Papieżnikiem. Bo taki jeśli zechce szarpnąć nasze wolności, przysięgą swoją stwierdzone, to chyba jeden Papież go od téj przysięgi rozgrzeszy, a jeżeli który z naszych, to sam siebie rozgrzeszy. Ja mu okazał podziw, że tak zakuty jak on kalwin, to mówi. A on mnie na to: mój miły Panie Marcinie, Bog świadek żem prawdy szukał, ale moi ministrowie tak mnie obałamucili, że już dziś sam niewiem w co wierzę. I choć widzę że Jezuici moich synów wabią, nic na to nie mówię, bo mi teraz wszystko jedno. — Potém powiedział im: — Oto Pan Mroczek ma u siebie złożony mój testament już od dwóch lat sporządzony, a taki sam zostaje u Xięcia Krzysztofa Radziwiła, teraźniejszego Wojewody Wileńskiego. Tam przeczytacie wolą moją, i ją spełnicie. Żadnemu z was krzywdy nie będzie. Wniosek mojéj żony wam oddałem, i wiele ze swojego. Całkowita moja ojcowizna Zborów; a inne dobra sam ponabywałem. Wy to po mnie odziedziczycie, a moje legata na klasztory i kościoły, które w kodycyllu znajdziecie, i pamięć o moich wiernych sługach w testamencie umieszczona, was niezubożą. Wy wszyscy już teraz możni, jeden tylko Samuel niewydzielony; Bóg wie gdzie się teraz obraca.

Potém powiedział: — O Samuelu, Samuelu! rozdarłeś moje serce, aleś zawsze moim dzieckiem; błogosławię ciebie, odpuszczam tobie urazę, i tę niewdzięczność za moje do ciebie przywiązanie. I ty po mnie swoją należytość odbierzesz, byleś jéj na dobre używał — Taki to był czuły ojciec Mospanie Zdora, a Pan Samuel — jak to dom rodzicielski opuszczać kryjomo, jakby jaki złodziéj.

Tu się znowu do dyskursu wmieszał Zaporożec, ale zawsze po rusku: «A jużci trudno było Panu Samuelowi nie

uciekać, kiedy go ojciec przymuszał żenić się z osobą jemu niemiłą.

— A jak to panowie o wszystkiém wiecie — odpowiedział Pan Mroczek.

— Nic dziwnego Wielmożny Panie, — odrzekł Attaman. — Z całego świata mamy gości na Siczy, a że my ani piśmienni, ani czytelni, więc kiedy nie wojujemy, cała nasza pociecha słuchać co ludzie o ludziach mówia.

— Jakkolwiek bądź, — przedłużył Pan Mroczek, — poczciwy syn w postanowieniu swojém na radzie ojca polega, bo któż lepiéj od ojca życzyć może; a jeszcze tak dobrego ojca. Pan Krakowski co godzinę spodziewając się że stanie przed Bogiem, kiedy grzechy swoje głośno wyznawał, i w tedy nawet wspominał Pana Samuela. Nigdy nie zapomnę słów jego:

— Grzech rzecze, najwięcéj ciężący na moim sumieniu, bo wynagrodzonym być niemoże, jest zabójstwo Xięcia Dymitra Sanguszki, który z mojéj ręki poległ na Szląsku. Jako opiekun Xiężniczki Halszki w obliczu prawa wymówiony jestem, że na nim spełniłem wyrok Królewski. Ale czy zdołam się tém wymówić przed Bogiem, który wie dobrze że nie miłość prawa, mnie do tego czynu pobudziła, ale żądza ożenienia którego z synów moich z najbogatszą dziedziczką w całym narodzie. Ja ją przeznaczałem dla mojego Samuela. Oby za moje przewinienie, sprawiedliwość Boska na nim się nie spełniła. Mój Panie Mroczku, rzekł do mnie, zaklinam WPana, żebyś zaraz po mojéj śmierci, starał się go odszukać, może on gdzieś się tuła nieborak, jak marnotrawny syn Ewangelii. Ach czemuż przed śmiercią nie mogę go przytulić do rodzicielskiego łona. — I łzy mu się puściły z powiek...

— Skończył ten prawdziwy Pan, ozdoba senatu, i to właśnie kiedy jego rady byłyby tak potrzebne dla Rzeczypospolitéj. A zaraz po jego śmierci, młodzi panowie przypomnieli mnie mój obowiązek. W tym celu przybyłem do Waszmości, azali Bóg mnie niedopomoże bym go wynalazł. Jest to przecie młodzieniec szlachetny. Jak się dowie o sieroctwie Rzeczypospolitéj, przypomni sobie może że jest jéj synem i sługą.

—W trudach co je Wasza Wielmożność podejmujesz, — odezwał się Pan Gubernator, — trafisz Pan do podwójnego celu, bo odszukując Pana Samuela, i własnego syna wynaleźć możesz.

— Nie, nie, o nim nic myślę. Nie pragnę widzieć tego, który kiedyś był moim synem, ale którego zaparłem się na zawsze. Jak to, żeby syn ojcu niepowierzył swojego zamiaru, żeby został wspólnikiem zbrodni, która zakrwawiła serce najgodniejszego, najszlachetniejszego męża. Ja nie tyle Pana Samuela winuję, ile mojego hultaja: ten niecnota do wszystkiego złego jego namówił. On zawsze był krnąbrny, nieposłuszny i burda. Obym go nigdy nie spotkał!

— Mości Chorąży, — odezwał się Pan Ezechiel, — Pan gniewem się unosisz na Pana Kaźmierza: a jednak rycerz znakomity, na jakieś umiarkowanie zasługuje. Jeżeli naprzykład Pan Samuel zobowiązał go rycerskiém słowem do zachowania tajemnicy, jakże go miał zdradzić chociażby dla własnego ojca?

—To do waści nic nienależy,—fuknął Pan Gubernator,—sąd nad synem, jest rzecz ojcowska, a nie cudzego. Między drzwi palca niekładź jeżeli bolu nielubisz. Przepraszam Pana Chorążego za głupstwo tego drymblasa.

— O! wcale się nie urażam za wybryki młodości: dość mnie do nich przyzwyczaił Kaźmierz. O, Mospanie Zdora: człowiek sam niewie o co ma prosić Boga: czy żeby mieć synów, czy żeby ich niemieć. Wprawdzie, nie mam prawa się użalać: Marcin mi się udał: człowiek cichy, roztropny, pobożny, lubiony w obywatelstwie, i całą gębą gospodarz. Ale też za to Kaźmierz... Czy uwierzysz, że to co ja przez jego życie wysypałem z kieszeni, dla zagodzenia rozmaitych jego sprawek, zebrane do kupy stanowiłyby uczciwy kawał szlacheckiego chleba. Tego wybić, tamtego porąbać, wszystkim dokuczyć, nikogo nie słuchać, do tego był zawsze laureatem. Dobrał sobie godnego siebie towarzysza Pan Samuel: to jedno dla drugiego, pokąd nie będzie dla nich sprawiedliwości; bo jaki może być koniec temu wszystkiemu? Nareszcie Pan Samuel mnie obchodzi, bo obiecałem jego umierającemu ojcu, że będę się starał go odszukać; a o

drugim i wiedzieć niechcę. Żyje, to dobrze; niech sobie żyje; a umarł, to drugie dobrze; daj tylko Boże żeby nie na szubienicy. Już on dla mnie umarł od téj chwili kiedy uciekł z Panem Samuelem.

— Oj tak, tak, Mości Panie Zdora, jest to wielkie złe, że naszéj młodzieży zdaje się, że ona jest tylko stworzoną do wojny, a nie do pokoju: i że nieumie oddzielać zarozumiałości i swawoli od odwagi. Ztąd ani się możemy cieszyć pokojem, ani też wojny nasze idą jak by potrzeba było. Bo z rycerstwem bitném, ale nieposłusznem, niedaleko zajdziesz. Wszak to co mówię, mówię z doświadczenia, bo i ja przecie żołnierzem jestem. Szczycimy się naszém męztwem, a już przyszło do tego że złodzieje z po-za Dnieprskich porohów, bezkarnie nasze wioski plądrują, kiedy w młodości mojéj podobną chałastrę batogami by odegnano.

Tu rudy Zaporożec podniósł głowę, i wściekłym wzrokiem spójrzał na starca, ale jednooki na niego groźnie mrugnął, a tamten znowu zwiesił głowę na piersi i wrócił natychmiast do dawnéj nieruchawości. Ta chwilowa *scena muta*, nieuszła bystrego oka Pana Ezechiela

— Święte słowa pańskie,— odezwał się Pan Gubernator,— ale my ojcowie temu niewinni. Ja pierwszy, że nigdy nie miałem skłonności do rycerskiego rzemiosła, mojego jedynaka chciałem wykształcić na duchowną, na uczoną osobę. Z maleńka chodził w studenckim płaszczyku jak pauper. szabelki nigdy nie nosił. Kiedy bywało przybędzie do Kalnika na wakacye, to stawię wartę żeby go do stajni niepuszczano. I cóż to wszystko pomogło Bijąc się w kije z podobnemi do siebie łotrami szkolnemi, wyuczył się robić szablą: pierwszego konia co go złapie na paszy, dosiędzie, i na nim harcuje, za co bywał nieraz w szkole napominany, a nawet i karany, a potém, ledwo się zrobił z niego podlotek, uciekł szkół nieukończywszy, i przystał na gieranka do Pana Kasztelana Sandomirskiego. Taką koleją poszedł i syn pański. Bo Pan Chorąży oddałeś do chorągwi starszego, a młodszego jeszcze parę lat chciałeś w szkołach zatrzymać: a młody taki na swoim postawił i przystał do wojska. Cóż my rodzice winni że się nam synowie nie wiodą.

— I bardzo winni. Choć to się do Waszmości nie ściąga, bo jesteś wyznania Augsburgskiego. Ale mnie, po jakiego djabła było się skłonić namowom nieboszczyka pana, żebym syna oddał do szkoły dyssydenckiéj. Starszy u Jezuitów wychowany: to też czuj-duch przedemną, chociaż sam ojciec dzieciom. Ale w téj Zborowskiéj szkole, — żeby ona przepadła, młodź nabiera nieco gładkości, nieco zagranicznéj mowy, dużo wielomówstwa, cóś się otynkuje obcą dla nas nauką, ale też za to karności żadnéj. Rozkaż jéj wychowańcowi cokolwiek: zaraz trzeba mu tłumaczyć dla czego to się rozkazuje. Bo jak nauczają wasi mistrzowie: rozum jest darem Bożym, i powinien być naszym przewodnikiem; wolność, co ją dla nas Chrystus krwią swoją kupił, niepozwala ślepego posłuszeństwa: Pismo święte i własny rozum w każdéj sprawie winni doradzać. A tem zniszczyła się karność w Rzeczypospolitéj.

— A wszakże Mości Chorąży, Apostoł wyraźnie mówi, że nasze posłuszeństwo ma być rozumne a nie ślepe.

— Mości Panie Zdora, jestem stary żołnierz a nie teolog, i nigdy nie troszczyłem się żeby zgłębić prawdziwe znaczenie Pisma, bo urodziłem się i żyję pod władzą, która mnie w tym względzie zaspakaja; ale na to patrzę co się u nas od lat siedmiudziesięciu dzieje. Wszakże dobrze pamiętam kiedy te wszystkie nowinki z Niemiec do nas wkradać się zaczęły, naprzód między kupiectwem, późniéj i między szlachtą. Kiedy wszyscy jednakowo wierzyli, wszystko było inaczéj niż teraz. Nic nam nie przybyło w swobodach, a wiele ubyło w posłuszeństwie, bez którego niemożna swobodą długo się cieszyć. Od pierwszego Piasta aż do ostatniego Jagiellończyka, zawsze obieraliśmy naszych panów, a nigdyśmy niedoświadczali klęsk bezkrólewia, bo jedność wiary zachowywała jednomyślność zdania w narodzie, i z tąd obrady nigdy się nie rozdwajały. Szlachta wezwana na Pospolite Ruszenie nigdy się nierozchodziła przed końcem wyprawy. Powaga starych trzymała młodzież w karności. Umarł Król: syna jego jednomyślnie obierano. Rozkazał Hetman: każdy szlachcic był mu posłusznym; a żaden naród niemiał takich jak my swobód. Dla tego obce ludy wcielały

się do naszéj wolności; xiążęta samowładnący garnęli się do naszéj równości. Ale odkąd mądrość niemiecka nam zasmakowała, Rzeczpospolita wzmogła się w ludzi rozumujących, ale w potędze upadła. Tać to ja już chodził we Lwowie do szkół Bernardyńskich, założonych przez świętego Jana Kapistrana, (tu schylił głowę,) kiedy ów kalwin Kmita pierwszy raz pokłócił sejmujące Stany. Jemu się nic złego nie stało na tym świecie, ale myśmy stracili Wołoszczyznę. Albo Połock, co niedawno odpadł — a z czyjéj przyczyny? Oto z téj, że szlachta zebrana do obrony granic, na przekor Hetmanowi rozeszła się nic nie zrobiwszy. A cóż mógł zrobić żołnierz komputowy od szlachty opuszczony. Stworzenie walczy ze Stwórcą, młody ze starym, szlachcic z Hetmanem, poddany z Królem. Bóg wie co jeszcze nastąpi z téj wolności tłumaczenia sobie Pisma Świętego.

— Jednak Mości Chorąży, Niemcy nie żyją w bezrządzie, lubo oswobodzili się od jarzma Cesarskiego i Papiezkiego.

— Ja w to niewchodzę, bo chwała Bogu nie jestem Niemcem; ale ubolewam nad tém co się w Polsce dzieje. Wiem dobrze, że te wasze nowinki nie długo u nas gościć będą. Jest to sobie zwyczajnie nowe sitko na kołku. To wiara kupiecka a nie szlachecka: chociaż nawerbowali się do niéj wielu naszych młodych paniczów, a ci najczęściéj, skoro się ustatkują, od waszych wymysłów odskakują. A między naszemi białogłowami, nie wielkie wasze powodzenie. Wolą one nasze stare odpusty, niż te mądrości co je słyszeć mogą w waszych kirkach. Milszy im nasz kaptur mnichowski, niż wasze doktoratki. Już syn nauczył się sprzeciwiać ojcu, podwładny przesądzać władzę, obywatel wyłamywać się od wyroków sądowych, nauczy się sługa pana okradać. Bo rozum ludzki wszystko sobie wytłumaczyć zdoła. A potém będą mówili, że nasze ustawy nic-potém, i że one są wszystkiego złego przyczyną. Nie prawda; nasze ustawy są bardzo dobre, ale dla dobrych, a nie dla złych ludzi.

— Ach Mości Chorąży, Bogiem się świadczę, że chociaż jestem protestantem, pewnie ani szeląga mnie powierzonego nie obróciłem na własną korzyść. Nie taję się z tém żem ubogi, ale nie żałuję tego żem o sobie nie pamiętał.

— Nie wątpię o Waszmościnéj poczciwości szlacheckiéj. Nieboszczyk Pan Krakowski zawsze w jego wierności niezachwianą ufność pokładał.

— I pewnie że jéj nigdy niezawiodłem. Pan Chorąży Dobrodziéj mówił dopiéro, że nieboszczyk pan na piśmie zostawił świadectwo ostatniéj woli swojéj, i że pamiętał o wiernych swoich sługach. Pozwól panie siebie zapytać, czy też i o mnie niezapomniał? bo jestem ubogi, dalibóg ubogi.

— Przyznam się Waszmości, że złożyłem spadkobiercom naszego pana jego testament podpisany ale nieczytany przezemnie. A chociaż on głośno był potém czytany, nadto byłem przygnieciony stratą tak dotkliwą, żebym mógł to słuchać, albo się o jego szczegółach dowiadywać. O niczém inném nie myślę, tylko żebym mógł wynaleźć Pana Samuela, i jak Waszmości już powiedziałem, nie w innym celu przybyłem do Kalnika. Tak to wypadło z konferencji jego braci. Wnioskowano z razu, że jako dyssydent musiał się udać do Niemiec, ale Marszałek Koronny sprawiedliwą zrobił uwagę, że Pan Samuel jest nadto pochopnym do działań rycerskich, żeby nie dać słyszeć o sobie, bądź na turniejach regnantów Niemieckich, bądź na wojnach które się tam dotąd toczą między różnowiercami. A więc że w innych stronach musi się obracać. Pan Kasztelan Gnieznieński z pomiędzy wszystkich braci, najwięcéj zbliżony wiekiem do Pana Samuela, z tém się odezwał, że nim jeszcze zamyślił opuścić dom rodzicielski, często z tém się dawał słyszeć, że niczego by tyle nie pragnął jak być kozakiem Zaporozkim, że tam jest prawdziwe życie dla rycerza. To pewno, że nim jeszcze rozpowszechniła się wieść o jego ucieczce, Pan Wojewoda Kijowski, który z nieboszczykiem panem żył w wielkiéj przyjaźni, napisał był do niego, że w Ławrze Peczerskiéj na nabożeństwie, spostrzegł dwóch rycerzy uzbrojonych, z których jeden wydał się jemu być Panem Samuelem; że chcąc się o tém upewnić, zalecił jednemu z swoich dworzan, żeby z nimi zabrał znajomość, i jeżeli rzeczywiście to jest Kasztelanic Krakowski, żeby jego wraz z towarzyszem podróży w jego imieniu zaprosił na obiad; ale że obydwa zniknęli w tłumie, że ich znaleść nie mógł; i że potém

miał doniesienie, że flisy dwóch rycerzy na lewy brzeg Dniepru przeprawili. Niema więc wątpliwości że jeden z nich był Pan Samuel, a drugi mój łotr, i że muszą się oba znajdować jeżeli żywi, w Ukrainie wschodniéj. Jeżeli ich znajdę, Panu Samuelowi nic; on sobie pan, właściciel znacznych dóbr, nikt dzisiaj niema prawa żądać by dał liczbę że swoich spraw. Swojego czasu z Bogiem się oto rozprawi. Ale jeżeli mój niecnota wpadnie w ręce moje: co ja z nim zrobię, w tém mój rozum. Obieram sobie Kalnik za locum standi, a że mam prawo żądać od Waszmości posłuszeństwa, na to składam instrument Pana Marszałka Koronnego.

— I bez tego instrumentu, cały Kalnicki klucz wraz ze mną jest na rozkazy waszéj Wielmożności, moja rzecz to wypełniać.

— Gorliwość i zręczność Waszmości są mi znane. — Tu wziął na stronę Pana Gubernatora, i oba zaczęli z sobą cicho rozmawiać, i wkrótce potém wyszli do drugiéj izby. Zaporożce także się wysunęli, a Pan Ezechiel nieco zamyślony poszedł nawiedzić nakoniec swojego rumaka.

III.

Jak tylko Ezechiel przyszedł pod stajnię, swojemu Świrydowi kazał wyprowadzić konia. Był to wierzchowiec niemałéj wartości, dar Pana Kasztelana Sandomierskiego, w nagrodę jego męztwa, okazanego w czasie nieszczęśliwéj wyprawy Połockiéj. Dał mu go wtedy, kiedy jako Towarzysz nadkomputowy opuszczał chorągiew, wracającą na zimową kwaterę, a niemogąc dla wyżéj powiedzianych przyczyn trzymać go na swoim dworze.

Był to koń Arabskiego rodu, ale urodzony na ziemi Polskiéj, i Pan Ezechiel sam go ujeździł. Koszulkę miał siwą w jabłka, oko bystre, chrapy które zdawały się buchać płomieniem. Silny, bo dźwigał rycerza całkowicie w stal okutego, był przytém zwinny, prędki, niespracowany; zgadywał myśli swojego pana, nikomu innemu nie dał by siąść na siebie, ale kiedy jego pan na niego wskoczy, oba zdawali się być z sobą zrośnięci. Pan Ezechiel miłował też go nad wszystko, i chętniéj by się zgodził na utratę spadku po ojcu, (o którym domyślał się że musiał być znaczny, pomimo ciągłego jego użalania na swoje ubóstwo) niż na rozstanie z drogim towarzyszem. Kiedy wyprowadzono Sędziwosza, — bo takie mu nadał nazwisko, z powodu jego maści, — zaczął go gładzić, dał mu kawałek chleba, wyniesiony z ojcowskiego stołu, ucałował go pokilkakrotnie, nawet mówił do niego jakby do rozumnéj istoty. Prawdziwy rycerz polski był z koniem swoim, jak kochanek z kochanką. Koń tylko z lekka strzygł uszami, jakby rozumiał mowę

swojego pana. Sam własną ręką musztuk na niego nałożył, a podczas kiedy Świryd zaciągał na nim kulbakę, on przeglądał swoje wojenne rysztunki. Miecz, tarcza, zbroja były tak czyste, tak wypielęgnowane, tak połyskujące, że można było w nich się przejrzeć. Nakoniec włożył na siebie łosiowy kaftan, bez zbroi, szablę tylko zawiesił u boku, i siadł na dzielnego bachmata, który kopytem rył ziemię, na znak radości że dźwiga nakoniec swojego pana i przyjaciela.

Zażył konia po polsku, przypuścił go jak strzała, na miejscu osadził i zwrócił jakby na osi. Koń posłuszny każdemu skinieniu, jak klawisze organów palcom organisty, przenikał myśli rycerza, a ten uradowany, i dumny jak młodzieniec z pozyskania serca nadobnéj dziewczyny, głaskał go po szyi. Nakoniec puścił mu cugle na wolą, i powolną stępią obrócił się ku miastu. Tam zastał wielkie przygotowania na jutrzejszy jarmark. Rozstawiały się stragany dla przekupek, parkany dla tabunów. Przybywały już bryki z bławatem i bakalią, wozy z kawonami i śliwkami, którym assystowały krowy i kozy żydowskie, zręcznie nakładające kontrybucye na siano któremi te wasągi były zasłane. Woźnice batogiem odganiali tych natrętów, ale oni z lada roztargnienia umieli korzystać. Wszystko przybierało ruch, nadzieję, radość, ale jak tylko na rynku pokazał się rycerz, obrońca czasem, ale najczęściéj postrach owoczesnych kupców, dzieci zaczęły uciekać, a dziewczęta jak pierzchliwe króliki chowały się przed niebezpiecznym rycerzem po najskrytszych tajnikach rodzicielskich mieszkań. Nakoniec stanął przed austeryą, i zaczął krzyczeć pokąd niewywołał arendarza miasta, który chociaż bogacz, wybiegł do niego jakby najuniżeńszy niewolnik, oczów nieśmiejąc podnosić. Rycerz zsiadł z konia, jeszcze go kilkakrotnie pogłaskał, a potém rzekł:

— Żydzie, zawołaj kogo ze swoich, ale roztropnego, żeby mojego Sędziwosza prowadził, ale uchowaj Boże, żeby go postawił przy żłobie.

Żyd wrócił do karczmy i natychmiast przyprowadził z sobą syna dobrze znanego Panu Ezechielowi. Jemu więc bez obawy powierzył konia, i rzekł do arendarza:

— Icku, czy niewiesz gdzie się podzieli ci dwaj Zaporożcy co dziś byli na obiedzie u Jegomości.

— Oni do mnie zajechali, i ich konie tu są w stajni; dopiéro jutro wieczór mają powrócić do domu, Wielmożny Panie.

— Czy ja Wielmożny, czy nie, tobie nic do tego, tymczasem Bóg zapłać za dobrą nowinę, że tych gości znajdę u ciebie, bo chciałbym z niemi pomówić.

— Oni są w gospodzie, traktują wiszniakiem dwóch z tutejszéj szlachty czynszowéj, Pan możesz choć zaraz z nimi mówić.

— Pokaż-no mi wprzódy ich konie, bo nie miałem czasu im się przypatrzyć na naszym dziedzińcu.

Icko poprowadził rycerza żeby mu pokazać kozackie konie stojące przy żłobie; żadnego z nich niezganił, ale jeden z nich bardzo mu się podobał. Pomyślił sobie — żeby ten koń mnie się dostał, mój Świryd byłby prawdziwym giermkiem, nie tak jak dziś, co ma pana rycerza, a pieszo chodzić musi jak pachołek. W Bogu nadzieja że jakoś to będzie. — Weszli do szynkowni, on naprzód, za nim arendarz. Tam około stołu ozdobionego garncem wiszniaku, siedzieli dwaj kozacy, i dwóch czynszowych szlachty.

Na widok Gubernatorskiego syna, szlachta z uszanowaniem powstała, ale kozacy tylko skinieniem głowy go powitali, co na wstępie nie pomału ubodło zuchwałego Towarzysza Pancernego. Rzekł jednak do nich:

— Winszuję Wacpaństwu wesołéj zabawy.

— Racz-że i Waszmość do niéj przystąpić, — odpowiedział kozak jednooki, — proszę z nami. Tylko Pan Towarzysz Pancerny, po pańskich dworach do czego lepszego przywykł niż do wiśniaku. *Vinum cor lætificat.* Panie arendarzu, słyszałem że winem handlujesz, przynieś-że nam Węgierskiego co się w gardło leje, ale najlepszego co go masz w swojéj piwnicy.

— Mości Towarzyszu Zaporozki, — odezwał się Pan Ezechiel, — wino z dobrego serca ofiarowane nigdy się nie odmawia. Ale jak się Waszeć dowiesz w jakim interesie do

niego przybyłem, to może pożałujesz tego, że mnie z taką uprzejmością chcesz przyjąć.

— Bynajmniéj, Mości Pancerny, człowiek któremu zbroja sukienką, a oręż najmilszą cacką, kiedy się spotka z człowiekiem tego samego cechu, jakiż może mieć do niego interes inny, tylko żeby się z nim bić, lub upić; ani jedno, ani drugie, ani obydwa razem, się nieodmawiają.

— Ślicznie mówisz Panie Attamanie, ja to czuję, ale tak dobrze nieumiałbym tego wysłowić. Od razu przeniknąłeś myśl moją. W saméj rzeczy chciałbym z Waszecią złatwić pewien rachunek.

— Dobrze, dobrze, ale nikt nas nie pędzi, żebyśmy tego rachunku nie mogli odłożyć na późniéj, a teraz bawmy się inaczéj. Zabawa aż nadto prędko sama z siebie znika, nie wiele roztropny ten, co ją dobrowolnie skraca.

W tém pokazał się na progu arendarz, z drugim żydkiem; oba dźwigali kosz napełniony butelkami. Żydzi je rozkładali symetrycznie, porozstawiali lampeczki, i wzięli się do odkorkowania. Na widok niepospolitego w ówczas trunku, czynszowa szlachta zabierała się do opuszczenia towarzystwa, ale Cyt-Detyna ją zatrzymał, mówiąc:

— Nigdy na to niepozwolę, byście nas odstąpili. Im więcéj biesiadników, tém się prędzéj butelki wypróżnią, a one na to tylko są dane ludziom. Po śmierci niczego z tego świata niewyniesiem, to tylko nasze co się przepije, kto więcéj wypije, ten się na mnie pokaże łaskawszym. Ale cóż to żydzie, czy myślisz że my haftarki, że naparstki nam podajesz, przynieś-no kufel szklanny, coby go bez wstydu w obieg puścić można.

W oka mgnieniu stanął kufel rozmiaru poważniejszego. Attaman wziął butelkę która do trzech części pochłoniętą została, i powstawszy trzymając kufel, rzekł:

— Zdrowie wszystkich pięknych dziewcząt Kalnickich! do Waszmości Panie Towarzyszu Pancerny, — i trzema haustami go wypróżnił, i napełniwszy go oddał Panu Ezechielowi, dodając: — Swoje zrobiwszy, puszczaj go daléj.

— Tak miłe zdrowie inaczéj uczcić wypada, — i nie odejmując go od ust, w jednéj chwili go wysuszył, wypróżnionym

kuflem stuknął po swojém ciemieniu, na nowo go napełnił i wręczył rudemu kozakowi.

— Tęgoś-mi się popisał, Mości Towarzyszu, — rzekł Attaman, — co tak to ale; no Sahajdaczny, żeby się Zaporoże przed Lachami nie powstydziło.

Rudy kozak jednym tchem połknął wino, i kufel puścił daléj. Był to Węgrzyn już nie pierwszéj młodości, zabawa coraz była żwawsza, i w krótce biesiadnicy bardzo byli kontenci z siebie.

Wszakże pamiętny swego Pan Ezechiel odezwał się do Attamana:

— Mości Attamanie, zabawa zabawą, a interes interesem. Nasi mówią, że interes przy zabawie najlepiéj się układa. Bo choć w téj chwili wielką przyjemność znajduję, rachunek co go mam z Waszecią do złatwienia, jakoś mi cięży na sercu. Żebyśmy się zawczasu o niego umówili, każdy byłby pewny swojego, i zabawa jeszcze by szła gładziéj. Już Waszeć się domyślasz o co rzecz idzie.

— Mnie w ciemie niebito, Mości Towarzyszu. Jak tylko Waszmość do nas przybyłeś, domyśliłem się że szlachcic pasowany na rycerza, jeżeli Zaporożca szuka, to nie dla zrobienia jemu attencji, ale jutro Preczyste, a w wigilią wielkiego święta, czasem się pości, ale nigdy nie bije. Potém jarmark — do złatwienia mam sprawunki i różne interesiki co mi je moja Starszyna poleciła. Z rana to się jakoś upora, a po południu niech się dzieje wola Boża. Waszmość rad byś się ze mną sprobować, jużci i mnie się nie godzi być od tego, bo jak to mówią dobre za nadobne. Ale gdyśmy się już o tém upewnili, cóż za potrzeba ciągle się tém zajmować przed czasem. Chciałbym tylko wiedzieć z jakiego powodu, z pomiędzy tylu co by się z nim mogli szablą pokumać, właśnie mnie wypada jemu służyć, i to zaraz po pierwszém poznaniu?

— Z tego winienem się wytłumaczyć przed Waszecią, Mości Attamanie; bo roztropność chociażby największa jest chuda bez dzielności, i dzielność bez roztropności nie wiele warta. Otoż powiem Waszeci, że kiedy się tak złożyło, że człowiek oprócz jednego konia i rycerskiego rysztunku żadnéj

własności nieposiada, choć by na zawinienie palca, trudno od takiego wymagać, by nieszukał jakiegoś pożytku z swojéj broni. Bo na cóż by ją czyścił i pielęgnował, gdyby nią jedynie dziewki wiejskie, i żydowskie dzieci przestraszał.

— Nie byłbym Zaporożcem, Mości Towarzyszu, żebym na pamięć nie umiał, że dla tego który ma serce, szabla i kopia są tém, czém folwarki dla obywatela na wsi mieszkającego. Ale niewidzę by to się do nas ściągać miało, bo my jesteśmy z liczby tych co sami potrzebują pieniędzy, a nie tych co by je mogli drugim udzielić.

— Widzi Waszeć, są wyłączności w zwykłym trybie życia. I dziś naprzykład trafiłem na szczęśliwą godzinę, jakiéj podobna nigdy dotąd dla mnie nie wybiła, chociaż Bóg świadkiem robiłem co mogłem, ażeby się jéj doczekać. Może dziś właśnie Bóg mnie pobłogosławił waszym przybyciem, i o tém się przekonam, jeżeli jutro z rąk Waścinych wyjdę cały i opatrzony. Mnie to na sercu cięży jak młyński kamień, że Waszeć niedobywszy szabli z pochwy, uchwyciłeś pięćset złotych z rąk mojego ojca. Waszeci samemu musi być wstyd żeś je z taką łatwością dostał, godziło by się o nie po naszemu potargować, choćby dla zapewnienia sobie ich prawnego a sumiennego posiadania. Te pieniądze zkąd wyszły tam wrócić nie mogą. Kassa zamkowa tym jest dla nich, czym dla nas żywot macierzyński. Ale ot czego ja chcę: żebyśmy na siebie jutro natarli, jakeś mi Waszeć tego już uczynił nadzieję, a warunki które jemu podaję są takie: jeżeli Waszeć lepszy odemnie, i mnie obalisz, to mojego konia, moją zbroję zabierzesz z sobą do swojéj Siczy, a ja jeżeli żyw zostanę, powlokę się że wstydem do mojego ojca, i za piecem położę się, bo już mi wtedy niepokazywać się między ludźmi. Ale jeżeli Bog będzie za mną, to i Waszeci koń i to cóś zabrał mojemu ojcu, będą już moją własnością. Bo sam przyznaj, Mości Atamanie, że takiego konia jak mój Sędziwosz, nie sposób stawić głowa za głowę przeciwko Waszecinemu; a pięćset złotych bardzo by mi się przydały. Bo lubo się z tém nie taję, że radbym z całego serca jutro choćby Waszeci kopią przybić do ziemi, jednak z pierwszego wejrzenia taki powziąłem dla Waszeci szacunek, że

mu otwarcie wynurzę stan moich interesów. Waszeć słyszałeś że u nas bezkrólewie, to może długo potrwać, może się konkurenci o naszą koronę powadzą między sobą, wtedy rycerz siako tako obeznany z szabelką, będzie miły jak panienka posażna na wydaniu. Tylko pokazać się jemu w Krakowie, a upominki jak grad na niego się wysypią. Ale jakże o tém pomyśleć, niemając nawet czym Giermka oporządzić, a cóż dopiero sprawić mu konia. Do ojca się udać, ale prędzéj by mi się udało łbem zrobić wyłom w Pleskowskich murach, niż wydobyć z affektu rodzicielskiego aby jednego szuflryna. Więc Waszeć razumiesz do czego się ściąga moja mowa, i dla czego te pięćset złotych coś je nabył prawem kaduka, ciągle brzęczą w mojéj mozgownicy. A jak się umówimy na jutro, będę spokojniejszy, i weseléj z waszecią się bawić, bo już bez roztargnienia. Wszak prawda że moja propozycia i słuszna i sprawiedliwa, czy może być odrzucona.

— A broń Boże! Mości Towarzyszu! Nic sprawiedliwszego nad warunki które podajesz. Patrzałem dopiéro przez okno jak Waszmość wjeżdżałeś na swoim bachmacie. Nie ma co mówić, koń dzielny, nasz Hetman nie powstydził by się na nim nasze rycerstwo do Carogrodu prowadzić, daleko naszym koniom do Waszmościnego.

— Więc zgoda, podajmy sobie ręce i zapijmy tę sprawę.

— Zgoda, masz na to Waszmość moją rękę. Wszak póki pora mówienia, z dyskursu powiem mu, że drugi może by powiedział: przypuść mnie do jakiéj części téj zdobyczy coś ją uchwycił mojemu ojcu, w przytomności prawie mojéj, za to żem ci do niéj nieprzeszkadzał, chociaż sprawa była z moim własnym ojcem. Może by była zemną o to pogadanka, może i nie. Wszakże nikt by mu za złe nie wziął żeby zaczął od mniejszego, bo kto wyzywa, temu i gadać co mu w myśli, a kto wyzwany, temu nieodzywać się, tylko na wszystko przystać.

— Widzi Waszeć, rozumiem do czego to mówisz, ale tak już być nie może. Raz, że przywykły jestem to tylko ofiarować co wiem że przyjętem będzie, bo zawsze starałem się mieć do czynienia z ludźmi uczciwemi, a nie to o czym

jeszcze wątpić mógłbym, będzie li przyjęte lub nie będzie. Wreszcie może bym i niebył od tego, żeby rzecz tylko szła o pieniądze jedynie, ale tu jeszcze inna okoliczność zachodzi.

— Jakaż inna okoliczność?

— Jaka? Oto trzeba żebyś Waszeć wiedział: jest w mojém przyrodzeniu, że cierpieć nie mogę kiedy mi się kto sprzeciwia.

— A to wyśmienicie! Waszmość masz we mnie rodzoniusieńkiego brata, bo ja także nielubię, kiedy ten z którym mam do czynienia, nie tak robi jak ja chcę. Ale cóż daléj?

— Waszeć chyba zapomniał że kiedy Pan Chorąży Mroczek suchéj nitki nie zostawiał na Panu Kaźmierzu, zwyczajnie stary zrzęda, ja się ująłem za przyjacielem, za kolegą szkolnym i wojennym, bo też on był pod Połockiem czołem naszego rycerstwa. Powiedziałem i słusznie, że jeden tylko Pan Samuel Zborowski mógł się jemu równać, — a Waszeć...

— A ja powiedziałem że jemu daleko do Pana Samuela, co i teraz powtarzam.

— Wyśmienicie! rzecz skończona. Waszeć od swego, ja od mojego nieodstępujemy, tém lepiéj; a więc jutro się pokaże przy kim prawda. A że jeden się przed drugim nie schowa, i że aż nadto pewni jesteśmy, że siebie znajdziemy, już niemyślmy o czém inném, tylko żeby się na waletę zabawić, bo może któremu z nas, a może i obudwom dziś ostatnia zabawa. Waszeć dziś częstujesz boś w dostatkach, a co do mnie, w jutrze cała nadzieja, że i ja będę miał o czém drugich częstować.

— Wszak Waszmość będąc Towarzyszem Pancernym, tęgim do korda, a do tego pasowanym na rycerza, nie mogę wierzyć żebyś nie miał jakich akcydencyi z swojéj broni, bo jużci dajesz mi dowody, żeś nie leniwy; to się nie mówi żebym żałował traktamentu, i owszem, mam sobie za szczęście że tak godnego męża na swojém przyjmuję. Nie taję się z tém że nie jestem bez grosza, i że ta nasza uczta bynajmniéj nienadwéręży kwoty o którą w dniu jutrzejszym mamy się rozprawić; ale to mówię dla zaspokojenia mojéj

ciekawości. Bo ten co żyje ze swojego oręża, rad wiedzieć jak inni tego rzemiosła z niego korzystają.

— Zagadłeś mnie waszeć Mości Attamanie, zapytaniem o przychodach mojéj szablicy. Już to Bogiem a prawdą, kiedy niekiedy coś kapnie, bo bez tego niebyłoby i koszuli na grzbiecie. Wszak odkąd po odprawie danéj mi w Zborowie, u ojca mieszkam, jeszcze szeląga nie odebrałem z rąk jego, ani się zapyta jakim djabłem siebie i swojego spieszonego luzaka ubieram. Myśli, że jak da obiad i wieczerzę, to już wszystkiego mam do zbytku. Owies co go dosypuję mojemu Sędziwoszowi, już mu jest solą w oku, codzień mnie to wymawia, rad nierad człowiek musi się imać przemysłu. Czasem na gościńcu kogoś się zobowiąże do podziału, ale co to warto, grosz z groszem się nie spotyka. Wyście zupełnie popsuli mnie rzemiosło.

— A cóż my Waszmości winni?

— Odkąd zawarliście jakieś przymierze z moim ojcem, tutejsi kupcy nie boją się napadu, a więc nie mają potrzeby do mnie udawać się z prośbą o pomoc. A waszeci wiadomo, że kiedy kupiec nie drży od strachu, to wielka pustka w torbie rycerza.

— A któż broni Waszmości przenieść się w dobrą stronę, gdzie naprzykład Gubernator zaufany w swoje ostrokoły o nas nie dba, a gdzie my bez wyrzutu sumienia jego kupców na drodze rabujemy.

— Tać to ja o tém ciągle myślę, ale cóż! nie mogę dorobić się tego, bym mógł nabyć konia pod mojego luzaka. Wstyd mi Szlachcicowi puszczać się samopas, żeby sobie samemu w oczach ludzkich i bóty ściągać, i konia napawać. Ale niech-no będę miał o czém luzaka przerobić na giermka, żeby na porządnym koniu nosił moję tarczę herbowną, to pewnie nie długo Kalnik cieszyć się będzie moją bytnością. O, jeżeli mi się uda jutrzejsza wyprawa na waszeci, będę wiedział co z sobą zrobić. I ja potrafię się zdobyć na takie lusztyki jak waszecine. Bo niéma co mówić, wino smaczne z waszecinéj łaski, i choćby człowiek został skazany innego napoju nie znać przez całe życie, pewnie by się nie powiesił z rozpaczy.

— Kiedy tak się rzeczy mają, to wyznam otwarcie, że nie frymarczyłbym mojego Zaporozkiego żywota, na wasz zawód rycerski

— Ba, a któż o tém wątpi że się u was dobrze dzieje. Napadacie na kogo chcecie; pierwszy lepszy; wam tylko żeby siebie niedać zabić w potyczce, a jeżeli przeciwnika który z was zabije, tyle mu tylko w głowie; wasza starszyzna zawsze powie: a tak dobrze, a to z Waści gracz; ani się spyta czy trup szlachecki czy nie. Bo każdy wasz starszy na tym się zna, i przez to przechodzi. A u nas Starostowie, Grody, Chorążowie, Woźniowie: a każdy rości sobie prawo wglądać w postępki rycerza. Jak człowiek wystąpi do tańca bez zezwolenia zwierzchności, (a trudno o każdą rzecz zwierzchności pytać) to mu nietylko w głowie, żeby na gorącym razie wyjść dobrze, ale jeszcze żeby się i nadal wykręcić, jak go tam wezmą na konfessaty. Ciągną rycerza do Starosty, a to często stary grzyb, już zapomniał dawno na co się szabla przydać może. Czy takiego przekonasz że przybić kogo do ziemi kopią, albo mu głowę na dwoje rozpłatać koncerzem, jest rzeczą piękną i niewinną. Ale...! bezpieczniéj wyprzeć się najmężniejszego czynu dla uniknienia napaści, wreszcie odprzysiądz się kiedy nie wierzą. Bo inaczéj grzywny, wieża. Z czego to żyć może u nas ubogi rycerz? Kupce możni łączą się w tabor i utrzymują w pomoc zawsze kilku Towarzyszów Kawaleryi Narodowéj, dla tego szlachcic kiedy się do tego dobije że został Towarzyszem Komputowym, może być spokojny, i śmiało się żenić, bo i za życia wszystkiego ma w brod, i po śmierci dzieci jego się obłowią. Waszeci wiadomo, że na żołnierza Rzeczypospolitéj żaden szlachcic się nie porwie, kiedy on służbę swoją dopełnia. Na szlachcica osiadłego napaść kiedy on podróżuje, można by się obłowić, ale za to straszna odpowiedzialność przed sądem.

— A ktoby zmusił rycerza uzbrojonogo wieżę wysiadywać?

— A co to Waszeć za górami siedzisz, że niewiesz co się robi. Nie, to tylko mnie probujesz, bo jużci byłeś kiedyś naszym szlachcicem, sam się prawie do tego przyznałeś w czasie obiadu.

— Choćby i było coś podobnego, to już tak dawno minęło, że mogło się o wielu rzeczach zapomnieć. Bo chociaż w tych stronach często wypada gościć, to nie po to żeby się dowiadywać o waszych jurysdykcyach. Chciałbym tylko wiedzieć, jak się tu biorą do rycerza dzielnego, żeby go zwabić do zdania liczby z postępków swoich przed Starostą.

— A to chyba waszeć niewiesz, że szlachcic nie spełniający wyroku, jest jakby pod klątwą. Nikt z nim mówić niechce, jak go spotka, ucieka od niego jakby od djabła. Niech szuka z pochodnią takiego co by mu pozwolił wypocząć pod jego dachem. Szczęście, jeżeli natrafi na naszego brata dyssydenta, bo my nieznamy tych zabobonów. Ale łapieżnik brata rodzonego się zaprze, jeżeli on się powadził z Prawem. Wierz mnie, Mości Attamanie, że kiedy Grod za jakąś psotę skaże rycerskiego męża na wieżę, to chociaż go nikt nie zmusza po szczeremu żeby się stawił, i z tém długo się ociąga, to mu potém z tego taki smutek, taki srom, że sam stawi się przed Grodem, i mówi: — róbcie zemną co chcecie, bo dłużéj niewytrzymam.

— Czemużby w takim razie niemiał się wynieść w jakieś oddalone Województwo, wszak wasza Rzeczpospolita obszerna.

— A to piękna rada! to go wtedy ogłoszą banitem.

— I cóż z tego?

— Co z tego? oto, że on niebędzie wart i złomanego halerza. Pierwszy co go zechce zabić, zabije bez wyzwania na rękę, tylko z po-za płotu do niego wypali, jak do wściekłego psa.

— A kiedy tak, ośmieliłbym się poradzić Waszmości byś do naszéj wiary przystał.

— Hem, może bym niebył od tego. Cóś tam ludzie bękają że Pan Samuel przekształcił siebie na Zaporożca, on by mnie do razu poznał, i jeżeli ma tam jakieś swoje znaczenie, pewnie by dobrze mnie zalecił waszéj Starszyznie. Nawet wiara wasza, lubo prawdę powiedziawszy nie mam o niéj wyobrażenia, nie przestrasza. Jeszcze to byłem w szkołach, kiedy się przedemną wymówił nasz rektor Lis-

manin, bardzo uczony człowiek, że każda wiara dobra oprócz Papiezkiéj. Z tém wszystkiem Zaporożcem nie zostanę, a to dla trzech przyczyn.

— Dla jakich?

— Pierwsza, że u was szlachcic musi się zaprzeć swojego herbu, a nawet nazwiska, a przyjąć jakieś imienisko; czem bym siebie zbratał z chłopami, co jest przeciwko mojemu sposobowi myślenia. Druga, że jak mnie mówiono, kiedy kto cóś przeskrobie przeciwko ustawom, u was kara zawsze jedna co do jakości, a cała różnica co do ilości tylko. A ta kara jest w tém, że batogami okładają obnażoną skórę. Na co nigdy nie pozwolę, chociaż by mnie za to obiecywano Hetmaństwo nie tyle Zaporozskie, ale nawet Koronne. A trzecia, jak by to waszeci powiedzieć.... ale na co to w bawełnę obwijać: że o waszych obyczajach bardzo brzydko mówią. Widzisz Waszeć że się tłumaczę otwarcie: *in vino veritas.*

— Mości Towarzyszu Pancerny, ta ostatnia przyczyna jest tylko potwarzą, na którą plunąć trzeba; poniżyłbym siebie, żebym się chciał z tego tłumaczyć. Co się tycze zaparcia się swojego szlachectwa, powiem mu, że u nas nikt się od niego nieodrzeka, tylko winien go taić ,pokąd jest zapisanym w rejestrze Zaporożskim; lecz każdego czasu może się z nami rozstać, i powrócić do zawieszonych zaszczytów. Prawda że u nas obicie kijmi jest jedyną karą, ale czy można przypuścić żeby tak gładki i tak waleczny rycerz jakim jest Pan Towarzysz, mógł kiedykolwiek na karę zasłużyć.

— Co mnie Waszeć chcesz z rozumu wyprowadzić, ja i słuchać tego niechcę. Na taką karę niezasłużę! — i owszem zasłużę, przez to samo że się poddam pod tak głupie prawo. Z resztą co mamy o tém gadać, wszak na stopniu na jakim stoją rzeczy, to co mówimy jest rozprawa *de lana caprina;* bo jużci jeżeli za sprawą waszeciną jutro ugryzę ziemię, to czybym się zgodził na wasze prawa, czy nie, niezawerbujecie mnie do Zaporoża, a jeżeli moja na wierzchu będzie, tém na Siczy nie nabędę zasług, by aż za nie z wielkimi honorami wasi mnie przyjmowali.

Tyle tylko mógł jeszcze jakkolwiek wyraźnie powiedzieć, już język bardzo mu się plątał, bo tę rozmowę swoją z Attamanem ciągle zakrapiał. Nakoniec wszystkie zdolności umysłowe jego odstąpiły, — w czém i inni biesiadnicy w tyle nie zostali — bez przytomności zsunął się pod ławę.

Ale Arędarz względny na Gubernatorskiego syna, wziął go w opiekę. Kazał zaprządz do swojéj bryki; na niéj położono Pana Ezechiela, śpiącego snem sprawiedliwych, a Sędziwosza zaprowadzono do stajni Zamkowéj. Tam zawiózł Icko Pana Gubernatorowicza, i go nieodstąpił aż obaczył rozebranego i leżącego w masztarni, na swojéj twardéj pościałce, pod strażą wiernego Swiryda.

IV.

Już słońce od dwóch godzin oświecało Kalnik, kiedy Pan Ezechiel się ocknął. Głowę miał ciężką, zgaga mu dokuczała, i nie bez trudności skupiał myśli swoje. Jednak przypomniał sobie, że po południu ma się potykać na ostre. Zerwał się z pościeli, i bosonoż zaczął zmierzać powolnym krokiem swoją masztarnię. Przeglądał czasem swój miecz i swoją zbroję, a że było u niego zwyczajem głośno myśleć, tak mówił sam do siebie:

— No Mospanie Ezechielu, dziś dla Waści ważny dzień; albo starosta, albo kapucyn, na dwoje matka wróżyła. Jeżeli zginę, to już mnie niczego nie będzie potrzeba; a jeżeli jest cóś dobrego na tamtym świecie, to to dobre musi i mnie się dostać. Bo jak nas nauczał Doktor Lismanin, wiara tylko nas zbawia, a że ja nigdy nie miałem pochopu do tych uczonych rozpraw, wolałem z góry wierzyć że mówił prawdę, a więc mam wiarę, i oto pokój. Mnie co innego w głowie. Oto że nuż nię zabije, a pobije, jakiż to będzie wstyd szlachcicowi pasowanemu na rycerza, dać się pobić przez kozaka; bo choć to może i szlachcic, ale jakiegoś niepewnego szlachectwa, kiedy się z nim tai. A czy tylko wstyd — jeszcze i z Sędziwoszem rozstać się trzeba, i u ojca obrócić się na pachołka, bo co ja będę wart bez konia, lada chłystkowi dam siebie za nos wodzić. Wiem że serce na zawsze mnie odstąpi. Ale też kiedy mi się uda, dopiéro w pierze obrosnę, nie pomieniam siebie na kandydata Korony. Co to? mieć za sobą giermka z moim

klejnotem herbowym, a w kulbace pięćset złotych: i tak dążyć do Krakowa na elekcyą, i tam czekać aż Bóg da że kandydaci zaczną się czubić między sobą, dopiéro ja w górę pójdę. Kto wie czy niewykieruję siebie na Starostę. Jużci złego niemam przeczucia, choć ta ślepa bestja powinien dobrze machać szablicą, od czegożby był Zaporożcem. Niech mnie djabli porwą jeżeli ja go gdzieś niewidział — ale gdzie? to chyba jemu tylko wiadomo. A łebski człowiek, niech mu Bóg odpłaci to wino którém mnie wczoraj uczęstował, byle tylko nie dziś. Wszakże to odkąd goszczę u mojego ojca, miałem czas zapomnieć że jest wino na świecie. On mnie to przypomniał; ludzki człowiek, nie ma co mówić. Tylko co ma sobie i drugim żałować? Nieboi się Starosty, ani jego kruków, rozbija na pewno. Prawdziwie w czépku musiał się urodzić. Nieumiem rozebrać moich uczuć względem niego, bo choć to pewna że z całego serca chciałbym go wyprawić na tamten świat, jednak niewiem czy to przez nienawiść, czy tylko z gwałtownéj potrzeby. Ten Pan Cyt-Detyna — osobliwsze imienisko — częstował mnie, zalecał się nawet do mojéj przyjaźni; a krotofilny — że z nim czas miło schodził; więc tém zasługuje na jakąś życzliwość. Ale z drugiéj strony zuchwały, nie wstał przedemną Towarzyszem Pancernym, kiedym wszedł do gospody, i językiem potrącił Pana Kaźmierza; a na co jabym się komu przydał, żebym się nie umiał ująć za przyjacielem, a potém, czy sto djabłów zjadł, mnie namawiać żebym moją szlachecką skórę poddawał pod Zaporozkie kije; dam ja jemu kije, tego mu nigdy nieodpuszczę — wojna na śmierć; on wyraźnie drwił ze mnie. Dotąd było gadanie o koniu i o pięciuset złotych, ale tacy rozbójnicy muszą mieć tego więcéj, a ich tylko dwóch. Jak ślepego powalę, a tém poznam że na mnie wybiła szczęśliwa godzina, jakem szlachcic, przyczepię się do tego rudego chłopa, co milczy jak mrok, a bestja zawzięta. Uważałem jak on się był nasrożył na Pana Chorążego, za to że coś niepochlebnego powiedział o Zaporożcach. Nastawił był złowieszczbnego marsa. Jeno że jak tamten z jedném okiem na niego groźnie spójrzał, zaraz i gniew wypłoszył.

Czy nie tchórz to, że tak prędko się uspokoił? Ale nie, to musiało być z tego, że bał się kijów, bo tamten starszy. On śmiały; to zaraz poznać można. Tém lepiéj, nie odmówi tańca na który go zaproszę, nie uciecze, i po nim mi się spadek dostanie. Zamiast jednego wierzchowca będzie dwa, a do tego dwa konie zaciążne i bryka, oprócz tego co niewidoczne, a musi być gdzieś schowane. Bo to wszystko będzie moje może. A przyznam się, że miléj mi będzie pastwić się nad rudym, niż nad ślepym, bo bez najmniejszéj wątpliwości tego rudego cierpieć nie mogę — jakąś czuję wesołość, która mnie dobrze wróży; ale łeb mi nieco cięży, trzeba się orzeźwić. Swirydzie! Swirydzie.

Przybył Swiryd ze stajni.

— Co Pan rozkaże?

— Głowa mnie trochę boli. Pójdź synu za mną do stawu, wykąpać się muszę: będzie mi lepiéj. To rzekłszy obwinął się w derhę, — szlafrok owoczesnego rycerza, — i bosonoż pobiegł na groblę, a za nim Swiryd.

Było to w same Preczyste, już jesień się zaczynała, woda była nieco chłodna; ale nasz rycerz bynajmniéj się niepielęgnując, zrzucił derhę, koszulę oddał Swirydowi, i skoczył w staw, w którym kilkanaście razy się zanurzył. Ból głowy jakby ręką odjął, i wyszedłszy z wody, zaczął biegać nagi po grobli, żeby się osuszyć wiatrem jak szynka Westfalska, dopiéro wziął koszulę, i powrócił z swoim Swirydem do masztarni: to jest on do masztarni prosto, a Swiryd do piekarni, żeby przynieść panu jego zwyczajne śniadanie: garnek barszczu i misę kaszy jaglanéj ze słoniną.

Jak przyniósł strawę, Pan Ezechiel wziął się do swojéj rodowitéj łyżki, i w krótce nią oczyścił i garnek i misę, co mu i siły i wesołość podwoiło.

— Swirydzie, — rzekł do stojącego sługi, — cobyś ty mnie poradził zrobić z pieniędzmi, gdybyś u mnie obaczył kilkaset złotych?

— A co Panie — wzięlibyśmy wioskę w posessją, żeby się doczekać własnego chleba.

— Otoż to chłopska natura, kopy liczyć, i do góry brzu-

chem leżeć. Zaręczam tobie, że jak przyjdę do pieniędzy, o czémś rozumniejszém pomyślę.

— Żebym ich tylko widział u Pana, to może i ja lepiéj bym umiał poradzić niż dopiéro; ale na co się przyda myśleć o groszu, który w cudzéj a nie w naszéj kieszeni siedzi.

— Znajdzie się on może i w naszéj: niezadługo obaczysz.

— A, rozumiem, stary Jegomość musiał Panu obiecać gościńca.

— O prawda! znasz ludzi, jeżeli myślisz że u mojego ojca coś dostać można. On swoich pieniędzy własnym oczom zazdrości, zamyka worki w skrzynce, i sam na nich nie patrzy; leżą one jeden na drugim zapieczętowane; on myśli że ja o tém niewiem. To bo szczególny człowiek. I Pan Krakowski skąpy, ale tylko na gotowy grosz. Prędzéj konia da słudze niż pół talara; ale mój Jegomość wszystkiego żałuje. Pamiętasz jak to na Ilia, widząc że weselszy niż zazwyczaj prosiłem go żeby mnie udzielił kilkadziesiąt pni pasieki na początek gospodarstwa. Myślę sobie: ja to wszystko wybiję przed jesienią, i z tego urodzi się koń dla mojego Swiryda. Widzisz synu jak o tobie pamięta twój pan. A stary co mnie powiedział: «Na co mam się drobić, Ezechielku, to wszystko co po mnie znajdziesz, będzie kiedyś twoje, boś u mnie jedynakiem. Co moje to twoje.» I tak mnie z kwitkiem odprawił.

— A skądże będą pieniądze?

— Zkądże będą? — a jaki ciekawy!

— Daj Boże! daj Boże: bo wszyscy się ze mnie śmieją że jestem niby giermkiem, a piechotą chodzić muszę, odkąd żmudzki koń coś go Pan dla mnie na borg dostał w Zborowie, trzeciego dnia po naszym przybyciu do Kalnika, podziękował nam za służbę. Pan jeszcze za niego niezapłacił, a już go niema.

— Pan Bóg go dał, Pan Bóg go wziął; niechże się udaje do niego ten co mi go przedał. Przynajmniéj koło Zborowa są dobre dusze, które poczciwym ludziom borgują, ale w tutejszéj Tatarszczyznie kiedy kieską niezabrzęczysz, ani się odzywaj o towar. Nic to; Bóg nikogo nieopuszcza. Prędzéj niż się spodziewasz będziesz mieć konia; ale jakiego —

już zostaw to mnie, moja w tém głowa. Przed niewodem ryby niełów, wolemy o czém inném pomówić. Oto wiesz, że dziś po południu będę miał przeprawę. I Sędziwosz i moja szabla będą w robocie.

— A z kimże to Pan potykać się będziesz?

— Z tym ślepym Zaporożcem, co chodzi z pyskiem okitajkowanym. Wczoraj zaszedłem do Icka, tam zastałem jednego i drugiego psubrata, i zastałem ich koło garnca.

— Ta to Icko wczoraj już późno oddał Pana w moje ręce, ale Pan zdawał się być zaprzyjaźniony, a nie zagniewany.

— Prawda że z nimi się podochociłem; ale żebyś wiedział jakim winem! Bawiliśmy się z sobą jak dobrzy przyjaciele, ale z zabawki przyszło do tego że my siebie wyzwali. Najlepsi przyjaciele biją się z sobą, a dlaczegoż by się niemiał bić cudzy z cudzym?

— A na licho taka przyjaźń z któréj się można guza doczekać?

— Jaki z ciebie cap! — a od pięciu lat u mnie giermkujesz. Jak tobie o tém niewiedzieć, że bitka nie tylko nieprzeszkadza przyjaźni, ale trudno żeby była bez bitki prawdziwa przyjaźń. Pamiętasz jak to ja na wojnie Inflanckiéj żyłem brat-za-brat z Kaźmierzem Mroczkiem; co moje to jego — co jego to moje; w jedném łóżku sypialiśmy. A jednak o jedną dziewkę łotyszankę, któréj mowy ani ja, ani on nierozumiał, przyszło do tego, żeśmy na siebie zjadliwiéj nacierali, niż na kawalerów mieczowych Pana Kettlera. To on na trzy cale schował grot swojéj kopji w moim boku, jakby w pochwie. Szczęście że nosimy koszulki dróciane; gdyby nie to, na wskróś by mnie przebił, byłbym wyglądał jak kokosz na rożnie. A jednak i tak miałem czém się bawić; bo ledwo niemiec naszego Rotmistrza Pana Kasztelana Sandomierskiego mnie odratował. A powiedz — czy potém nasza przyjaźń nie była jeszcza większą niż wprzódy?

— A prawda Panie że tak jest po rycersku; ale trudno żeby giermek, co musi chodzić piechotą, pamiętał o pra-

wach rycerskich. Niech no Pan mnie da konia, a obaczy jak będę mądrym.

— Ale dam, dam, mówiłem że dam; i to niezadługo. Tylko nie zbijaj mnie z tropu, bo tu o rzecz chodzi. Już wiesz że z tym kozakiem bić się będę; to nie jest sprawa z kolegą, jak to był Pan Kaźmierz; niemam, ni chcę mieć przyjaźni z Siczowym hajdamaką. Ani mnie z tego wielka pociecha, że wystąpię przeciwko takiemu co wypadł sroce z pod ogona. Bo większy wstyd jeżeli się nieuda, niż sława jeżeli się jego pokona. Musi więc być jakaś przyczyna że to wszystko mimo siebie puszczam, a bić się z nim będę do upadłego. Masz nawet o tém wiedzieć, że ja go szukał, a nie on mnie, że jeżeli zechcę zaniechać, to on i owszem jeszcze. A ja od swego nieodstapię. A zkądże to? — dowiesz się wkrótce zkąd. Pokaże się że w tém twoja sprawa więcéj niż moja. Ale też bez ciebie się nie obejdę. I musisz to zrobić co ci powiem.

— Słucham Panie; Pan każe, sługa musi.

— O co tak, to ale! obaczysz że ciebie wykieruję na prawdziwego giermka, i że może Bóg da że tobie jeszcze swojego czasu nobilitacyą wyrobię, że ty, który się urodziłeś do cepu, odrodzisz się do korony.

— Dobrze Panie, ale nim ta korona przyjdzie, żebyśmy się doczekali: Pan, — pieniędzy, a ja — konia. Niech tylko Pan powie co mam robić, a jakoś to będzie.

— Ja niezadługo przyodzieję zbroję i siądę na Sędziwosza, a ty siądziesz na koń, i za mną.

— A na jakim koniu, bo my tylko jednego konia mamy?

— Nie turbuj się: siądziesz na pożyczonym koniu, ale to będzie już po raz ostatni. I pojedziemy do miasta: ty mnie nieodstępuj. Otóż uważaj Swirydzie, bo to o ciebie chodzi tyle, a może więcéj niż o mnie. Ty władasz toporem ledwo nie tak jak ja: to wiém z doświadczenia; i dla tego ostatki wydobyłem z kieszeni żeby ci sprawić topór, kubek w kubek taki jak mój. Sam niepotrafisz powiedzieć który z nich lepszy. Owóż tedy, kiedy z jednookim kozakiem rozpoczniemy taniec rycerski, ty z oka niepuszczaj tego drugiego kozaka co rudo zarasta. Staraj się z nim zabrać zna-

jomość. Jak ja zacznę się borukać ze ślepym, wy sobie na murawie siedząc rozmawiajcie, a konie wasze puśćcie na paszę. Ale nierozstawaj się ani na chwilę z swoim toporem, bo to jedyna broń twoja. Otoż — jak rudy obaczy że koło jego Attamana kręto, a zechce wmieszać się między nami, niepozwalaj żeby się do swojego konia przybliżył. Odgaduj go od tego, a jeżeli uparty, palnij go z całéj siły po łbie toporem, i nie pytaj. Wszak to nie szlachcic, ani się do tego przyznaje: jeno taki chłop jak ty; więc żadnego nie będziesz miał grzechu przed Bogiem, chociażbyś mu głowę odrąbał. I owszem, wielce się jemu zalecisz, jak pokażesz siebie wiernym sługą, chroniącym swojego pana od wszelkiéj zdrady.

— Niech Pan będzie spokojny; Swiryd tego nie dopuści żeby cudzy panu przeszkadzał w czasie potyczki. Zabiorę ja znajomość z tym rudym Zaporożcem, a jeżeli zechce się ze mną zaprzyjaźnić, ja nie od tego, ale po skończonéj pańskiéj potyczce: a pokąd ona trwać będzie, ani toporu z ręki, ani rudego z oka niewypuszczę. A jeżeli zechce na złość siąść na konia, ja go niepożałuję: po łbie toporem dostanie — tak Pan Bóg przykazał.

— O toś mi sługa! aż mi z radości ledwo że serce nie wyskoczy. Z takim koniem jak Sędziwosz, a giermkiem jak Swiryd, nie na jednego ani dwóch, ale na dziesięciu porwać się można.

Uradowany Pan Ezechiel wziął na siebie szarawary juchtowe i kaftan łosiowy, i poszedł do Podstarościego folwarku Kalnickiego, z którego żoną miał wielką przyjaźń. Była to kobieta podżyła, wysoka, tłusta, wrzaskliwa, trzymająca całą czeladź w rękach, jakby w kleszczach, a gorliwa katoliczka. Jéj mąż, chociaż stary żołnierz, bał się jéj jak ognia. Dla wszystkich była groźną: jeden tylko Pan Ezechiel był jéj rozpieszczoném dzieckiem: co chciał z babą robił. A te jéj względy dla niego ztąd poszły, że on nudząc się u swoich rodziców, zwłaszcza zimową porą, z biédy chodził do Podstarościnéj. Zawsze ją w rękę całował, opowiadał jéj różne swoje wydarzenia: czém ją często serdecznie rozśmieszał; ale nawzajem słuchał z budującą cierpliwością jéj morałów i wykładów wiary katolickiéj. Była

jeszcze inna przyczyna jéj łaski dla Pana Ezechiela. Oto, staruszka nieprzestawała karmić siebie nadzieją, że go zwróci na łono prawowierności. I tę nadzieję na tém opierała, że chociaż młody heretyk nieokazywał wprawdzie ochoty do pojednania siebie z Kościołem, ale z drugiéj strony jego noga niepostała w kirku, obok zamku wystawionym sumptem Pana Krakowskiego, a gdzie co każdą niedzielę Pan Gubernator słuchał parogodzinnego kazania i śpiewał psalmy.

Otworzył drzwi Pan Ezechiel, i zastał Podstarościnę rozdającą motki prządkom i przyprawiającą rozkazy im dane ofuknieniami i przekleństwami różnego gatunku: jedném słowem, całkowitym arsenałem babskiego zrzędzenia; ale jak tylko zobaczyła Pana Ezechiela przed progiem swoim, zaraz się ułagodziła. On, czém prędzéj, przysunął się do jéj ręki, a ona do niego témi słowy:

— Panie Ezechielu, już ja Waszmości tyle razy powtarzała, że kiedy się wchodzi do uczciwego domu szlacheckiego, od tego się zaczyna że mówi się: sława Bogu.

— Przepraszam najpokorniéj: prawda żem się poszkapił, tak, tak, — sława Bogu.

— Na wieki wieków.

— Moja najdroższa Pani Towarzyszyno! (Notabene i w tém tytułowaniu była dyplomacya, bo jéj mąż był tylko luzakiem u towarzysza.) Niech Jejmość będzie łaskawą na mężowskiego kolegę, i stanie się jemu opiekunką; w Imości cała nadzieja moja. Ratuj mnie Towarzyszyno dobrodziko.

Policzki Baby okrasiły się rumieńcem radości, tak wdzięcznie obił się o jéj ucho tytuł Towarzyszyny.

— Czegoż Waszmość odemnie żądasz?

— Ja Imość dobrodzikę szanuję i miłuję więcéj niż własną matkę, jakem Towarzysz Pancerny, bo u matki same tylko wymówki znajduję, a u Imości macierzyńską życzliwość.

— Dobrze, dobrze: Waszmość ile razy czego potrzebujesz odemnie, zawsze wątrobkami umiesz mnie karmić. No, cóż mam zrobić dla Waszmości?

— Ja przed nią niechcę mieć nic tajnego; więc muszę przed nią wyznać, że jakoś tak wypadło, że koniecznie dziś bić się muszę.

— Ratujcie wszyscy Święci! Cóż to za nowa burda Panie Ezechielu: doczekasz się nakoniec swojego — obaczysz! I z kim się zaczepiłeś nieszczęśliwy?

— Oto z tymi Zaporozkimi Hajdamakami, co to wczora pięćset złotych od mojego ojca uchwycili zgodnym sposobem, żeby tém na czas jaki Kalnickie Hrabstwo uwolnić od ich rabunku.

— Ach ja nieszczęśliwa! oni mojego Pana Ezechiela zabiją.

— Śmiéj się z tego Imość. Co to mnie pierwszy raz potykać się? czy z takimi bywała rozprawa? a człowiek jakoś żyje. Albo to ja dla ozdoby tylko opasuję siebie szablą i dźwigam tarczę. Pluń Imość na te wszystkie niebezpieczeństwa, które mnie dziś spotkać mają. Niebezpieczeństwo dla strony przeciwnéj, a nie dla mnie. Człowiek umiał się bić dobrze kiedy nic nie miał do zyskania, a niemiałby zwyciężyć, kiedy po nieprzyjacielu spadek odziedzicza.

— Waszmości coś nierozumiem.

— Ja to Imości zaraz wytłómaczę. Jak mój stary Jegomość odliczył, nie wiem na jakie sto djabłów, pięćset złotych tym zadnieprowym rozbójnikom, — on który mnie dotąd ani jedną złotówką nie wzbogacił: żal mi się zrobiło pieniędzy; jak by nie było, a szkoda pieniędzy. Bo gdyby te oddał Imości, za tyle jéj zasług, ani słowa bym niepowiedział: bo co słuszne, to słuszne; ale takim hultajom, to się niegodzi; sama Imość przyznaj. A prócz tego mam jeszcze osobiste niechęci do tego Zaporożca, co zamiast prawego oka, ma kawałek czarnéj kitajki. Od słowa do słowa, przyszło do tego, że my się umówili że dziś potykać się z sobą będziemy na ostre, i że kto kogo zwycięży, ten weźmie po nim spadek jak syn po ojcu. Jużci chyba byłbym ostatnim głupcem żebym tak korzystnéj roboty zaniechał. A to byłby śmiertelny grzech, za szeląg nie kupić grosza. On po mnie może wziąść mojego Sędziwosza, i na tém koniec, a ja zyskam konia, dajmy na to że nie tak dobrego, ale jeszcze pięćset złotych. Jużci Imość osądź swoim delikatnym rozumem, czybym śmiał oczy pokazać między ludźmi, gdybym pogardził prawdziwym darem Bożym. Taka robota nie codzień się zdarza.

— Mój miły Panie Ezechielu! obaczysz że oni Waszmości zabiją: to straszni ludzie ci Zaporożcy.

— Dla takich którym spódnica jest pancerzem, dla starych skąpców, ale nie dla Towarzyszów pancernego znaku. Ani trochę ich się nieobawiam: mnie co innego w głowie.

— Waszmość się nigdy nie ustatkujesz. A wyraźnie stoi w Piśmie, że kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie. Już kiedy wedle waszych pogańskich praw, musisz się bić koniecznie, niech-że ja przynajmniéj wiem kiedy, żebym na Waszmościną intencją koronkę do N. Panny odmówiła, żebyś nie umarł pokąd nie powrócisz na łono tego Kościoła, co go Waszmościn ojciec opuścił.

— Ot i dobrze moja Imość. Czy może mi kto zaszkodzić kiedy tak świątobliwéj duszy modlitwy biorą mnie w opiekę. Imość się módl kiedy łaska, a więc rzecz skończona; a moja rzecz ułatwi się zaraz po południu. Ja po moim Zaporożcu, a może Bóg da po obydwóch, wezmę spadek, a Imości pięknym gościńcem się przysłużę; ile że bez jéj pomocy, ja i szeląga niewart, z góry będę miał siebie za ubitego. Modlitwa, modlitwą: a lubo na nią rachuję jak na dwie szóstki w koście, że ją mając po sobie o nic więcéj nie śmiałbym prosić, wszakże jeśli mnie Imość odmówi jednéj rzeczy, to miéj mnie za przepadłego.

— Mów, czego Waszmości potrzeba Panie Ezechielu.

— Widzisz Imość, ich dwóch, a ja jeden. A chociaż ten okitajkowany kozak zdaje się być ludzianym: djabeł nie śpi. Kiedy my szlachta potykamy się z sobą, to świadkowie bitwy na nią spokojnie patrzą. Choć by kto widział że jego rodzonego brata kłują jak wieprza, ani piśnie, tylko końca czeka jak Bóg przykazał. Ale kto może wiedzieć jakie tam prawa u Zaporożców, u których kto chociaż i ma szlachectwo, z niego się zapiera. Powinny one być takie jak nasze: a nuż nie takie! Nuż się zacznę potykać z tym jednookim, a będzie koło niego kręto — jak przyjdzie na myśl jego rudemu koledze, że u mnie dwie oczy, a u jego przyjaciela jedno, i powie sobie: «gra nie równa, a więc ją zrównam, zamrużę jedne oko, i natrę na tego utrapionego Lacha, tak

będzie dwa na dwa.» Wtedy nie wielka pociecha siedzieć w mojéj skórze. Bo wiele złego, dwóch na jednego.

— Ach nieszczęście z takimi bezbożnikami mieć do czynienia!

— A przecie Imość Dobrodzika może mnie poradzić, że będzie mi bezpiecznie.

— A to czém?

— Tém, że mam mojego wiernego Swiryda, na którym śmiało polegać mogę; bo ja sam wyuczyłem go robić kopją i szablą, że teraz lada kto nie da mu rady. Żeby on był tam w czasie mojéj rozprawy z jednookim, a ja mu rozkazał pilnować rudego, żeby czasem nie wyrosł tam gdzie go nieposiano: toby mnie ani myślić o rudym. Ale cóż! na jakiego djabła posadzę Swiryda, kiedy u mnie jedna konina. Nakoniec wstyd mi pokazywać siebie ludziom rycerskim z giermkiem spieszonym. A wierzaj Imość, wstyd djabelnie odejmuje odwagę. Otoż niech kochana Imość dobrodzika pozwoli na parę godzin Swirydowi tego karego stępaka, na którym Imości mąż czasem szczuje zające: a na tém wszyscy wyjdziemy: bo i jemu się gościniec dostanie.

— Ale mój mąż będzie się gniewał na mnie.

— Ale się i odgniewa. Albo Towarzyszyna Dobrodzika pozwolisz mu długo się gniewać. Imość mądra białogłowa, a on sobie zwyczajnie symplaczek. On na swoim miejscu jako Podstarości, ale Imość nie na swoim. Jéj być Podkomorzyną, gdyby była sprawiedliwość na tym świecie.

— A jaki podchlebnik kiedy mu się zachce czego. — Hapko! — krzyknęła na gospodynią, powiedz Myronowi żeby karego konia Jegomości natychmiast okulbaczył, bo wiém dobrze że u Pana Gubernatora i kulbaki niedostaniesz. I niech tego konia za Panem Gubernatorowiczem zaprowadzi.

Pan Ezechiel ledwo że baby nieudusił, tak ją zaczął ściskać, by jéj wynurzyć wdzięczność; i z izby wyleciał jakby z procy do stajenki folwarcznéj, żeby się samemu zatrudnić okulbaczeniem konia.

V.

Jak tylko stepak stanął w moderunku, Pan Ezechiel na niego skoczył, i na nim zajechał przed zamkową stajnięj. Zsiadł z konia, i wezwawszy swojego Swiryda, oba wzięli się starannie do Sędziwosza. Powtórzyła się zwyczajna scena, między rumakiem i jego jezdzcem. Po krótkich pieszczotach, po cierpliwém opatrzeniu jego kopytów, czy czasem jaki ufnal się nie chwieje, kilka razy kazał go przeprowadzić, z oka niespuszczając każde jego poruszenie. Nic w nim upatrzyć nie mógł, coby niezwiastowało niewątpliwego zwycięztwa. Swiryd położył mu na grzbiecie podsiodlnik i kulbakę, a Pan Ezechiel własną ręką wedle swojego zwyczaju pozaciągał popręgi. Kulbakę pokrył czaprakiem, nieco już wprawdzie spłowiałym, wszakże zachowującym jeszcze ślady bogatéj kiedyś piękności. Bachmat ubrany jak panienka do tańca, ziemię roztrącał kopytem, jakby z niecierpliwości że jeszcze swojego pana nie dźwiga. A kiedy postrzegł że go ubierają w naczolnik i napiersnice żelazne, poznał że mu gotować się trzeba do boju, i zarżał z radości i zapału. Co niemało pocieszyło Pana Ezechiela, bo słusznie przyjął to za pomyślną wróżbę.

Wszakże nie stanął w całkowitym rysztunku. Przywdział tylko na kaftan koszulkę z ogniw stalowych, cienkich ale tak twardych, że strzała wypuszczona z ręki najdzielniejszego łucznika przeszyć ją nie mogła. Takowe koszulki od końca XIV wieku wyrabiały się w Jorku, były nadzwyczajnie cenne, i ich przymioty nie wielu rycerzom były znane,

w krainach od Anglii oddalonych. Nasz rycerz wysłużył ją sobie przed trzema laty, na turnieju danym w Birżach, z powodu przenosin Panny Zborowskiéj Kasztelanki Krakowskiéj, do zamku jéj dostojnego małżonka Xięcia Radziwiła, Marszałka Nadwornego Litewskiego. Tam potykając się z jednym kawalerem Mieczowym, kopją wysadził Niemca, a wedle praw rycerskich przysądzono mu w nagrodę konia i zbroję pokonanego krzyżowca. Tę zdobycz późniéj zmarnował, ale poznawszy się na cnotach koszulki, już się odtąd nigdy z nią niechciał rozstawać. Wziął więc na siebie koszulkę, ochronił głowę misiurką, do boku przyczepił pałasz, do kulbaki topor, jego broń ulubioną, kopją wziął w rękę. A pancerz, tarczę i szyszak, wedle owczesnego obyczaju, nałożył na owym koniu karym, który był powodem tylu umizgów do Pani Podstarościny, i to wszystko polecił pieczy Swiryda, który bez mała na prawdziwego giermka wyglądał. Rycerz w pół uzbrojony siadł na Sędziwosza, Swiryd siadł na stępaka, który lubo mierzynek, ale silny, nieuginał się pod ciężarem. Puścił się pan stępią do miasta, a o kilka kroków za nim wierny jego sługa.

Rynek był jak nabity narodem. Snuły się jak w mrówisku chłopi, Żydzi, Greki, Ormianie, Tatary, Cygani, nawet gdzie niegdzie Szlachta Polska, jeszcze w ówczas nie wiele rozrodzona w téj części Rusi. Co też tam dawało się słyszeć języków! Istna wieża Babilońska. Na pierwszy rzut oka zdawało by się że wąż nie potrafiłby się prześliznąć przez taki tłum. A jednak na widok rycerza postępującego przed giermkiem, wszystko rzucało się w lewo i prawo dla zrobienia mu przestronnéj drogi. Tak to kiedyś fale Czerwonego Morza, przemieniały się w ściany ramujące gościniec dla Mojżeszowych zastępów. Tak przebywszy bojaźliwe tłumy, rycerz z swoim giermkiem zatrzymał się przed tą samą gospodą, gdzie większą część ostatniéj nocy przepędził. Zsiadł z konia, wraz z kopią poruczył go Swirydowi, a wgłębiwszy się w ogromną sień, poszedł oglądać przybyłe na jarmark wierzchowce, pobudzony przyrodzoną Polakowi ciekawością. Tam spotkał Zaporożców z którymi biesiadował, a których rzeczywiście szukał. Przywitali się uprzejmie,

bo obyczaj rycerski powszechnie wtenczas przyjęty, domagał się wzajemnéj grzeczności między tymi którzy już powzięli niezłomną chęć potykania się z sobą do upadłego. Jednooki Zaporożec pierwszy się odezwał po tych ceremonialnych powitaniach:

— Mości Towarzyszu, mamy z sobą interes do złatwienia po południu, a przed jedynastą się spotykamy. Wszakże jak mi się widzi nie nadto wcześnie przybyłeś do nas, kiedy tym sposobem więcéj godziny mam do przepędzenia w jego miłém obcowaniu.

— Wiem o tém Mości Attamanie, i tu wchodząc, bynajmniéj nie miałem w myśli naprzykrzać się Waszeci, a że go trafunkowo przed czasem spotykam, tego nieżałuję, bo czy w interesie, czy bez interesu, zawsze z przyjemnością go widzę.

— I ja Waszmości to samo mogę o sobie powiedzieć, a więc spodziewam się, że jakeś łaskawie przyjął wczoraj moje wezwanie do kielicha, tak i dziś mnie nie odmówisz podzielić moje śniadanie.

— Przyjmuję chęć za skutek Mości Attamanie, ale chociaż z niemałym smutkiem, zadość nie mogę uczynić jego gościnnéj odezwie.

— A to czemu?

— Temu, że po pierwsze, wstyd mi że w obecném mojém położeniu, nie jestem w możności wywzajemnienia się Waszeci za wczorajsze, a cóż dopiéro jeszcze nowe nakładać na siebie obowiązki. Powtóre, nie mam w obyczaju oddawać siebie biesiadzie w tym samym dniu, kiedy ważny interes wymaga najtrzeźwiejszéj przytomności. Po odbytéj szczęśliwie sprawie, będzie pora myśleć o zabawie. I gdybym czuł siebie w prawie dawać mu rady, tobym się starał go skłonić, byś sam poszedł za moim przykładem. Jeno że każdy ma rozum dla siebie, więc Waszeci nie chcę stanąć na przeszkodzie, i na stronie czekać będę póki dzwony farnego kościoła dwónastéj nie wybiją.

— Mądrze Waszmość mówisz, a jego przestroga w las niepójdzie. Odkładam więc biesiadę na czas poźniejszy. Ale za cóż mamy siebie rozłączać. Pójdźmy razem obchodzić

jarmark, mój kolega, Waszeć i ja; wszakże mamy więcéj godziny dla dobréj komitywy. Tylko pieszo chodząc, czy ta żelazna koszulka nie będzie mu ciężyć; radziłbym ją zostawić giermkowi.

— Przywykłem do niéj Mości Attamanie, tak że ona mi nie więcéj cięży, od mojéj czupryny. Służę więc państwu kiedy ich ochota.

Puścili się więc w tłumy jarmarkowe, wesoło z sobą rozmawiając. Wszakże nieco markotno było Panu Ezechielowi, że rodzinne pospólstwo obojéj płci, które z bojaźnią i widocznym wstrętem od niego stroniło, wesoło witało Zaporożców, okazując im widoczne współczucie. Ale pomyślał sobie: — A bierz ich kaduk, co to mnie szlachcica ma obchodzić że chłop z chłopem się brata. Zwyczajnie radzi sobie chamy. Teraz uśmiechajcie się do niego, a może Bóg da że wkrótce na jego pogrzebie płakać będziecie. Gdy tak sam z sobą rozmawiał, przebudzony został z roztargnienia głośném wykrzyknieniem Attamana.

— Nieszczęście Mości Towarzyszu Pancerny, przez żaden sposób dziś z Waszmością potykać się nie mogę.

— A to znowu co Waszeci do głowy przychodzi?

— Przeciw woli Bożéj za nic nie pójdę. Patrz Waszmość jak pięciu Czerców razem zachodzą nam drogę.

— I cóż ztąd? Nie Waszeć jeden, ale i ja ich spotykam.

— Każdy ma dla siebie swój omen. A ja wiem z doswiadczenia, że kiedy zakonnika spotykam, to jest dla mnie Boskie ostrzeżenie, żebym wszelkiego niebezpieczeństwa unikał, pokąd doba nieupłynie.

— Niech Pan Attaman z łaski swojéj schowa takie żarty dla swojego braciszka. Ja tu nie po krotofile przyszedłem. Nie jestem z gatunku takich ludzi, co to ich byle czém zbyć można. Ja od swojego nie odstąpię, to napróżno.

— Panie Towarzyszu, wyperswaduj sobie żebyś dziś miał ze mną do czynienia. Póki doba nie minie bić się niebędę, ale jest na to środek, żeby i wilk był syty i koza cała.

— Jaki środek?

— Poprobuj się Waszmość z moim kolegą Sahajdacznym

którego widzisz przed sobą, a który niepospolitą czuje chętkę zadrzeć się z każdym Lachem którego napotka.

— Niebyłbym od tego — i już to mi biegało po głowie, żeby się swojego czasu sprobować z Panem Sahajdacznym, czy jak tam się on nazywa. Ale te jakoś nieregularnie, umówić się z tym, a potém przystąpić do interesu z innym. I to się nie chwali Jakóbowi, że kiedy mu Laban oddał wcale nie tę dziewkę o którą się umówił, on to przeniósł spokojnie. Jużci ja mojego wyzwania pod kulbakę nie schowam. Jak Waszeć chcesz z swojemi omenami, a rzeczy trzeba robić po ludzku, a nie po babsku.

— Ale prawdę powiedziawszy o cóż Waszmości chodzi; o pieniądze i o konia. Bo nie tak od dawna się znamy, byśmy przeciwko sobie mieli jakieś osobiste niechęci. Ja nie mam ochoty bić się dzisiaj, a Sahajdaczny jéj przedemną nie taił. Jeżeli Waszmość myślisz że on gorszy odemnie, to łatwiéj trafisz do konia i do jego posagu, a jeżeli go masz za lepszego, odmówić mu zabawki nie pięknie, bo jakoś zakrawa na bojaźń; a za cóż się jego masz bać, kiedy on się Waszmości nie boi.

— Da się to widzieć kto się kogo zlęknie, a teraz tyle tylko powiem, że gdyby nie jedna okoliczność, to mowa Waszeci trafiłaby do mojego przekonania. Bo za cóż bym niemiał służyć Panu Sahajdacznemu, o którym z samego imioniska nie wątpię że musi być zawołanym łucznikiem? Co nie przeszkadza że Waszeci téj krzywdy nierobię, bym się miał kogokolwiek bać więcéj niż Waszeci samego. W tém myślę po Bożemu, wszyscy dla mnie równi. Ależ widzi Waszeć, mnie nie tylko idzie o odzyskanie tego coście darmicą uchwyciłi od mojego ojca, tak jak by od człowieka bezdzietnego, co niema kim się zastawić, ale także o sławę mojego przyjaciela. Bo mi to na sercu leży żeś mnie się Waszeć sprzeciwił, kiedy jednemu tylko Panu Samuelowi przyznałem że może się z nim równać. A tu Pan Sahajdaczny niewinny, bo u mojego Jegomości gęby nieotworzył, jeno do łyżki i widelca; a i tu jak widzę niemowniejszy. Za cóż miałbym na nim karbować waszeciny rachunek, sam osądź czy to sprawiedliwie?

— Najsprawiedliwiéj, i sam to przyznasz. Waszmość rad byś od razu dwa interesa skończyć, zjeść jak to mówią dwa grzyby w barszczu. A te interesa tak są między sobą różne, że sama słuszność, na każdy osobnego rozwiązania wymaga. Niechże dziś będzie rozprawa z Sahajdacznym o pieniądze, a jeżeli Waszmość z niéj wyjdziesz cały, a mnie niezechcesz zaniechać, będę mu służył dnia jutrzejszego.

— Zgoda Mości Attamanie. Waszeci być Starostą, tak mądrze osądziłeś rzecz. Ale czy Waszeć, Mości Sahajdaczny, niemasz co przeciwko temu?

— Owa, — odezwał się małomówny Kozak, — czy to mnie pierwszy będzie Towarzysz Pancerny, któremu dałem radę. Ta ja o to cały ranek napierałem się u Detyny.

— A kiedy się wszyscy godzą na jedno, a już się godzina zbliża, nic nam nie pozostaje jak kończyć co najprędzéj.

Wrócili więc wszyscy do gospody, a po drodze umawiali się z sobą o warunkach potyczki. Stanęło na tém, że każdy z nich będzie bez zbroi, a tylko koszulkę żelazną mieć będzie na sobie wedle obyczaju Zaporozkiego. Że kozak będzie w misiurce, a rycerz w szyszaku, że pierwszy będzie używał swojéj broni, to jest spisy, szabli i łuka, a drugi kopii, pałasza i topora. Tym sposobem zrównały się ich siły, bo chociaż Pan Ezechiel nie miał łuka, za to też nosił szyszak i tarczę których tamten nieużywał. Wedle praw rycerskich, konia przeciwnika swojego nie wolno było ranić, który i bez takiéj umowy nie miał się czego obawiać, bo każdy ochraniałby to, co po otrzymanym zwycięztwie miało zostać jego zdobyczą. Po téj umowie, zapaśnicy uzbroili się w gospodzie, i w całym rysztunku siedli na koń. Rycerz, Attaman, Sahajdaczny i Swiryd konno wyruszyli za miasto, aż napotkawszy w bliskości błoń obszerną, równą, i zasłaną murawą jakby kobiercem, tam zatrzymali się, by przystąpić do roboty.

Od tego zaczęli, że oba wykonali przysięgę, raz na to, że żaden z nich niema broni zaczarowanéj, powtórę, że wszystkie umówione warunki bitwy dotrzymane będą. I tak, czy jeden z zapaśników będzie zabity, lub zrzucony z kul-

baki, zwycięzca odziedziczy po nim bez niczyjéj przeszkody konia, broń i to wszystko co miał na sobie, a że jeżeli zwycięztwo będzie przy Panu Ezechielu, to oprócz konia nierównéj rzeczywiście wartości jaką wszyscy bez sporu przyznali Sędziwoszowi, otrzyma jeszcze to wszystko co dnia wczorajsze go Zaporożcy dostali od Gubernatora. To nie tylko oni, ale i Attaman przysięgą stwierdził, a nawet Sahajdaczny wedle ruskiego obyczaju, wziął trochę ziemi, i połknął ją: obrząd uważany przez nich za największą rękojmię przysięgi. Attaman, a przy nim Swiryd, który z toporem w ręku o krok go już nie odstępował, zsiedli z koni, wymierzyli pięćset kroków mety. Na jednym końcu stanął Sahajdaczny, na drugim Pan Ezechiel, a piszczałka zawieszona na szyi Attamana, miała dać hasło do nacierania na siebie.

Podczas gdy Pan Ezechiel, z natężoną szyją, oczekiwał hasła, Attaman odezwał się do niego głosem czystym, a nie tak chropawym jak go dotąd używał, głosem który mu się niewydał być obcym:

— Panie Ezechielu, życzę spuścić kratę od przyłbicy, i tarczy nie dać spoczynku. Bo przez całe życie tylu dziewczętom siebie niezalecałeś, ile za chwilę strzał na ciebie wypuszczą. — To rzekłszy, a widząc że jego przestroga nie była daremną, świsnął.

Pan Ezechiel zwolna postępował chcąc wprzódy przeciwnika wyrozumieć. Sahajdaczny z miejsca konia przypuścił, i stanąwszy o kroków kilkadziesiąt, od tego zaczął że wziął się do kołczanu. W jednéj chwili, trzy strzał razem świstnęły koło przyłbicy Lackiego rycerza. Jedna z nich odbiła się od pręta kraty opuszczonéj, i gdyby ta była podniesioną, bitwa bez najmniejszéj wątpliwości, na wstępie by się skończyła, a krewni kollateralni Pana Gubernatora Kalnickiego, kiedyśby się obłowili porządnym spadkiem. Pan Ezechiel odtąd tarczą się zasłaniał, i na miejscu się obracał, podczas kiedy Sahajdaczny na zwinnym swoim koniu, obszerny obwód robił w około rycerza, bez przestanku wypuszczając strzały. Coraz bliżéj się kręcąc nie jedną strzałą ugodził w koszulkę, tak że rycerz powinien był

wyglądać jak jeż. Kozak nieznał przymiotów stali Jorkskiéj, nie pojmował dla czego każda strzała od koszulki odskakuje. Przelotne miewał podejrzenia że może ma do czynienia z charakternikiem. Jeno młodość rycerza nie dozwalała przypuścić, by posiadał paskudną naukę, która tylko starców bywa udziałem. Wszakże pojąć nie mógł co się z nim stało. Pan Ezechiel zaraz pomiarkował że Sędziwosz jakkolwiek doświadczony, a nawet jak na wzrost swój lekki, lecz usposobiony do dźwigania ciężko uzbrojonego jezdzca, nie może sprostać zwinności wiatronogiemu synowi Krymskich stepów. Postanowił więc nie wyrywać się na harc, ale czekać aż koń przeciwnika się znęka, a dopiéro żwawiéj nacierać. Sahajdaczny widząc że się mu łuk niewiedzie, cisnął za sobą i tę broń zawodną i kołczan, a krzyknąwszy hura, ze spisą natarł na Lacha. Ten już się był pozbył kopji, bo poznał że ona nie na wiele mu się przyda z Zaporożcem, większą nadzieję pokładając na swojéj szablicy, jakoż nią odbił spisę, i zaraz na niego natarł. Zaporożec odskoczył, ale jego przeciwnik nie zapędził się za nim, osadził Sędziwosza, czekając nowego napadu. Zaporożec znowu przyskoczył: tu mu się lepiéj udało, bo tak uderzył spisą w bok rycerza, że lubo nie przebił koszulki, jednak tak poruszył jezdzca, że omal nie opuścił kulbaki. W nadziei że już go zmieszał, niechciał mu dać odetchnąć, rzucił się na niego jak błyskawica, spisę opuścił, a ciężką swoją szablicą zaczął go okładać tak szybkiemi razami, że przez chwil kilka zdawało się że niezaprzeczone otrzyma zwycięztwo, zwłaszcza kiedy go tak silnie uderzył po szyszaku, że rycerz aż się pochylił na szyję swojego rumaka. Ale to właśnie zgubiło Zaporożca, bo kiedy już pewny swojego, zabierał się znękanego Lacha powalić z kulbaki, ten zasłonił się tarczą, a tém zakrywszy swój obrót, uchwycił topór, i znienacka tak silnie nim uderzył po misiurce, że kozak tylko jęknął, i przez łeb konia koziołkiem padł na ziemię. Pan Ezechiel leżącego kozaka powoli zaczął ruszać kopją, a widząc że się nierusza, chwycił trąbkę którą zawsze miał uwieszoną na piersiach, i otrąbił zwycięztwo.

Przybiegli Attaman i Swiryd: pierwszy żeby ratować kolegę, drugi żeby się zaintromitować do konia i innéj zdobyczy.

— Swirydzie, — rzekł Pan Ezechiel; — Bóg z nami. Ten koń Krymski dla ciebie przeznaczony, rozsiodłaj go, tylko derhy nie zdejmuj, bo zgrzany, w kulbace muszą być pieniądze, byłeś przy tym jak ziemię jadł, przysięgając, że co wziął u Jegomości znajdzie się w kulbace.

Attaman opatrzył Sahajdacznego, a widząc że już po nim, obrócił mowę do Pana Ezechiela.

— No, Mości Towarzyszu, niema gadania, zredukowałeś nas o połowę. Ani drga. Chłop był jak dąb! to też jak dąb padł od topora. Znajdziesz Waszmość w jego terlicy z czego sobie po nim sprawić żałobę, bo jużci jesteś jego spadkobiercą.

— Jakem szlachcic, — odpowiedział Pan Ezechiel, — więcéj mi dopiéro przybyło szczęścia niż go sobie żądałem. Bo ja mu śmierci nie życzyłem, chciałem go tylko z konia zwalić, żeby ze spieszonego nażartować dowoli. A choć pokąd był na nogach, sam niewiem dla czego byłem ku niemu taką powziął nienawiść, że bywało kiedy na mnie spójrzy, to nieposiadam się ze złości, teraz prawdziwie że go żałuję. Tylko że to już tak osądzone było. Pozwól mnie Panie Attamanie dowiedzieć się o terlicy którą nabyłem, a potém odczęstować Waszeci u Icka tym samym winem, co mi dnia wczorajszego z Waszeci łaski posłużyło na dzisiejsze szczęście. Bo już dziś człowiek wart trochę więcéj niż pięć złotych, które dopiéro, były całkowitym moim funduszem. Boże mu zapłać na tamtym świecie za ten zapis, który mnie z wielkiéj potrzeby wydźwignął. Patrz Panie Attamanie, leży kozaczysko bez duszy, jak kloc. Żal mi człowieka. Niespodziewałem się mieć tak miękkie serce. Jeno może mu i lepiéj: niema żalu za koniem i groszem. Niech żydzi w mojéj przytomności bezkarnie mój herb oplują, jeżeli niewolałbym zginąć, niż widzieć Sędziwosza w ręku takiego co mnie powalił. Ja nie tyle siebie, ile jego broniłem, a potém jak na chama, to i to nie lada zaszczyt poledz z ręki karmazynowego szlachcica, pasowanego na

rycerza i pójść na tamten świat prawie w tymże czasie co i Król, i Kasztelan Krakowski.... Ale co to jest, a reszta pieniędzy gdzie? Wszak to tylko dwieście złotych pokazuje Swiryd, a trzysta gdzie się podziały. Bestya i po śmierci mnie okradł, a ja jego żałował jak poczciwego człowieka. A Hajdamako przebrzydły, teraz leżysz psie; tobie nie raz, ale kilkaset razy trzeba było być zabitym. A jak hultaj ziemię jadł, krzywoprzysięgając. Panie Attamanie, spodziewam się że Waszeć wejdziesz w moją krzywdę, i zechcesz mnie ją wynagrodzić.

— A co to do mnie należy cudze rachunki sprawdzać.

— Czy Waść tak — szkoda żeś nie na dudka natrafił. A co to ja Wojewoda a Hetman, żebym trzysta złotych za sobą rzucał, jak kopję u któréj żelaziec odcięty. Wszakeś asystował naszéj przysiędze, i sam przysięgałeś. Jeżeli taka wasza uczciwość, niechże djabli was kąsają.

— Ale mój Mości Towarzyszu, wszakże umowa niebyła o tyle lub tyle złotych, ale o to wszystko co się wzięło u ojca Waszmości. Natośmy tylko przysięgali.

— A ja i słuchać niechcę takich andronów. Może jeszcze się kiedyś urodzi taki od którego dam siebie skrzywdzić; ale on się wtedy urodzi, kiedy mnie wszystkie zęby z pyska wypadną, a paralusz obie ręce powykręca. Ale dziś tego się Waść niedoczekasz; za kogo mnie masz? Co to ja nieczytał u Jegomości waszéj karteczki na pięćset złotych, coście ją oba podpisali krzyżykiem, jak gapie co pisać się nienauczyli. Na co to w bawełnę obwijać. Zaporozska natura — złodziejska natura; ale kosa trafiła na kamień. Ja się otwarcie tłómaczę; wróć mi Waść moją szkodę, to pohulamy z sobą cały dzień, a jutro pójdziemy na ostre. Jak mnie zmożesz, to sobie uczciwie wszystko wynagrodzisz, bo wszystko co dziś wezmę, to sobie jutro odbierzesz, nic nieucieknie. Nawet nie będziesz miał kłopotu dać jakąś złotówkę dziadom, żeby po mnie pacierze odmawiali, bo sprawa nie z Papieżnikiem ani z Rusinem. A że niemam ani żony ani dzieci, co mnie do tego, kto po mnie weźmie spadek. Niech i Waści służy. Ale jeżeli Waść niezechcesz wynagrodzić mojéj krzywdy: kwita z zawieszenia broni,

rozprawimy się zaraz, choć Waść świeży, a ja po pracy. Bo to sobie wyperswaduj żebym swoje darował.

— A jakiś Wacpan łapczywy do korda, Panie Ezechielu: spójrzyj-no mi w oczy — to rzekłszy, zrzucił plastry z oka i twarzy.

— Kaźmierz! — krzyknął Pan Ezechiel, i rzucił się w jego objęcie, — moje serce się domyślało że w tobie jest cóś mi bardzo dobrze znajomego. Bierzże djabli moje trzysta złotych, kiedy przyjaciela odzyskuję, chociaż jak dla mnie biednego i trzechset złotych szkoda.

— Znajdą się i one dla ciebie mój Ezechielu, bo mamy jeszcze chwała Bogu cóś nad to, co nam twój ojciec odliczył. Ale naprzód, oczyścić muszę sławę Sahajdacznego: on tobie krzywo nie przysięgał: bo twój ojciec dał tylko dwieście złotych, a wziął kartkę na pięćset, żeby dla siebie na nas cóś zarobić. Co to nam szkodzi; zwyczajnie ekonomiczne rachunki. Nagadamy się w gospodzie. Ale mi trzeba na nowo zostać ślepym Zaporożcem, bo jak wiesz, teraz znajduje się w Kalniku taki, przed którym jak pokażę się szlachcicem we własnéj swojéj skórze, na tém mogę wyjść nie najlepiéj. A liczę na twojego Swiryda, że wielomówstwem nie zgrzeszy.

— Bądź spokojnym Panie Kaźmierzu: do worka mojego ojca prędzéj się potrzebny dobierze, niż ciekawy do języka Swirydowego. Ruszajże Swirydzie do miasta, a my tu na ciebie czekać będziemy. Masz dziesięć złotych. Przywieź tu parokonną podwodę Panów Zaporożców, żeby łoźne zbroje zawieźć do gospody; i dostań trzech chłopów kopaczy, żeby temu co leży, pogrzeb sprawić naprędce. Masz pieniądze; za nie wszystkiego dostaniesz na jarmarku. Nad złotówkę kopaczom nie wydasz: a resztujące dziewięć choćbyś w wodę rzucił, o nie pytać nie będę; tylko nie marudź.

— A czyby niewarto sprowadzić jakiego xiędza, — odezwał się Kaźmierz — aby modlił się za jego duszę, kiedy na ciało ziemię sypać będą. —

— A co się WPanu stało, Panie Kaźmierzu, czyś oszalał na Zaporożu; wiem tyle o prawie, że Starosta nieprzyj-

muje świadectwa od chłopa przeciw szlachcicowi; a niech mnie paralusz naruszy, jeżeli wiem, czy podług naszego Statutu zabić Zaporożca źle czy dobrze. Jednak domyślam się że bliżéj źle. A xiądz jak będzie na pogrzebie, może zaświadczy na wezwanie Starosty, bo jego świadectwo będzie dobre, a koło mnie będzie źle. Prędzéj się zgodzę samemu za niego się pomodlić. Przypomnę sobie jaki pacierz, chociaż od xiążek pobożnych odwykłem. No Swirydzie, ruszaj, spraw mi się dobrze, a jak najspieszniéj powracaj. Ja sam przeprowadzać będę konie rozmawiając z Panem Kaźmierzem, który dla wszystkich i dla ciebie, jest Attamanem Detyną. A wróciwszy nacieszysz się z koniem, com go nabył dla ciebie. A co? nie walny koń. Widzisz błaźnie jak dobrego masz pana.

Swiryd siadł na konia Pana Podstarościego; Pan Kaźmierz na nowo rozlokował kitajki na ich pierwszém miejscu; a Pan Ezechiel i własnego i nabytego konia, obu zmorzonych jakby po kąpieli, zaczął wodzić żeby się wydychali.

— No Ezechielku, rzekł do niego Pan Kaźmierz; — co też myślisz zrobić z sobą?

— A co? pociągnę ku Krakowu; jest na czém i o czém; tam się człowiek komuś przyda na coś. Po świętym Janie, już były do mnie odezwy od Pana Jana Hrabi na Tęczynie, żebym do jego dworu przystał na podkoniuszego. Taka posada nie piechotą chodzi — ale cóż? wstyd mi było o jednym koniu, z giermkiem spieszonym, i bez szeląga przy duszy, pokazać się przed tak wielkim panem. Chyba żeby jego dworzanie śmiech mieli ze mnie. Dziś się inaczéj rzeczy mają, można o tém pomyśleć; a kiedy mnie wabiono wtedy kiedy jeszcze ani się spodziewano bezkrólewia, cóż dopiéro teraz!

— Tać to i ja myślę o Krakowie, jeno że jeszcze za wcześnie do niego się puszczać. Jabym ci radził ze mną ruszać na Sicz: tam odnowisz znajomość z naszym Hetmanem, Panem Samuelem Zborowskim.

— Jak to, ten sławny Samucha, ten postrach pogańcow,

pod którego mieczem Nogajce padają jak chrząszcze w Maju z potrząśniętéj lipy, jest naszym Panem Samuelem?

— Nie inaczéj. Bracia go szukają, a my już go znaleźli.

— Zgoda Panie Kaźmierzu, jadłem chleb domu Zborowskich, i chociaż mnie dano nienajlepszy abszyt ze Zborowa, wszakże nie przestaję siebie liczyć między jego sługami. Ja sam znam że podrwiłem głową. Bo szlachcicowi osiadłemu tylko na swojéj kulbace, przystało patrzyć na nogi Kasztelanki Krakowskiéj, a nie na jéj oczy. I żalu mieć nie mogę, że mi kazano jak najspieszniéj wynieść moje manatki. O co miałbym tylko prawo poskarzyć się, to że mnie ani halerza nie dali na drogę, nawet restancya mojéj laffy poszła per non sunt, ale i to niech Pan Bóg Panu Krakowskiemu na tamtym świecie odpuści: trudno panu, jeszcze w złości będącemu, odmienić swoją naturę. A ty sam wiesz Kaźmierzu, jaki to się z niego zrobił skąpiec na starość. Pamiętasz, jak my dworska szlachta, na podpiwku musieli poprzestawać. Bóg święty wie z czego my się utrzymywali; to też taka była golizna, że wszyscy winiarze powynosili się ze Zborowa. Człowiek co zarobił na wojnach Inflanckich i Połockich, to musiał na siebie przeszastać. Powiadam tobie, że miałem wszystkiego dwa szostaki, miarkuj jaka to była dla mnie pociecha, kiedy mnie Marszałek dworu kazał natychmiast opuścić Zborów, nie zapytując mnie czém opędzę popasy i noclegi.

— A ty co na to? bo byłem wtenczas na Litwie z Panem Samuelem, a powróciwszy jużem ciebie niezastał, i w kilka dni po tobie, wynieśliśmy się z Panem na Zaporoże.

— Co na to — ciekawe pytanie; na to na koń; ja na Sędziwoszа, a Swiryd na swojego szkapę, który wkrótce zdechł po naszém przybyciu do rodzicielskiego domu, do którego jednak niebardzo spieszyłem.

— I jakże ty podróż odbyłeś bez grosza?

— A cóż, płazem mojéj szabli płaciłem za popasy i noclegi. I tu sumienie nic mnie nie wyrzuca, bo innéj monety nie miałem, powtóre że sprawa była z żydami. Potém zdarzyła mi się służba w jednym szlacheckim domu, ale dostatnim. Dano mi dozór nad końmi; to było już po

myśli; chociaż to wstyd Towarzyszowi Pancernemu zejść z pańskiego chleba, na służbę u szlachcica. Ale darmo, wiele robi kto musi. Szlachcic był zuchwały i głupi, a żona jego była kobietka milutka, i dobrze miała w głowie. Dostał ją łatwo, bo była córką ubogich rodziców, a podżyły kawaler miał kilka wiosek. Pan szlachcic bywało tak bije swoich sług, krzyczy, tak łeb do góry zadziera, że myślałem sobie, musi to być odważnego serca człowiek. I na mnie czasem krzyczy jak przyjdzie do stajni; ja to znosiłem, bo jego żona mi wpadła była w oko, i już się z nią zacząłem porozumiewać. Aż tu w śród dnia Tatarzy na wieś napadają; ja na koń, zbieram stajennych i Bośniaków szlachcica, myślę że on z nami pójdzie, a on tak ztchórzył, że się schował, jak by w wodę wpadł. Mnie się poszczęściło bo swoi mi dopisali, odbiłem zdobycz od Tatarów, kilku położyłem, jednego żywcem zabrałem; i tak wróciłem do domu. Dopiéro, ale jeszcze nie prędko, pokazał się mój pan, bośmy tylko panią zastali opuszczoną z dziewczętami służebnemi, wszystkie załamywały ręce, i płakały. Mnie powitały jak wybawiciela, a mąż jéj pojawił się i do dawnéj buty powrócił, i nad Tatarzynem jeńcem zaczął się nieco pastwić. Potém poszło mnie gładziéj z Imością, przekonałem ją że niema grzechu przeniewierzyć się takiemu mężowi, co od żony odrzeka się w niebezpieczeństwie. To trafiło do jéj przekonania, i dobrze mi się powodziło przez czas niejaki. Jednak musiał się czegoś domyślić, bo razu jednego kazał mnie przyjść do siebie i powiedział, ale bardzo łagodnie, bo od czasu mojéj rozprawy z Tatarami był dla mnie grzeczny: «Mości Towarzyszu, porachowałem się z sobą, że choć mnie przyjemne usługi Waszmości, musiemy się rozstać. Za kilka niedziel wynoszę się na czas nie krótki do Krakowa, a tam i Waszmości, nawykłemu dotąd wielkiéj klamki trzymać się, nie gładko między znajomymi pokazać się szlacheckim sługą.» Opuściłem takim sposobem służbę, która rzeczywiście nie była stosowna do mojéj godności, a nie mogę się skarzyć, żebym w niéj doświadczył krzywdy: bo mnie przy rozstaniu wyliczył dwieście złotych. W téj okolicy nie było pańskich dworów, po szlachcie nie

chciałem służyć, bo promocyi żadnéj, a gospodyni gładkiéj i zalotnéj nie wszędzie znaleźć. Koniec końców na bruku siedziałem pokąd moje dwieście złotych się nie stopiły. Dopiéro jak się odkryło dno od mojego worka, znalazło się i przywiązanie do domu rodziców. Tam więc się udałem, i więcéj roku przesiaduję. I gdyby nie dzisiejsza gratyska, to bym nie mógł pomyśleć nawet o wędrówkach. Bo u mojego Jegomości tylko jedzenia masz po uszy; ale na tém się kończy afekt rodzicielski. Czy uwierzysz, że od więcéj roku co bawię u ojca, ani jednego szeląga, ani żadnéj rzeczy niedostałem. Wyspowiadałem się tobie szczerze, teraz na ciebie koléj opowiedzieć, jakim sposobem dobiłeś się do twojego Attamaństwa.

— Mnie się szczęśliwiéj powiodło niż tobie. Bo kiedy po odbytéj wojnie pod Połockiem, dano odprawę nam wszystkim Towarzyszom nadkomputowym, ja się dostałem Panu Samuelowi, i składałem jego całkowity dwór. Bo jak ci wiadomo, Pan Krakowski skoro ożeni którego z swoich synów, to jemu i dobra wypuszcza, ale syna kawalera o czarnym ścierwie trzyma. Ja i mój pan przywykliśmy do siebie jak ciało do koszulki. Otoż Pan Krakowski chciał ożenić koniecznie Pana Samuela z Xiężniczką Ostrogską, o którą tyle hałasu było w Rzeczypospolitéj. Xiężniczka z trzystu wsiami a sześciu zamkami, to kęs Królewski, któżby to opuścił: otoż się znalazł taki co tém pogardził. Pan Krakowski wszystko był tak ukartował, że Panu Samuelowi do gotowéj rzeczy by przystąpić. Ale jemu ani mówić o tém. Ja sam bywało do niego: — Bój się Boga panie, wszak to koligatka Królewska i trzysta wsi i tyle miast w fartuchu. Jak się to nam dostanie, a kto będzie od nas lepszy w obu narodach? — A on mnie na to: — A daj pokój, u niéj kaprawe oczy, do nich nigdy nie przywyknę; a co do jéj posagu, kto potrzebny niech się jego dobija. Mam ja dobra intratniejsze niż jéj trzysta wsi; a temi są, moja szabla i moja kopja. A chcesz-li być ze mną w zgodzie, nigdy mnie o tém nie mów. — Przyszło do tego, że Pan Krakowski chciał przymusić Pana Samuela, i już sprowadził Xiężniczkę do Zborowa, bo był jéj opiekunem. Pan Samuel wi-

dząc że się nie wykręci, pokrył się jagnięcią skórką, nawet zdawał się zalecać pannie, że go ojciec już z oka spuścił, myśląc że wszystko pójdzie już po jego myśli. Aż tu Pan Samuel kazał mnie nasze zbroje i nasze konie cichaczem wyprowadzić o milę od Zborowa, i tam na siebie czekać. Sprawiłem się jak mi pan rozkazał, i nie długo na niego czekałem: bo sam przybył; i oba w całkowitym rysztunku wyruszyliśmy w świat, nigdzie nie zatrzymując się, tylko ile czasu potrzeba do noclegu i popasu, pókiśmy nie przybyli do Siczy Zaporozkiéj. Tam oświadczyliśmy Hetmanowi, ile że nas dość uprzejmie przyjął, że jesteśmy rycerze Polscy, chcący się zaciągnąć w ich regestra. Wzięto nas na próbę, i odemnie zaczęto. Jednego po drugim pięciu najtęższych kozaków na mnie nasadzono, każdego zsadziłem z kulbaki, żaden z nich kopji mojéj niedotrzymał. Hetman nie mógł się nadziwować nad moją zręcznością. Nazajutrz zaproszono Pana Samuela na próbę, ale on wymówił się tém, że jego kopja i szabla zawsze śmierć zadają, że gotów swoją siłę okazać nad nieprzyjacielem, ale że nieżyczy sobie śmierci zadawać poczciwym ludziom, z którymi pragnie kolegować; że jednak dla przekonania ich o sile swojego pałasza, rad go doświadczyć nad czém innym niż nad człowiekiem. Poświęcono na to konia: postawili go przed Panem Samuelem, a ten w przytomności całego prawie Zaporoża, jak uderzył konia po szyi, od jednego cięcia przeciął ją, że z głową padła o ziemię. Krzyk uwielbienia powstał w całym tłumie i zaraz nas obydwóch przyjęli do regestru, i w kilka dni potém wyruszyliśmy naprzeciwko Tatarów Krymskich. Pan Samuel cuda dokazywał: pod jego szablą Tatarzy jak muchy padali. Wprzódy z nimi tylko wtedy była robota, kiedy się na Ukrainie pokazali, a Pan Samuel zaczął ich szukać we własnych ich legowiskach. Stambuł zadrżał kiedyśmy Karasubazar zrabowali, i Hana stado przed sobą zagnali do Siczy. Zaporoże mówi, że dopiéro Samucha pokazał mu świat. Imię jego teraz tak się zrobiło wielkiém, że jak umarł nagle Hetman, jednomyślnie Pan Samuel zastąpił jego miejsce. Widzisz Panie Ezechielu że wabiąc ciebie do Siczy, nie do złego ciebie namawiam. —

— A któż o tém wątpi. Jeszcze nie wiedziałem o tobie Panie Kaźmierzu, żeś został Zaporożcem, a nie bardzo byłem od tego; bo kiedyś mnie przy kuflu namawiał, prawda że z początku się oburzyłem, ale potém jak zacząłem ruminować, pomyślałem sobie: jak Attamana, alias ciebie, zsadzę z kulbaki, — bo jakem szlachcic żadnego z was zabić nie chciałem, jeżeli tylko bez tego można by było się obejść; mnie w głowie był koń z rysztunkiem i pięćset złotych, a nie czyja dusza — wedle umowy, choć po żywym odziedziczę spadek, a więc jemu się odwdzięczę, i tak go będę poił, jak on mnie. Otóż jeżeli przy biesiadzie, znowu zacznie mnie trąbić o swoim Zaporożu, żeby mnie do niego przynęcić, to powiem mu otwarcie, że mi do smaku, oddawać się rycerskiéj potrzebie z łebskiemi chłopcami pospołu, a więc może przystanę do nich, jeno pod dwóma warunkami, — a te są: raz żeby mnie nigdy nie używali do plądrowania dóbr domu Zborowskich; bo chociaż głowa domu tego oddalił mnie od usług swoich, nawet niezapłaciwszy mojéj należytości, nie czuję się być tak skrzywdzonym, żebym aż zapomniał że lubo nie jestem nic osobliwego, przecież jakim jestem, i to winienem ich domowi; powtóre żeby między moją skórą a ich nahajkami, nigdy nie było nic wspólnego.

— Jakież z ciebie dziecko Ezechielu. Wszak ze mnie tak dobry szlachcic jak i ty, a sam wiesz że ani szablą, ani kopją, ani nawet toporem lepiéj odemnie nie robisz. Wreszcie razem z tobą byłem pasowany na rycerza, a jednak poddałem się z Panem Samuelem temu samemu prawu, które cię tak przestrasza.

— Ty co innego, a ja co innego. A co się tyczy Pana Samuela, nie wchodzę w myśl jego; wiém że tym wielkim panom z roskoszy niewiedzieć czego się zachciewa. Ale pomówmy o sobie tylko. Odkąd żyję, plag niedostałem; ty pamiętasz że w naszéj protestanckiéj szkole niebyło kar cielesnych; a ojciec mój nigdy niebył łapczywym do bizuna: mogę się pochwalić że on mnie nigdy nic nie dał, nawet batogiem. Ale ty Kaźmierzu po skończonéj szkole odnowiłeś swoje wychowanie. Ty byłeś Towarzyszem, a twój ojciec

Chorążym, innych łajał przy wszystkich, ale tobie, *semotis arbitris*, nie raz dobrze skórę wygarbował. Prawda że pieniędzy nie żałował, sypał w twoją kieszeń, i zawsze twoje długi opłacał, ale też i *castigatio domestica* bywała częsta. Ty już przywykły do batogów, że ciebie mogą nie boleć, ale mnie świeżego do nich nie namówisz.

— Jużci dla ciebie jednego Sicz praw swoich nie odmieni.

— Jak sobie chce, ale jeżeli tak, pójdę do was w gościnę, ale indygenatu dostać waszego wcale nie życzę sobie.

— Jak ci się podoba zrobić, tak zrobisz; ale musisz mnie towarzyszyć do Siczy. Ile miarkuję, nowe okoliczności w których Rzeczpospolita się teraz znajduje, i nas wkrótce wyprowadzą z Zaporoża.

VI.

Rozmawiali z sobą wojacy, kiedy Swiryd z trzema kopaczami przybył na zaporozskiéj podwodzie. Kopacze wzięli się do roboty, a nawet Swiryd im dopomagał. Jak tylko jama się wykopała, Swiryd zdjął z Sahajdacznego huńkę, bo była nową, a natomiast ubrał go w swoję switkę. Wszakże zostawił mu misiurkę i szablę, złożył mu ręce na piersiach, na nich położył na krzyż łuk i kołczan, i tak na powrozach spuścili go powoli w dół. Obaj rycerze pomagali ziemię sypać, chcąc oddać tę ostatnią posługę mężowi poległemu śmiercią walecznych. Pan Kaźmierz odmówił psalm *de profundis*, Swiryd ruski pacierz, nawet Pan Ezechiel cóś mruczał pobożnego. Na zwłokach Sahajdacznego usypano mogiłkę, którą dotąd widzieć można po lewéj stronie gościńca od Kalnika do Żadunówki. I tak wszystko się odbyło wedle owczesnych obyczajów.

Po skończonym pogrzebie, nasi rycerze zdjęli zbroję, złożyli ją na podwodzie, to wszystko powierzyli Swirydowi, a sami siedli na swoje rumaki, i wrócili do Icka. Pan Ezechiel kazał Ickowi przygotować obiad, jaki być może najlepszy, a sam wraz z przyjacielem poszedł obchodzić jarmark, który był w swoim zenicie. Nabawiwszy się do woli z targujących podpalonemi szkapami, zaszli do sałaszów gdzie przybyli kupcy porozstawiali swoje towary. Pan Ezechiel nabrał adamaszku karmazynowego na robron, kupił safianowe żółte buty, i to wszystko zapłacił gotowemi pieniędzmi. Tak skończywszy interesa jarmarkowe, wrócili

rycerze do austerji, gdzie już na nich czekał obiadek. Jednak Pan Ezechiel nie wziął się do niego od razu, ale obaczywszy w sieniach Swiryda, zajmującego się końmi, z pieczołowitością sobie zwyczajną, rzekł do niego:

— Swirydzie, a co powiesz o koniu, com go dla ciebie nabył?

— A niech temu język opryszczy, kto go zgani. To ale koń. Już teraz nam nie wstyd pokazać się między ludźmi. Albo to na mojém sercu nie ciężyło, że bywało Pan nocną porą wynosisz siebie na gościniec, a ja nie mając na czém ruszać za Panem, choć płacz, a w domu siedzieć muszę. A ze smutkiem się nieodzywam, bo wiem jak i Panu markotno, że niemasz na czém luzaka posadzić. Taraz my inaczéj wyglądamy. Mamy o czém i na czém pójść, choćby na kraniec świata

— Tak też zrobimy, nieprawda Panie Kaźmierzu? Otoż uważaj Swirydzie, my tu się posilim, a potém po wczorajszemu pohulamy. Ale niech mnie nie wiozą do zamku, ty na to niepozwalaj. Bo jak się wyśpimy, puścimy się w dalszą podróż. Pamiętaj Swirydzie żebyś ty się dziś niepodchmielił; bo ja ciebie znam. Że masz kilka złotych w kieszeni i konia co wygląda jak panienka do tańca, to tobie w głowie zaprosić na wiszniak zamkowych stajennych, żeby się przed niemi pochwalić, żeś się doczekał aż szczęśliwa gwiazda dla ciebie zeszła. Ale niech ciebie Bóg broni od tego. A ty wiesz jak ja dobry, kiedy mi się kto sprzeciwia. Jak się ztąd wyniesiem, będzie dla ciebie pora pohulać, nie tylko że ci niewzbronię, ale jeszcze sam do tego z własnéj kieszeni się przyczynię. Ale tu trzeba żebyś był przytomnym, i bardzo przytomnym. Bo cóż by było z tego żeby my wszyscy się podochocili. Na co by nam się przydało dzisiejsze powodzenie, jeżeliby nas sennych okradziono. A ty wiesz jakie do tego majstry nie tylko żydzi i chłopi, ale nawet starszyzna tutejsza. Otoż, tylko patrz mi w oczy, i uważaj każde słowo co powiem. Konie już porozstawiane w stajni, i jak widzę siano w drabiny rzucone. Siadajże zaraz na tego konia co go tobie Bóg dał przez moje ręce, żeby ludzie widzieli, że przecie i ty masz cóś dobrego. A

konia Pana Podstarościego będziesz w ręku trzymał. Tylko idź noga za nogą, a niedokazuj, o to bardzo proszę. Ruszaj prosto do folwarku, przed gankiem zsiądziesz z konia, i idź przed sobą do Pani Podstarościnéj, bo jéj mąż musi gdzieś w jakim szynku jarmarkować. Jak ją obaczysz, pokłonisz się jéj, i powiesz: Mój Pan dziękuje Pani za pozwolenie mu konia mężowskiego, którego w całości odsyła przezemnie. A że przypisuje dobréj chęci Imości, a zwłaszcza jéj modlitwom, to że się jemu z Zaporozcem nad nadzieję udało, więc posyła dla Imości adamaszek, a dla Jegomości żółte buty, prosząc byście to od niego przyjęli na pamiątkę. Ona zechce żebyś jéj opowiedział po szczegółach jak to się odbyło, ale ty niewdawaj się w żadne pogadanki. Powiesz jéj tylko: Ja niemam czasu tu siedzieć, muszę jak najrychléj spełnić polecenie pańskie na jarmarku, ale jak on sam przybędzie podziękować Imości, to Imość z nim nagadasz się dowoli (ale nie prędko doczekasz się babo pomówić ze mną). Jak oddasz konia pożyczonego, i moje gościńce, ruszaj zaraz do masztarni zabrać nasze troki, i to wszystko co jest naszego. Jest tam skóra nieboszczyka twojego konia, która mnie służy za pościel, szydło, szabaturka z krzesiwkiem i kilku igłami, kłębek nici co mi je tamtego tygodnia darowała Podstarościna, dwie koszul, tyleż onuczków, osełek do ostrzenia broni, rożek z prochem leszczyńskim, kilkanaście kulek ołowianych, i mój garłacz. Widzisz jak umiem na pamięć co mojego. Może się znajdzie jaki jeszcze drobiazg o którym zapomniałem, i tego szkoda zostawić. A co tam jest twojego, spodziewam się że tego niezapomnisz. Ale to wszystko tak jakoś zgrabnie pozabieraj, żeby się nie domyślili w zamku, że my do niego wracać nie myślimy. Owszem gadaj wszystkim jakby z niechcenia: mój Pan po wczorajszemu ochoci się na jarmarku, chyba po rozświcie pokaże się w domu. Jak swoje odbędziesz, powracaj, a zawsze stępą, do gospody, bo na co bez potrzeby konia męczyć, dopiéro z nim się poznawszy. Jak obaczysz że z nami być może mowa, to się opowiesz przedemną, a jeżeli nie, to na potém zostawisz, czas na to nie ucieczc. Bo ty wiesz

z doświadczenia że piję wino i wiśniak po skończonéj wyprawie lub w wigilią jéj rozpoczęcia, ale w pochodzie nie mam w obyczaju zalewać w gardło. Mój Sędziwosz nie jest wtedy trzeźwiejszy odemnie. Otóż jak obaczysz że koło nas jest po wczorajszemu, niedopuszczaj żeby Icko mnie zawiózł do zamku; ale zawczasu moją końską skórę rozściel na sianie blisko naszych koni, a koło mnie derhy dla Pana Attamana, i tam nas położysz, jeżeli sami położyć siebie niepotrafimy. A ty się potém umościsz gdzie się tobie podoba. Niebędziesz miał czasu do tracenia. Bo to pięć koni napoić, dopilnować żeby im owsa dosypano ile zjedza, in gratiam zasług Sędziwosza. Nie dupuszczać żeby kto cudzy patrzał na nasze konie, bo nuż ma złe oczy i urzecze! A choć to nasze pastory utrzymują że to jest zabobon, co oni mogą wiedzieć z xiążki, co koniowi pomoże, a co zaszkodzi. Wiele jest rzeczy na świecie o których xiążki niewiedzą. I wolę tu z tobą trzymać niż z pastorem. Będziesz miał dużo roboty. No, ruszaj synu, rób co ci mówię, a niczego się nie domyślaj, boś tylko giermkiem, za co Bóg zapłać w Królestwie swojém Sahajdacznemu, że się dał zabić, a ja jestem rycerzem. A więc moja rzecz mieć rozum i dla siebie, i dla ciebie.

Swiryd pospieszył by spełnić pańskie rozkazy, a nasi przyjaciele poszli do izby szynkowéj, siedli za stołem, i zaczęli z sobą wieść rozmowę po rusku, żeby nie odkryć Attamana przed drugimi. Pan Kaźmierz od tego zaczął, że wyciągnął z pod szarawarów trzos i wysypał z niego na stół kupkę złota, by wypłacić Panu Ezechielowi przyobiecane trzysta złotych. Kiedy arendarz wnosił wraz z żoną swoją obiad przygotowany dla gości, aż serce w nim drgało na widok tyla złota, a co go szczególnie w ciekawość wprowadziło, to że Attaman odliczał szufryny Panu Gubernatorowiczowi.

— No Icku — krzyknął Pan Ezechiel, nastroiwszy gęstą minę, przynieś-no kilka butelek wczorajszego wina.

Arendarz rozstawiwszy misy niby czyste, i salaterki z jadłem, jak najspieszniéj ze świeczką i z zięciem swoim spuścił się do piwnicy. Była polewa z łokszynami, szczupak

nadziewany, oblany sosem szafranowym, a tak napieprzony że aż palił podniebienie, i gęś na patelni pieczona. Rycerze żarłocznie rzucili się na te specyały i uwielbiali biegłość arendarzową w kunszcie kuchennym, zwłaszcza kiedy Icko przyniósł im antydot niezbędny na pragnienie, ciągle się wzmagające tak korzenném jadłem.

— Tak, tak Panie Attamanie, — rzekł Pan Ezechiel, — kości rzucone, twoje na wierzchu, bo ruszam z tobą do waszéj Siczy, ale jako gość. Bo nawet widok twojego nadzianego szufrynami trzosu, nie zdoła odmienić przedsięwzięcia mojego. Pod żadne prawo uwłaczające mojemu stanowi nie poddam się, to napróżno. Ale jeżeli pozwolicie wasze trudy podzielać jako ochotnik, może da Bóg, że się wam na coś przydam, chociaż niebędę zapisany w waszym regestrze.

— Jużem ci mówił że zrobisz jak ci się podoba. I przyznam się że dziś rzeczy nie na takim stopniu stoją, żebym tak dalece obstawał za powiększeniem liczby regestru Zaporozkiego. Jeżeli moje, prostego szlachcica, wszystkie myśli bezkrólewie zwraca jedynie ku Polsce, tém mniéj możemy wątpić żeby Kasztelanic Krakowski, współdziedzic znacznych włości, członek jednéj z najpotężniejszych rodzin, nie pomyślał o potrzebie ofiarowania swoich usług Rzeczypospolitéj, któréj jest poddanym. Zwłaszcza że po śmierci Pana Krakowskiego, nikt go przymusić nie może do wzięcia małżonki nie wedle myśli jego. Pan Samuel jest burzliwy, oddający się na ślepo każdéj namiętności która go opanuje, co uszkadza téj dziwnie pięknéj naturze. Bo żeby umiał władać sobą, żeby do téj nadzwyczajnéj odwagi, do téj szlachetności uczuć, do tego ukształconego umysłu, łączył rozwagę, byłby to bez wątpienia, największy człowiek niniejszego czasu. Wszakże zawsze go widziałem wiernym sługą i synem Rzeczypospolitéj.

— A bez wątpienia Pan Samuel opuści teraz swoje Zaporoże. Bezkrólewie może mu dać połów trochę obfitszy, niż te wasze wojaczki z Tatarami, lub z wiejską czeladzią jakiego pana z tego lub tamtego brzegu Dniepru.

— Mało się znasz na ludziach Panie Ezechielu, jeżeli myślisz że dla takich jakim jest Pan Samuel, łupy mogą

być nie środkiem ale celem życia. Bez wątpienia nie byłby został naczelnikiem téj walecznéj zgrai, żeby nie poddał siebie pod ich obyczaje. Ale widoki jego są nierównie wyższe, ile że one mu są przekazane od niektórych jego poprzedników, którzy choć potomkowie pańskich domów i posiadacze szerokich dzierżaw, niewzdrygali się hetmanić to Nizowcom, to Zaporożcom. Wszakże w kompucie naszych Hetmanów, znajdziesz wielkie nazwiska Wiśniowieckich, Zbaraskich, Lanckorońskich. A czy można przypuścić, żeby ci magnaci chwycili się Kozaczyzny jedynie żeby trzosy napełniać szufrynami, i w zimownikach rozpijać się wiszniakiem? Jest to w przyrodzeniu nas wszystkich, że choć częstokroć gwałcimy prawa naszéj matki, wszakże ją nad wszystko miłujemy, i ciągle przemyślamy jak by jéj zapewnić pokój i szczęśliwą dolę.

— Dziwnym jakimś językiem do mnie mówisz Panie Kaźmierzu. Bo przyznam ci się, że co do mnie, niewiele się troszczę o losy Rzeczypospolitéj. Wszakże nie jestem z takich, którzy się doczekać mogą żeby ich kiedyś proszono o radę. Jest na to Król, Hetmani, Senat. Niech oni suszą sobie głowę, żeby jéj się dobrze powodziło, a nam co się w to wdawać. Jeżeli jaki zły sąsiad ją zaczepi, to i nas nadkomputowych wezwą do chorągwi, każą się bić, będziemy się bili nie wchodząc za co i po co. Ale pokąd nas nie wezwą, dla czegożbyśmy niemieli bić się dla własnéj korzyści. Kiedy chłop żyje z kosy i cepa, a żyd z kwarty i łokcia, dla czegożby szlachcic nie miał żyć z szabli, zwłaszcza jeżeli ona jest całkowitym jego funduszem. Bo jużci trudno żebrać mając szablę u boku. Z resztą niemam głowy tak otwartéj, żebym zrozumiał jakim sposobem z kozakami plądrując Krym i Ukrainę, dążycie tém do zapewnienia szczęścia Polszcze.

— Rzeczpospolita ma granice obszerne do pilnowania, jest otoczona narodami bitnemi i najezdniczemi. Czémże się od nich zasłania? Kawalerya narodowa jest zbiorem bohatérów, ale wieluż ich naliczysz? Kiedy w chorągwi znajduje się czterdziestu Towarzystwa, to już mówią że dobrze jest pokrytą. Zagraniczny autorament z proszonego a kupionego

żołnierza złożony: niewielka z niego pociecha. A Pospolite Ruszenie, jak się ubrzda jaka chimera, to i przed końcem wyprawy rozjedzie się; abośmy tego nie byli świadkami? Większa pociecha z nadwornych milicyj magnackich niż z tego Pospolitego Ruszenia, które zapala się jak proch, ale równie prędko i gaśnie. Ale co wart kraj bez wojska wyćwiczonego, a zawsze gotowego. A właśnie nam tego braknie; bo szlachta i panowie skąpią pieniędzy, a na nasze nieszczęście dawno niemieliśmy Króla żołnierza, któryby to wszystko potrafił ścisnąć w swoich rękach.

— Niech i tak będzie, ale niezgaduję jakim sposobem do téj siły tak niezbędnéj, doprowadzą ją wasze napaści na dobra, co je nasi panowie mają na Rusi.

— Otoż nieraz Pan Samuel mówił przedemną, że gdyby sejmujące Stany uchwaliły buławę Hetmańską Ruską, z powagą równą Koronnéj i Litewskiéj, a takową buławę Król jemu powierzył, on by zjednoczył Nizowców i Zaporożców, a tym sposobem Rzeczpospolita miałaby zawsze pięćdziesiąt tysięcy przynajmniéj gotowego żołnierza, zawsze pod bronią stojącego, a któryby ani szelągiem nie uszczerbiał publicznego skarbu. A wiesz że jeden Pan Samuel to by mógł dokazać. Ja nie jestem ślepy na jego wady, ale wiem także jakie on ma przymioty, i przekonany jestem że z takim jak on Hetmanem, żeby się Kozaczyzna rozłała, kilka lat by nie minęło, a nie tylko Krym i Wołoszczyzna uledz by musiały Królom Polskim, ale może bruk Carogrodzki jęknął by pod kopytem naszych koni. Wiesz ninie dla czego udaliśmy się do Siczy.

— A wiesz-że co Panie Kaźmierzu, żebyś nic innego niezrobił, tylko żeś to powiedział, to już warto ciebie nazwać wielkim człowiekiem. Carogrod dobyć — ta to ja słyszał że tam więcéj złota i pereł niż u nas plewy. Mój Boże! żeby sejmujące Stany po waszéj myśli uradzili, było by szczęście dla wszystkich, i człowiek dobywając Carogrodu, może by wyszedł na pana. Ale nie, tego nie uchwalą, bo to nadto dobre żeby się na tém poznali. Ale nic to, kiedy taka myśl wasza, chętnie przystaję żebyście ze mnie zrobili Zaporożca. Tylko dla posługi ojczyzny zaraz ruszajmy do

Carogrodu. Z Kozactwem taka się rzecz uda, z naszymi o długich i dalekich wyprawach ani myślić. Pójść na nieprzyjaciela i zaraz na niego uderzyć, nasi do tego stworzeni, ale odbywać dalekie pochody, cierpliwie znosić głód, niedostatek, a nadewszystko posłuszeństwo starszym, bez czego wojna nie może w pomyślności dotrwać, to już nie nasza rzecz. Twój ojciec mówił, że to wszystko było za dawnych czasów, pokąd się nas dyssydentów nie namnożyło w narodzie. O to z nim się niechciałem rozpierać, ile że dawnych czasów nie pamiętam, ale to wiem dobrze, bom na to patrzał, że pod Połockiem może setny był dyssydentem, a jednak szlachta nie chciała być posłuszną Hetmanom. Jeszcze się nieurodziła taka wiara, która by polaka zrobić mogła umiarkowanym i cierpliwym. Pamiętam co nam w szkołach mawiał mistrz Lismanin, że Polska jest jednym krajem na świecie, gdzie rzeczywista zasługa wziętości nie daje. Jeżeli kto się okaże waleczniejszym, cnotliwszym, rozumniejszym od innych, to szlachta coby się miała pysznić że taki z jéj łona powstał, jemu zaufać, z nim się jednoczyć, tak go owszem znienawidzi, tak mu potwarzami żywot zatruje, że nie będzie spokojną aż go do tego przyprowadzi, że sam się przekona, iż wszystkie jego zdolności na nic się krajowi nie przydadzą. Wyszedłszy ze szkół na szeroki świat, poznałem że nam prawdę mówił.

— Naród bez wad byłby narodem aniołów; naród z samemi wadami byłby narodem czartów, a naród ludzi musi mieć i wady i przymioty. A choć jest cóś prawdziwego w tém co mówisz, jednak nic bez ale. Wszakże pany zachowują wziętość u szlachty, chociaż na nią nie zasługują, i nie ma magnata który by nie miał jéj mnóstwa na zawołanie.

— Ba, niewielka sztuka mieć na zawołanie takich, których się karmi i odziewa. Szlachta albo służy u panów, albo ich dobra za bezcen trzyma. Nikt niezbrzydzi sobie krowy która mu wiele mléka daje. Niech-no pan wyszasta się z swoich funduszów, dopiéro obaczy wiele ma przyjaciół. Każdy lgnie do tego, z którego korzystać może: przypatrz-no się w czasie Sejmików, tym co niemając nic do dania, tyle jednak wziętości nabyli między szlachtą, że aż

panowie drogo opłacają ich przyjaźń, obaczysz że najczęściéj im kto głupszy, im kto nierostropniejszy, tym więcéj znaczy na sejmikach; a dzielny i roztropny, jeżeli ma kogo po sobie, to chyba takiego którego kupił, a jeżeli niema czém kupić, to i bez głosu zostanie. Ja lubo wychowałem się na pańskim dworze, nigdy niebyłem potulnym, zawsze wolałem pieniądze wydrzeć gwałtem, niż je uprosić uniżonością, i usta moje prędzéj się zdobędą na dziesięć obelg, niż na jedno pochlebstwo. Dla tego też sprobowawszy dwa razy dworakować wielkim domom, i w jednym i w drugim dano mnie consilium abeundi. Miałbym prawo więcéj niż kto wrzeszczeć na magnatów, a jednak mam niezłomne przekonanie, że jedynie przez nich Rzeczpospolita stoi. Bo tam gdzie Król tylko sądzi, a nie rządzi, to jeszcze szczęście że znajdują się ludzie możni, którzy jak się z sobą porozumieją, do jakiegoś końca mogą rzeczy doprowadzić, a częstokroć własnym groszem opatrują potrzeby kraju. Żeby ich niestało, a rząd przeszedł do szlachty, to by było wiele mów, a w skarbie pustki, namnożyło by się jurystów, a żołnierza choć omal, a i tego by ubyło; kłótnie by nieustawały, a rzadko kiedy rozwiązywały się po rycersku, bo szlachta w domatorstwie by zgnuśniała. Aż nakoniec przyszłoby do tego, że poszlibyśmy między ludźmi w poniewierkę, że ani by się kto starał o naszę przyjaźń, aniby dbał o nasz gniew.

— Jak widzę, na statystę wykierowałeś siebie Panie Ezechielu. To co mówimy, często i Pan Samuel powtarza. I nie widzi dla Rplitéj ratunku, jedno w Kozactwie. Czy raz odzywał się przedemną, że kto u nas będzie miał po sobie kozaków, zrobi co zechce. Bo to nie żarty, połączona wytrwałość i posłuszeństwo ruskie, z zapałem i wyobraźnią polską. Pan Samuel na Niżu i Zaporożu jest Hetmanem, ale więcéj niż Królem, bo jest bożyszczem uzbrojonego tłumu. Na jego skinienie pięćdziesiąt tysięcy spis podnieść się może. Teraz bezkrólewie. Mam nadzieję, że nasi panowie nie zechcą przekazać potomności zesromocone swoje imiona, porozumieją się ze szlachtą by wybrać takiego, który godnie zastąpi mężnych i cnotliwych Jagiellonów.

Ten zdoła pojąć myśl Pana Samuela, i zwróci oczy ku Rusi dotąd zaniedbanéj, a w któréj rzeczywiście mieści się prawdziwa siła Rzeczypospolitéj. Mamy dwa narody zjednoczone Polski i Litewski, niechże trzeci, Ruski, wejdzie w skład téj całości, a wtedy biada pogańcom, co przywłaszczyli sobie tyle dzierżaw Chrześciańskich, biada i Niemcom, co dotąd depcą bezkarnie tyle nam bratnich narodów. Patrz Panie Ezechielu jakie może nastąpić świetne przeznaczenie dla kraju, jeżeli Pan Samuel z rąk Króla Polskiego otrzyma buławę Ruską.

— Święte słowa twoje Panie Kaźmierzu, ale jeżeliby Pan Samuel chciał mnie posłuchać, jabym mu poradził zebrać swoich kilkadziesiąt tysięcy kozaków, kazać im siąść na koń, i z nimi wyruszyć prosto do Krakowa na elekcyą. Tam w żadne rozprawy się niewdawać, ale wręcz powiedzieć kogo życzy sobie mieć Królem, i jego ogłosić. A jeżeli by kto się chciał jemu sprzeciwić, z kozakami potrafilibyśmy takiemu zamknąć gębę.

— Pan Samuel myśli za nadto szlachetnie, ażeby targnął się na prawa kardynalne swojéj ojczyzny. On pragnie być wiernym sługą Rzeczypospolitéj, a nie jéj nachodźcą. Jak doczekamy się Króla wolnie obranego, wtedy do niego przystąpi z prożbą i radą, ale pewnie gwałtu nieużyje.

— Gadaj sobie Panie Kaźmierzu, a ja, żebym mógł stanąć jak on na czele kilkudziesiąt tysięcy kozaków, to bym tak ścisnął swawolną szlachtę, że ona ani by pisnęła. Musiałaby ona powtarzać co bym powiedział, a niczego z własnéj głowy domyślać się nie śmiała. Na co jemu Hetmaństwo, on by Królem siebie powinien ogłosić. Cóż to? pięćdziesiąt tysięcy najmniéj uzbrojonego żołnierza mieć po sobie, i jeszcze prosić. Jemu rozkazywać tylko, a innym dopełniać jego rozkazy.

— Ani odzywaj się z tém przedemną, Panie Ezechielu. Ja wzrosłem z Panem Samuelem, od dzieciństwa jemu służę. Pewnie że nikt na świecie nie jest mi droższym od niego. On jest moim dobroczyńcą i zaszczyca mnie nieograniczoném zaufaniem. Nie wahałem się dla niego narazić własnemu ojcu, poszedłem za nim gdzie mnie rozkazał, bo wiem

że jest dobrze myślącym obywatelem, wylanym dla ziomków. Lecz jestem ojczyzny synem wprzódy, niż przyjacielem i stronnikiem jakiego obywatela. Mimo siebie puściłem to coś dopiero powiedział o wadach naszéj szlachty. W tym twoim smutnym obrazie jest dez wątpienia wiele prawdy; ale niezapominajmy że szlachta która zdołała wyrobić tak zbawienne ustawy, tak mądre prawa, zasługuje na jakieś świetniejsze przeznaczenie. Sam jestem szlachcicem, gotowym do wszelkiego poświęcenia dla pana którego dobrowolnie zostałem klientem, bo mam przekonanie że jest prawym synem Rzeczypospolitéj. Ale żebym został ślepym narzędziem czyich widoków, bądź pewny że niema skarbów ani zaszczytów któreby mnie do tego skłoniły. Wie o tém Pan Samuel i właśnie dla tego mnie ufa.

— Jakże Panie Kaźmierzu, to byś nieżyczył sobie mieć Pana Samuela Królem?

— I owszem. O ile jego obiór niesprzeciwia się prawu, o tyle krew moją chętnie bym poświęcił na to żeby go widzieć na tronie; bo wierzę że pod nim wzrastalibyśmy w sławę, a nasze swobody niebyły by naruszone. Lecz u nas Król powinien być starego wyznania, i niemyślę żeby sejmujące stany miały prawo odmieniać kardynalne ustawy państwa. Bez wątpienia Pan Samuel mógłby pojść za przykładem co mu go świeżo dał ojciec; a tém wszelkie trudności by się usunęły. Ale on o tém nie myśli. Buława Ruska uznana od Rzeczypospolitéj, jest kresem jego życzeń. Bo wie że w żadnym zawodzie nie może być równie pożytecznym dla Polski. Ale cóż mamy zapuszczać siebie w przyszłość. Niemyślmy jeno żeby jak najprędzéj widzieć się z Panem Samuelem. Wszak dałeś mi słowo, że będziesz mi towarzyszył w podróży mojéj do Siczy?

— I możesz na mnie liczyć; takiemi nadziejami rozpłomieniłeś moje serce, że rady dać sobie nieumiem. Wszak widzisz że piję dobrze, a upić się niemogę, choć nigdy nie miałem głowy tak mocnéj jak twoja.

— I dobrze żeś sobie głowy niezaplątał; ja nieżałuję twojego wina i przy innych okolicznościach radbym ci dotrzymał placu. Ale i czas jest teraz wielce drogi i ciągła przy-

tomność umysłu ma dziś swoją cenę. Niemam ochoty z głową ociężałą puścić się jutro w pochód, poprzestaję więc na tém com wypił, ile że już twój Swiryd powrócił i może masz co jemu do powiedzenia.

— Żadnéj z nim niemam tajemnicy. I dla czego mamy przerywać zabawę! Wczoraj mnie swoim winem upoiłeś, a dziś moim niechcesz się upić. Pfe, to nie pięknie, nigdybym tego się niespodziewał po tobie Panie Kaźmierzu,

— Pamiętaj że jutro przed świtem mamy wyruszyć w pole, i że do saméj Siczy pancerza niezdejmiemy. A tam nahulamy się do woli.

Dał się przekonać Pan Ezechiel, rozpłacił się z Ickiem, i wraz z przyjacielem poszedł na spoczynek już im obudwu przygotowany od wiernego Swiryda. Obaj rycerze rzucili się na miękkie siano i wkrótce sen słodki skleił im powieki.

VII.

Już pod chrapliwym głosem Pana Kaźmierza Swiryd był uskutecznił wszelkie przygotowania do podróży; już zaporozka podwoda stała zaprzężona na środku sieni karczemnéj; już rumaki w pełnym ubraniu czekały na swoich jezdzców; już Icko w assystencyi swojéj żony był się obliczył z wszelkiemi należytościami noclegu; ciągły gwar dawał się słyszeć, a Pan Ezechiel jeszcze leżał jak zabity, zwalczony twardym snem, który przesuwał przed jego oczami obrazy sławy i zdobyczy. Nakoniec Pan Kaźmierz porwał przyjaciela za rękę, i tak raptownie a razem silnie pociągnął go ku sobie, że lubo jeszcze z zamrużonémi oczyma, stanął na nogach. Ale Pan Kaźmierz tak przeraźliwie wrzasnął mu nad uchem, że natychmiast oczy mu się otworzyły. Zerwał się z miejsca, zaczął biegać po sieniach, nakoniec krzyknął na Swiryda żeby mu przyniósł wiadro wody; i zrzucił z siebie koszulę nie oglądając się na przytomność arendarzowéj, która spiesznie uciekła do izby przeklinając go po żydowsku. Swiryd przybiegł z wiadrem, wypróżnił go na głowie swojego pana, który dopiéro po téj zimnéj kąpieli zupełnie przebudzonym został.

— Niech ci tego Bóg niepamięta, — odezwał się do Attamana, — żeś mnie obudził. Właśnie drapałem się na wały Carogrodzkie, jedną ręką trzymałem się muru, a drugą toporem odganiałem Turków, a ty przeszkodziłeś mnie dostać się do miasta. Cóż robić, to co się we śnie przerwało, musi się uzupełnić na jawie. Ale ty jak widzę jesteś rannym

ptaszkiem, jeszcze daleko do wschodu słońca, a ty już ubrany i uzbrojony. No Swirydzie zawiń mnie nogi w onuczki i podaj buty.

Ubranie Pana Ezechiela nad dwie Zdrowaś Marya — nie trwało, ale uzbrojenie się, nieco więcéj wymogło czasu. Pan Kaźmierz pomagał Swirydowi do zapięcia pancerza i własną ręką zaciągnął rzemienie którym się spajały naramniki i hełm jednoczył się z pancerzem. Rycerze okuci w żelazo, siedli na koń, Swiryd na podwodę którą sam miał powozić, nieomieszkawszy swojego wierzchowca uzdą przywiązać do naręcznego konia, żeby przy nim szedł łoźno, a tak cały ten taborek puścił się Łodyżynieckim gościńcem.

Już około półtory godziny stępali rozmawiając z sobą, kiedy dopiéro słońce pokazało się, żeby żywszą barwę rzucić na poczynające się wdzięcznić żyzne stepy Ukrainy. Uroczy widok bogatych sioł i wesołych futorów téj nadobnéj ziemi nie wiele zajmował Pana Ezechiela. Żywioł kontemplacyjny bynajmniéj nie wchodził do składu jego jestestwa. Natura na nim najmniejszego nierobiła wrażenia, w jego głowie były boje, kłótnie, uczty; marzyły mu się cielesne rozkosze, jako zdobycz należna rycerzowi zwycięzkiemu. Ale poezja serca, życie uczuciowe, delikatne namiętności, były dla niego obce. Był to rycerz zupełnie prozaiczny. Jego wiara była jakąś mięszaniną zabobonów i obojętności. Jego moralność zasadzała się na jak najściślejszym dopełnianiu praw rycerskich, na tym kodexie honoru, przeciwko którego za wszystkie skarby świata nigdy by nie wykroczył. Ale po za szrankami tych prawideł, których dochowanie zaprzysiągł przyjmując zaszczyt rycerski, niczym innym się niekierował, jeno jakąś zmyślnością, jakimś uleganiem pierwszéj żądzy, która go opanowała. I ztąd kolejno okazywał się okrutnym i wspaniałomyślnym, chciwym i datnym, wyrozumiałym i gwałtownym. Ale właśnie dla tego że nie był dość cierpliwym żeby się nad czémkolwiek długo zastanowić, miał tę cnotę, że niebył upartym, a tém samém nie było nic łatwiejszego jak nim rządzić, raz pozyskawszy jego szacunek; lecz dla zdobycia onego, odwaga była rzeczą niezbędną, a dla niego

odwaga nie była czém inném, tylko wielką wprawą we władaniu orężem z przeciwnikiem. Nie pojmował co to jest odwaga bez broni. Odwagę swoją nosił u lewego boku i nigdy nieodpasywał szabli. Ale w każdym wypadku gdzie ani kopia, ani szabla, zasłaniać nie mogły, już jego nadzwyczajne męztwo miękniało. I przez dziwną sprzeczność, wszakże łatwą do pojęcia, wychowany w Ewangieliczném wyznaniu, pospołu ze współwiernymi swoimi pogardzał pobożnością katolicką, nazywając ją zabobonem papieżniczym, a lękał się upiorów, czarów, więcéj niż najgminniejsza babka kościelna.

Wszakże do najwyższego stopnia był zdolnym posuwać uczucia przyjaźni. I trzeba mu sprawiedliwość oddać, że niebyło ofiary, co by ją niebył gotów uczynić dla Pana Kaźmierza. Ten raz go zhołdowawszy tym rodzajem odwagi, która szczególnie była dla niego wrażliwą, gdyż nie mógł nieprzyznać że i w fizycznéj sile, i w użyciu czy kopii, czy miecza, czy nawet topora, który był jego bronią ulubioną, Pan Kaźmierz był jeszcze dzielniejszym, a do tego łączący umysł rozważny i ukształcony, tak wziął nad nim górę, że w niczém nieumiał by się jemu sprzeciwić. Szacunek Pana Kaźmierza stał się dla niego rzeczą tak potrzebną, że nietylko iż mu był we wszystkiém posłusznym, ale nawet z budującą cierpliwością słuchał jego napomnień, czasem dość cierpkich. Dało to się raz widzieć szczególnie w téj ich podróży. Pan Ezechiel napierał się żeby po drodze do Siczy napadać na kupieckie bryki i na szlachtę podróżującą, żeby sobie wynagrodzić ubytek który poniósł jego worek przez hojność wyświadczoną Podstarościnie Kalnickiéj i jéj mężowi, niemniéj ludziom cerkiewnym na podzwonne po Sahajdacznym; bo, jako pasowany rycerz, pamiętny na obowiązki danego słowa, za nic w świecie by jego nie cofnął. Wyruszywszy z Kalnika stanął przed pierwszą cerkwią którą spotkał, gdzie popowi i ludziom cerkiewnym całego szufryna bez wahania się oddał. Pan Kaźmierz niechciał mu pozwolić napastowania kupców, a że Pan Ezechiel usiłował go przekonać po swojemu, że uzbrojonemu rycerzowi

jest grzech darmo nosić oręż i nieobracać go na jakąś korzyść, powiedział mu:

— Daję ci słowo, że żadnemu poddanemu Rzeczypospolitéj szkody nie przyniosę, ani w przytomności mojéj pozwolę go skrzywdzić.

— Dla czego, — odpowiedział na to Pan Ezechiel, — czy nieprzystałeś na braciszka do jakiego klasztoru? Bo się coś odzywasz po Bernardyńsku a nie po Zaporozku.

— Jak tobie nie wstyd, — odrzekł Pan Kaźmierz, — ciągle myślić o rabunku. Czy taka chciwość jest rycerska. Prawdziwyś syn swojego ojca, któremu w głowie nic innego tylko żeby napychać swoje skrzynie. I dla tego celu wszystko mu dobre, nawet odrwiwać swojego pana, do czego musiałem mu dopomódz.

Żeby kto drugi to był powiedział Panu Ezechielowi, pewnie by szabla ani chwili niespoczywała w pochwie. Ale Panu Kaźmierzowi to uszło bezkarnie. Zasępił się Pan Ezechiel, więcéj się zmartwił niż rozgniewał, smutny ust nie otworzył, tylko cofnął się o kilka kroków w tył, aż się zrobiło żal Panu Kaźmierzowi.

— Ezechielku, — powiedział, — może się wydarzy po drodze spotkać cudzych, Tatarów naprzykład, do nich się weźmiemy. A wiesz że na Tatarach można się czasem bardzo obłowić i to bez obciążenia sumienia.

Te kilka słów łagodnie wyrzeczonych, zdołały mu wesołość powrócić.

— Daj Boże, — odrzekł, — żeby się też cudzy pokazał. — I dopiéro cofniętego konia z lekka ubodł ostrogą i znowu się z przyjacielem zrównał.

W dwóch pierwszych dobach ich podróży nic się im nie wydarzyło co by było godnym zastanowienia, ale trzeciego dnia, zbliżając się do karczmy pod Obodówką położonéj, gdzie mieli zamiar popasać, nasi rycerze spostrzegli kilku kozaków siedzących na przyzbie pod oknami. Pan Kaźmierz poznał że to byli swoi i konia posunął ku nim. Na widok swojego Attamana, wszyscy z uszanowaniem powstali.

— Zdrowie wam mołojcy, — rzekł do nich.

— Zdrowie i tobie Attamanie.

— A czy dawno z Siczy?

— Już trzecia niedziela.

— A co słychać o Hetmanie?

— Zdrowego i wesołego zostawiliśmy. Ale zawczora spotkaliśmy naszych w Pohrebyszczach, co prosto z Zaporoża przybyli, powiedzieli nam że w tydzień po naszym odjeździe Hetman wyruszył z Siczy, ale wedle swojego zwyczaju z jednym tylko swoim bandurzystą, i niewiadomo gdzie się teraz obraca.

— Ot i nowy *casus* Panie Ezechielu.

W tém wyszedł z karczmy jakiś kozak, wiekiem starszy od tamtych, który się odezwał:

— Sława Bogu.

— Na wieki wieków, — odpowiedział Attaman. — A to ty Assauła Neczajny. Wielu was jest?

— Sześciu, — odrzekł Assauła, — ale było nas więcéj.

— Czy mieliście jaką robotę mołojcy?

— A jakże, mieliśmy robotę, i dobrą. Tamtéj niedzieli pod samym Białopolem spotkaliśmy tabor. Tatarzy ośmdziesiąt kilka sztuk mołodyc dziewek i dzieci gnali przed sobą w jassyr. Ja ze swoimi mołojcami naprzód. Oni na nas chmurę strzał puszczali, a potém trzeba było w oczy sobie zajrzeć, trwało ciepło długo, ale my taki na swoim postawili, choć tego było do trzydziestu, a naszych tylko czternastu. My ich w puch rozbili, szesnastu położyliśmy trupem, ja swoją ręką trzech zakłótem. Sześciu wzięliśmy w plen i przedaliśmy ich Panu Gubernatorowi Białopolskiemu po dziesięć złotych głowa w głowę, teraz kopią wały koło zamku. Reszta odrzekłszy się koni uciekła do bajraku, gdzie dotąd pobereżniki musieli ich wyłowić. Ale i nam nie na sucho poszło, naszych trzech ubili, a czwarty że był dużo ranny i miał wielki ból, prosił żeby go dobić, a my nie mogli przyjacielskiéj posługi jemu odmówić. Ale jaka to radość tego narodu, kiedyśmy bez okupu pozwolili jemu wracać do domów. Jeszcze całą dobę pohulaliśmy w karczmie z mołodycami i dziewkami. One były nam rade, bo co Zaporożec to nie Tatar. A były tam takie co wy-

glądały jak sojki a z ślipkami błyszczącémi jak gwiazdeczki. Było z czego hulać, bo co tylko mieli Tatarzy z sobą to nam się dostało. Wszystka ich broń, a kobierców co ich nabrali u szlachty, a rożnych sprzętów! Bo Tatar nic nie porzuci. A co to nam dostało się koni! Co było lepszego my na ich piszczących wozach odesłali do Siczy, z kilku końmi luzem, co warto było ich zachować; i pod strażą czterech naszych, to wszystko wyprawione zostało, tak że już nas tylko sześciu pozostało. A wiele to my rozdali gościńców dziewkom i poczciwym chłopom co nam w karczmie winszowali szczęścia. Było z tuzin takich koni, co ich nie warto było odesłać na Sicz, to my ich chłopom padarowali żeby Boga za nas prosili. I pozwoliliśmy im porozbierać zabitych Tatarów, byle na ich trupach usypali mogiłę, a nam tylko broń po nich oddali. Bo jak Attamanowi wiadomo, nasz Hetman takie zrobił zaprowadzenie, żebyśmy nigdy trupów nie rozbierali.

— Tęgoście się popisali mołojcy. Bóg da że wkrótce cało Zaporoże w pole wyruszy.

— Czy nie do Krakowa Attamanie? Słychać że Król Lacki umarł: a póki drugiego nie obiorą, to co było nieboszczyka, teraz do nikogo nie należy i może nam się dostać?

— Tam pójdziemy gdzie Hetman każe.

— Słuchamy.

— Cóż więcéj słychać.

— Oto dowiedzieliśmy się od plennych Tatarów, że ich z początku więcéj było, ale że im się nie poszczęściło pod Trypolem. Przed kilkunastu dniami żona *Despoty Rascyi*, z wielkiemi podarunkami a licznym dworem pojechała do Kijowa pokłonić się świętym moszczom w Pieczarach. A Tatarzy jéj zastąpili drogę pod Trypolem i byli by ją zabrali ze wszystkimi jéj skarbami, żeby jakiś rycerz w czarnéj zbroi niespadł z nieba na jéj ratunek, a tak straszny, że to niemoże być człowiek, ale latawiec. Bo ani spisa, ani strzała, ani kindżał jego nie chwytał, a kogo się dotknął tego zabił. Sam Murza natarł na niego, ale czarny rycerz w lot głowę mu zniósł z karku, że spadla po za konia

i dwa razy podskoczyła. A Murza już bez głowy do swoich wrócił; czém tak się przestraszyli że choć było tego dość, wszystko to pouciekało. Ja wierzę że to musiał być obrońca cudowny, bo jakże napadać na takich co idą w święte miejsca.

— Dobrze mówisz Assauło, a jeszcze lepiéj robisz. Jesteś dzielny w boju, a miłosierny na tych co się bić nie umieją. Jak powrócimy na Sicz, mam nadzieję że ciebie powitam Attamanem, bo nasz Samucha niezapomina zasług swoich dzieci.

— Daj Boże, Attamanie, daj Boże!

— Teraz zabieram was z sobą do Siczy.

— Słuchamy. A gdzie to Attaman zostawił Sahajdacznego?

— Jemu teraz niczego już niepotrzeba, leży w mogile pod Kalnikiem, a wam żyć kazał.

— Niech że mu będzie chwała na wysokim carstwie. A ten pan po lacku uzbrojony, co to za jeden?

— Jest to mołojec jak wy, robi szablą jak Lach, spisą jak Rusin, a toporem jak Lach i Rusin razem. Jedzie ze mną do Hetmana, chce do nas się zapisać.

— Daj jemu Boże od nas szczęścia, a nam od niego pociechę.

Pan Kaźmierz przedstawił swojemu towarzyszowi Assaułę i kozaków, a ten wkrótce z nimi tak ścisłą zabrał znajomość, jakby z sobą już beczkę soli zjedli.

Cały ten hufiec w karczmie więcéj dwóch godzin się zatrzymał. Mołojcy tak się podobali Panu Ezechielowi, że utwierdził siebie w postanowieniu zostać koniecznie członkiem ich zgromadzenia. Niczego już nieżądał tyle, jak dać przed nowymi swoimi przyjaciołmi dowód waleczności, którą by mógł ich przekonać że z niego nie małą mieć będą pociechę. I kiedy po skończonym popasie przedłużali pochód, z niepohamowaną niecierpliwością wyglądał jakiego spotkania, gdzieby się mógł popisać. Jednak dzień pierwszy przeszedł całkowicie bez żadnego wypadku. Zamiast rycerzy, zamiast Tatarów, z wielkim żalem Pana Ezechiela, spotykali tylko wieśniaków, często bryki obładowane towa-

rami i żydami, ale jedynie pod strażą Bożą postępujące po stepie, czasem jakąś kolebkę poważnie przez czwórkę koni ciągnioną, a w niéj szlachcic sam jeden lub z swoją małżonką. Niebyło pola dla Pana Ezechiela, bo z takich ciągnąć korzyści, byłby zysk bez sławy, ile że Pan Kaźmierz nie pozwalał nikogo zaczepiać, aż chyba się pokaże wojak w bojowym rynsztunku, a takiego nie można było się doczekać. Dopiéro drugiego dnia po południu, Assauła Neczajny, mający wzrok nadzwyczajnie donosny, postrzegł prawie na pograniczu widnokresu, kilka pojazdów, a przy nich jezdzców, o których zbroje odbijały się promienie słoneczne.

— Attamanie, — rzekł do wodza, — ku nam ciągną słomki. Czy mamy porzucić co nam Bóg daje, czy nam pozwolisz poharcować z tymi panami.

— Jak się do nas przybliżą, — odpow edział Attaman, — to się rozpatrzymy, być może że to są nasi przyjaciele.

— A Panie Attamanie, — na to Pan Ezechiel, mieszając się do rozmowy — już ci to niemogą być Zaporożcy, a sam powiedziałeś, że cudzego a uzbrojonego godzi się zaczepić. Pan Attaman widział mnie nie raz w potrzebie, ale dla czegoż mnie masz pozazdrościć szczęścia żebym się i przed tymi panami mógł pokazać: żeby wiedzieli, że jak przystanę do Zaporoża, jemu nie zrobię przecie wstydu.

— A w jakiéj gorącéj wodzie kąpany. Chcesz być Zaporożcem, a konia męczysz bez potrzeby nie mogąc na miejscu ustać. Wszakże tamci ku nam dążą, po cóż spieszyć, postępujmy sobie powolnym krokiem, aż obaczymy co to jest.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków zrobili, gdy Assauła krzyknął:

— Nie inaczéj, to musi być Xiężna Rascyi, która tędy powraca z Kijowa na Węgry. Bo taka ilość powozów, taka odzież ludzi, jak to nam opowiadali Tatarzy. Tylko że czarnego rycerza jeszcze niewidać. On może tylko na Bisurmanów się pokazuje. Attamanie! nie godzi się napadać na takiego co idzie do świętych moszczów, bo na cóż komu przeszkadzać pobożnego uczynku. Ale kiedy pobożność już się odbyła, i powraca się z świętych miejsc, zdaje się że niéma grzechu na takiego napaść, bo już on swoje odbył.

— Ale tak, — odezwał się Pan Ezechiel, — któżby kogo chciał niedopuszczać do świętych, wszak my niebezbożniki; ale jakaż krzywda robi się Bogu, napadając na tego który wszystko należycie odbywszy wraca do domu. Nieprawda Panie Attamanie?

— Cóż robić, — odrzekł Attaman, — jak się do nas jeszcze trochę przybliżą, nie jestem od tego żebyśmy się z nimi pobawili. Wszakże nim przystąpimy do bitwy trzeba wprzódy ich zapytać, czy niezechcą czasem po przyjacielsku z nami się podzielić. Bo na cóż szczerbić broń i męczyć konie, jeżeli i bez tego można na swoim postawić.

— Słusznie mówi nasz Attaman, — odezwał się Neczajny, — zacznijmy od tego żeby którego z naszych z językiem posłać naprzód.

— Na co języka, — rzekł Pan Ezechiel, — ja odezwę się trąbką, a że być nie może, iżby tam niebyło jakiego pasowanego rycerza, więc zrozumieją czego chce moja trąbka.

— Broń w pogotowiu, — krzyknął Attaman. Kozacy najeżyli spisy, a Pan Ezechiel zatrąbił nutę ofiarującą przebaczenie jeżeli się poddadzą; po czém spuścił przyłbicę, kopję ścisnął ramieniem o żebra, a głowę schyliwszy i oczy przymrużając, wyglądał na kogo ma uderzyć.

Już tabor co raz więcéj dawał się widzieć. W tém wysunął się z niego rycerz w czarnéj zbroi. Trzymał kopją w pogotowiu do potyczki i dobrym kłusem dążył kędy zastanowili się kozacy. Nikogo przy nim nie było, sam jeden zdawał chcieć na wszystkich się porwać, bo sposób w jakim postępował, przekonywał że nie po to się zbliża, żeby wchodzić w umowę.

— To jakiś dzielny rycerz, — odezwał się Pan Kaźmierz, — ani pyta wiele nas jest, myśli że sam wszystkim wystarczy. Lubię go za to. Trzeba go jednak przekonać że i my nie tchórze. Na to nie pozwolę żeby wszyscy jednego brali w obroty. Może tak się robiło dawniéj, ale nie odkąd Samucha naszym Hetmanem. Na miejsca mołojcy! a ja sam z nim się rozprawię.

— Panie Attamanie, — rzekł Pan Ezechiel, — Pan niemasz prawa mnie wyrządzać podobną krzywdę. Pan Assauła Neczajny dopiéro mnie powiedział, że wedle waszych ustaw, ostatni co do was przystaje, w pierwszym zdarzeniu musi dać z siebie doświadczenie. Więc ten czarny rycerz do mnie należy.

— Prawda, — odpowiedział Attaman. — Nie ma co mówić, masz słuszność za sobą. Ruszaj że naprzód w Imię Boże.

Tego niebyło potrzeby powtarzać Panu Ezechielowi; wysunął się. Ale gdy już między nim a czarnym rycerzem niebyło może nad kroków dwieście, tak dalece że można było rozeznać godło które ten ostatni miał na swojéj tarczy — Attaman ruszył z miejsca kilku krokami i krzyknął: — Panie Ezechielu, Panie Ezechielu! nazad, ani mi się waż nacierać. — Ale tego Pan Ezechiel czy niechciał słyszeć, czy doprawdy niesłyszał. Z kopją naprzód, poleciał ile tylko Sędziwosz mógł wyskoczyć, obces na czarnego rycerza. Tamten stanął na miejscu i dał się jemu przybliżyć nie więcéj jak może o kroków pięćdziesiąt, dopiéro naprzeciwko niemu konia przypuścił. Zetknęli się z sobą rycerze, jak dwie chmury w czasie lipcowych upałów. Kopja Pana Ezechiela pokruszyła się w kawałki na zbroi czarnego rycerza, który nawet poruszonym nie został na siodle, ale on jak uderzył swoją przeciwnika, ten w okamgnieniu opuścił strzemiona, i przez tył konia powalił się o ziemię, aż ziemia się zatrzęsła pod ciężarem jego zbroi. Pan Ezechiel nie powstał, leżał nieruchomy, a kozactwo otoczyło zwycięzcę krzycząc: — niech żyje nasz Samucha!

— Cicho durnie, — odpowiedział Pan Samuel. — Jak się masz Detyno i wy bracia. A co to za jeden który teraz leży, co on robił między wami?

— Hetmanie, — rzekł Pan Kaźmierz, — jest to sługa niegdyś waszego domu, Ezechiel Zdora, któremu ani w głowie było potykać się z panem. Jest to dla niego nie mały zaszczyt, lękam się tylko by go za drogo nie opłacił. Nie długo potyczka trwała.

— Ezechiel Zdora! wszakże to Ewangelik jak ja, a nie-

bardzo po chrześcjańsku z nim postąpiłem. Trzeba ratować biedaka, a djabeł wiedział że to on. No mołojcy, rozpierzchajcie się i ruszajcie wszyscy na Sicz, jeden tylko Detyna przy mnie pozostanie. W Siczy na mnie czekajcie. Tylko żeby żaden z was nieważył się przybliżyć się do tych powozów, co hen, hen zastanowiły się. Dowiedziałem się onegdaj o tobie Neczajny. Popisałeś się po gracku, było Tatarów ledwo nie trzech na jednego, a przecie ledwo ich noga uszła. To nic, bo Zaporożcom nie liczyć tych co ich pobić mają. Ale chrześcijański naród uwolniłeś od jassyru pogańskiego i za to niewziąłeś zapłaty, jeszcze go obdarzyłeś. Co tak, to lubię O tém nie zapomnę jak stanę na Zaporożu, postąpię ciebie durniu na Attamana. Ruszajcie dzieci, a nikomu nie mówcie żeście mnie tu nadybali. Tylko cicho, żadnych głośnych pożegnań, ja tego niechcę. Precz ztąd, obaczymy się w krótce na Siczy. — Kozactwo natychmiast rozsypało się po stepie.

Swiryd już był przy swoim panu, bo jak tylko ujrzał go leżącego, wyskoczył do niego z wózka. Pan Samuel i Pan Kaźmierz zsiedli z swoich rumaków, żeby mu pomódz do odratowania pana. Zdjęli z niego jak najspiesznięj zbroję i szyszak. Pan Ezechiel leżał bez przytomności. Szczęściem niedaleko była krynica. Pan Samuel w szyszaku leżącego rycerza nabrał wody i nią oblał Pana Ezechiela, który oczy podniósł i zdawał się odzyskiwać cokolwiek przytomności, bo nawet rękę wyciągnął do Pana Kaźmierza, ale ani jednego słowa wyrzec nie mógł, tylko jęczał głuchym dźwiękiem. Krew mu się z ust puściła i znowu mdleć zaczął, a rycerze wodą ciągle go trzeźwili.

— Żal mi biednego Ezechiela, — rzekł Pan Samuel, — ale jakaż z niego zrobiła się baba. Ja go tak jakby z niechcenia potrącił. Przecie to był kiedyś rycerz waleczny, w mojéj przytomności dokazywał w Inflanciech i pod Połockiem. Nieborak musiał u swojego ojca zależeć pole, odkąd mu dano odprawę w Zborowie.

— Gdzie tam Panie. Niema tygodnia jak w oczach moich potykał się na ostre z Sahajdacznym. I tak go powalił toporem że ani drgnął, i chyba na ostatni sąd wylezie z pod

téj, mogiły cośmy ją na nim kazali usypać pod Kalnikiem. Ale pańskie razy są długo pamiętne. On miał zamiar do nas przystąpić i oddać siebie panu z duszą i ciałem. I dla tego towarzyszył mnie do Zaporoża. Na swoją biedę spotkał się z Panem prędzéj niż się spodziewał. Ja Pana poznałem, jeno trochę za poźno. Krzyczałem na niego co było głosu w piersiach, żeby pana zaniechał i nazad wracał. Ale czy mnie nie słyszał, czy coś przystąpiło do niego, nimem się opatrzył a on już leżał.

— Biedny człowiek! żeby mnie był pobił, to może bym się więcéj nie frasował. Ale nie, on niewygląda na takiego któremu wkrótce już będzie po wszystkiém. Da Bóg że jutro go odratujemy, on nie ranny, tylko przybity. Już się zbliża ku nam xiężna, małżonka Despoty Rascyi z swoim dworem. To miłosierna pani. Byle go nam dostawić na pierwsze spokojne miejsce, to mu się poradzi. Cały jéj dwór nim się zajmie. Jużci trudno opuszczać rycerza walecznego, którego cała wina że go szczęście zawiodło. To być nie może, żeby we dworze xiężnéj nie było jakiego lekarza. Patrz, znowu omdlewa.

Przybliżył się tabor. Blizko nich stanęła kolasa w któréj siedziały dwie panie. Po prawéj stronie siedząca, zdawała się mieć około lat czterdziestu, a jednak mogła by uchodzić za piękną, gdyby nie sąsiedztwo niebezpieczne młodéj dziewicy, na któréj obliczach były rozlane tak czarujące wdzięki, taka szlachetna niewinność, że raz ją ujrzawszy niepodobna było zapomnieć jéj rysów. Pierwsza jak już wiadomo czytelnikowi była xiężna panująca Rascyj, druga jéj rodzona siostrzenica Gryzelda Batorówna, xiężniczka Siedmiogrodzka. Wysokie damy wysiadły z powozu, i xiężna starsza przybliżywszy się do Pana Samuela rzekła do niego mową ruską:

— Rycerzu szlachetny, już po drugi raz winnyśmy tobie wolność, sławę i życie. Kiedyż zdołamy się tobie wywdzięczyć. Nie taj dłużéj przed nami swojego nazwiska. Niech wiemy kto jest naszym dobroczyńcą, naszym puklerzem. Niech władzcy Rascyi i Siedmiogrodzia dowiedzą się komu podziękować mają, jeden za żonę, drugi za synowicę. Niech

się starają opłacić długi, któreśmy u ciebie zaciągnęły, lubo czujemy, że z podobnych długów nigdy uiścić się nie można.

— Wdzięczność z mojéj strony tylko jest należną, żeście dostojne panie niepogardziły moim ramieniem, żeście pozwoliły bym był towarzyszem waszéj podróży. Co do mojego nazwiska, pozwólcie panie bym go jeszcze nieodkrywał; nie dość go wsławiłem, żeby mu dać prawo obijać się o uszy tak znakomitych dam. Mam jednak nadzieję że kiedyś nie bez jakiéjś dumy odważę się go objawić przed szlachetną małżonką Despoty Rascyj, przed piękną siostrzenicą władzcy Siedmiogrodu.

— Rycerzu, — odrzekła xiężna, — zbytnia skromność ciebie unosi. I my będąc z rycerskiego rodu znamy się na rycerstwie. To co już wykonałeś dwa razy w naszéj przytomności, jest dostateczne żeby ci zjednać sławę. I nie trudno poznać że to nie są twoje pierwsze popisy. Ale widać że ty nas niemasz za dość godne, byśmy śmiały z tobą ściślejszą zabrać znajomość.

— Mylisz się xiężno, a raczéj chcesz sobie żart uczynić z biednego rycerza. Może mu niewolno dać siebie poznać, może mu jakieś obowiązki niepozwalają czas jakiś odkryć swojego nazwiska. Może to nazwisko jest tak mało znane, że wstydzę się go odkryć, i moja próżność cieszy się że mogę uchodzić za coś wyższego niż jestem w istocie.

— O nie rycerzu. Choć niewiem kim jesteś, nikt we mnie nie wmówi bym ciebie miała za jednego z tych gminnych rycerzy, co jeszcze potrzebują zdobyć dla siebie nazwisko. Ty jesteś człowiekiem jednéj z tych rodzin zasłużonych w waszéj ojczyznie, gdzie dostojeństwa, zaszczyty i dzielność stały się spadkowe. Jeżeli nie, daj słowo rycerskie że się omyliłam.

— Żadnego wysokiego dostojeństwa w ojczyznie mojéj niepiastuję, daję na to xiężnie słowo rycerskie. Co się zaś tyczy mojego rodu, dodał uśmiechając się, jestem szlachcicem Polskim, a jak xiężnie wiadomo, nasza szlachta wysoko siebie ceni. Wszakże, jeżeli Waszéj Wysokości serce jest tak wyniosłe że niemoże znieść tego, by prosty rycerz

wam zrobił bezpłatną usługę — od was zależy hojnie mi ją wynagrodzić.

— Mów rycerzu czego żądasz, za najszczęśliwsze poczytywać siebie będziemy, jeżeli nam pozwolisz choć w części wywdzięczyć się tobie.

— Kiedy mnie do tego dostojna xiężna ośmiela, proszę mnie pozwolić ucałować ich rączki, jeżeli to nie będzie za nadto wielką dla mnie nagrodą.

— Masz tę nadzwyczajną nagrodę — odrzekła xiężna śmiejąc się, i podała ją rycerzowi, który przyklęknąwszy przybliżył ją do ust swoich.

— Gryzeldo, rzekła xiężna, dajże i twoją rękę temu walecznemu rycerzowi, co dotąd klęcząc z niecierpliwością jéj oczekuje.

Na te słowa purpury dziewicze zaległy oblicze xiężniczki. Było w nich coś tak zachwycającego, że nawet Pan Kaźmierz pomyślał sobie, że dla tak cudownéj istoty, najrozumniejszemu oszaleć wolno. Rękę obnażoną podała rycerzowi, który na niéj położył pocałunek przeciągły i ognisty. Xiężniczka tak się zmieszała, że zaledwo ją mogła cofnąć i machinalnie zakryła twarz zasłoną.

Powstał rycerz i rzekł: — Zwycięztwo, które nie mojemu męztwu ale chęci wam usłużenia, dostojne panie, przypisuję, drogo kosztuje. Po jego zbroi poznaję, że ten który leży na wpół martwy, jest Polskim rycerzem. Może on ma matkę, cnotliwą rodzinę, kochankę, które jego śmierć pogrąży w smutek i żałobę. Żyje on jednak jeszcze; wspaniała Xiężna Rascyi wie jakie są obowiązki rycerskie. Czy podobna opuścić walecznego męża za to, że los zdradził jego odwagę. Czy we dworze waszéj Wysokości nie masz jakiego lekarza, który by go mógł opatrzyć?

— Ach rycerzu, — rzekła Xiężna, — nad tym nieszczęśliwym Opatrzność czuwa, kiedy moja Gryzelda jest ze mną. Na co się przyda lekarz. Żaden z nich nie jest od niéj bieglejszym w swoim kunszcie. Ona wszystkich ziół zna własności, i byle cień życia w nim pozostał, ona mu wróci zdrowie. Gryzeldo, przekonaj naszego zbawcę, że jeżeli on umie zadawać rany, ty umiesz je goić.

— Rany które ja zadaję, odrzekł rycerz, nie są jeszcze tak straszne kiedy z nich wyleczyć można. Są inne rany na które śmierć jest jedyném lekarstwem.

Xiężna odezwała się do swoich ludzi:

— Trzeba tego rannego rycerza na rękach zanieść do pierwszego spokojnego miejsca które spotkamy. Tylko nieście go powoli.

Słudzy sporządzili na prędce nosze, pokryli je płaszczami i na nich położyli Pana Ezechiela. Xiężniczka Gryzelda przybliżyła się do niego, wzięła go za rękę, z lekka dotknęła się ręką swoją jego piersi obnażonych, jakby śledząc jego ból, potém położyła dłoń swoją na jego czole. Miała postać pocieszającego śmiertelnych anioła. — On ma silną gorączkę, rzekła do ciotki, ale byle go położono w jakie spokojne miejsce, ja odpowiadam że żyć będzie. Bo mam z sobą zioła jedyne, które tylko nad brzegami Sawy rosną. Ale tych użyję dopiéro, jak będzie spoczywał pod dachem na spokojnéj pościeli. — Tymczasem kazała podać sobie apteczkę podróżną. Wydobyła z niéj flaszę z jakimś balsamem. Chustkę swoją nim zmoczyła i tę położyła na piersiach chorego, a widząc że Swiryd szczególnie się zajmuje staraniem około niego, powiedziała mu: — Oto masz tę flaszę, trzymaj ją w ręku i nieodstępuj swojego pana, ale idź piechotą obok noszów. Uważaj żeby chustka się nie osuszyła, i często ją skrapiaj tym balsamem.

To rzekłszy skoczyła w kolaskę. Xiężna siadła koło niéj. Posuwały się naprzód, ale noga za nogą, żeby się nie oddalać od noszów na których leżał niedomagający rycerz. Pan Samuel i Pan Kaźmierz siedli na koń i wszyscy dążyli ku Berszadzie, która nie więcéj małéj milki była od nich oddaloną.

VIII.

Posuwały się powoli Xiężne z orszakiem swoim, pośród którego Pan Ezechiel leżał na noszach dźwiganych od czterech sążnistych hajduków, a wierny Swiryd z flaszą balsamu w ręku o krok nieodstępował pana, bacząc pilnie żeby chustka Xiężniczki niezasychała na jego piersiach. Pan Samuel dał znak Panu Kaźmierzowi i oba wycofnęli się z orszaku żeby z sobą pomówić. Pan Kaźmierz pierwszy przerwał milczenie:

— Już Panu musi być wiadome nieszczęście, które dotknęło i wysoki jego dom i nas wszystkich.

— Wieść o słabości mojego ojca doszła do mnie na Siczy, rzekł Pan Samuel, głęboko westchnąwszy, — i dla tego tak śpiesznie ją opuściłem. Miałem nadzieję zastać tego dobrego ojca. Chciałem go błagać o przebaczenie, ale Bóg nie pozwolił wyrodnemu synowi, zamknąć oczy temu, do którego śmierci sam się przyczynił. W kilka dni po rozpoczęciu pochodu, spotkałem żydów ze Zborowa, którzy nie poznawszy mnie, opowiadali wszystkie szczegóły jego zgonu. Taki żal ścisnął moje serce, że musiałem wyjść z pośpiechem. I sumienie dotąd nie przestaje mi wyrzucać ojcobójstwa.

— Jako syn nie możesz nieczuć tak drogiéj straty, ale bynajmniéj niewyrzucaj jéj sobie, Panie. Śmierć Króla, nieszczęścia co je ztąd przewidywał dla kraju, a które jego uczucia obywatelskie w nazbyt czarnym kolorze wystawiały, wznowiły dawne jego niemocy. Nakoniec stargane siły, w

wieku już podeszłym, mogły wszystkich przygotować do jego śmierci. Ale on ciągle z największą czułością prawie do ostatniego tchu pana wspominał, po kilkakrotnie go błogosławił, i często powtarzał, że ze wszystkich jego dzieci Pan mu byłeś zawsze najmilszym.

— Ale najniewdzięczniejszym, i to właśnie zatruwa goryczą serce moje.

— Świeć Boże nad duszą nieboszczyka Pana, ale i jemu się niechwali sposób w jaki z Panem chciał postąpić; jużci nie godzi się przymuszać syna, żeby się żenił z osobą któréj nielubi. Z resztą, pan nigdy nie miałeś przeciwko sobie nieboszczyka Pana, i w duszy pewnie myślał, że na pańskim miejscu nie inaczéj samby postąpił. Ale ja tego o swoim ojcu nie mogę powiedzieć. Przed kilku dniami byłem w Kalniku u tego starego szalbierza Zdory; ale zmieniłem głos swój, a do tego miałem twarz tak okitajkowaną, że zjadł djabła, ktoby mnie poznał. Pomyślili sobie wszyscy: zwyczajnie hajdamaka Zaporożski i kwita. Aż przybywa mój ojciec, a panu wiadomo jaki to łagodny baranek z mojego starego. Mówiono w Zborowie, że ja mu byłem milszym niż mój brat, i jeżeli to prawda, że kto kogo miłuje tego i karze, o jego skłonności ku mnie wątpić nie mogłem. Bo choć byłem już Towarzyszem Pancernym, a nawet pasowanym rycerzem, to wielkie szczęście jeżeli minie tydzień, w którym bym jego ręką niebył obity. Ile razy okiem na mnie rzucił, to aż drżały wszystkie moje członki, tak się bałem żeby mnie nie poznał. Otoż opowiadał Panu Zdorze wszystkie szczegóły śmierci Pana Krakowskiego i dodał, że jak Panu Bogu ducha oddał, notabene powróciwszy do naszéj wiary, pańscy bracia jego wyprawili żeby koniecznie pana odszukał, byś mógł z nimi przystąpić do działu i z nimi się zajął publicznemi interesami. Otóż mój stary wystąpił na pana z panegirykiem, wszakże dość jeszcze umiarkowanym. Ale kiedy mu przyszło mówić o mnie, miałem się czego nasłuchać. At, powiedział, Pan Samuel by się opamiętał, żeby nie mój łotr. Dawał ad intende, że zrobi na mnie wyrok, a i to dodał: że jeżeli wpadnę w jego ręce, w naddatku sprawi mnie taką łaźnię, że o niéj

nigdy niezapomnę. A mnie aż łytki się trzęsły, wolałbym spotkać stu Tatarów niż jego jednego. Bo z Tatarami bronić się można: od czegoż kopja, topor i szabla; a z ojcem inna sprawa. Powie: kładź się błaźnie — i położyć się trzeba, i nie wstać aż póki nie pozwoli. A choć wisi nademną chłosta, jednak wcześniéj czy późniéj muszę go przeprosić. Nie jeden Pan masz mola który go gryzie. Jeno trzeba na potém odłożyć to wszystko co się tyczy naszéj osobistości, a myśléć tylko o sprawie publicznéj. I kiedy ona tkwi w mojéj głowie, choć ze mnie ubogi szlachcic i nic więcéj, cóż dopiéro Pan, który jesteś Kasztelanicem Krakowskim, Hetmanem kilkudziesiąt tysięcy Zaporożców! Pewnie z tyłu nie zostaniesz, i szczerze się zajmiesz wyborem nowego Pana.

— O niczém myślić nie umiem, odkąd wcisnąłem się w orszak Xiężnéj Rascyi.

— Rozumiem, serdeczny interes na stole. Prawda, że Xiężniczka nad wszelkie powaby powabniejsza. Dużo świata przebiedz potrzeba, nim coś podobnego napotkasz. Wszakże życzyłbym Panu teraz temu wszystkiemu dać odprawę, a jeżeli mam prawdę powiedzieć, i potém nie bardzo do tego powracać.

— Cóż to? czy myślisz że ja jéj niewart?

— Ba, żeby to była Polka lub Ruska, mniéj więcéj moglibyśmy zgadnąć, co względem jéj myślą opiekunowie. Ale Bóg Święty wie jakie tam obyczaje w Rascyi i na Siedmiogrodziu. Pan jesteś możnym w naszym narodzie, a równego jemu w dzielności rycerza, to chyba gdzieś w starych kronikach wynajdziesz. Ale prawdę powiedziawszy jesteś tylko szlachcicem, a ta z plemienia regnantów. Ztąd czysty wniosek, że właściwiéj panu myślić o krzesłach, o buławach, niż zaprzątać głowę Xiężniczką, dla któréj może już napięty jaki Kurfistrz, albo syn Królewski.

— Słuchać tego niechcę. Gryzelda musi być moją. Nie poniżam siebie do tego stopnia, bym aż przyznawał czyjejkolwiek krwi, wyższość nad tą, która w moich żyłach płynie. Despoty Rascyi, Xiążęta Siedmiogrodu, są to lennicy kolejni to Cesarzów, to Sułtanów, a ja zależę jedynie od

Boga i od mojego miecza, i jestem synem Xiążęcia Senatu; jestem potężniejszym od nich władcą, bo na jedno moje skinienie, powstanie sto tysięcy żołnierza ślepo poświęconego dla mnie. Wiedzą jak czajki kozaków plądrowały przedmieścia Carogrodu, a mnie, ich Hetmanowi, mnie jednemu z najpierwszych Panów Polskich, niewolno by było prosić o rękę Xiężniczki Siedmiogrodzkiéj? Kaźmierzu, tobie poruczę los mój, wkrótce musisz jechać do Hermansztadu jako mój Poseł. Powiesz Xięciu Stefanowi, że Samuel Zborowski pragnie zostać jego synowcem; że mu ofiaruje na rękowiny zamiast smugów i bisiorów, czterdzieści tysięcy bitnego rycerstwa, którzy rozszerzą granice jego Państwa od strony jaką tylko im naznaczy. Powiesz mu, jeżeli mitra tyle ma dlań powabu, że mój dóm ma dawne zachowanie u Cesarza Rakuzkiego, który bardzo rad będzie, jeżeli z rąk jego zechcę przyjąć Xiążęcą purpurę. A jeżeli wzgardzi moją osobą, natychmiast z doniesieniem wracaj do mnie, a ja z całym Zaporożem zaleję ziemię Siedmiogrodzką, wyłamię jego zamki, zdobędę jego twierdze, podbiję jego Państwo, i porwę moją Xiężniczkę.

— Panie, jestem i sługą i przyjacielem twoim, twoje szczęście jest mi droższe nad życie moje, ale nad wszystko mi jest drogim kraj własny. Że jeżeli dla ciebie wszystko opuściłem, to dla tego żeś zdołał mnie przekonać, że nie masz nic na celu tylko jego szczęście i sławę. Teraz u Pana miłość w głowie, nic dziwnego że moich rad słuchać może niezechcesz; ale z kolei przestaniesz być głuchym na głos prawdziwéj i wiernéj przyjaźni. Bo miłości w sercu niewiekować, a w jakim człowiek narodzie się urodził, w takim musi do śmierci zostać.

— I ty Kaźmierzu byś mnie opuścił, ty byś się niechciał podjąć poselstwa mojego?

— Panie, mnie teraz bezkrólewie w głowie, pokąd Bóg nieprzeznaczy nam Pana, potąd ani Panu, ani szlachcicowi, nie wolno z kraju się oddalać. Tu nasze miejsce, żeby dobrze myślącym stanąć w pomoc. Xiąże Stefan Batory jest szlachetnym rycerzem, wszędzie mówią o jego cnotach i walecznych czynach. Nie powinien on być z takich któ-

rych życzliwość otrzymać można nie uzyskawszy wprzódy szacunku. A czy może on szacować obywatela, który w potrzebie swojego kraju zostaje dla niego obojętnym, żeby się zajmować miłostkami?

— Kaźmierzu, sobie wyobrazić nie możesz jaka to jest istota nadziemska, ta, która na zawsze zhołdowała moją duszę. O niczém myślić nie mogę tylko o niéj jednéj. Ojczyzna, sława, wszystko już znikło z przed oczów moich. Ona mi jest wszystkim, ona musi być moją koniecznie. Jeżeli i ty mnie odstąpisz, sam pójdę za nią do Siedmiogrodu, nic mnie wstrzymać nie zdoła.

— Panie, gdybyś był człowiekiem jakich co kroku się spotyka, przystało by ci iść jak nierozważnemu dziecku za pierwszym popędem swojego widzimi się. Ale po Samuelu Zborowskim, po owym niezwalczonym wojowniku, co go Zygmunt August nazywał *tarczą Rzeczypospolitéj*, czegoś więcéj wymagamy. Przebóg! ten Hetman Samucha, który imie przez siebie przybrane już zdołał postawić na równi z tém jakie mu dała Opatrzność, a które wielcy jego przodkowie zrobili tak drogim w narodzie, on, który zdołał dzikie tłumy do ślepego posłuszeństwa skłonić, maż się dać zwyciężyć przez jedną dziewczynę. Twoja kochanka jest Polska. Potomku świetnego Polskiego rodu a wodzu Zaporoża — to nie jest powołanie twoje. Żeby go dopełnić opuściłeś rodzinną ziemię. I Bóg błogosławił ciebie czynami które kiedyś za bajeczne uchodzić będą: zadziwiłeś, zwalczyłeś nieustraszone hufce. I mogłżebyś zdradzić tak święte powołanie, mógłżebyś zawieźć nadzieje tych którym odkryłeś tajniki twojéj duszy? Kiedyśmy znieśli Krymskich Tatarów na ich własnych stepach, kiedy Han przelękły, co mu się nigdy z Zaporożcami niezdarzyło, wyżebrał u ciebie pokój, i wszystkich jeńców Polski i Rusi musiał nam oddać, a liczny lud nas błogosławiąc wracał do sioł swoich, my wtedy siedzieli na murawie patrząc z rozrzewnieniem na ten lud; rzekłeś wtedy do mnie w uniesieniu: — Mam nadzieję, że się wkrótce spełnią moje zamiary. A wtedy, niech drży ciemiężca chrześcian w grodzie Carów. Ja taki uczułem zapał, że słowa wymówić nie mogłem, tylko porwałem pana

za rękę i przycisnąłem ją do ust moich. Czegoż by człowiek nie poświęcił ażeby działać w tak świętéj sprawie! A teraz kiedy bezkrólewie w Polsce podaje sposobność zawrzeć umowę z mającym się wybrać Królem, ażeby za jego pomocą te wielkie przedsięwzięcia przyprowadzić do skutku, spotkanie jednéj dziewicy, maż to wszystko obalić? I nasz Samucha, zaprzątniony miłością, maż się poniżyć na rycerza błędnego, na bohatera ballad, jak rycerze zniewieściałych brzegów Garonny i Rodanu. Jeżeli by tak być miało, powiem ci Panie otwarcie, bo pochlebiać to nie Lacka rzecz, że całe życie opłakiwałbym te lata, com je strawił w twoich usługach.

— Ach Kaźmierzu, jakże tobie zazdroszczę to zimne serce, które ciebie robi niezdolnym do wszystkich ponęt miłości! Ale gdybyś doświadczył, gdybyś pojął to gwałtowne uczucie, miałbyś litość nad przyjacielem.

— Panie! Na to Bóg stworzył kobiety, byśmy je miłowali. Wszakże my ani krzyżacy, ani mieczowi. Miło jest trudy rycerskie przeplatać pożyciem domowém z cnotliwą i nadobną małżonką, wychowaniem dziatek dla przyszłego pożytku ziomków. Jak Rzeczpospolita wyjdzie z sieroctwa, a mądry jéj Pan odda Panu buławę, może zaraz nastąpi wojna czy z Niemcem, czy z Bisurmanem. Ja pójdę gdzie każe Rzeczpospolita. Będę starał się dać siebie w znaki nieprzyjacielowi, walcząc w szeregach Polski. A jeżeli Bóg mnie żywego wyprowadzi, po skończonéj wojnie dobiorę sobie parę, ożenię się, osiądę w swoim gnieździe ojczystém, zaskarbię sobie ufność i łaskę moich współpowietników, może oni mnie użyją w czasie pokoju do jakich posług obywatalskich. I będę uprawiał cząstkę téj ziemi, którą miałem szczęście zasłaniać piersiami. I już roli nie opuszczę, aż chyba broń Boże znowu niepokój. Bo jak wici Hetmańskie powołują szlachtę, to ja znowu na koń. A w domu pola nie zatężę, bo czasem w zupełnéj zbroi będę polował na wilki i zające, żeby od niéj nieodwyknąć, będę się bawił w palcaty z rębaczami sąsiedztwa mojego; kopje będę kruszył o słup dębowy, który na to umyślnie wkopać każę na środku mojego dziedzińca. A tak zawsze będę gotów

stanąć w potrzebie z jakimś pożytkiem dla kraju. Otóż i Pan, jeżeli już sobie niemożesz wyperswadować Xiężniczki, pakaż-że się jéj godnym. Teraz nie pora brać się do niéj; ale jak Króla ukoronujemy, a Pan jemu staniesz na usługi z naszymi Zaporożcami — on pozna że mieć zawsze kilkadziesiąt tysięcy żołnierza w pogotowiu, to nie to, co kłaniać się szlachcie żeby raczyła się uzbroić, albo frymarczyć z Niemcami, żeby od nich za brzęczący grosz dostać odrobinę tych gburów, co to ich lancknechtami zowią, a z którymi ani mowy ani rozmowy tym co się niewychowali jak my w szkołach Luterskich. Bo więcéj się spuścić można na żołnierza posłusznego a własnego, niż na proszonego lub kupionego. Pan co zechcesz wymożesz od Króla i Panów Rady, bo pańskie wymagania będą poczciwe. A wtedy z miłą ochotą i z pewną nadzieją, w imieniu pańskim pojadę prosić o rękę Xiężniczki. Bo choćby niewiedzieć jak nosa do góry zadzierał Regnant Siedmiogrodzki, da on siebie przekonać, że Hetman Polski wart jego siostrzenicy. A cóż dopiéro jak się dowie, że Samucha o którym tyle mowy i pieśni krąży między ludem, a Samuel Zborowski, plemię Senatorskie i sam Senator, jest jedną i tą samą osobą. A co panie, może ja mówię nie do rzeczy?

— Nic ci odpowiedzieć nie mogę. Sam niewiem co z sobą zrobić, bo cała moja przyszłość od niéj jedynie zależy. Ale dziś jeszcze ona musi się rozwiązać. Wiem że ją kocham aż do szaleństwa, aż do wściekłości, że ta miłość już jest mojém jestestwem. Sam siebie poznać niemogę. Ja dotąd obcy bojaźni, ja, dla którego niebezpieczeństwa są najmilszą igraszką, zostałem lękliwy jak dziecie rozpieszczone u matki. Ileż to razy zabierałem się paść jéj do nóg, wynurzyć przed nią moje uczucia; ale jak na mnie spójrzy, jak spotkam jéj łagodne i ogniste źrzenice: serce moje lodowacieje trwogą nieznaną, w żyłach krew stygnie, ust nieśmiem otworzyć. Czasem przemyka się do myśli moich jakiś promyk przyjazny, zdaje mi się że tajniki mojéj duszy już przed nią się rozwarły. Puszczam wtedy wodze pocieszającym nadziejom: zdaję mi się że jakaś wzajemność odpłaca moje zapały. Wtedy marzenia szczęścia i sławy w

natłoku przesuwają się przedemną. Zdaję mi się że już ją prowadzę przed szeregami moich kozaków. Na jéj widok, głos jednomyślny uwielbienia powstaje. Dziki tłum, uszczęśliwiony widokiem czarującego oblicza, odrzeka się od prawa broniącego niewiastom przystępu do naszéj siedziby. Poznają nakoniec, że miłość uwieńczona, jest największą nagrodą waleczności. Głośnemi okrzykami błagają mnie żebym piękną Hetmanowę przywiózł do Siczy. Wszyscy chcą pójść za moim przykładem: i wkrótce dziko-odważna horda przekształca się w naród niemniéj waleczny, ale ułagodzony, ukształcony tym słodkim obcowaniem, które jedno z rozpustnego rozbójnika przemienić może w szlachetnego rycerza. Potém następuje okrutne przebudzenie. Zdaję mi się że te oznaki jakiegoś współczucia dla mnie, które zdarzało mi się przelotnie schwycić, dowodzą tylko wdzięczności za moje usługi. Czuję potrzebę wyznać przed nią moje uczucia, a znowu się lękam żeby niestracić ostatniéj deszczki na któréj płynę, niewiedząc gdzie mnie fale zapędzą. Bo jedno jéj słowo, może mi odebrać wszelką nadzieję i tym wyprowadzić z téj niepewności która mnie udręcza, a jednak jest moim przytułkiem. Znowu przemawiam do siebie twoim językiem: zagrzewam siebie do przedsięwzięcia poparcia chwiejącéj się naszéj Rzeczypospolitéj. Najwznioślejsze nadzieje sławy i wielkości zaczynają mnie kołysać. Wtedy czuję że dawna dzielność dopiéro otrętwiona ocuca się nakoniec. Łaknę za wojną, przywołuję ją wszystkiemi siłami duszy, pragnę dobywać zamki, pustoszyć ziemie, opanować Królestwa, by stanąć na takim stopniu, że najpotężniejszy Mocarz za szczęście poczytał by sobie nazwać mnie swoim synem.

— Otoż pan trzymaj się tego ostatniego; bo to jest najbezpieczniéj. Już widzę że pan przyrzekłeś xiężnom że je do granicy Multan odprowadzisz; bo tam ich oczekiwać muszą żołnierze Hospodara, który jest bratem xiężnéj starszéj, a wujem młódszéj. Do Dniestru nie najdaléj. Jak pan je do brzegu doprowadzisz — a nie godzi się te panie opuszczać, aż będą bezpieczne, bo Tatary znowu plądrują Bracławskie Województwo, a chociaż Serby są lndzie mężni,

poznałem że obie xiężne więcéj ufności pokładają w kopji pańskiéj, niż w męztwie ich orszaku; nakoniec jeżeli się dało słowo rycerskie, trzeba go dotrzymać — a potém wrócimy jak najrychléj do Siczy, gdzie pan tak się rozporządzisz, żeby można było pośpieszyć do Krakowa z ofiarą stanowczą i gotową dla ludzi poczciwie myślących o kraju; a tak dobijem się do naszych zamiarów, które ani wątpić że Bóg pobłogosławi. Ale widzę że od xiężnéj biegnie do pana jéj dworzanin, zapewne z jakimś rozkazem. Pan pozwolisz mnie dowiedzieć się jak też tam z Ezechielem, a sam assystuj sobie xiężnom które mu są rade; a bądź wesołéj myśli.

Po czém zsiadł z konia, oddał go jednemu z Serbów orszaku xiężnéj i przybliżył się do noszów. Pan Ezechiel go poznał, nawet chciał do niego przemówić, ale tak był osłabiony, tak zbolały, że tylko jęczał.

Pan Samuel przybliżył się do xiężn.

— Rycerzu, — odezwała się Xiężna Rascyi, — po twojém świetném zwycięztwie, niezdaje mi się żeby kto śmiał przeszkodzić nam przybycia do pierwszéj gospody. Więc możesz zdjąć z siebie ciężącą zbroję; powierz ją wraz z swoim koniem moim ludziom. Bo na cóż masz na próżno męczyć i siebie i swego dzielnego rumaka. Zapraszam ciebie do naszéj kolasy.

— Rycerz któremu pozwoliłyście xiężne czuwać nad waszą obroną, rozbrajać siebie nie powinien, pokąd was na zupełnie bezpieczne miejsce nie doprowadzi.

— Boisz się jak widzę nudzić z nami, kiedy pogardzasz naszém towarzystwem. Jeżeli ciebie ubłagać nie mogę, czy nie będzie szczęśliwszą moja siostrzenica. Gryzeldo, powtórz mu prośbę moją, a dowiesz się, czy rycerze Polscy są równie grzeczni dla dam, jak straszni dla nieprzyjaciół.

Gryzelda nieco zmieszana zdobyła się na odpowiedź:

— Tu xiężna-ciotka tylko ma prawo dawać rozkazy, a jeżeli ten rycerz nie chce być im posłuszny, nie jestem tyle zarozumiała, bym myślała że moja prośba może być szczęśliwszą.

— Będę posłusznym Waszéj Wysokości, i jeżeli w spełnieniu jéj rozkazów nieokazałem się skwapliwym, to jedynie dla tego, że te jéj łaskawe zaproszenie niezdawało mi się być dowodem chęci mienia mnie w swoim towarzystwie, ale litości nad znużeniem moim. Lecz do znużenia się nieprzyznaję, nawet niepojmuję żeby zbroja czy to w czasie upałów słońca, czy w szarugach zimowych mogła ciężyć rycerzowi. Wszakże świadomy jestem obowiązków rycerskich, i zaraz stanę na jéj rozkaz.

Cofnął się natychmiast, zsiadł z konia, wręczył go swojemu bandurzyście z kopją i szyszakiem, ale pancerza zrzucić niechciał. I z głową obnażoną pierwszy raz pokazał się przed xiężnemi: i siadł na przodzie kolasy. Niemógł korzystniéj dla siebie stawić się przed damami. Jego długie i i gęste włosy, spadające w pierścienie aż do ramion, słynęły w całéj Polsce, że nawet zostawszy Zaporożcem niechciał z nich uczynić ofiary. Rysy jego śniade były tak szlachetne, że na nie spójrzawszy, wątpić niemożna było że musiał być potomkiem wielkiego rodu. Oko miał ciemne, nos orli, twarz bladą, zwyczajną u ludzi namiętności gwałtownych, włosy i wąsy jasne, ręka nadzwyczajnéj wielkości. Niewiadomo jakie wrażenie sprawił na Gryzeldzie, bo ona trzymała oczy ciągle spuszczone, ale Xiężna Rascyi, pani mająca tę szczerość i wesołość, która zwykle towarzyszy duszom cnotliwym, rzekła śmiejąc się:

— Podziękuj mnie rycerzu, że jestem przyczyną iż tak korzystnie dla siebie pokazałeś się przed nami. Twoje włosy są tak gęste, tak obfite, że w nas kobietach mógłbyś zazdrość pobudzić. A wiesz że ta moja pochwała powinna być cenioną od ciebie, bo żyję w kraju pięknych czupryn i bardzo muskanych, gdyż Serby są z małéj liczby narodów słowiańskich, gdzie szlachta ani brzytwie, ani nożycom nie pozwala przybliżyć się do swoich głów. Ale powiedz rycerzu, dla czego zachowałeś swoją zbroję, czy niebałeś się od nas zdrady, bo mówią że serbianki umieją władać kindżałem.

— Kindżał nie jest najstraszniejszą bronią waszą, szlachetne xiężny; ani pancerz przeciwko was rycerza zasłoni.

Ale żem go zachował, to jedynie że moja odzież tak jest okryta kurzem, że jéj pierwiastkowéj barwy trudno by odgadnąć. Nie śmiałbym się w niéj pokazać kobiecie z gminnego stanu, a cóż dopiéro stawić się w niéj przed tak wysokiemi damami.

— Kurzawa rycerska jest największą ozdobą szlachetnego męża. Nam kobietom ślady wyniesione z bojowisk są milsze nad wszystkie jedwabie. Nie myśl rycerzu byśmy były w miękkości wychowane. Nasi ojcowie, mężowie i bracia, rzadko kiedy zdejmują pancerz. Od lat dziecinnych walczyć muszą z nieprzyjacielem Krzyża. Żona tylko pod opieką miecza mężowskiego zasypiać może, i często mu towarzyszy w wyprawach wojennych. Ja i moja siostra, matka Gryzeldy, byłyśmy jeszcze dziećmi, kiedy nasz ojciec ciągle nam powtarzał, że nas nie odda tylko takim, o których pewnym będzie że nas zachowają orężem dla siebie. Bo rycerz bez dzielności, dodawał, bierze żonę nie dla siebie ale dla Turka. Te słowa naszego ojca tak nam tkwiły w pamięci, że kiedyśmy wyrosły, a Xiąże Wołoski nasz ojciec zostawił nas w sieroctwie, że same mogłyśmy sobą rozrządzać — matka Gryzeldy oddała siebie Xięciu Batoremu, nie panującemu, bo najmłodszemu z trzech braci, nie bogatemu, ale dla tego że w kilkunastu bitwach szczęśliwie walczył z Bissurmanem. A ja, lubo wiele pięknych i wykwintnie wychowanych Xiążąt Niemieckich zalecało się mnie na dworze mojego brata — wybrałam syna Despoty Rascyi, chociaż przekupione od xiążąt moje służące, ciągle mnie powtarzały, że on jest zyzooki, szorstki, nieokrzesany, gwałtowny A czém on zyskał moją skłonność — oto tém, że Turcy lękali się jego jak gromu Bożego, że nigdy kopja nieprzyjacielska nie poruszyła go na kulbace, że swój Belgrad otoczył niedostępnymi wałami, usypanymi przez jeńców, których na Sułtanie zdobył. I nigdy nie miałam powodu utyskiwać nad moim wyborem, bo mąż waleczny musi być koniecznie dobrym małżonkiem. Wszak prawda Gryzeldo, że i ty pójdziesz za moim przykładem?

— Przyznam się xiężnéj-ciotce, że nigdy nad tém nie

zatrzymałam myśli swojéj. Wszak jéj wiadomo że nie od siebie, ale od mojego stryja i pana zależę.

— Ale ty wiesz dobrze, że on ciebie nie odda człowiekowi miękkiego serca, chociażby był Królewicem. Zresztą jeszcze zawcześnie tobą się zajmować. Xiąże Stefan oświadczył, że jéj niewyda aż dopiéro kiedy zacznie rok dwudziesty pierwszy. Bo, mówi, nadto młodéj dziewczynie wybrać męża jest to rzecz żydowska, a nie chrześcijańska. Ma jeszcze Gryzelda trzy lata przed sobą. Czy wiesz rycerzu, że xiąże Stefan bardzo Polaków lubi. Często bywając w Hermansztadzie dla nawiedzin dzieci mojéj siostry, zdarzało mi się tam spotykać twoich rodaków.

— Pozwolisz xiężna pani zapytać siebie, jacy to rodacy moi mieli szczęście być od niéj poznani?

— Teraz będąc w Siedmiogrodzie, żeby zabrać z sobą Gryzeldę do Kijowa, z niemałą trudnością otrzymałam na to pozwolenie. Podając mi rękę do pojazdu Xiążę Stefan powiedział na pożegnaniu: «Powierzam tobie siostro mój skarb, pamiętaj byś mi go w całości oddała.» Żeby nie twoja dzielność rycerzu, niebyłabym w stanie mojej obietnicy dotrzymać. Otoż wtedy poznałam kilku waszych Wojewodziców. Zostawiłam na jego dworze Zebrzydowskiego, Tęczyńskiego, Lanckorońskiego: czy oni tobie są znani rycerzu.

— I bardzo. Bywałem ich towarzyszem i w czasie wojny, i na dworze naszych Królów. Oni są w poczcie Panów Polskich, ich rodzice piastują najwyższe urzędy, i na nich wielkie nadzieje pokłada Rzeczpospolita.

— Ale z pomiędzy tych wszystkich panów, najwyższy zyskał szacunek u Xięcia Stefana, Zamojski: czy on także tobie znany rycerzu?

— Znam go z widzenia, ale żadnych ścisłych stosunków z nim nie miałem. On u nas uchodzi za uczonego, ale on do naszéj magnacyi nie należy; jest sobie zwyczajnie szlachcic miernego majątku, z wielkiemi domami wcale nie skoligacony. Na wyprawie Inflanckiéj widziałem go na czele chorągwi którą szlachta Województwa Bełzkiego wystawiła swoim kosztem, a jemu oddała w dowództwo. Prowadził ją dobrze, wszakże żadnym szczególnym czynem nieodznaczył siebie.

U dworu nigdy go niewidziałem, ani nawet w towarzystwie panów; ale między szlachtą ma nie mało wziętości.

— A Xiąże Stefan bardzo go wysoko ceni; mówił przedemną: Król Polski który by tak światłego i walecznego męża zaniedbał, dowiódł by że się na ludziach poznać nie umie. Oni wszyscy towarzyszyli Xięciu Stefanowi na ostatniéj Tureckiéj wyprawie. Xiąże powróciwszy do Hermanstadu głośno oświadczył, że jeżeli mu się w niéj poszczęściło, to winien dzielności wszystkich, a radom jednego Zamojskiego. Ale już my tych waszych rodaków niezastaniemy, bo ledwo ich doszła wiadomość o śmierci Króla, pewnie musieli powrócić do swego kraju. A Xiąże Stefan chociaż im bardzo rad, pewnie ich niezatrzymał, owszem prędzéj ich sam naglił do powrotu. Bo nie mówię to dla tego, że jest moim krewnym, ale powszechnie wiedzą, że w uczuciu swoich obowiązków nikt go przewyższyć nie zdoła. To też chociaż swojemu państwu nadał swobody, jakich wprzódy nieużywało, żaden z jego poprzedników od poddanych rozkazem otrzymać nie mógł tego, co Xiąże Stefan jedynie oświadczeniem chęci swojéj. Jak się uspokoi w waszéj Rzeczypospolitéj, powinienbyś rycerzu przybyć do Siedmiogrodza żeby poznać Xięcia Stefana: masz taką która ciebie jemu przedstawi; a niewątp o dobrém przyjęciu.

— Niewiém czy Xiężniczka Gryzelda pozwoli mnie jéj służyć.

— Nadto mam wielkie obowiązki wdzięczności, ażebym mogła o nich zapomnieć, odezwała się xiężniczka zawsze z spuszczonémi oczyma.

— Xiężniczka — odrzekł rycerz, — zezwalasz abym przestąpił kiedyś gościnny próg jéj potężnego stryja. Ale to zezwolenie jest za mało dla mojéj nieśmiałości. Śmiem zapytać czy pani mnie do tego upoważnia?

— Gryzeldo! — odezwała się xiężna, — dla czegoż niemasz do tego upoważnić tego walecznego rycerza. Sam stryj twój ciebie za to pochwali.

— Ale xiężna-Ciotka — odpowiedziała zmieszana xiężniczka — ma prawo za mnie mówić.

Nie Gryzeldo, odpowiedź z ust twoich będzie przyjemniejszą dla niego.

Xiężniczka odrzekła z pośpiechem: — Już widzę gospoda, a za nią miasteczko: pozwól xiężno-Ciotko byśmy się tu zatrzymały. Mam chorego którego ratować trzeba, i o niczém inném nie wolno mi myślić.

IX.

Jak tylko zastanowili się u gospody, pierwsze staranie Xiężn i ich dworu było około Pana Ezechiela. Położono go w osobnéj izbie, gdzie oprócz Swiryda ciągle jakiś dworzanin czuwał nad nim. A Pan Kaźmierz rzadko kiedy go odstępował, i to na czas krótki, a nawet kazał sobie posłać obok niego, żeby go nawet w nocy nieodstępować. I Pan Samuel w tejże saméj izbie się ulokował.

W tych czasach rycerskich, burzliwe namiętności karmiły się wrażeniami gwałtownémi. Boje i mordy były zabawą najmilszą szlachetnego rycerza, rabunek był jego przemysłem. Częstokroć okrucieństwo było jego obyczajem, ale z drugiéj strony uczucia szlachetniejsze nie w mniejszym stopniu odzyskiwały swoje prawa. Kodex honoru podawał prawidła ciężkie, surowe, czasem wymagające nadzwyczajnych ofiar, a jednak z największą ścisłością był spełnianym. Miłość, przyjaźń, dotrzymanie słowa raz danego, przybierały cechy jakiéjś exaltacyi bohaterskiéj, która wynagradzała niedostatek tych cnot łagodnych, z których dziś się tak pysznimy. Cnotę uważano być siłą, i nikt niepojmował jéj inaczéj jak tylko udowodnioną przez wielkie ofiary. Występki i cnoty były w olbrzymich rozmiarach. I ta ich równowaga sprawiała to, że chociaż władza nie była dość silną by czuwać skutecznie nad bezpieczeństwem publiczném, wszakże jednak społeczeństwo nie rozprzęgało się, bo u jednych honor, u drugich gorące przekonanie religijne, wydobywały żywioł zachowawczy i opiekuńczy dla ludz-

kości. Nie wynośmy się nad naszych przodków, że za dni naszych wyrobił się jakiś porządek o którym oni nie mieli wyobrażenia, że gościniec publiczny jest bezpieczny, że ostrość prawa, wspartego środkami wykonawczemi, wstrzymują wszystkie wybryki odwagi osobistéj, wszystkie jéj niebezpieczne uniesienia. Nie kładźmy na rachunek ulepszenia moralności społeczeńskiéj to co jedynie wypływa z powiększenia siły rządowéj. Ona jedna dziś zachowuje węzeł społeczny. Mamy jasne dowody przed oczyma, że skoro tylko omdlewa, człowiek spokojny mniéj jeszcze znajdzie bezpieczeństwa, niżeli go znajdywał w tych zeszłych wiekach tak spotwarzonych. Dawniéj, jeżeli jeden rycerz zagrażał mu swoim mieczem, drugi rycerz podawał mu swoją tarczę. Kapłan, zakonnik, umiał często rozbrajać niepożytego rycerza. Bojaźń klątwy kościelnéj zapewniała wyrokom sądowym wykonanie, często skuteczniéj niż te wszystkie środki naglące, dziś tak wydoskonalone.

Że prawa honoru same z siebie były spełniane, chociaż z największém poświęceniem skłonności własnéj, na dowód tego wezmę jeden przykład. Niebyło w Polsce miasta cokolwiek znacznego, żeby w nim niezamieszkało kilku płatnerzy. Ale pancerzów Polskich ciężar utrudzał zwinność obrotów rycerza który nim był okryty, a z drugiéj strony żelazo było tak kruche, że często pękało pod pociskiem kopji nieprzyjaciela. Pancerze i hełmy w Yorku i w Hiszpanii hartowane, były nadzwyczaj cenione; ale były tak drogie, że szlachcic oddając syna do dworu pańskiego, żeby na nim się wtrawił do rzemiosła rycerskiego, rzadko kiedy był dość możnym żeby go opatrzył w rysztunek podobnego hartu; musiał poprzestać młodzieniec na Polskim, pokąd na wojnie niezdobył dla siebie szacowniejszéj zbroi. Wojny z krzyżakami rozpowszechniły te rysztunki w narodzie. Hełm i zbroja zagraniczna była rzeczywistym majątkiem. Rycerz który się na nie zdobył, już był pewnym swojego losu. Dziś kiedy niezliczone massy są rzucone na pobojowisko, cały pułk nie dodaje tyle siły wojsku, ile dawniéj jeden uzbrojony rycerz. A że wedle prawa rycerskiego czy na wojnie, czy w turnieju, czy w pojedyńczym spo-

tkaniu dwóch rycerzy, koń z całkowitym rysztunkiem zwyciężonego, stawał się własnością zwycięzcy, zbroja rycerska była tak powabną, że rycerz podróżujący mógł być pewnym, że podróży swojéj nieodbędzie bez spotkania się z takim który mu z orężem zastąpi drogę. Otoż ile razy zwyciężony zostawał przy życiu, a bez szwanku powstawał z ziemi na którą go rzuciła kopja przeciwnika — ten mu nigdy konia i rysztunku nieodbierał, pozwalał uzbrojonemu odbyć swoją podróż, wyciągając tylko słowo rycerskie, że mu w umówionym miejscu i czasie dostawi zdobycz. Rycerz zwyciężony obwijał żelazce swojéj kopji w chustkę, na znak że mu walczyć nie wolno z nikim pokąd obowiązku niedopełni. I niebyło przykładu żeby niedotrzymał danego słowa, albo żeby jakibądź rycerz na widok żelazca obwiniętego, stanął mu na przeszkodzie. Rycerz ranny był jakby poświęconą osobą: staraniom swojego giermka w pierwszéj gospodzie poruczony, nawet od osobistego nieprzyjaciela nietylko że niedoświadczał napaści, ale owszem wszelkich posług jakich tylko najtkliwsza przyjaźń obmyślić umie. I to prawo musiało być przyrodzone w stanie rycerskim, kiedy nawet Zaporożce, ludzie nieszlachetni, żyjący wyłącznie z rozbojów, nieulegający żadnym przepisom moralnym, za nic w świecie nie odważyliby się rannemu lub choremu rycerzowi krzywdę wyrządzić. Ta troskliwa piecza nad rannymi, tak dalece była w obyczajach ówczesnych, że znajomość ziół leczących, i nauka opatrywania ran, szczególnie wchodziły do wychowania córek wysokich Baronów, Xiążąt i Hrabiów, tak dalece, że niektóre z nich w tym kunszcie do takiéj biegłości doszły, że aż zasłużyły na wzmiankę w historji.

Pozwoliłem sobie ten ustęp, żeby czytelnik się niedziwił że Xiężniczka Siedmiogrodzka, skromna, nieśmiała, wyniosła jako plemie ludami władnące, niewzdrygała się siedzieć obok obnażonego a jéj nieznanego rycerza, chociaż dopiéro nastawał na jéj wolność i może byłby ją obrócił w łup swojego zwycięztwa, żeby nie dzielność czarnego rycerza. W towarzystwie dwóch służebnych niewiast nieszczędziła mu starań, jakichby matka lub siostra większych

obmyślić niemogły. Rączką białą jak alabaster, pulchną jak puch łabędzi, rozcierała mu pierś wonną i zdrowiedawczą tłustością. I kiedy Pan Samuel ujrzał jak mu sama przybliżała do ust balsamiczny napój z ziółek noszących gojące leki, podczas gdy jéj służebne wpół go podniosły, — zwycięzca zazdrościł szczęścia zwyciężonemu.

Pan Ezechiel nieco ocuconym został, i wkrótce oblanemu potem sen twardy skleił powieki.

— Już teraz jestem o niego spokojną — rzekła Gryzelda, — zaręczam że jak się przebudzi, uczuje się pokrzepionym, i mówić zechce; ale właśnie tego mu pozwalać nie trzeba. Tereso, — dodała, obracając się do jednéj z dwóch pokojówek — jak się przebudzi, żeby mnie o tém uwiadomić: dam mu posilające krople, po których już naturze można śmiało poruczyć chorego.

To rzekłszy wróciła do komnaty xiężnéj, żeby odmyć swe ręce, i jéj opowiedzieć dobry skutek użytych przez nią lekarstw.

W saméj rzeczy, Pan Ezechiel przebudziwszy się odzyskał całkowitą przytomność i dopiéro zdołał skupić myśli swoje, by rozebrać to wszystko co się z nim stało. Rozmaite robił zapytania, na które Pan Kaźmierz ani sam odpowiadał, ani Swirydowi odpowiadać pozwalał. Jednak niemógł wstrzymać się od śmiechu, że pierwsze jego słowa były:

— No, ten przeklęty czarny rycerz, czy latawiec, jak go nazwał Pan Assauła, omal mnie przed czasem na tamten świat niewyprawił. A choć jeszcze siedzę w własnéj skórze, niewiem czy mam się z tego cieszyć; bo wedle wszelkiego podobieństwa, musiał zabrać mojego konia, moją zbroję i te trochę grosiwa, co go człowiek był zarobił na Sahajdacznym O! teraz dopiéro żałuję żem go zabił, kiedy już niemam czém otrzeć łez po nim.

— Cicho siedź Waść, — rzekł, przerywając mu mowę Pan Kaźmierz, — bo xiężniczka niepozwala Waści mówić; a o Sędziwosza i tak daléj, bądź spokojny; wszystko to posiadasz coś posiadał przed spotkaniem się z czarnym rycerzem.

— Jaka xiężniczka — wszakże to Assauła Neczaj wspominał o całéj xiężnie. Czy nie czarny rycerz zamienił się w xiężniczkę.

— Cicho — o wszystkiém poźniéj się dowiesz. Spoczywaj sobie Ezechielu, a nie gawędź, bo to bardzo może tobie zaszkodzić. Spieszę dać wiedzieć xiężniczce żeś się obudził, znacznie zdrowszy, kubek w kubek tak jak z góry powiedziała. Obaczysz ją niedługo. Tylko proszę ciebie myśl sobie co chcesz, ale ust nicotwieraj. Swirydzie — o co by cię pan niepytał, nic nie odpowiadaj: ja tak każę — rozumiesz? Pan Ezechiel choć gaduła, jak obaczy że niéma z kim gadać, rad nie rad będzie musiał milczyć — a to właśnie czego nam potrzeba.

Jak przeszedł próg, Pan Ezechiel niewytrzymał, i zaczął różne pytania robić Swirydowi, ale rusin pamiętny na zalecenie pańskiego przyjaciela, zupełnie oniemiał, ba nawet ogłuchł. Bo jak Pan Ezechiel odezwie się do niego, to nawet głowy niezwraca do głosu, tylko w przeciwną stronę patrzy. Nakoniec tak swojego pana zniecierpliwił, że mu powiedział: — At, myślisz że udajesz durnia, a z ciebie i bez udawania największy dureń — i odwrócił się do ściany.

Wkrótce nadeszła xiężniczka ze swojemi służebnemi, a Pan Kaźmierz ją poprzedzał, żeby broń Boże Pan Ezechiel niepokazał się przed nią nieprzyzwoicie. Xiężniczka trzymała w ręku flaszeczkę z kroplami i łyżeczką. Jak ją obaczył Pan Ezechiel przy łóżku swoim, otworzył wielkie oczy, czas jakiś jakby odurzony, niewiedząc czy jest obudzony, czy we śnie. Sparł się na ręku i trochę się podniósł, chciał coś przemówić, jeno że słowa mu się plątały w gębie.

— Rycerzu — rzekła Gryzelda pieściwym i srebrzystym głosem, — mówić ci nie wolno, ale téj cierpliwości żałować nie będziesz — i kilka kropel wlawszy w łyżeczkę, podała mu je do połknienia. Rycerz spełnił jéj zalecenie, ale jéj saméj z oka niespuścił.

— Rycerzu — zapytała go — czy bolu nie czujesz?

— Dopiéro czułem trochę bolu w piersiach, ale jak na panią spójrzałem, jak by ręką odjęło.

Gryzelda nie mogła wstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Przepraszam Waszą Wysokość za mojego przyjaciela, — odezwał się Pan Kaźmierz, — niewiekim pani jesteś i dla tego nieco za-panie-brat do niéj się odzywa. Milcz Waść Panie Ezechielu, tém i na zdrowiu zyskasz, i z żadném głupstwem się nie wyrwiesz.

Pan Ezechiel nic nie rozumiał co się z nim dzieje, tylko oczy swoje obracał we wszystkie strony.

— Rycerzu — odezwała się xiężniczka, — nad moją nadzieję twoja kuracya się powiodła, jeżeli zechcesz posilić się, już jest dla ciebie wszystko przygotowane — i témi słowy pożegnała chorego.

— Panie Kaźmierzu, Panie Kaźmierzu — wyrzekł półcichym głosem Pan Ezechiel: — otoż jest, stał jakby na szpilkach i uciekł. *Wasza Wysokość* — to cóś musi być niepospolitego... Aha, przypominam sobie: to jest żona Despoty Rascyi. Tylko nie, tak młodéj i pięknéj żony Pan Despota niepuszczał by bez siebie na pielgrzymkę. Potém cóś jest w niéj takiego, że przysiądz można że to dziewica: ale jaka — w tém sęk. Swirydzie, Swirydzie, obróć no głowę przynajmniéj... Czy ty durniu oszalał? Gadajże z nim — istny bałwan. Oj, żebym mógł wstać, dałbym tobie głuchego udawać... Przybliż się synu, niech cię popieszczę... Sto djabłów byś zjadł, doigrasz się ze mną... Swirydzie, duszo moja, powiedz mi tylko kto to taki ta wysoka pani, i gdzie się podział ten czarny rycerz, z którym mi się tak haniebnie powiodło. No i czegoż milczysz; wszak to ja twój pan a nie Pan Kaźmierz. Powiedz przynajmniéj czy to człowiek, czy latawiec; jużci jak się o tém dowiem, to mojemu zdrowiu nie zaszkodzi. Nie bądź głupim, a odpowiedz: daję tobie słowo rycerskie że jeżeli odpowiesz, sprawię tobie safjanowe czerwone bóty... O chamie przeklęty, będziesz tego długo pamiętał: poznasz ty się z tylcem mojéj kopji. Żebyś ty na całe życie ogłuchł i oniemiał. A to ruśniacka natura: uparty jak kozioł... At, ktoby tam z tobą chciał gadać... Jednak żeby się mnie było udało, toby i ta piękna wysokość była by moją. Ale to być niemogło: to była sprawa z djabłami, a nie z ludźmi. Ten

rycerz czarny, wyraźny latawiec. A kto wié czy i ta xiężna czy xiężniczka nie jest stara czarownica Ja z rąk jéj przyjmuję lekarstwo jak poczciwy człowiek, a może się na tém skończy, że mnie przemieni w capa, albo w osła: nic by nie brakowało jak to. Żeby nie czary, tobym tak prędkiéj odprawy niedostał. Odkąd się bawię kopją i szabelką, nic podobnego mnie nie spotkało. Otoż to chęć popisania się przed tymi chamami z Zaporoża. I po co mi było się napierać: a niemogę nikogo winić, bo dobrze pamiętam jak Pan Kaźmierz na mnie krzyczał, żebym poszedł nazad, tylko udawałem że nie słyszę. Wolałbym jego puścić: on papieżnik, umie się żegnać od djabłów.

To co przytaczam, w części mowił głośno, w części powtarzał w myśli: pokilkakrotnie jeszcze próbował zmiękczyć Swiryda; nie było sposobu z upartym sługą zawiązać rozmowy: rad nie rad zaniechał go; a nie mając do kogo mówić, dowoli przestał i myślić, i na nowe zasnął.

W przeciwległéj izbie xiężna, xiężniczka i Pan Samuel z sobą rozmawiali.

— Xiężna-Ciotko — rzekła Gryzelda — jutro możemy śmiało ztąd wyruszyć, by jak najprędzéj dostać się do ojczyzny naszéj. Mój chory przystępuje do zdrowia nad wszelką nadzieję. Jeszcze jego stan wymaga kilku dni spoczynku; ale możemy śmiało go zostawić pod pieczą jego giermka, który jak uważałam wiernie i troskliwie usługuje panu swojemu. Żadnych już lekarstw niepotrzebuje. A xiężnie-ciotce wiadomo, że jéj mąż teraz znajdujący się w Hermanstadzie, z niemniejszą od xięcia mojego stryja niecierpliwością nas oczekiwać musi.

— To już dostojną xiężniczkę — rzekł Pan Samuel — kraj nasz tak dalece znudził, że każdą chwilę którą w nim przepędza ma za straconą.

— I owszem rycerzu, kraj ten jest tak piękny, tak wesoły, że można by pozazdrościć szczęścia tym, których przeznaczenie w nim każe mieszkać. Ale kraj choć piękny, nie własny. Wszystkie moje uczucia wiążą mnie do Siedmiogrodzkiéj ziemi: bo ta ziemia jest moją ojczyzną.

— My będąc z rodu xiążąt, — odezwała się Xiężna Ra-

scyi — ojczyzny nie mamy: musimy być zawsze przygotowane do opuszczenia nazawsze rodzinnego kraju. Ojczyzna tych co nam Opatrzność przeznacza na mężów, jest naszą prawdziwą ojczyzną: a do téj gdzieśmy się rodziły, przywiązywać się nie warto; bo kiedyś o niéj trzeba będzie zapomnieć.

— Ach xiężna-ciotko — ja nigdy nie zapomnę Siedmiogrodza: tam ujrzałam słońce, tam przepędziłam szczęśliwe lata mojego dzieciństwa; daj Boże, bym tam zamknęła moje powieki.

— Jakie z ciebie dziecko, moja Gryzeldo. Jużci na Siedmiogrodzu dni swoich nie skończysz, ani ci na nim dadzą zestarzeć. Musisz kiedyś, i to może niezadługo, zostać Niemką, albo Węgierką, albo Polką.

— Czy Polska tak szczęśliwą — rzekł Pan Samuel — żeby synowica Xięcia Siedmiogrodzkiego mogła zostać jéj obywatelką? Zapewne Xiążę Stefan wyższego pragnie przeznaczenia dla krwi swojéj?

— I owszem — odparła xiężna. — Jużem ci mówiła, że Xiąże Stefan bardzo lubi waszą Polskę, i często o niéj wspomina. Razu jednego w mojéj przytomności długo rozmawiał z Panem Zamojskim o waszych ustawach, i unosił się nad ich mądrością, aż nakoniec powiedział, że niéma na świecie tronu który by był dla niego równie powabnym jak wasz Polski. Jeszcze to wtedy Hrabia Buchowy poseł Cesarski z tém się odezwał, iż to co xiążę mówi wielce go zadziwia, bo w Polsce Król jest tylko malowany a nie rzeczywisty; a Xiążę Stefan odrzekł: — Każdy Król Polski będzie miał dość władzy, jeżeli tylko zasłuży na ufność narodu. — A potém kiedy został sam z nami, zgadało się o postanowieniu jego synowców i synowicy. Otoż on przedemną wymówił się, że gdyby to od niego zależało, wolałby widzieć Gryzeldę żoną Pana Polskiego, niż Xiążęcia Niemieckiego...

W téj chwili dał się słyszeć głos drumel i bębenków: xiężne przybliżyły się do okna i obaczyły cyganów pokolenie, które zatrzymało się przed gospodą. Na widok pań, kilku z nich zaczęło tańcować, a jedna stara cyganka ode-

zwała się z po za okna: — Jeżeli panie pozwolą, będę wam wróżyła.

Xiężna Rascyi obracając się do xiężniczki i rycerza rzekła śmiejąc się: — A wybornie — możemy się dowiedzieć o naszém przeznaczeniu, chociaż jak dla mnie nic ciekawego przyszłość nie odkryje, bo już mój los jest utwierdzony; ale ty Gryzeldo masz jeszcze tyle lat przed sobą, że twoja ciekawość może być pobudzoną; a ty rycerzu czy byś nieżyczył czegoś się dowiedzieć o swojéj przyszłości?

— Moja przyszłość — odpowiedział rycerz, — od jednéj tylko osoby zależy, a co się jéj nie tyczy, jest dla mnie obojętném.

— Gryzeldo, każ wnijść téj staruszce, nabawimy się jéj wróżbami.

— Xiężna-Ciotka wiesz dobrze, że u nas nierzadka rzecz cyganów spotkać, i że niéma cyganki któraby się niechwaliła że umie czytać w przyszłości. A zawsze pokazuje się że pomyślność lub niechęć losu, są w stosunku większego lub mniejszego datku, co go spodziewa się otrzymać.

— Nie mów tego Gryzeldo; bywają czasem cyganki bardzo biegłe w téj tajemniczéj sztuce. I mam tego przykład w domu własnym. Mój mąż był trzecim synowcem Despoty Rascyi, który miał dwóch synów własnych; wtedy żył jeszcze jego ojciec: niebyło podobieństwa żeby kiedykolwiek mógł wyjść ze stanu poddaństwa — a jednak jedna cyganka z nadbrzeża Dunaju, wywróżyła mu że z kolei będzie panował w ojczyznie swojéj. Jak o téj wróżbie dowiedziano się w Belgradzie, mój mąż został przedmiotem niechęci swojego stryja, który go odtąd nigdy niechciał widzieć na swoim dworze, i ciągle go wysyłał na przeciwko Turków. Przez lat siedm, można powiedzieć że nie zdejmował pancerza: niebyło dnia w którym by niemógł być zabitym, a synowie Despoty byli chowani spokojnie, i wszystko czuwało nad ich bezpieczeństwem. A jednak niemożna było oszukać losu. Despota przeżył synów swoich, i z goryczą w sercu musiał odkazać państwo bratu. Potém starsi bracia mojego męża skończyli życie: jeden z nich utonął na przeprawie Dunaju, drugi umarł z morowego powietrza

w Carogrodzie, a kołpak panujący nie ominął tego, któremu był przeznaczony. — Zaraz dowiémy się czy ta stara cyganka jest prawdziwą wróżką, czy bałamutką: bo musi od tego zacząć, że zgadnie co my za jedne jesteśmy.

— Niby od ludzi naszych o tém się niemogła dowiedzieć.

— Nie Gryzeldo, moja usługa ma rozkaz nas przed nikim niewymieniać: a ty wiesz jak moje Serby są posłuszni i do mnie przywiązani. Lękaj się teraz rycerzu, który ciągle upierasz się taić przed nami twoje nazwisko, nawet twój stan, żeby twoja tajemnica nie została zdradzoną. — I nieczekając odpowiedzi, wesoła xiężna kazała wprowadzić cygankę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — od tego zaczęła cyganka stanąwszy na progu, wedle obyczaju cyganów, stosując się powierzchownie do Religii każdego narodu u którego goszczą.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli wszyscy.

— Cyganko — rzekła xiężna — chwaliłaś się że z ciebie wróżka, wróż-że nam, i odemnie zaczynaj.

Cyganka wlepiła wzrok swój w oczy xiężnéj, i chwil kilka została w milczeniu; potém wzięła ją za rękę i w dłoni zdawała się czytać; nakoniec odezwała się témi słowy: — Urodziłaś się na brzegach rzeki najbystrzejszéj w świecie; w niéj piasek ze złotem jest pomięszany. Ojciec twój nosił kitę, na któréj widok liczny naród padał czołem o ziemię. On ciebie nad wszystkie swoje dzieci pieścił i nazywał swoim gołąbkiem. A kiedy was zostawił sieroty, tyś dziesięć dni i dziesięć nocy po nim płakała. Potém gołąbek niewinny i cichy dostał się sokołowi, który szponami rozdzierał to wszystko co niemi uchwycił. I zaniósł ciebie w swoje łożysko, ale ty wkrótce sokoła zamieniłaś w gołębia, że tylko wtedy jest sokołem kiedy na wrogów napada. Kiedy sokół z twojemi sokolętami ostatni raz polował na stado jastrzębi, żeby ich zaprawić, tyś klęcząc szlubowała Bożéj Rodzicy, że jeżeli ona ich wyprowadzi ze sławą i wróci ich w twoje objęcia — Jéj podziękujesz w świętém miejscu, ale daleko od twojéj ziemi. Sokół zwycięzki sam

ciebie do niéj wyprawił: a choć ci dodał doświadczonych wojowników, nieprędko by się z tobą obaczył, gdyby obcy rycerz was niezasłonił od wielkiego niebezpieczeństwa. Teraz wracasz szczęśliwie do męża i dziatek, a jak powrócisz, to...

— Dość, dość — krzyknęła xiężna. — A to osobliwsza kobieta, wszystko tak wie jakby mnie od mojego urodzenia o krok nieodstąpiła. Niechcę żebyś mnie o mojéj przyszłości mówiła: masz stara — i kilka sztuk złota jéj rzuciła; — teraz wróż mojéj téj służącéj, — rzekła pokazując na Gryzeldę.

— Ale na cóż mnie?

— Cicho dziecko: ani słowa, ja koniecznie chcę wiedzieć, co ona na twojéj dłoni wyczyta.

Gryzelda rada-nie-rada oddała rękę białą nie bez jakiegoś wstrętu, rękom śniadym i pomarszczonym szkaradnéj baby. Baba zadumawszy się trochę, rzekła śmiejąc się:

— Żadna Królewna podobną sługą pochwalić się nie może, a nie jeden Królewic chciałby owszem sam jéj służyć. I ona jest z cudzéj ziemi, chociaż nie z téj skąd przybyła ta, co się nazwała jéj panią. A jednak one obiedwie są sobie bliskie. To jest sierota, ale nie biedna — bogaty opiekun o niéj pamięta jak o własném dziecku, i nie ma nic bliższego swojéj krwi i swojego serca. Jéj opiekun jest panem i rozkazuje ludom, ale niezadługo będzie jednym z największych Królów, Królestwo swoje rozszerzy, i od morza do morza każdy mu będzie posłusznym. A kiedy wielki Aldebaran przywoła go do siebie, to po nim z poczciwych oczów więcéj łez się wyleje, niż Prut przez jeden rok dostarcza wody Dunajowi. On teraz często z okna swojego zamku patrzy na gościniec, azalić wychowanka nie powraca. Ty tęsknisz czasem za górami, między któremi się rodziłaś, a jednak z temi płaskiemi polami nie na długo się rozstajesz. Wkrótce do nich powrócisz, żeby już ich aż do śmierci nie opuścić. Ty jesteś piękna i można — z takiego rodu, gdzie nie wola własna ale rozsądek opiekunów wybiera męża. I ty pójdziesz za tego, za którego tobie iść każą. A jednak twój mąż niebędzie ani Królewicem, ani xięciem, ani nawet

hrabią: będzie tylko prostym szlachcicem, ale najpierwszym w radzie i na wojnie, i wszyscy o nim mówić będą że mądry i śmiały. Za jego sprawą jego naród zarówno rozszerzy się zewnątrz potęgą, a u siebie swobodą, i nią będzie się cieszył pod błogosławieństwem Bożém, pokąd zapatrując się na obce kraje sam jéj sobie niezbrzydzi. Twój mąż wyniesie szlachectwo nad wszystkie zaszczyty: i że mitrą wzgardzi, Bóg mu to wynagrodzi, bo panujących liczyć będzie między swoimi jeńcami.

— A wiesz Gryzeldo — rzekła xiężna — jeżeli nie radujesz się z takiéj wróżby, to już niewiem czém tobie dogodzić można. Masz za to staruszko, a teraz wywróż co temu rycerzowi, który do naszego orszaku należy.

Cyganka po takich samych przedwstępach a nieco po dłuższém namyśleniu, odezwała się głęboko westchnąwszy:

— Jesteś szlachcic z wysokiego rodu, posiadasz zamki, sioła, przyjaciół, ale najwięcéj dufasz swojéj kopji i temu mieczowi, co go nosisz przy lewym boku, a którym władasz jak piórkiem, chociaż on jest tak ciężkim, że w twoim narodzie nawet, nie wiele takich coby go podźwignąć mogli. Jednak znajdzie się na ciebie miecz jeszcze nierównie cięższy, który koniec położy wyniosłości twojego rodu. Władasz narodem licznym, i na głos twój nieprzeliczone piki się jeżą nad łbami koni, i ćmy zakrzywionych pałaszów z pochew wyskakują by wszędzie nosić śmierć i postrach. Nigdy cudze żelazo niewysączyło ani kropelki twojéj szlachetnéj krwi, i będziesz zawsze szczęśliwym w boju, aż póki od jednego cięcia całkowita twoja krew się nie wytoczy. Przebacz rycerzu że ci tak niepomyślną wróżbę objawiam.

— I owszem — rzekł rycerz, rzucając jéj kilka sztuk złota, — bynajmniéj twoich słów nie biorę za smutną wrożbę. Od dzieciństwa poświęcony rycerskiemu rzemiosłu, zawsze szukałem śmierci walecznych, zostawując innym roskosz oczekiwać starości w rodzinném gnieździe. Wielce mnie cieszy obietnica twoja, że nie mam powodu lękania się obłożnéj niemocy, kiedy mnie jest przeznaczono umierać od miecza. Jednak ciekawy byłbym widzieć ten miecz

który ma mnie pokonać, a który nierównie jest cięższym od mojego, chyba z olbrzymem wypadnie mi się potykać. Zgoda, ja i przed olbrzymem kroku nie cofnę. Będę probował szczęścia pomimo nieprzychylnéj wróżby: dzielność może przeważyć przeznaczenie. A jeżeli to przeznaczenie ma się koniecznie ziścić, będzie to śmierć nadzwyczajna, a tém samém godna prawdziwego rycerza. Nie tylko że twoja wieszczba nie oziębi mnie w przedsięwziętym zawodzie, ale rozżarza dumę moją, że chyba cóś nadludzkiego pożyć mnie zdoła.

— Może pan pozwolisz żebym mu daléj wróżyła o jego myślach i o skutku jaki one otrzymać mogą?

— Nie staruszko, o tém wiedzieć niechcę. Mówiłaś mnie o śmierci, i ta zawsze była dla mnie obojętną. Są inne rzeczy do których nieco więcéj wagi przykładam: a wolę żeby te były powłoką pokryte, niż rozjaśnione przedemną. Myśl moja obrócona do jednego tylko przedmiotu, nie jest już zdolną do innego się odwracać. Ale jeżeli z tą myślą zespoliło się moje jestestwo, nikomu, ani nawet tobie, niewolno igraszkę sobie robić z moich uczuć. Nie w twojéj mocy mnie od nich odłączyć, chociaż by tego domagało się moje przeznaczenie. Nawet utrata wszelkiéj nadziei tego by odemnie otrzymać nie mogła. A wolę zostawać w niepewności niż bez nadziei.

Odprawiono cygankę, a pozostali goście długo jeszcze o tém rozmawiali. Xiężna Rascyi, prawdziwa Serbianka, niemałą przykładała wiarę w rzeczach tajemniczych. Pan Samuel, jak wszyscy rycerze ówcześni, miał wielką skłonność do zabobonów, jedna tylko Gryzelda pozwalała sobie żartować z tych opłacanych proroctw, i to co jéj ciotka mówiła o trafności z jaką odgadła kim one były, nietrafiało do jéj przekonania.

— Ciotko-xiężno — rzekła, — jéj towarzysze wszędzie się wciskają, i mogą łatwo wiedzieć to wszystko, co słudzy nasi wiedzą. Z dość licznym dworem jedziemy, by wszędzie pobudzać ciekawość; jakimże cudem mogłybyśmy uchodzić za coś innego, niż za to czém jesteśmy w istocie. A co się tyczy szczegółów przeszłości Xiężnéj-Ciotki, komuż one

mogą być tajne za Karpackiemi górami i za Dniestrem — tém mniéj Cyganom, ciągle wędrującym po Węgrzech, Polsce i Wołoszczyznie.

— Niewierny Tomaszek z ciebie moja Gryzeldo, ale z wiekiem przekonasz się, że tych przepowiedni lekce ważyć nie można. Często bez wątpienia kuglarstwo przybiera kłamaną barwę téj tajemniczéj nauki — ale żeby ona nie istniała, na to niepozwolę. Chciałabym ciebie widzieć w naszéj Serbii: bo to jest ziemia wróżek i wróżbitów, i to od najdawniejszych czasów. Dioklecian był ubogim Serbem, a jedna wróżka obiecała mu panowanie nad całym światem, i ta obietnica się ziściła. Ja wszystkiemu wierzę, co nam ta cyganka powiedziała. Niewątpię że twój stryj będzie Królem, że ty będziesz w Polsce Hetmanową lub Wojewodziną. To mnie tylko nieco zasmuca, że nasz obrońca ma poledz od miecza; wszakże to mnie pociesza, że niepowiedziała, by to rychło nastąpić miało. Może to się dopiéro zdarzy w jego podeszłéj starości. A że każdy kiedyś skończyć musi, mniejsza o to jakim sposobem.

— Przyznam się xiężnie, że jeżeli dłoń nieprzyjaciela ma mnie pokonać, wtedy dopiéro, kiedy moja już zacznie być niezdolną do władania orężem, sam siebie przeżywszy niemiałbym powodu siebie żałować. A wprzódy niespodziewam się być zwyciężonym.

— Więc my wszyscy powinniśmy być kontenci z cyganki. A co do mnie, choć niechciałam wiedzieć o mojéj przyszłości, cieszę się że mojéj Gryzeldy przeznaczenie jest pomyślne; a obok tego że zgadłam że ty rycerzu jesteś mężem równie znakomitym z przodków swoich, jak i z własnéj dzielności. Spodziewam się, że teraz już niebędziesz taił przedemną swojego nazwiska.

— Xiężna-Ciotka pozwoli — odezwała się z pośpiechem Gryzelda, — bym nawiedziła mojego chorego: trzeba go postawić w takim stanie, żeby się już mógł bez nas obejść; a my jak najrychléj dostać się do brzegów Dniestru. Bo z tych wszystkich przepowiedni Cyganki, jedna tylko mnie obchodzi, bo tylko téj jednéj wierzę, że xiąże mój stryj i mój pan z niecierpliwością oczekuje naszego powrotu. — I

wyszła do pokoju swoich kobiet. Pan Samuel i Xiężna Rascyi sam na sam zostali.

— Rycerzu — zaczęła xiężna, — ja od swojego nieodstąpię, musisz koniecznie wyznać swoje nazwisko.

— Zgoda xiężno pani, ale ostrzegam że nieumiém mojéj ufności drobić na części. Jeżeli xiężna wymożesz odemnie bym przed nią odkrył moje nazwisko, tém poniekąd nadasz mnie prawo obrać ją za powiernicę, dla któréj z mojéj strony już nic tajnego nie pozostanie. Bo jużci wolno mi będzie wierzyć, że to żądanie tak wysokiéj pani, nie pochodzi z próżnéj ciekawości, ale chęci być mnie pomocną. A wątpię, byś xiężna rada była przyjąć ciężar wszystkich moich powierzeń.

— I owszem. Nadto wiele czuję dla ciebie wdzięczności. żebym niechciała być twoją przyjaciółką. Wszakże, gdy się zabierasz wszystkie myśli twoje wynurzać przedemną, od swojego nazwiska winieneś zaczynać. Bo albo się bardzo mylę, albo od niego będzie zależała pomoc któréj odemnie żądasz, lub też niemożność być tobie pomocną.

— Po takiéj zachęcie, byłbym najnierozsądniejszym z ludzi żebym miał cokolwiek tajnego dla dostojnéj xiężnéj. Pod dwóma nazwiskami mnie znają: jedno jest przybrane, drugie odziedziczyłem po przodkach moich. Za Dnieprem jestem Samuchą, Hetmanem Zaporozkim — w Polsce jestem Samuelem Zborowskim, najmłódszym synem ostatniego Kasztelana Krakowskiego.

— Jakto, ten sławny Samucha, co tłumy pierzchających Tatarów zapędził aż na południowy brzeg Krymu, który Hana do haniebnego rozejmu zmusił, i ten Samuel Zborowski, ów przestrach rycerzów mieczowych, ów zwycięzca na wszystkich turniejach, którego ręki nigdy kopja nie zawiodła, jest jedna i ta sama osoba teraz przedemną stojąca! Teraz dopiéro przestaję się dziwić, żeś tak łatwe odnosił zwycięztwa dla nas i w naszéj przytomności. Masz moją rękę rycerzu, na znak, że ci we wszystkiém pomoc przyrzekam.

— Ach xiężno — rzekł Pan Samuel przyklęknąwszy: — los, szczęście, istnienie, chętnie powierzam tobie. Tajemnica

serca mojego mnie cięży, a jednak czuję że nigdy nieodważę się jéj wyjawić przed panią.

— I niemasz potrzeby jéj wyjawić, bo ona nie jest dla mnie tajemnicą.

— I xiężna pani by mogła....

— Mało znasz kobiety, jeżeli myślisz że uczucie miłości może się dać utaić, zwłaszcza przed taką, która już jest matką dorosłych dzieci. Ty kochasz Gryzeldę — nieprawda?

— Tak jest, kocham ją, i to jest właśnie przyczyna mojéj rozpaczy.

— Dla czego? Ród Zborowskich nie tyle jest niższym od rodu Batorych, byś aż obraził Xięcia Siedmiogrodzkiego, oczy podnosząc na jego krew. Jesteś możnym, sławnym, młodym, Królów obierasz, sam do korony się urodziłeś, czemu byś miał wzbraniać przystępu wyniosłym nadziejom czy to potęgi, czy to miłości. Wszystko masz przed sobą. Jestem ciotką Gryzeldy, niemam córki, ją miłuję jakbym własnéj więcéj nie miłowała; a jednak nad ciebie lepszego życzyć jéj nie mogę.

— Ale czy xiężniczka bez urażenia się przeniknęła uczucia moje, powiedz pani, czy mogę mieć z jéj strony jakąśkolwiek nadzieję?

— Na to rycerzu odpowiedzieć tobie nie umiem, bo my kobiety jesteśmy nierównie trudniejszemi do odgadnienia, niż wy. Jednak nie myślę by ciebie miała za zupełnie obcego, bo nigdy o tobie ze mną niechce mówić. I nadto usiłuje pokazać siebie obojętną, by nią była rzeczywiście. Ale to są wszystko domysły, a na czémś pewniejszém niż pomysły opierają się moje nadzieje dla ciebie.

— Powiedz pani na czém?

— Czy niesłyszałeś jak cyganka jéj wróżyła, że szlachcic Polski będzie jéj małżonkiem?

Rycerz gorzko się uśmiechnął.

— Dostojna xiężno — rzekł, — gdybym cień skłonności dla mnie przeniknął w xiężniczce, więcéj bym na nim polegał, niż na tych wszystkich przepowiedniach.

— I wielce byś się omylił. Ja znam nadto Gryzeldę, żebym miała podzielać twe zdanie. Wyobrazić sobie niemożesz

jaką cześć ona ma dla swojego stryja i opiekuna, a téj cześci najgwałtowniejsza skłonność serca nigdy nie przeważy. Serce nie jest podwładne woli, ale to pewna że Gryzelda temu tylko powie że go kocha, który od Xięcia Stefana otrzyma pozwolenie być kochanym. Licz na moją przyjaźń Samuelu, ale jeżeli pragniesz by ta przyjaźń była dla ciebie skuteczną, ślepo słuchaj rad moich.

— Ach xiężno! czy możesz wątpić o moim posłuszeństwie. Kim że jestem, czémże zasłużyć mogłem na podobne wsparcie? Mów: każde słowo twoje odtąd stanie się dla mnie wyrocznią. Mów co mi czynić wypada: mamli ja odkryć przed xiężniczką moje płomienie; mamli owszem taić przed nią uczucia które przepełniają serce moje?

— Samuelu, aż nadto widocznie okazujesz jéj twoją miłość i nie jesteś w stanie jéj nie okazywać: każdy krok twój, każde poruszenie zdradza ciebie, wszakże wolno Gryzeldzie tego niewiedzieć. Ale gdybyś jéj się odważył wyznać swoją miłość, nie otrzymawszy upoważnienia jéj stryja, obraziłbyś ją do tego stopnia, że choćby nawet podzielała twoje uczucia, na zawsze zerwałaby z tobą wszelkie stosunki. Jéj duma jest równa jéj dobroci, a téj dumy nikt bezkarnie nieobrazi. Musiałeś zauważyć z jakim pośpiechem nas opuściła, skoro usłyszała że się domagam od ciebie twojego nazwiska. Niebyłaby kobietą, żeby niebyła ciekawą, a jednak jak umiała sobą władać.

— A więc los rzucony; do samego Hermansztadu będę xiężnom towarzyszył. Tam dam się poznać Xięciu Stefanowi, tam będę go błagał żeby mnie powiedział czém zasłużyć zdołam na rękę jego synowicy; bo czuję, że nie ma przedsięwzięcia któregobym nieuskutecznił dla tak wielkiéj nagrody.

— Nie znasz Xięcia Stefana, jeżeli myślisz że na jego przychylność możesz teraz zasłużyć gdzie indziéj niż w Polsce. Gdybyś się przed nim pokazał, zadziwił by się że potomek tak zacnego rodu, może o czém inném myślić, oprócz o niéj jednéj, w czasie kiedy jeszcze jéj losy się ważą. Kres twojéj podróży jest nad brzegiem Dniestru, gdzie nas oczekują wysłani na nasze spotkanie wojownicy z Serbii, Sied-

miogrodza i Wołoszczyzny. Tam nas musisz pożegnać i tam iść, gdzie każe honor i ojczyzna.

Tu przerwała jéj mowę xiężniczka wracająca od chorego.

— Xiężno-ciotko — rzekła, — wszystko najlepiéj idzie. Rycerz już odzyskuje siły, tak dalece, że mu już pozwalam mówić. Możemy śmiało go opuścić, i jutro ztąd wyruszyć. Już rycerz lekarstw nie potrzebuje: kilka dni spoczynku jeszcze, a tuszę że będzie mógł siąść na konia i na nowo władać kopją. — Daj Boże aby tylko w obronie niewinności, a nie w napastowaniu spokojnie wędrujących. Ty rycerzu szlachetny, który jego zwyciężywszy, raczyłeś nim się opiekować, rozporządź jego losem, pokąd po przeprowadzeniu nas do Dniestru, nie złączysz się z nim na nowo.

Rycerz się skłonił i wyszedł spiesznie żeby spełnić rozkaz xiężniczki.

X.

Pan Samuel wyszedłszy za próg spotkał Pana Kaźmierza, który właśnie za sobą zamykał drzwi izby, gdzie leżał Pan Ezechiel. Przybliżył się do swojego pana, i powiedział:

— Wie Pan, że to cudowna pani ta Xiężniczka Siedmiogrodzka. Oto żona dla rycerza; pewnie idąc na wyprawę, w domu jéj nie zostawi. Wszak po ostatnich kroplach, co je dała Ezechielowi, tak mu się zrobiło rzesko, że napierał się by mu pozwolono wstać z łóżka i pójść pobawić się ze swoim Sędziwoszem. Wszakże dał siebie przekonać że bezpieczniéj jeszcze parę dni poleżeć. Zresztą niebardzo pewny swoich nóg, ale przynajmniéj je dobrze, bo dopiéro całą misę rosołu wypróżnił. A państwo co też z sobą uradzili?

— Jutro wyruszymy ku Dniestrowi, a ciebie zostawię przy Ezechielu, aż do mojego powrotu. Ja chciałem je odprowadzić aż do stolicy Siedmiogrodza, ale Xiężna Rascyi dla któréj już niema nic tajnego w sercu mojém, a która wzięła mnie w opiekę swoją — postanowiła żebym je koniecznie pożegnał nad Dniestrem, a powracał do swoich.

— A widzi pan jaka to mądra kobieta. Ot, na moje wychodzi. Służ poczciwie krajowi, a resztę otrzymasz w naddatku, bo kto służy krajowi, ten służy Bogu. Z tém wszystkiem ja pana aż do Dniestru nieodstąpię, bo ja wiém że jak rozstaniesz się z swoją Xiężniczką, to zwłaszcza w pierwszych chwilach wierny sługa i przyjaciel niebędzie zbytkowym towarem. Ezechiel ma Swiryda, a pan możesz

mu jeszcze zostawić swojego bandurzystę, żeby go bawił, jak Swiryd pójdzie koniom usługiwać.

— Dobrze mój poczciwy Kaźmierzu, rozporządź wszystkiém jak ci się podoba. A tym czasem podzielaj szczęście moje. Wiedz że Xiężna Rascyi robi mnie wielką nadzieję, że jak przybędę do Siedmiogrodu, rozumie się po uspokojeniu naszéj Polski, zwłaszcza jeżeli mnie się uda do tego się przyczynić, to może otrzymam piękną Gryzeldę z rąk jéj stryja, który nie jest od tego by ją widzieć osadowioną w Polsce.

— Znowu na moje wychodzi. Bo to zapędzać się za Xiężniczką samopas, niepoznanemu od nikogo walczyć na turniejach, wszystkich zwyciężać, wzniecać miłość odpowiednią swojéj w sercu kochanki, a potém wreszcie ją wykraść i kopją powalić pogoń — to wszystko bardzo piękne w powieściach któremi baby dzieci usypiają, albo w piosenkach co to je nasz bandurzysta secinami sypie. Ale w rzeczywistości, te rzeczy odbywają się zupełnie w inszym porządku. Z ludźmi postępuje się po ludzku, z panami po pańsku. Da Bóg że zajedziem do Hermansztadu nie manowcami ale wielkim gościńcem, z licznym dworem, zwyczajnie tak jak robił jego ojciec i dziad. Ale cóż ja sługa niemam takiéj wraźliwéj wymówy, jak Xiężna Rascyi. Niech będzie Bogu chwała żeś się panie opamiętał. A więc na tém stanęło że jutro puszczamy się ku Dniestrowi, a Ezechielowi zostawujemy bandurzystę. Jeszcze dni kilka, a już nieborak będzie mógł siąść na konia; jeszcze go trochę kości bolą, ale nie tyle ile wstyd że mu pan tak prędko dałeś radę. Bo już wie odemnie z kim miał do czynienia. Jak będziemy tędy powracać, zabierzemy go z sobą do Siczy. Niech pan ze mną pójdzie teraz do Ezechiela i jemu jakie dobre słowo powie; bo on ma na sercu swoję niepowodzenie.

— Chętnie, mój Kaźmierzu. Nie spodziewam się by się miał na mnie urażać. Być zwyciężonym od Samuela Zborowskiego, nie przynosi hańby pasowanemu rycerzowi. Tuszę nawet że pamięć naszego spotkania, będzie mu zawsze

droga. Chcę go przywiązać do mojéj osoby, a tém samém może być już spokojnym o los swój. Wnijdźmy.

Jak Pan Ezechiel obaczył Pana Samuela, podniósł się na swojéj pościeli na znak uszanowania. Pan Samuel siadł na krawędzi jego łóżka, wziął go za rękę i rzekł do niego:

— Ezechielu, spodziewam się że niemasz żalu że z mojego powodu trochę wyleżałeś się na pościeli. Nie ja na ciebie, ale ty na mnie wystąpiłeś z orężem. Prędzéj bym się śmierci spodziewał, niż spotkania z podniesioną kopją Ezechiela Zdory. Nie masz się z czego smucić że ci się niepowiodło; co tobie dziś, mnie jutro; zwyczajnie rycerski zawód. Wszakże wszędzie wyznam, że nigdy niemiałem do czynienia z waleczniejszym i dzielniejszym rycerzem.

— Dziękuję panu za te chlubne świadectwo, tém więcéj że mi je daje dobre serce pańskie i nic więcéj. Bo ja sam znam, że tak prędko było po wszystkiemu, że pan niemiałeś czasu przekonać się o mojéj dzielności.

— Czyż to my dopiéro się poznali! Wszakżem cię widywał w Inflanckich i Połockich potrzebach. Czy jeden wawrzyn zdobyłeś w przytomności mojéj? Bądź pewny Ezechielu że zwycięztwo nie zawsze dowodzi wyższości przeciwnika. Bywają chwile szczęścia i nieszczęścia, którym nic się oprzeć niezdoła.

— Pan mnie jak możesz pocieszasz. Ale pozwól popłakać na swoją biedę. Bo gdyby to człowiek choć trochę pokrzyżował broń, żeby się przynajmniéj poważyło, niebyłoby żalu, ale od pierwszego pchnięcia zlecieć z konia, i to w przytomności tych Zaporożców, co to się przed kilku dniami tak popisali z Tatarami, a którym chciałem dać o sobie wysokie wyobrażenie, przyznam się panu że to dla mnie taki deszkiept, że już mi się ani pokazać w Zaporożu. Odkąd żyję, nawet nim dosłużyłem się hartowanéj zagranicą zbroi, nic podobnego mi się niezdarzyło. Czy ta kopja pańska zaczarowana, czy jaki djabeł?

— Nie Ezechielu, tu żadnych czarów nie było. I wiesz dobrze że w naszém wyznaniu podobnym baśniom niewierzą. Bądź pewny, że powód twojéj zaczepki nie tyle był zdolnym zapalić twoje męztwo i podnosić zwyczajną tobie

dzielność, ile ten, który mnie postawił na przeciwko ciebie. Ani myśl bym sobie przypisywał tak łatwe zwycięztwo. Była to chwila taka, że dziesięciu równych tobie w dzielności rycerzów, pokonaćby mnie nie mogli. Chociaż wprzódy lub późniéj ty jeden mógłbyś mnie wystarczyć. Ty się uskarzasz że ciebie męztwo zawiodło, a ja zazdrościłem twojéj niemocy, widząc jakiém i czyjém staraniem wracałeś do zdrowia. Teraz muszę cię opuścić w téj gospodzie, ale za dni kilka powrócę, by ciebie z sobą zabrać tam gdzie przeznaczenie prowadzić będzie moje kroki. Spodziewam się że już nigdy z sobą się nierozłączymy. Co się tyczy kopji która się stała dla mnie narzędziem tak świetnego zwycięztwa, pozwól mi ją tobie ofiarować na pamiątkę, ile że twoją pokruszyłeś na mojéj zbroi. Nie może się ona dostać w dzielniejsze ręce.

— Wiesz Ezechielku, że jeżeli cokolwiek masz oleju w mózgownicy, — rzekł Pan Kaźmierz, mieszając się do dyskursu; — powinieneś być dumnym z tego wszystkiego, coś przez tę parę dni doświadczył. Jeżeli ci się niepowiodło, to w spotkaniu z takim, o którym wszyscy wiedzą że jeszcze się taki nie urodził któryby mógł dać mu radę. Powtóre, nietylko żeś niestracił swojego rysztunku, ale nawet na miejscu pokruszonéj otrzymałeś kopją największego polskiego rycerza, jakbyś był jego zwycięzcą. Potrzecie, że o twoim zdrowiu miała staranie Xiężniczka Siedmiogrodzka, która gładkością swoją sprosta męztwu naszego Hetmana. Ty jak widzę nie umiesz się poznać na twojém szczęściu.

— I owszem, poznaję się na niém; z tém wszystkiem byłbym się bez niego obszedł. Wszakże dziękuję panu za łaskawy dar. Będzie on mnie zawsze przypominał że muszę niesławę swoją zetrzeć. Da Bóg że szacowna kopja pańska nie zjałowieje w rękach moich. Nie z mniejszą wdzięcznością przyjmuję ofiarę służby przy boku pańskim. Ale dopraszam się wyrozumienia pańskiego na to, że stan w jakim jeszcze zostaję, niepozwala mnie nic stanowczego o sobie obmyślić. Jak poczuję na sobie pancerz, a siądę na mojego Sędziwosza, wtedy dowiem się w którą stronę mam się

udawać. Leżąc zaś w łóżku, cóż o sobie postanowię? Zamiary w chorobie powzięte, są zawsze chore.

— Widzę że niesłuszny twój żal do mnie nie może ciebie odstąpić. Mam jednak nadzieję że dasz się nakoniec zmiękczyć i że po dawnemu będziesz moim przyjacielem. Zostawiam ciebie z Panem Kaźmierzem, może on szczęśliwszym będzie i zdoła cię przekonać że w niczém nie straciłem prawa ani do twojego szacunku, ani do twojéj życzliwości.

Jak zostali sami, Pan Kaźmierz pierwszy przerwał milczenie.

— Jaki z ciebie gbur Ezechielu, tego bym się po tobie nigdy niespodziewał, aż mi wstyd że z tobą razem do szkół chodziłem.

— A cóż ja złego zrobił?

— Jakto? Pan Samuel okazuje ci najczulszą życzliwość, pociesza ciebie, ofiaruje posadę zaszczytną bo przy boku swoim, a ty jakbyś z Tatarem a nie z Panem miał do czynienia. Prawieś wzgardził u niego służbą. Opamiętaj się Ezechielu.

— At, bo choć i tobie czasem niewiedzieć co do głowy przychodzi. Gadasz z uniesieniem o naszéj równości szlacheckiéj, a potém byle się panu co ubrda, to niepojmujesz żeby kto niebył na jego zawołanie. Cóż to! że się udało Panu Samuelowi wysadzić mnie z kulbaki, to już mnie ma obrócić w poddanego, dla tego że on Zborowski, a ja Zdora? Ja taki dobry szlachcic jak i on. A choć wiém że niemam o czém na własnym chlebie siedzieć, nie będę służył tylko takiemu, któremu będzie moja wola służyć.

— I gdzież lepszego pana znajdziesz? Czyż niewłaściwiéj służyć temu domowi, któremu i ojciec służy i dziad i pradziad kiedyś służyli; niż probować szczęścia w domu cudzym, gdzie nie masz spadkowych zasług. Nakoniec masz obowiązki dla domu który ciebie wychował i którego chleb jadłeś.

— Powiedział jak wiedział. Oddano mnie do szkół Zborowskich żeby mieć ze mnie pastora; nie szkoła ale ja sam siebie zrobiłem rycerzem: bo jeszcze mi się wąs niewysy-

pał kiedy ze szkół uciekłem. A że parę lat siadywałem u stołu pańskiego na szarym końcu — to też służyłem. A któryby pan nie rad mieć w usługach swoich takiego o którym mówią że umie robić szablą i kopją. Wszak na wojnie nie przyniosłem zakały chorągwi gdzie byłem Towarzyszem, a gdzie był Rotmistrzem zięć nieboszczyka Pana Krakowskiego. A potém jak upatrzono coś do mnie, to mnie odprawiono, jeszcze ani szeląga nie dostałem zasług obiecanych za moją służbę. A i o téj służbie wiele by jeszcze pomówić można: człowiek wziął się do niéj, bo już niewiedział gdzie się podziać. Póki była wojna, póty ja był dobry. Pan Ezechiel — mówiono — to Towarzysz całą gębą; ani on pieczeni, ani jego koń owsa darmo nie jedzą. A jak wojna się skończyła, to mnie Rotmistrz powiedział: «Waść Towarzysz nadkomputowy, a więc niemasz co robić w chorągwi: ale przez wzgląd na Waścine zasługi, robię Waści dworzaninem.» I tam nie można było kąta zagrzeć. Człowiek dla tego ze szkół uciekł, żeby mu nikt niemówił: klęcz Waść, połóż się Waść. A tu marszałek dworu chciał ze mną postępować jak z żakiem. Rad nie rad człowiek udał się do Zborowa. Miła to rzecz człowiekowi zaprawionemu na wojaczce być sługą dworskim, gdzie masz użytek oczów i uszów, a rąk i ust nie używaj tylko wedle cudzéj woli! Obrachowawszy się dobrze powiedziałem sobie: kwita z domem Zborowskich. A jeżeli cokolwiek na mnie pozostało długu, jedno uderzenie kopii Pana Samuela ten dług zmazało.

— Aha! — teraz widzę *unde irae:* kopja Pana Samuela wlazła ci w głowę jak fura siana; masz ją teraz z łaski tego który ciebie zwyciężył. Przyznam się że tego nigdy po tobie bym się niespodziewał, byś gniew zachował na przeciwko rycerza, któremu się udało z tobą, ale bez zdrady, tylko tak jak przystoi szlachetnym zapaśnikom. Ty sam wprzódy inaczéj myślałeś. Wszakże na co daleko szukać: ze mną niepowiodło ci się szczęśliwie, a jednak swojéj dawnéj dla mnie przyjaźni nie cofnąłeś.

— To wcale co innego; nimeś górę wziął nademną, trzaski latały, jak ludzie mówią, więcéj pół godziny, między na-

mi szczęście się wahało. Ale tu jakoś nie po ludzku, ledwo mnie się dotknął, a już było po mnie. Czart wie czy was nienauczono jakichś czarów na Zaporożu, bo to co się ze mną zrobiło, dalibóg tego niepojmuję. Jużci ja nie baba, ani smarkacz.

— Gdybyśmy umieli zamawiać cudzą broń, nieodziedziczyłbyś spadku po Sahajdacznym.

— Prawda, niema co mówić. Wyraźnie na mnie wybiła zła godzina, że mnie przyszło na myśl kruszyć kopję jak na turnieju, kiedy tu była walka na ostre. Mnie trzeba było odbić kopię kopją, i natrzeć na niego z toporem. Niedałby mnie rady panicz, choć ma siebie za niezwalczonego. Otoż to właśnie wszystkie złości mnie porywają kiedy słyszę podobne przechwałki. To darmo, muszę się koniecznie z nim jeszcze raz spróbować; ja mojéj krzywdy niedaruję. Do rązu sztuka: obaczymy czy doprawdy on jest niezwalczony. Wszakże on niema trzech rąk, tylko dwie jak ja. Za cóż bym nie miał się odwetować.

— Ezechielu, Ezechielu, widzisz jak jesteś niesprawiedliwy. Uderz się w piersi, i przyznaj że gdyby się tobie było udało, pewnie byś mu nieoddał ani konia ani zbroi — a żeby on chciał użyć prawa rycerskiego, bez broni, piechotą byś się musiał tułać po gościńcach. A ty śmiesz zawziętość przeciw niemu piastować?

— Prawda, poznałeś słabą stronę mojego pancerza. Nie ma co mówić, z wielką wspaniałością ze mną postąpił. Ale właśnie ta sama wspaniałość mnie zabija: oczów nie śmiem podnosić na niego. Ledwo że nie płaczę od wstydu. Jak ty chcesz, żeby znieważony rycerz mógł przy kim zostawać? To być nie może: trzeba mi wprzódy odzyskać sławę; bo pocieszajcie mnie jak chcecie, a ja czuję aż nadto, że ona jest straconą.

— Wstydź się Ezechielu. Cóż to? czy ty podle wyżebrałeś życie, czy pokazałeś się lękliwym, nikczemnym? Czyś nie ty pierwszy na niego natarł? Od któregoż czasu, nieszczęście zostało hańbą? My tu za dni kilka wrócimy, zabierzemy ciebie do Zaporoża. Masz mój szacunek, a co więcéj szacunek naszego Hetmana. Że ci raz się noga po-

winęła, za to nieprzeliczone zwycięztwa czekają ciebie w naszych szeregach.

— Ale wolałbym oślepnąć niż spotkać się z Assaułą Neczajnym. Tak haniebnie przed nim zlecieć z konia! Nie mieliście by ze mnie pociechy na Zaporożu. Ani by mnie żadna potęga teraz skłonić mogła do poddania się waszym przepisom. Pięknie bym na nich wyszedł. Assauła mnie mówił, że kiedy kto u was z kolegą szuka zwady, to podlega za to najostrzejszéj karze; a u was kara: rzemień pleciony. Pytam się, czy bym mógł od niego ochronić mój szlachecki grzbiet. Wszak każdy który by się roześmiał w mojéj przytomności, oburzył by mnie: zarazbym pomyślał że mowa o moim spotkaniu z waszym Hetmanem, i z tego śmiech — ot i zwada. Ja siebie znam. Albo się utai przed Zaporożem, że od jednego dotknięcia już było po mnie? Kilku z nich na to patrzało, i pewnie to roztrąbią na cześć swojego Hetmana; może jeszcze z tego piosnkę skleją bandurzyści. Ta to jabym chwili niemiał spokojnéj: oszalałbym między wami.

— Przysięgam ci na honor rycerski że to wszystko co mówisz jest tylko urojeniem. Jeżeli na Zaporożu będą wiedzieli że ciebie oporządził Hetman, będą także wiedzieli żeś Sahajdacznemu jeszcze gorzéj zrobił. Cóż tobie można wyrzucić i czém zasługujesz na żarty? A wiedz że Sahajdaczny uchodził za jednego z dzielnych między nami. Uspokój się Ezechielu i niebądź głuchym na głos przyjaźni. Ty jeszcze nie wiesz co nam teraz w głowie, i jaką sławę i znaczenie między ludźmi możesz zyskać, byleś nas nie opuścił. Sam przyznajesz że niemasz o czém swój własny chleb jeść, że tobie koniecznie trzeba jakiemuś panu służyć. Powiedz-że czyż nielepiéj służyć u takiego co jest razem i panem i przyjacielem, niż u takiego co będzie tylko panem. Mnie aż serce się ściska, że gwałtem chcesz siebie poniewierać.

— Ja w niczyjéj służbie niedam siebie poniewierać. Inna służba przy farfurce, a inna przy pałaszu. Tać to by mnie szarą gęś do ramienia przyczepili, żebym w czasie bezkrólewia nie dał sobie rady. Jeszcze żył nieboszczyk Król, a już były koło mnie zachody od Pana Teneczyńskiego, żebym

do jego dworu przystał. I gdybym miał wtedy na czém Swiryda posadzić, nie miałbym szczęścia ciebie spotkać w Kalniku, bo dawno byłbym już koło Krakowa. A teraz kiedy z łaski Pana Boga jest i drugi koń i cokolwiek grosza w kulbace, miałbym o sobie wątpić. Ja nie dąsam się na Pana Samuela: sam znam że po rycersku, a nawet po pańsku ze mną postąpił — ale wstydu nie mogę przezwyciężyć. Gadaj co chcesz, a tego mnie nie wybijesz z głowy, że kiedy kto świeżo zwyciężonemu rycerzowi ofiaruje u swojego boku służbę, to nie z potrzeby ale z litości. A ja nie sierota, żeby się nademną litowano. Niech no ja się wyłabudam ze swojego szwanku: bo przyznam się że mnie koście jeszcze bolą, a puszczę się w świat. W naszéj Koronie nie trudno o zwadę. Jak się dowiem że ta kopja, co ją mam z łaski Pana Samuela, nawet i w moich rękach na cóś jest zdatna, a po ludziach pójdzie że jeszcze niezapomniałem swojego rzemiosła; to zwłaszcza jeżeli będę bez obowiązku, a spotkam Pana Samuela w równéj jak teraz dla mnie życzliwości, — za cóż bym miał być twardym? Pomyślę: pan wart sługi, ale też i sługa wart pana. A teraz tego o sobie powiedzieć nie mogę. Niech Bóg nagrodzi Panu Samuelowi jego wspaniałość, choćby Koroną i Litwą, a twoją życzliwość choćby buławą i pieczęcią: on wam nie da nic takiego co by było nad moje życzenie; i to oświadcz Panu Samuelowi. Ale do waszego dworu zaciągnąć się nie mogę teraz, i dość jaśnie wytłómaczyłem się dla czego.

— Nikt twojéj woli przemocą nie hołduje. Przykro mi tylko że nieumiałem zasłużyć na twoją ufność. Wszakże jeszcze nie tracę nadziei. My jutro odprowadzamy xiężne aż do Dniestru, a z rozkazu Pana Hetmana zostawuję ci jego bandurzystę, żeby ciebie dumkami rozerwał a Swirydowi pomagał. Bo Hetman lęka się, żebyś się w łóżku niezatęsknił. Za dni kilka da Bóg tu się obaczymy. Tuszę że jak kości przestaną ciebie boleć, a siądziesz w zupełnym rysztunku na swojego Sędziwosza: to przełożysz szukanie z nami sławy i zysków pewnych, niż jakiéjś szczupłéj i wątpliwéj sławy u którego z takich, co oprócz swojego dworu nie mają

nikomu nic do rozkazania. Młody dworak, stary żebrak. A przecie nikt dotąd niewidział Zaporożca któryby chodził za chlebem. Rozmyślaj sobie to co ci mówię, bo mnie trzeba robić przygotowania do jutrzejszéj podróży.

— Swirydzie — odezwał się Pan Ezechiel, jak tylko Pan Kaźmierz zostawił go samego; — przynieś mnie kopję, co mi ją z łaski swojéj odstąpił Pan Samuel. Trzeba przecie dowiedzieć się czy mnie przypadnie do ręki.

Swiryd mu podał kopją.

— Ciężka, — rzekł Pan Ezechiel, — ale zgrabna.

To rzekłszy wstał z łóżka, i zaczął się składać kopją.

— Jeszcze koście trochę bolą, jednak znacznie czuję się zdrówszym. Jakoś to będzie. Swirydzie, trzeba nam się wkrótce do pochodu gotować. Jutro wszyscy ztąd wyruszą ku Dniestrowi, ale Pan Samuel z Panem Kaźmierzem za dni kilka mają tędy wracać. Otoż — ale żebyś się z tém niewymówił przed nikim — tak nam trzeba zrobić, żeby tu nas niezastali.

— A gdzie to mamy się przenieść?

— Do Krakowa, gdzie wedle podobieństwa, próżnować nie będziemy. Jak tylko państwo wyjadą, ja przez dwa dni będę się wkładał do dźwigania mojéj rycerskiéj odzieży: ale powoli. Jutro rano przywdzieję koszulkę żelazną; jak obaczę że nie bardzo gniecie, sprobuję na niéj pancerza. Djabelnie ciężka ta kopja, a jednak czy uważasz synu, że choć jestem cały zbolały, a jednak nie zgorzéj obracam nią; patrz. Obaczysz że za parę dni w sam raz przypadnie, jakby dla mnie była wymyślona; i że nie taka to cudowna ręka Pana Samuela, żeby już nikt na świecie jego broni używać nie mógł. Nie święci garnki lepili. Oj coś niedomagam. Ale bo też po tyrańsku zsadził mnie z kulbaki. Niepojmuję co się ze mną onegdaj stało. A wiesz Swirydzie że mnie nie taki ból w kościach, jaki wstyd w sercu

— A panie, tu wstydu niéma. Gdyby człowiekowi zawsze się udawało, toby był charakternikiem a nie rycerzem.

— Otoż Panu Samuelowi zawsze się udaje, a jednak jego posądzać nie mogę żeby z czartem miał przyjaźń. Bo Pan Kaźmierz za nic w świecie z takim by nieprzestawał. Po-

wiedz Swirydzie, jak tobie się zdaje, zkąd to że mnie od pierwszego szturchnięcia powalił: wszakże mu niebyła sprawa z dzieckiem. Ty mnie znasz. Byłby ze mnie wielki pan gdybym miał tyle folwarków, ile razy mnie widziałeś w gonitwach na ostre. A choć różnie bywało, wszakże nikt bez targu nie wziął góry nademną. Jużci tego ani kopji ani jego ręce przypisać niemogę. Kopja, zwyczajnie kopja: troche tylko cięższa od innych; a co się tyczy ręki, sam widzisz że choć nie zupełnie jestem na siłach, a jednak od niéj ręka mnie nie mdleje. Co to jest? powiedz kiedy Boga kochasz.

— Ot wiesz pan zkąd taka konfuzya go spotkała. Oto stąd że pan szukałeś zaczepki z takimi, co powracali od świętéj Ławry Peczerskiéj. To wielki grzech. A choć Assauła Neczaj rozprawiał, że grzech iść z napaścią na takiego co dąży do świętych miejsc, a nie na takiego co z nich powraca: mnie to zaraz się nie podobało. Bo żeby tam niechodził, ztamtądby nie powracał. Zwyczajnie rozum i wiara Zaporozka. Ja się nieśmiał odezwać, a pan żeś usłuchał złéj namowy, to też i Bóg pana skarał.

— Trafiłeś w sedno Swirydzie: dopiéro jestem w domu. Kiedy rozumnie mówisz, niepowiem żeś dureń. Ty wiesz że mnie się niegodzi chodzić ani do cerkwi ani do kościoła, ani bym się w nich znaleźć umiał; ale ty żebyś mógł za mnie Boga przeprosić, bo przyznaję się do winy, jakkolwiek srodze za nią zostałem ukarany. Jak ztąd wyruszym, a nadybiem gdzie monaster waszych czerców, to ja jako cudzy do cerkwi nie wnijdę, ale przez pokorę będę trzymał twojego konia i będę przed cerkwią czekał; a ciebie wyprawię do Ihumena z całym szufrynem, żebyś kazał braciom modlić się za mną.

— O co tak to ale: obaczysz pan jak wszystko panu potém dobrze pójdzie.

— O wierzę — kto z Bogiem, Bóg z nim. A może spotkam Pana Samuela nie od świętych miejsc powracającego że bez grzechu na niego odezwę się z tą trąbką. Oj żebym go mógł na wzajem z kulbaki zsadzić! I to nie dla żadnego zysku; broń Boże. Tak jak on zemną, tak ja z nim postąpię.

Ani jego konia, ani jego zbroi nieruszę. A jak się odkwituję, dopiéro będzie przyjaźń między nami: przylgnę do niego jak chmiel do olchy; tam pójdę gdzie mi iść każe, choćby na dno Dniepru, ale wprzódy muszę oddać za swoje.

— A na co panie ta zawziętość naprzeciwko JW. Hetmana. On dobry pan, i my dla niego mamy obowiązki: bo pański ojciec jest jego sługą, a mój jest jego poddanym. On panu nic niewinien: pan jego szukałeś i znalazłeś.

— Tu niema zawziętości, tu jest owszem dowód najosobliwszego szacunku dla jego osoby. Ale to tylko pasowani rycerze rozumieją: co tobie gadać o żelaznym wilku. Ty masz swoją libertacyą od nieboszczyka Pana Krakowskiego, a ja że jestem Pancernym Towarzyszem i pasowanym rycerzem, to choć się nazwę czyim sługą, choćby Pana Samuela, to tylko z grzeczności, ale w istocie będę tylko wiernym kolegą i towarzyszem broni, a Bożym i Rzeczypospolitéj sługą. Co nas nasi ojcowie obchodzić mają? Nam co innego powinno być w głowie: mnie zostać panem, a tobie szlachcicem. Ot, podziękuj Bogu że jesteś moim giermkiem. Ani spostrzeżesz jak ciebie wykieruję na osiadłego szlachcica.

— Oj, bardzo daleko i do pańskiego państwa i do mojego szlachectwa.

— Może bliżéj niż się spodziewasz. Od czegoż bezkrólewie? to żniwo dla ludzi rycerskiego rzemiosła. A choć nam teraz często bieda doskwiera, że czasem szeląga nie ma przy duszy, wszyscy mówią że u Jegomości dużo pieniędzy; i prawdę mówią. Niech sobie żyje póki może, ale jak umrze, ani grosza z sobą nie zabierze, a wszystko będzie moje. Widzisz, że choćby ta kopija co ją dziś dostałem nic mnie nie przyniosła, — czego się jednak niespodziewam, — to taki swojego czasu dobiorę się do majątku; a wtedy dowiodę ci że twoje wierne usługi w las nie poszły.

— Ba, na to niech pan nie liczy tak bardzo. Jegomość choć stary, ale siebie żałuje. Jego nie powali kopija o ziemię, ani koncerz łba nie zakrwawi: komuż swojéj pory dożyć, jeżeli nie takiemu. A pan obrałeś sobie sposób życia bardzo chwalebny, ale taki, gdzie jutra nie ma. Jegomość

jaki stary — a dla niego Wielkanoc pewniejsza niż dla pana. Pan Bóg Święty wie który z was na brzegu.

— At gadasz — Nie tak to straszne żelazo, jak sobie wyobrażają piecuchy. Na żelazo — masz żelazo. A jeżeli kto się jak ja dorobił Jorkskiego pancerza, może być pewny, że pod niczyją kopją nie pęknie. A jeżeli zsadzą go z konia, to się potém podniesie. Widziałeś jakem padł od pchnięcia, jakiego podobnego i w kronikach się niedoczytasz, a jednak żyję i pokaże się że mi to na zdrowie. Prawda że szmigownica nie żartuje, jak człowiek pójdzie na wały, to dusza na wylocie; ale za to nieznamy tych domowych chorobsk, które są jakby ręce śmierci, do chwytania tych wszystkich wygodnisiów. Bezpieczniéj z nią się poborukać, niż kiedy ona napadnie z nienacka. Doczekam się majątku swojego czasu — o to pokój. Posłuchaj, ale żebyś o tém przed nikim ani pisnął. Państwo odjadą, jeszcze mnie zostawują bandurzystę żeby mnie bawił do ich powrótu. A dobrze, niech sobie brzdąka przez parę dni: ale trzeciego wyruszym w pole; a niech sobie bandurzysta czeka na swojego pana. Już czuję się na siłach, że choć w pełnéj zbroi, utrzymam się na Sędziwoszu. A niezapomnisz białą chustką obwinąć żelezce od kopji: bo pokąd będzie ślad bolu, potąd nieżyczę sobie z nikim się potykać.

— Dla czegoż by pan niemiał jeszcze wypocząć cokolwiek dłużéj?

— Nie synu, to być niemoże. Niech mnie pan Bóg broni od tego, by mnie tu znalazł Pan Samuel: ja mam miękkie serce dla Pana Kaźmierza: on gotów mnie jeszcze wmówić, żebym z nimi poszedł na Zaporoże; a ja tego niechcę, bo to się niezgadza z moją ambicyą. Będzie na to czas. Podajno mnie opończę, pójdę się przywitać z Sędziwoszem bosonoż. Nieborak musi tęsknić po mnie. Widział jak mnie położono, a może niewie że wstałem. Widzisz że nogi podemną nie drgają. Ot i kopja zdaje się leksza. Odkąd urodziłem się, niebyłem tak zdrowym, jak się nim być spodziewam za parę dni; a jeszcze jak po kilku godzinach na nowo wdrożę się do znoju. Zaprowadź mnie do Sędziwosza; bo ja tu jestem nowym człowiekiem.

XI.

Ledwo słońce ostatki cieniów rosproszyło, a już xiężne z swoim orszakiem posuwały się ku ostatnim południowym granicom ówczesnéj Polski. Xiężne i kobiety siedziały w pojazdach otoczonych uzbrojonym pocztem, pośród którego wznosiły się pióra szyszaku Samuela Zborowskiego. Podróż odbywała się spokojnie. Xiężna Rascyi wyglądała z niecierpliwością brzegów Dniestru, bo za nimi miała się złączyć z przedmiotami dla niéj najdroższymi. Pan Samuel radby jego prąd oddalić choćby aż na krańce świata, żeby jak najdłużéj patrzyć na tę, która posiadała jego serce. A Gryzelda — kto przeniknąć zdoła wszystkie tajniki duszy młodéj, skromnéj, ale wyniosłéj dziewicy?

Najwdzięczniejsze krajobrazy przesuwały się przed ich oczami. Xiężna była nimi zachwycona, a xiężniczka zdawała się podzielać jéj uniesienia. Zatrzymały ich uwagę: Morafa, któréj owoce przypominały im szczęśliwe kraje zasłonione Tatrami od mroźnych powiewów Północy; Bar, osada świeżo założona, gdzie zamek obronny na wzór włoskich, przez Królowę Bonę wzniesiony, panował nad całą okolicą, Lewkówka, gdzie stawy żywią muszle dające perły często tak ogniste, jak te których łakomy Angielczyk szuka aż na brzegach Golkondy; Sitowiec, na którego łąkach jutrzenka sypie mannę z Nieba wyniesioną. A ta czarowna strefa, ożywiona była trzodami pasącemi się swobodnie po jarach zachowujących w poźnéj jesieni majową barwę, i dźwiękiem melodyjnym piszczałek wtórujących dumkom

rzewliwym — płód rodzinny Ukrainy, najpoetyczniejszéj z tych ziem, gdzie rozsadziły się niezliczone plemiona Słowiańskie.

W miejscach gdzie tabor wypoczywał, rycerz czarny przybliżył się do xiężn, często z zamiarem żeby im cóś ciekawego opowiadać o téj ziemi, o bitwach w których ją czerwienił krwią najezdników. Ale najczęściéj przybliżywszy się, wzrok tkwił w oblicze Gryzeldy i wtedy zatapiał się w milczących dumaniach i już o wszystkiém zapominał. Jeżeli dłuższy spoczynek sprowadzał xiężne do gospody, rycerz stawał przed progiem, i stał nieruchomy na swojéj kopii oparty, pokąd xiężna nie zaprosiła go do izby. Wtedy ośmielała go xiężna do poufalszéj rozmowy, do któréj Gryzelda unikała mieć jakikolwiek udział. Owszem, ile razy Samuel na wezwanie Xiężnéj Serbii usiadł przy niéj, ona oddalała się od ich towarzystwa, wychodziła do swoich kobiet, a rycerz smutny użalał się tylko przed xiężną, że najmniejszego współczucia upatrzyć niemógł w xiężniczce. Naprożno xiężna starała się go pocieszać, naprożno usiłowała ożywiać nadzieję w jego sercu. W miarę zbliżania się do kresu podróży, ta nadzieja zdawała się zupełnie omdlewać. Ponury, roztargniony, ledwo uważał dowody przychylności xiężnéj. Tonąc w zadumaniach zdawał się nie słyszyć przychylnych wyrazów którymi xiężna usiłowała ukoić ranę jego serca. Wpadał w jakąś rozpaczliwą obojętność, która nie uszła uwagi Pana Kaźmierza. I tak zauważył że Pan Samuel, który zawsze zajmował się swoim koniem, zupełnie zdawał się go zaniechać. Trzeba mu było przypomnieć żeby przywdział zbroję, żeby przypasał do boku swojego oręż. Ludzie namiętności gwałtownych, nietylko przeciwności, ale nawet niepewności znieść nie umieją. Nie są oni zdolni do walki z przeznaczeniem. Byle co: życie staje się dla nich ciężarem, i cała energija duszy ich opuszcza. Serby dworu xiężn, wielce się przywiązali do niego: bo był z przyrodzenia wspaniałym i łagodnym dla tych, od których oporu niedoświadczał; a nadewszystko że w ich oczach dał dowody nadzwyczajnego męztwa i siły. I przed nimi ten stan jego duszy się nie utaił. Jeden z rycerzów orszaku

xiężn — Mikołaj Szewicz, człowiek wieku więcéj niż dojrzałego, a który nietylko że był dzielnym wojownikiem, ale nawet uchodził u Serbów za człowieka świadomego nadzwyczajnych rzeczy, i umiejącego czytać w przyszłości — był się zaprzyjaźnił z Panem Kaźmierzem, i często w pochodzie lubił z nim rozmawiać. Ten Szewicz, ile razy Pan Samuel podniesie przyłbicę, on natychmiast staje jak wryty i patrzy mu w oczy z nadzwyczajną uwagą, a potém odchodzi od niego i wzdycha. Tak często to się powtarzało, że aż nakoniec Pan Kaźmierz mu powiedział:

— Co to Mospanie Szewicz? często patrzysz w oczy mojego pana jakby na tęczę, a potém się zasmucasz. Oblicze takiego rycerza wzniecić powinno nadzieję, albo pozwólmy nawet strach; ale nigdy smutku. Zdawało mi się że jemu dobrze życzysz, a widzę że się omyliłem.

— Nie omyliłeś się rycerzu, lepiéj odemnie jemu życzyć niemożesz; i dla tego się smucę że jemu dobrze życzę.

— Nierozumiem Waszmości.

— Widzisz Waszmość, kto zna się na oczach, w nich czyta może przyszłość tego na którego patrzy. Ten czarny rycerz tak waleczny, tak miły, tak kochany — nie będzie żył długo. W jego spójrzeniu jest cóś takiego, co wyraźnie mówi że się starości nie doczeka.

— Wstydź się Waszmość takim gusłom wierzyć: otoż to zawsze Serbskie zabobony.

— Młodyś panie rycerzu, ale jak doczekasz się moich lat, to poznasz że wiele jest rzeczy, których w szkole nieuczą, a które są mądrzejsze od wszystkich szkolnych nauk. Ja Waszmości więcéj powiém: on zginie w połowicy dni swoich od takiego, który by się nigdy nieodważył podnieść na niego kopii, a jednak zginie z rąk jego bez zdrady.

— Otoż to baśnie. Bo żebyś jeszcze powiedział że zginie od morowego powietrza, lub od jakiéjś innéj zarazy, to możebym się o niego obawiał; ale jeżeli tylko o żelazo chodzi, zupełnie jestem spokojny.

— Daj Boże żebym był fałszywym prorokiem.

— Tylko proszę Waszmości, Mospanie Szewicz, żebyś się czasem z tém przed nim nie wygadał. Bo choć od niego

dzielniejszego na szerokim świecie nieznajdziesz, żeby mu od takiéj wróżby niezmiękniało serce. Ja sam widzę że on się odmienił od kilku dni. Czy to jakieś złe przeczucie go dręczy? Ale nie — na co to obwijać w kłaki: on się zakochał, i dla tego smutny.

Już nadchodził ostatni dzień w którym rycerz miał zostawać w towarzystwie xiężn. O cztéry mile od Dniestru zatrzymali się wszyscy na nocleg w jednéj gospodzie, gdzie jeszcze jeden wieczór z sobą przepędzić mieli. Było wcześnie. Samuel był smutniejszy niż kiedykolwiek: xiężna wyczerpywała wszystkie zasoby rozumu i delikatności, które są tylko kobiet udziałem, żeby go rozerwać. A jakkolwiek Gryzelda umiała sobą władać, nie trudno było i na niéj spostrzedz jakąś niespokojność, choć wprawdzie można było ją przypisać nieco zatrważającym wiadomościom, które ich w téj gospodzie spotkały. Gospodarz użalał się, że o milę w lewo Nogajscy Tatarowie założyli obóz; że od kilku dni z niego wypadają na okolice, nakładając opłaty na mieszkańców, a nawet zabierając im kobiety i dzieci w jassyr, które za okup oddają; że wkrótce mają podnieść swój obóz z powodu że chodzi pogłoska iż Pan Humiecki, Generał Ziem Podolskich z żołnierzem kwarcianym i milicyją Xięcia Zbaraskiego ciągnie w Województwo Bracławskie. Jak wyruszą nazad do kraju swojego, dodał, to jeńce dotąd niewykupione na zawsze mogą się pożegnać z ojczyzną. Po takiéj nowinie, stary Szewicz przybiegł do xiężnéj swojéj pani z zapewnieniem żeby była spokojną; że żaden środek obrony niebędzie zaniedbany, że jéj rycerstwo uzbrojone a doświadczone, bez wielkiego zachodu da radę Tatarom na przypadek nocnego napadu; ile że jéj Hajduki opatrzeni w rusznice, po pod wszystkiemi oknami wartę odbywać będą. Z podobnym oświadczeniem przybiegł i Pan Kaźmierz. Jeden tylko Pan Samuel, jakby przykuty do ławki, nieodzywał się, nawet zdawał się niesłyszyć co w około niego mówiono: on który na samo wspomnienie bojów, na jedném miejscu chwili ostać niemógł. Xiężna Rascyi, prawdziwa córka bohatérów, niezdawała się być dostępną trwodze zwyczajnéj płci pięknéj. Panu Kaźmierzowi oświadczyła

wdzięczność za ofiarowaną pomoc, dodając, iż ani o jego męztwie, ani poświęceniu dla dam, nigdy niewątpiła, znając go Polakiem. Pochwaliła wszelkie rozporządzenia Szewicza i zabierała się ocucić Pana Samuela. Lecz nowe wydarzenie ją wstrzymało.

Jeszcze ani Szewicz, ani Pan Kaźmierz niebyli opuścili izby, kiedy stanął na progu stary zakonnik. Miał na sobie habit biały, a na piersiach jego błyszczały dwa pasma — jedno czerwone, drugie granatowe, wyrażające w złożeniu swojém potężne znamie naszego Zbawienia. Za rękę prowadził młodą jeszcze niewiastę, łzami zalaną. Obie xiężne przybliżyły się do zakonnika żeby go uczcić i prosić o błogosławieństwo.

— W Imię Zbawiciela naszego — rzekł zakonnik; — proszę was Miłościwe Panie o jałmużnę dla uwolnienia braci i siostr naszych z kajdan pogańskich. Oto uboga szlachcianka, której małżonek porwany został przez pogańców. Co tylkośmy mieli szacownego i w klasztorze i w kościele naszym, obrócone już zostało na wykupienie więźniów, i mnóstwo tego wyprowadziłem z obozu; bo mnie przełożeństwo zawsze używa do układów z Tatarami, jako umiejącego z nimi rozmawiać. Miałem czas ich mowy się nauczyć, bo byłem dziesięć lat w ich niewoli, na południowym brzegu Krymu. Aż jedénastego ślubowałem Najświętszéj Pannie, że jeżeli w przeciągu roku będę uwolniony, zostanę Trynitarzem; żeby ile dni Pan Bóg jeszcze mi przeznaczy, te poświęcić na wykupienie niewolników. I w kilka dni potém, dwóch Trynitarzy przybyło z Stambułu do Hana z firmanem Sułtańskim, nakazującym mu żeby im oddał dwieście niewolników obojéj płci, do ich wyboru. I tak mnie wyprawiono jako polaka w te strony; i zaraz udałem się do Kamieńca, gdzie przyjąłem sukienkę, i już rok dwudziesty jak wykupuję niewolników. Dwa razy byłem w obozie Tatarskim; wyratowałem wielu, ale cóż to jest w porównaniu tego co się tam zostało. A wszystkie nasze środki już są wyczerpane, i niema gdzie się po jałmużnę udawać, bo obywatelstwo całéj okolicy, rozsypało się ku Kamieńcowi dla szukania ochrony. Cała

nadzieja w miłościwych paniach, bo jak jutro obóz wyruszy, to nasi przepadli.

— A dobrze — odezwały się z pośpiechem xiężne; — wszystko co mamy, tobie oddamy.

I na ich rozkaz zaczęły służebne znosić klejnoty w ręce starego mnicha.

— Wielebny ojcze — rzekł Pan Kaźmierz; — czy niemasz drugiego habitu z sobą?

— Mam, — odpowiedział mnich, — ale dla czego mnie o to pytasz?

— Widzisz ojcze, chociaż dary wysokich xiężn są znaczne, jednak wszystkich jeńców za nie niewykupisz; a choćby jeden tylko pozostał, i tego szkoda. Ja, przebrany za mnicha towarzyszyć będę Waszéj Wielebności do Tatarskiego obozu, a jako człowiek nie bez doświadczenia, zaraz poznam czy nie będzie można do niego się ze swoimi wdrapać. Bo i my tu jesteśmy w sile. Jeżeli obaczę że z nimi walka jest zbyt niebezpieczna, to powrócimy z tymi co ich wykupisz, a Tatary zostaną przy tém co im oddasz. Cóż się na tém straci, że będę w ich obozie? A nuż pokaże się że można odebrać co się im dało, i bez ofiary swoje zrobić. To Wasza Wielebność będziesz mógł i na drugi raz użyć kościelnych pieniędzy.

— Dobrze mówi Pan Towarzysz — odezwał się Szewicz; — wszelką sprawiedliwość ma za sobą, i jego żądaniu ojcze nie możesz odmówić.

— Niech się stanie wola Boża — odpowiedział Trynitarz. — Tylko niech pan będzie ostróżny i nie odzywa się. Bo broń Boże poznają że rycerz się ukrywa pod habitem, to nas obydwóch każą wbić na pal.

— O to pokój ojcze Trynitarzu: pod habitem bez pancerza i bez broni, rycerz nigdy wielomóstwem nie zgrzeszy.

Gospodarz kazał zaprządz swoich parę koni do wózka. Pan Kaźmierz przestrojony w zakonnika, wziął lejce w rękę: ojciec Trynitarz siadł jako starszy; a damy i Pan Samuel, który dotąd ust nie otwierał, zostali się w izbie.

XII.

Xiężne siedziały obok siebie, a nieco daléj czarny rycerz w zbroi, ale bez szyszaka, pogrążony zawsze w ponurém milczeniu.

— Rycerzu, — rzekła małżonka Despoty Rascyi; — jesteś waleczny i sławny, ale jednak nie dopełniasz wszystkich praw rycerskich.

— W czémże przeciwko nich przewiniłem?

— Zostajemy pod twoją opieką, i wiemy, że w tobie mamy dzielną obronę, ale w niczém niechcesz nam uprzyjemniać chwil przepędzonych w twojém towarzystwie. Siedzisz od nas oddalony, jakbyś się gniewał. Przybliż się rycerzu i baw nas.

— Niepodobnéj do uskutecznienia ofiary żądasz Xiężno, rozkazując temu którego serce jest przepełnione goryczą, żeby innych rozweselał.

— Dziękujemy za pochlebne dla nas tłómaczenie. Trzeba jak my mieć tak mało miłości własnéj żeby się nieurazić, iż w naszém towarzystwie można niezapomnieć o wszystkich goryczach serca.

— Kto niezdołał uzyskać waszéj życzliwosci, mało na tém że jest nieszczęśliwy, zostaje nawet śmiesznym i dziwacznym.

— Cóż ci dało powód do myślenia że niejesteśmy tobie życzliwe! Naprzód o mnie wątpić nie możesz: zaręczyłam ci moją przyjaźń. A Xiężna Rascyi obłudy niezna. Ale jak

widzę ty o nią niedbasz. A co się tyczy Gryzeldy, zapytaj ją czy ona tobie jest nieżyczliwą.

— Na co się mam pytać o to, czego już jestem pewny.

— Ty milczysz Gryzeldo, jakbyś chciała potwierdzić tego godnego rycerza mniemanie.

— Prawdziwie Xiężno-Ciotko, niepojmuję dla czego to do mnie mówisz. Byłabym nikczemną żebym nie czuła szacunku i największéj wdzięczności dla tego, który tak mężnie stanął w naszéj obronie. Niepodobna wymagać odemnie bym to co raz wyrzekła, ciągle powtarzała. Kłamać nie umiém: a więc nie mam potrzeby potwierdzać to com powiedziała, jak gdybym na wiarę niezasługiwała. Ale dla czego z sobą zawsze o sobie mówić? Czy już innego przedmiotu wybrać niemożna. Rycerz tyle widział świata, tyle doświadczał — czemuż by nieraczył nam mówić o wyprawach wojennych w ktorych się odznaczył, o Krakowskim dworze, o turniejach, o domach Polskich.

— A widzisz Gryzeldo, że wróżba Cyganki zrobiła na tobie jakieś wrażenie. Ta wróżba obiecała tobie że będziesz panią w Polsce, słusznie jesteś ciekawą dowiedzieć się o szczegółach tyczących się ziemi która ma być twoją.

— Xiężna-Ciotka robi ze mnie żart okrutny: gdyż jéj wiadomo że moje przeznaczenie nie zależy ani od żadnéj wróżby, ani od mojéj woli; ale od mojego stryja. Xiężna-Ciotka byłaś przy tém, kiedy moja najlepsza matka umierając, poruczała mnie pieczy stryja, i powiedziała że nie umrze spokojnie, pokąd nie usłyszy z moich ust przyrzeczenia, że w niczém nieoprę się jego woli, a z jego, że mi będzie ojcem. I otrzymawszy to przyrzeczenie zaraz konać zaczęła. Tu łez kilka puściło się z nadobnych źrzenic Gryzeldy.

Xiężna Rascyi zaczęła ją ściskać w objęciach swoich, i przepraszać że stała się przyczyną jéj smutku. Po czém obracając się do Samuela:

— Z twojego powodu zmartwiła się Gryzelda; twój smutek widać zaraźliwy; bądź wesół rycerzu, żeby i my się rozweselały.

Rycerz na takie wezwanie siadł nieco bliżéj Xiężn, i rzekł:

— Wesołym być niemogę, bo usta i lice kłamać sercu niezechcą; ale jeżeli Xiężne pozwolicie sobie opowiedzieć niektóre wypadki mojego życia, może ich uwagę zciągnę ku sobie, może przynajmniéj choć na chwilę ich rozerwę.

I zaczął od ucieczki swojéj z domu rodzicielskiego z wiernym Kaźmierzem Mroczkiem. Opowiadał przybycie swoje do Zaporoża; obyczaje tego osobliwego zgromadzenia wojennego; różne potyczki, w których się znajdował; zwycięstwa które jego prawica odniosła: a te opowiadał jakiemi były w istocie, ani przesadzając je samochwalstwem, ani zmniejszając fałszywą skromnością. Nadto silny czuł w sobie zapas do następnych wielkich czynów, żeby miał pokrywać te, co je w przeszłości wykonał. Przyszło do tego, jak kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonego tłumu wykrzyknęli go Hetmanem nad sobą, i dali mu posadę któréj w potędze i władzy żadne dostojeństwo Polskie nie sprosta. Godziny mijały jak chwile dla Xiężn, bo były rozmaite ustępy wielce zajmujące. A rycerz zagrzany opowiadaniem swoich własnych czynów, przybierał postawę tak bohatérską, jego oko siało takie błyski, było coś tak dumnego w jego obliczach, okraszonych męzkim rumieńcem zapału; było cóś tak zniewalającego w szlachetnych a razem łagodnych jego rysach, że obie Xiężne go słuchały z natężoną uwagą, jakby się bojąc każdy wyraz stracić. Zakarpacianki podziwiały jego wymowę, płód ziemi Polskiéj, z jéj ustaw wyrodzonéj, a wówczas obcéj dla wszystkich innych narodów. A chociaż mówił po rusku, duch polski, ożywiając pieszczone dźwięki ukraińskiéj mowy, przydawał jéj wdzięk niewypowiedziany. Obie Xiężne były jakby pod urokiem. Wieleż to razy Gryzeldzie oko zwilgotniało, serce bić mocniéj zaczęło! A Xiężna starsza ani się starała miarkować swoje uwielbienie.

— Rycerzu, — wykrzyknęła po kilkakrotnie; — jesteś nieoszacowany; nieumiém osądzić, czyś większe rzeczy dokonał, czy wdzięczniéj je umiesz opowiadać. Cóż to Gryzeldo milczysz, jakbyś mojego zdania niepodzielała. Wszakże ten rycerz to opowiadał dla ciebie, tak jak dla mnie?

— Rycerzu, — odezwała się Gryzelda nieśmiało; — racz przyjąć część podziękowań z mojéj strony należnych, za przyjemność cośmy ją doświadczyły z twojego opowiadania. Ani wiedziałam że sam Hetman Zaporoża nami się opiekuje.

— Tę godność miałem dotąd za największą. Mnie młodemu jeszcze zdawało się, że już nic mam nic do żądania, a teraz i ta władza utraciła dla mnie wszelki urok. Jeżeli ją jeszcze cenię, to o tyle tylko, o ile ona mi posłuży do otrzymania tego, co jest dla mnie nad życie, nad wszystkie zaszczyty, nawet nad sławę droższe ...

— Rycerzu, — przerwała Gryzelda, — czy pozwolisz siebie zapytać, jaka była przyczyna żeś dom rodzicielski pokryjomu opuścił?

— Ojciec mój był dla dzieci swoich najlepszym ojcem, o niczém więcéj niemyślał jak tylko żeby im zapewnić to, co uważał być dla nich największém szczęściem. Ożenił synów z bogatémi pannami, córki powydawał za najmożniejszych panów w Polsce, i to wszystko dokonał bez trudności; bo ani żadne dziecię jego nie sprzeciwiło się jego rozrządzeniu, ani się znalazł taki w Polsce, któryby się niechciał połączyć z rodem Zborowskich. Ja, najmłódszy z braci, a najmilszy dla jego serca, jeden tylko niebyłem postanowiony. Mnie przeznaczył Xiężniczkę Ostrogską, któréj był opiekunem; niepojmując, bym mógł odmówić ręki nadobnéj pani z krwi Carów, a któréj wiano składało się z kilkuset sioł i kilkudziesiąt miast i zamków obronnych. Pogardziłem sercem które już przedemną nie jednemu było oddane. Wolałem opuścić dom rodzicielski, niż zaprzysiądz wiarę téj, którą ani miłować, ani szacować mogłem. Czy przez to zasługuję na jaki wyrzut?

— I owszem, — rzekła Xiężna Rascyi, — nie jestem rycerzem, jestem słabą kobietą, a niepojmuję tego żeby szlachetna dusza mogła ślubować miłość takiemu, do którego wstręt czuje. Jest w tém jakaś obłuda, jakieś poniewieranie uczucia, które sumienie oburzać powinno. A ty Gryzeldo powiedz, czy niepodzielasz mojego zdania?

— Przyznam się Xiężnie-Ciotce, — odpowiedziała Gry-

zelda, — że nie jest w mojém przyrodzeniu sądzić o rzeczach które do mnie nienależą.

— Nie Gryzeldo, to o czém mówimy, dla nikogo obojętném być niemoże. Ojciec naszego rycerza wymagał od niego zezwolenia na związek w którym żadnego szczęścia dla siebie nie upatrywał; możesz więc przewidywać jakbyś postąpiła w podobném położeniu.

— W takiém położeniu przez żaden sposób zostawać niemogę, bo ten szlachetny rycerz nam powiedział, że osoba którą mu ojciec przeznaczył na towarzysza życia, na jego szacunek nie zasługiwała. A Xiężna-Ciotka za nadto zna mojego opiekuna, żeby mógł chcieć nazwać swoim synowcem takiego, który by był niegodnym szacunku jego synowicy.

— Ty niechcesz być szczérą z nami moja Gryzeldo, udając że mnie nierozumiesz. Szacunek może być dostateczny dla skłonienia serca obojętnego; ale gdybyś czuła skłonność dla kogo, czybyś odważyła się ślubować miłość komu innemu, dla tego tylko że zasługuje na twój szacunek?

— Ja tych dwóch rzeczy rozłączyć nieumiém. Szlachetna dziewczyna bez zaprzania się własnéj godności kochać nie może tylko takiego, o którego wzajemności może być pewną; a tylko taki, który na to otrzymał pozwolenie od jéj rodziców, może ją o niéj przekonać.

— Jakto? — odezwał się rycerz. — Czy pani myślisz że miłość może się dać utaić przed tą która ją wznieciła? Czy pani przypuszczasz żeby najgwałtowniejsze uczucie mogło być podwładne jakiemu warunkowi. A gdyby pani nie chciała zrozumieć serca od siebie zhołdowanego: można-li jemu zabronić odkryć przed nią swoje uczucia? Ani śmiem przypuścić, byś pani pochwalała obłudę, a potępiała szczerość.

— Są to dla mnie próżne słowa, rycerzu, bo nie jest moją rzeczą sądzić o tém, czego żadnym sposobem doświadczyć nie mogę.

— Dla czegoż? — odezwała się Xiężna Rascyi. — Wszakże nie możesz nikomu zabronić, żeby się kochał?

— Wolno mi o tém niewiedzieć: a ktoby się ważył przedemną mówić to czego mnie słuchać niewolno, nadtoby

mnie znieważył, żebym mogła jakikolwiek szacunek dla niego zachować.

— Czy widziałeś kiedy rycerzu, — rzekła Xiężna Rascyi, — Xiężniczkę tak dumną jak moja Gryzelda?

Rycerz oddalił się, siadł na przeciwnym końcu izby i zasmucony wpadł w jakieś ponure roztargnienie. Napróżno Xiężna Rascyi usiłowała go z niego wyprowadzić; na wszystko zdawał się być obojętnym: nic nie słyszał, niczego niewidział około siebie; nawet powrót zakonnika z Panem Kaźmierzem nie zdołał go obudzić. Chociaż okrzyki wdzięczności oswobodzonych tylu jeńców, padanie do nóg szlachcianki która męża swojego odzyskała, przed nim tworzyły scenę rzewną i głośną, która że tak powiem ledwo kamienie by nieporuszyła. Jak ten naród zostawił Xiężne spokojnemi, Pan Kaźmierz opowiadał swoje nawiedziny w obozie, i skończył na tém:

— Teraz dopiéro możemy się okryć chwałą prawie pod okiem Waszych Wysokości. Obejrzałem cały obóz najakuratniéj. Tatarów wprawdzie będzie z półtorasta, ale tak są pewni że na nich nikt nie napadnie, i że ledwo aż za kilka dni przybędzie JW. Generał Ziem Podolskich, że na pożegnanie z tym krajem co go jutro opuścić mają, bajramują, a o obronie obozu niemyślą. Obóz jest otoczony ich wozami, gdzie-niegdzie stoi Tatar na straży. Niech Xiężne Panie kilku rycerzów raczą odłączyć od pocztu swojego, a jak nasz Hetman nas poprowadzi, zaręczam że obóz będzie zdobyty, i że to wszystko co te rozbojniki dostały, wróci się nam z naddatkiem; a jeszcze pozostało u nich dość naszych jeńców, których już niebyło za co okupić.

— Dobrze, — odpowiedziała Xiężna, — moi Serbianie są zawsze gotowi oręż podnieść w obronie uciśnionych.

— Wszyscy też oświadczyli gotowość swoją przedemną, ale domagają się, żeby nasz Hetman ich prowadził: jemu jednemu z zupełną ufnością oddadzą się w posłuszeństwo. JW. Hetmanie, — rzekł, obracając się do Samuela, — czy Pan odmawiasz swojego dowództwa?

— I owszem, — rzekł Samuel, powstawszy. — Teraz więcéj niż kiedy śmierci mi szukać trzeba. Sam pójdę na

obóz, a orszaku Xiężn zmniejszać nie chcę. Nawet ciebie Kaźmierzu z sobą wziąć nie mogę: bo jeżeli zginę, tobie przyporuczam doprowadzić Xiężne do Dniestru. Idźmy; ani chwili niema do stracenia.

— Panie, — odrzekł Kaźmierz, — ja Pana odstąpić nie mogę: jakież to czarne przeczucia pana opanowały? Odkąd mu służę, nigdy go w podobnym smutku niewidziałem. Cóż to pan odchodzisz a nawet swego szyszaku nieprzywdziewasz?....

— Walczyć będę z głową odkrytą; będzie prędszy koniec wszystkiemu.

— Rycerzu, — rzekła Xiężna Rascyi, zatrzymując go u progu, — co się stało?

— Oto ja powiém wszystko, — odezwał się Pan Kaźmierz, — odkąd złączyłem się z moim panem przy kolasie Xiężn, jego niepoznaję. Zupełnie upadł na duchu, już jemu nie zwycięztwa, ale tylko śmierć w głowie. A tu jeszcze i Pan Szewicz wyczytał w jego oczach, że niedożyje starości. Ja sam sobie rady dać nie mogę. Niech Xiężne mu rozkażą być takim jakim był zawsze. Jedne Xiężne tego dokazać mogą: a prawdziwie nie godzi się obnażać z odwagi rycerza, i to jeszcze w potrzebie chrześcjan. Ja jestem pewny, że jeżeli Xiężniczka Siedmiogrodzka niechce płakać na jego pogrzebie, to ona mu powróci odwagę. I cóż Xiężniczce z tego za zysk, że najdzielniejszy rycerz niebroniąc się, polegnie od miecza nieprzyjaciół Krzyża?

Gryzelda w największém wzruszeniu powstała.

— Rycerzu, — odezwała się do Samuela drżącym głosem, — niewątp o naszéj życzliwości. Pokaż się godnym siebie, a bądź pewny że aż do twojego powrotu nasze życzenia towarzyszyć ci będą.

— Nie Pani, litości nie pragnę. Nie jest ona zdolną pogodzić mnie z życiem.

— Czegoż więc żądasz rycerzu?

— Oto jakiegokolwiek znaku twojéj życzliwości. Jest-to w obyczaju chrześciańskim, że rycerz dopiéro się nazwać może niezwalczonym, kiedy mu dama pozwoli ją obrać za przedmiot myśli swoich. Już dłużéj milczyć nie mogę: uro-

czysta chwila nadeszła, a ta rozwiąże moje przeznaczenie. Poprzysięgam na honor rycerski, że jeżeli pani do tego stopnia mną gardzisz, że nawet mnie niepozwolisz wzywać jéj imienia w potyczkach, ochraniać siebie od bułatu bissurmańskiego niebędę: będę walczył jedynie ażeby świat przekonać, że bez mojego zezwolenia nikt zbyt łatwego zwycięztwa nie odniesie nad Samuelem Zborowskim. Ale potém sam szyję poddam pod miecz i nim jeszcze słońce zaświeci, już wyrocznia cyganki się spełni. Jeżeli mnie Pani pozwolisz być jéj rycerzem, poprzysięgam na tenże sam honor, nie że będę walczył, ale że będę zwycięzcą. Bo niema ramienia które by było zdolne pokonać tego, który w imieniu twoim walczy Xiężniczko; jesteś z krwi rycerzów, znasz prawa nasze: w twojém ręku śmierć lub życie moje.

— Ach rycerzu, — rzekła Gryzelda, wziąwszy go za rękę, — czego śmiesz odemnie żądać! Naigrawasz się z serca, które od siebie nie zależy. Miéj litość nademną, rycerzu. Poprzestań na tém że ci wolno mieć nadzieję, ale mnie jeszcze niewolno jéj upoważniać.

— Nie pragnę ani obietnic, ani nic takiego coby się sprzeciwiało twojéj szlachetnéj dumie. Żądam tylko byś mi oddała na znak życzliwości tę szarfę błękitną którą nosisz na sobie, byś mnie pozwoliła zawiesić ją na moim pancerzu; nie życia, ale tego drogiego znamienia bronić będę w potyczkach.

— Gryzeldo, — odezwała się Xiężna Rascyi; — żeby tu był twój stryj, dziwowałby się że jeszcze wahać się możesz. Czegoż domaga się ten rycerz, coby niebyło zgodne z świętémi prawami rycerstwa, coby ci jakąkolwiek niesławę przynosiło. Pamiętaj że tu idzie o jego życie, o swobodę naszych braci uwięzionych.

— Ach ciotko — coż ja z sobą pocznę. Ale niech i tak będzie. Przyjm tę moją szarfę, któréj barwa jest godłem prawości. Przyjm ją, nie za znak upoważniający jakieś nadzieje, nie za znak jakiéjś obietnicy, któréj by mi nie było wolno dotrzymać, ale jako pamiątkę najczulszéj życzliwości, najtkliwszéj wdzięczności, a nawet za dowód że życzyłabym

sobie, żeby nigdy moja powinność niepostawiła mnie przeciwko twojéj woli. — To rzekłszy, śpiesznie odeszła.

Na te słowa rozjaśniły się oblicza Samuela. Szarfę zawiesił na pancerzu, przywdział przyłbicę, i rzekł do Xiężnéj:

— Pani już możesz mnie powinszować zwycięztwa: któż mnie teraz oprzeć się może! Idźmy Kaźmierzu, a wkrótce będziesz świadkiem, jak uświetnię ten dar dopiéro otrzymany; a z którym śmierć tylko może mnie rozłączyć.

I wyszedłszy, w kilku chwilach uskutecznił rozporządzenie swoje. Panu Szewiczowi poruczył straż Xiężn, a Serbom oświadczył że tylko czterech rycerzów oprócz siebie i Pana Kaźmierza potrzebuje. Ale wszyscy domagali się iść z nim na wyprawę, tak dalece że musiał im kazać ciągnąć losy. Oprócz nich, wziął jeszcze cztérech hajduków z rusznicami opatrzonemi; kazał każdemu z czterech rycerzy wziąść za sobą na koń po jednym hajduku i natychmiast wyruszyli ku tatarskiemu obozowi, pod przewodem Pana Kaźmierza, który byle raz jaką przebył drogę, już o niéj nigdy niezapominał.

Rycerze mieli na swoich zbrojach burki które je zakrywały, nawet kaptury od burek nasunęli na szyszakach: oprócz Pana Samuela i jego wiernego Achatesa, których szyszaki były nadto wysokie, żeby je utaić. Noc była ciemna, chmury jesienne świat przegradzały od światła gwiazd niebieskich. Wszystko postępowało krokiem powolnym, w największéj cichości. O kilka sążni od obozu poczet się zastanowił, a Pan Kaźmierz zsiadł z konia i z cztérma hajdukami, uzbrojonymi w rusznice i kindżały poszedł omackiem szukać luki w któréj stał strażnik. Miał w ręku topor podniesiony, udało mu się zbliżyć niepostrzeżonemu do strażnika; ugodził go po łbie, ale tak, że niewydawszy jęku, w jednéj chwili mógł się przekonać ile go zawiodł swojemi obietnicami prawodawca Wschodu. Tatarzy senni leżeli na ziemi, a hajducy rozpoczęli rzéź, podczas gdy Pan Kaźmierz na nowo siadłszy na konia, wprowadził rycerzów przez lukę w obóz. Już krwi potoki się lały, kiedy na koniec szelest zbroj rycerskich, i jęki konających, budzić zaczęły niektórych Tatarów. Bez przytomności zaczęli się

zbierać, trwoga zrobiła się tak wielka że sami rzucali się pod kopje rycerskie. Co tylko niezostało pokłute od kopji rycerzów i roztratowane ich końmi, tłoczyło się do namiotu Murzy Nuradyna, ich wodza; ale że rycerze o krok ich nieodstępowali w pogoni, więc wraz z nimi stanęli przed namiotem Murzy, kierowani światełkiem lampy która stała w środku namiotu. Tu Pan Samuel zeskoczył z konia i wszedł do namiotu. Murza nagle przebudzony chwycił swoją rusznicę i wypalił do rycerza: kula od zbroi odskoczyła; a lubo kilkunastu Tatarów wcisnęło było się do namiotu, Pan Samuel rzucił się na Murzę, porwał go w swoje ręce, roztrącił Tatarów którzy wyjście z namiotu zalegli, i z tym ciężarem skoczył na swojego konia.

Ale Tatarowie przebudzeni wystrzałem i krzykiem trwogi wrócili do zupełnéj przytomności: na drugiéj połowie obozu, dokąd jeszcze nie byli doszli nasi rycerze, (bo namiot Murzy był na samym środku obozu,) zapalili stos, który raptem całą przestrzeń rozświecił. Tłumy uszykowały się do boju, każdy Tatar stał w pogotowiu z natężoną cięciwą; ale na widok swojego Murzy prawie nagiego, w rękach jednego rycerza, nie śmieli strzał wypuścić, zdawali się czekać na jego zezwolenie. Kiedy przy blasku ogniów rozpalonych Murza ujrzał pobojowisko zaległe trupami, głęboko westchnął i rzekł:

— Rycerzu chrześcijański, wielki Allah was użył na ukaranie nasze: wyznajemy żeśmy na nie zasłużyli, kiedy mnie, doświadczonego w tylu wojnach żołnierza, sen twardy oddał w twoje ręce; i kiedy garstka waszych, już wiecznym sromem ohydziła nasze znamiona. Jednak niewynoś się zawcześnie z swojego zwycięztwa: patrz jakie liczne tłumy stoją na przeciwko was, pałając żądzą pomszczenia braci swoich przez was zamordowanych.

— Nuradynie, — odpowiedział Pan Samuel; — ani myśl żeby twoje uszykowane wojsko zdołało mnie przestraszyć. Nie pierwszy raz spotykamy się z sobą, i nieraz pierzchać musiałeś przedemną; chociaż winienem ci sprawiedliwość oddać, że w całym Krymie w niczyim ręku bułat nie jest tak straszny jak w twoim. Ale właśnie że cię szacuję, przy-

kro mi być zmuszonym do użycia na przeciwko ciebie całéj srogości praw rycerskich. Tyś się mnie niepoddał, gwałtem ciebie porwałem, więc twoje życie jeszcze jest moją własnością. Jeżeli twoi Tatarzy zechcą z nami bój przedłużać, zmuszony będę dopełnić mojéj powinności. I pierwszy raz w życiu Samucha bezbronnego rycerza zadławi.

— Jak-to? ty jesteś Samucha, Hetman Zaporoża, z którym tyle razy zdarzyło mi się mierzyć, a któremu nigdy dotrzymać niemogłem? Nie dziwię się, że zostałem twoim jeńcem. Ale czyż już niedość krwi? Wyjdź z obozu z garstką twoich towarzyszy, wszystkich jeńców chrześciańskich jacy u mnie pozostali, oddam tobie bez okupu, i żaden z moich, twojemu odwrótowi przeszkody stawić nie będzie.

— Nie Nuradynie, między nami podobne układy być nie mogą. Nie będziesz się chwalił przed swoim Hanem, że Samucha targował się o wyjście z twojego obozu. Słuchaj Nuradynie mojego wyroku: bo nic go zmienić niezdoła. Jeżeli twoi chcą koniecznie walczyć, pierwszy ich krok rozstrzygnie los twój; i za chwilę obaczysz się z swoim prorokiem. Jeżeli chcesz układu, jeden tylko ci ofiaruję: wybierz trzech najdzielniejszych twoich Tatarów, ja sam z wami pójdę na ostre. Jeżeli mnie pokonacie, ci wszyscy co tu ze mną przybyli i ja z nimi, jeżeli żyw siebie wydźwignę z przegranéj, będziemy twoimi jeńcami: możecie się spodziewać znacznego okupu jak Samuchę oddasz w darze twojemu Hanowi; ale jeżeli ja was zwyciężę, cały wasz obóz i wy wszyscy będziecie moją własnością.

— Zgoda, — odrzekł Murza; dał znak i Tatarzy spuścili łuki. — Przyjmuję układ z tobą Samucho, mam dwóch synów z sobą i tych twoim ludziom oddam na zakład, że umowa będzie dotrzymana z naszéj strony.

— Nie Nuradynie, zakładu niepotrzebuję, tylko zaprzysiąż z ludem twoim na Koranie umowę którą z sobą zawieramy. Znam ciebie okrutnym, łupów niesytym, ale wiém żeś nigdy przysięgi niezgwałcił. Skoro jutrzenka pokaże się na wschodzie, na błoniu nas otaczającém rozpoczniemy walkę.

— Przyjmuję ofiarę twoją, rycerzu.

W jednéj chwili obóz przybrał postać pokoju: Rycerzów

Polskich i Serbskich, oraz wszystkich Tatarów przysięgi wykonane zostały; Murza wybrał na towarzyszów syna swojego i dwóch Tatarów, których męztwu najwięcéj dufał. A rycerze zmięszani z bissurmanami żadnéj zdrady już się nie obawiali. Z początku było jakieś wahanie między Serbami: nie radzi byli wolność swoją puścić na losy, w grę tak nierówną; ale Pan Kaźmierz ich uspokoił témi słowy:

— Nie bójcie się państwo, ani wątpcie że Hetman ich pokona; wszakże tu i moją własną skórę idzie, a jednak jestem spokojny.

Rozmawiał Pan Samuel z Murzą w jego namiocie niecierpliwie czekając jutrzenki, a rycerze ich orszaku już robili przygotowania do tak stanowczéj walki.

— Nakoniec dzionek zawitał. Bissurmanie zaczęli pokłonami witać jutrzenkę, a głos dawał się nad wszystkie głosy słyszeć na cześć Allaha i jego proroka. Po odbytych modlitwach wyszli zapaśnicy na błoń i tam umówili się o najdrobniejsze szczegóły potyczki. I tak, każdemu wolno było użyć broni jaka się jemu podoba, byle nie ognistéj, ani łuka. Zapaśnik z konia zsadzony już zostawał jeńcem i chociaż by zdrów powstał, niewolno mu było pieszo mieć udziału do bitwy. Konia niewolno było ranić, a z resztą, wszystkie środki bądź zaczepne bądź odporne dozwolone były tak chrześciańskiemu rycerzowi, jako i jego cztérem przeciwnikom. Pobojowisko wymierzone zostało: zapaśnicy się rozstawili.

Pan Samuel wedle rycerskiego obyczaju był cały żelazem okryty: na pancerzu miał zarzuconą szarfę Xiężniczki Siedmiogrodzkiéj i w niéj większą pokładał nadzieję, niż w twardéj stali która się zdawała być na nim okuta, tak dalece w obrótach swoich zdawał się być z nią spojony. Broń jego była miecz długi i szeroki, topór, czekan i proporzec, broń świeżo do Polski wprowadzona przez Lipkich Tatarów, a któréj Krymscy nie używali. Była to spisa, któréj grot był ozdobiony chorągiewką dwubarwną: wynalazek wyborny, gdyż ta chorągiewka igrając z wiatrem, robiła szelest odstraszający nacierającego konia. Szyszak na którym błyszczały trzy strusie pióra, był jeszcze ozdobiony

końskim ogonem, który chronił przerwę między szyszakiem i pancerzem. Tatarzy mniéj ciężko byli odziani, nosili tylko koszulki z ogniw stalowych w Damaszku hartowanych, których nie tylko grot, ale nawet kula z rusznicy przebić nie była zdolną — i misiurki z podobnéj stali. A ich broń: były szable tureckie, dzirydy i kindżały.

Na znak dany, rzucili się na rycerza i wzięli go w obróty. On trzymał proporzec między piersią a ramieniem ściśniony z grotem w tył obróconym. Murza i syn jego stawili mu czoło, a dwaj Tatarzy usiłowali z tyłu go pokonać: ale chorągiewka koniom dostępu nie dozwalała, pomimo nieoszczędzania ostrogi; a tylcem proporca składał się od nacierających z przodu szabel. W tém odwrócił się raptownie za sobą, i prędki jak błyskawica, pchnął ostrzem proporca jednego Tatara, i w jednéj chwili zsadził go z konia. A że właśnie drugi Tatar z boku do niego przyskoczył, on na niego rzucił lewą ręką czekan, opuściwszy cugle, i trafił go w miejsce gdzie misiurka samo ciemie zakrywa: misiurka, choć w Damaszku hartowana, niezasłoniła od śmierci syna Krymskich stepów; przez czerep pęknięty uleciała mu dusza. To podwójne zwycięztwo tak szybko było dokonane, że kiedy Murza z synem z tyłu natarli, by korzystać z jego obrotu, już zastali groźny proporzec który wstrzymał ich konie. Krzyk uwielbienia powstał między chrześcianami, tak towarzyszami broni, jako i jeńcami, którzy błogosławili Boga że dał im takiego nadzwyczajnego obrońcę. Samuel już nieco zrównawszy siły, rzucił o ziemię proporzec i dobył miecza. Tu się zagrzała najstraszniejsza walka, na jaką kiedykolwiek mężni świadkowie patrzali. I Nuradyn i jego syn byli dzielni, władali bułatem zręcznie i silnie, a oba mieli serce nieustraszone. Długi czas szala między zapaśnikami ani na jedną ani na drugą stronę niezdawała się pochylać; często łoskot bissurmańskich szabel obijał się o szyszak i zbroję chrześcijańskiego rycerza. Nawet kiedy Samuel składał się z Murzą, szukając miejsca na pocisk który dla niego gotował, syn Murzy ciął go w przerwę między pancerzem a szyszakiem: to cięcie było straszne, i żeby nie ogon koński, byłoby

już po rycerzu; ledwo na ostatnich włosach wstrzymał się impet bułata: cała ozdoba szyszaka rozsypała się w powietrzu. Tu rycerz opuścił Murzę, by żwawiéj natrzeć na jego syna, i kiedy ten wyglądał jego upadku: tak silne uderzenie miecza dostał po szyi, że nie tylko ogniwa misiurki, ale obie kości od karku przecięte zostały, tak że głowa młodzieńca ku piersiom się schyliła, i potok krwi zbroczył konia i ziemię. Jęknął starzec na widok tak drogiéj straty i rzucił się z wściekłością na zwycięzcę. Krzyżować się zaczęły miecze, mięszały się razy. Z jednéj strony żądza śmierci, z drugiéj pewność zwycięztwa, cóś nadludzkiego przydawało téj bitwie. Siła rozpaczy piętnowała pociski jednego, zimna krew cechowała odporne cięcia drugiego. Nakoniec chrześcijanin, odbiwszy miecz bissurmana jedném z tych cięć, któreby nasza dzisiejsza zniewieściałość za bajeczne przyjęła, rzucił się na niego jak piorun, porwał go silném ramieniem w pół, tak go ścisnął że ruszyć się nie mógł i przeniósł go na swojego konia, mówiąc: «Murzo, tyś już drugi raz moim, nietylko z łóżka, ale i z konia porywać umiem.

Murza opuścił bułat niedołężny.

— Rycerzu, — rzekł — odebrałeś mi syna, odbierz mnie i życie.

— Nie Nuradynie, ty musisz być moim jeńcem, od umowy zaprzysiężonéj Bogu nieodstąpię.

Chrześcijańscy rycerze przyskoczyli, żeby zabrać Murzę. Po tak świetném zwycięztwie dała się widzieć rezygnacya muzułmańska w całym swoim blasku. Było ich przeszło stu mężów walecznych, a żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło, oprzeć się w czémkolwiek swojemu przeznaczeniu; wszyscy padli czołem przed zwycięzkim rycerzem jako przed swoim nowym panem. Ale kiedy stary Murza także rzucił się do nóg i powiedział mu: — Panie, pozwól twojemu niewolnikowi, żeby mógł pogrzebać syna swojego — Pan Samuel łzami litości uczcił jego nieszczęście, podniósł go z pośpiechem, i rzekł:

— Murzo, żeby szczęście było sprostało twojéj waleczności, byłbym został twoim niewolnikiem. Teraz musicie z

nami pójść, by stawić się przed tą, której winienem otrzymane nad tobą zwycięztwo; a tam dowiecie się o waszém przeznaczeniu. Zabierzcie z sobą ciała, i twojego syna i tego drugiego walecznego męża, który od mojego czekana poległ. Tam złożymy w zupełnéj zbroi tych, których niewiem czy opłakiwać się godzi, bo takiej śmierci ani podły ani nikczemny się niedoczeka.

Tatarzy i ich Murza, z wiernością sług, wszystkie skarby złożyli w ręce Hetmana, nic z nich nieodwracając dla swojego użytku; było mnóstwo srébra, klejnotów, kobierców, broni, nie licząc koni i wozów; ale najszacowniejsza zdobycz była, przeszło trzydziestu jeńców chrześcijan w obozie pozostałych, a między nimi kilka młodych kobiét szlachetnych, przeznaczonych do haremu Hana, a którym ojczyzna, sława, nawet wiara zostały wrócone. Można sobie wyobrazić jakie to były odgłosy czci i uwielbienia!

Pozaprzęgano wozy, na nich naładowano i skarby i to wszystko co warto było zabrać. Na kilku wozach usadowiono jeńców, a na najlepszym jaki można było wybrać, złożono ciało syna Murzy, obwinięte z rozkazu Hetmana najdroższym kobiercem; a obok, ciało drugiego Tatara, także obwinięte w kobierzec, jeno mniéj kosztowny. Rozbrojony Murza siadł na swoim koniu, zaproszony do tego przez swojego zwycięzcę, i obok niego pochód odbywał. Obóz wyruszył za nimi pod strażą Serbów i hajduków, a dowództwem Pana Kaźmierza, który pełen radości bez przestanku powtarzał Serbom:

— A co, czy nie mówiłem że tak będzie, a wyście wątpili. Nieprawda że nasz Samucha niezgorszy rycerz. Można sto mil zrobić żeby na niego popatrzyć.

Stanęli wszyscy przed gospodą, gdzie xiężne były. Nie znaleźli je senne, bo przez całą noc modliły się z xiędzem Trynitarzem, który pierwszy przez okno spostrzegł przybywający obóz i dał o nim wiedzieć xiężnom. Przy saméj gospodzie spotkał Pan Samuel nowych gości, kilku Towarzyszów chorągwi Pana Generała Ziem Podolskich, ktorzy mu oświadczyli, że za kilka godzin sam Generał przybywa z wojskiem na przeciwko Tatarom.

— Z przed nosa uchwyciłem mu zwycięztwo — rzekł śmiejąc się Pan Samuel; — cały obóz ja zdobyłem, nie straciwszy ani jednego żołnierza. Bez najmniejszéj przesady mogę powiedzieć, że ani jedna tatarska noga nieuszła: wszyscy są moimi jeńcami. I jeżeli się doczekam Pana Humieckiego, oddam w ręce jego tych jeńców na wiązanie dla naszéj Rzeczypospolitéj. Dwóch tylko zachowam przy sobie, bo już dla nich obmyśliłem inne przeznaczenie.

— Z kimże mamy zaszczyt mówić, — odezwał się jeden z Towarzyszów; — byśmy mogli natychmiast wracać do Generała, opowiedzieć mu cośmy widzieli i słyszeli, oraz naglić go żeby jak najprędzéj pośpieszał o tém się przekonać.

— Jestem Samuel Zborowski, Hetman Zaporozki, a co mnie nie mniéj zaszczytu przynosi, bliski krewny Pana Humieckiego. Ruszajcie sobie Waszmoście, a wiém że jak się dowie że tu na niego czekam, niebędziecie mieli potrzeby go naglić.

Towarzystwo zawróciło się i czwałem pobiegło, a Pan Samuel z Murzą stanęli przed xiężnami zadziwionemi.

— Murzo — rzekł Pan Samuel, pokazując jemu xiężniczkę, — oto jest ta, dla któréj ciebie zwyciężyłem.

Murza padł jéj do nóg.

— Opowiedz rycerzu — odezwała się Xiężna Rascyi, — co się z tobą działo, odkąd nas opuściłeś: wyprowadź nas z ciekawości.

— Pani, chciałem wsławić tę szarfę którą otrzymałem z ręki xiężniczki: nic więc dziwnego, że się mnie powiodło. Wszyscy jeńcy chrześcijańscy są wolni, wszystkie łupy nagromadzone przez najezdników, stały się naszą własnością, a wszyscy Tatarzy są moimi jeńcami. Tu nie zadługo przybędzie Pan Humiecki z żołnierzem pragnącym bitwy; ale w oczekiwaniu swojém się zawiodą, bo już niema z kim walczyć. Wszystkich jeńców jemu oddaję na pożytek Rzeczypospolitéj: ich Murzę i syna jego pozwolisz pani swojéj straży powierzyć, żeby ich oddać Xięciu Stefanowi na dowód mojego osobliwego szacunku dla jego osoby. Być nie może żeby niemiał poddanych swoich w jassyrze tureckim, a pewnie za uwolnienie tak mężnego rycerza, za jakiego u

Bissurmanów uchodzi Murza Nuradyn, wszystkich odzyskać może. Nie pozostaje mi, jak złożyć ci jeszcze raz dzięki dostojna xiężniczko, żeś mi pozwoliła wzywać twojego imienia w potyczce. Teraz zajmiemy się podziałem łupów między tymi, którzy uczestniczyli w téj wyprawie. Szczególnie hajducy xiężniczki nad moją nadzieję się popisali.

Tu się odezwał Pan Kaźmierz świeżo przybyły:

— Prawda że hajducy tego się popisali; oni jedni mieli jakiś udział do sprawy, bo sennych Tatarów nabili mnóstwo. Ale kiedy się obudzili, Bogiem a prawdą, my nic niezrobili, tylko wszystko zdziałał Pan Hetman. On z namiotu porwał Murzę, a potém sam jeden przeciwko cztérem walczył w szrankach: dwóch zabił, a dwóch zabrał jak swoich; i wedle umowy cały obóz był nagrodą jego zwycięztwa. Co to Xiężne-Panie — w kronikach niedoczytać się cóś podobnego! Niech żyje nasz Hetman, a niech przepadnie kto go nieszacuje!

— Nadto skromny jesteś Kaźmierzu, — rzekł Pan Samuel; gdybyś ty niebył nam luki otworzył sprzątnieniem tatara na straży stojącego, nic byśmy niezrobili.

— A Panie, to tylko łaska pańska tak mówi: co innego podejść z nienacka strażnika, a co innego na ostre z cztérma się potykać.

Wyszli rycerze, żeby się trudnić podziałem łupów i pogrzebem poległych dwóch wojowników, zostawując Xiężne zdumione. Pan Samuel poobdzielał wszystkich i dla siebie wzłąi im równy udział; ale klejnoty Xiężn kazał złożyć osobno, żeby je wrócić Xiężnom, gdyż nie złoto ani bisiory, ale żelazo uwolniło chrześcian. Serby i hajduki pod nieba wynosili wspaniałego rycerza. Ten wrócił pośpiesznie do Xiężn i rzekł:

— Oto część łupów na mnie przypadłą oddaję ojcu Trynitarzowi, żebyś je użył na okup naszych chrześcian, nadto oddalonych od mojego miecza, żeby w nim mogli znaleść opiekę. A oto Xiężnom oddaję te ich drogie bisiory, któremi ten szanowny kapłan w dniu wczorajszym tylu naszych wykupił; niech one służą Xiężnom na dalsze ich dobroczynności.

— Przyjmujemy z rąk twoich te nasze ozdoby, ale ich bez okupu nieodbieramy. Ojcze Trynitarzu, jak tylko przybędziemy do Hermansztadu, ich wartość będzie tobie odesłana przez umyślnie na to wyprawionego rycerza, wszystko na ten sam cel, co i dar naszego obrońcy. Ale, — dodała Xiężna Rascyi — niezapomnij ojcze sprawując najświętszą Ofiarę, zanieść Bogu modlitwę, ażeby temu rycerzowi wszystkie jego zamysły się powiodły.

Skłonił się nisko Trynitarz.

— Xiężniczko, — rzekł Pan Samuel, — czy mogę pochlebiać sobie, żeś pani mnie sprzyjała w czasie mojéj wyprawy?

Xiężniczka zmieszana na odpowiedź zdobyć się nieumiała; ale Xiężna odpowiedziała z pośpiechem:

— Ani wątp o tém rycerzu: od chwili kiedyś nas był opuścił, aż do twojego powrotu, ciągle klęcząc się modliła za tobą, a co więcéj, postrzegłam że po kilkakrotnie łzy się puszczały z jéj oczów.

Rycerz ukląkł przed Xiężniczką, w uniesieniu porwał ją za rękę i przycisnął do ust swoich. Xiężniczka jemu ręki nieusunęła, nawet uczuł jéj lekkie ściśnienie, które omal do szaleństwa go niedoprowadziło.

Serbianin jeden w téj chwili przybył, by dać wiedzieć że już wszystko gotowe do złożenia ciał wojowników. Xiężne obydwie chciały być świadkami pogrzebu. Była jama szeroka: w niéj złożyli ciała w całkowitym rysztunku; oba obok siebie mieli wiecznie spoczywać; a te ciała pokryte zostały kobiercami. Nim ziemię sypać zaczęli, Pan Samuel stanął na brzegu jamy i przemówił w języku ruskim, od wszystkich, a nawet od Tatarów zrozumianym, żeby uczcić pamięć walecznych mężów. Było cóś rozdzierającego serce w jękach tatarskich jeńców, a szczególnie w żalu starca: Xiężne łez wstrzymać niemogły. Wkrótce stanęła mogiła, na któréj żyto garściami rzucać zaczęli Serby, zachowując i na obcéj ziemi swoje rodzinne obyczaje.

Ledwo po skończonym pogrzebie zebrali się wszyscy w gospodzie żeby ostatnie z sobą zjeść śniadanie, kiedy przybył Pan Humiecki. Koń jego był jakby skąpany, tak go

pędził stary wojownik, niecierpliwy oglądania Pana Samuela. Wszedł do izby, powitał Xiężne, i zaraz został od Xiężnéj starszéj poznany, bo przed kilku laty był w poselstwie w Belgradzie od nieboszczyka Króla. Po wzajemnych przywitaniach, obrócił mowę do Pana Samuela.

— Ktoby to się mógł spodziewać że w pierwszym moim spotkaniu z Waścią Panie Samuelu, zacznę od pochwał. Bo to wiecie dostojne xiężne, że to mój siostrzeniec: matka jego była moją cioteczno-rodzoną siostrą. Co też on zgryzoty nie przyniósł mojemu świętéj pamięci szwagrowi, Panu Krakowskiemu, kiedy uciekł z jego domu. Pan Krakowski rady dać sobie niemógł: bo to w Zamku Zborowskim Samuelek był jak oko w głowie. Było wielu co go mieli za przepadłego, a on pod nazwiskiem Samuchy hetmanił kozakom Zaporozkim, i z nimi cuda dokazywał. Bo już o wszystkiém się dowiedziałem. Jeden oddział jezdzców który dopiéro téj nocy do mnie przybył, przechodził przez jakąś gospodę, gdzie zastali jednego znajomego im Towarzysza, który jeszcze chromał od pchnięcia Pana Samuela, i wybierał się do Krakowa: niejaki Zdora — znane mi to nazwisko, bo to słudzy i przyjaciele domu Zborowskich. Otóż pomyślałem sobie: Samusiek kręci się w tych okolicach; jeżeli gdzie go nadybię, użyję wujowskiéj powagi, zbesztam go tak, że będzie mnie długo pamiętał; ale tak mi się łebsko popisał, że niemogę go niepochwalić. Niech ciebie uściskam Samusiu.

Pan Samuel z uszanowaniem pocałował go w rękę.

— No Samusiu, co z sobą myślisz robić?

— Xiężne do Dniestru odprowadzę a z tamtąd spiesznie powracam na Zaporoże, żeby z nim stanąć na usługi Rzeczypospolitéj; a wujaszkowi oddaję przeszło sto jeńców Tatarów, oprócz dwóch, co ich odsyłam do Hermansztadu, na wiązanie Xięciu Stefanowi: samego Murzę Nuradyna i jego syna.

— Dobrześ wymyślił: Xiąże Stefan wart takiego upominku. A za jeńców, co mi oddajesz, dziękuję ci w imieniu całéj Rzeczypospolitéj, a szczególnie województwa którego jestem generalnym Starostą, a któreś na długi czas uwol-

nił od napaści; będę się starał, ażeby Sejm Konwokacyjny tobie za to podziękował. To moja krew, Xiężne Dobrodziki; aż dusza ledwo mnie nie wyskoczy że w siestrzanie znajduję tak dzielnego sługę Rzeczypospolitéj. Proszę xiężnéj być na niego łaskawą, bo to szałaput, ale ma najlepsze serce. A o ramieniu jego nie wspomnę: bo to panie lepiéj odemnie wiedzą. A to żywy obraz mojéj nieboszczki siostry. Zrzuć-że mi Waść szyszak, niech się Waści lepiéj przypatrzę. A chłop żwawy, zmężniał, opalił się, jak rycerzowi przystoi: wszakże ja jego od sześciu lat niewidziałem; a niespodziewałem się, że się doczekasz takich wąsów. Ta to zdaje się że pozawczora był smarkaczem, a już wąsy ma dłuższe od moich. Niechże JO. Xiężna mnie powie, czy służąc w jéj glejcie dobrze się sprawował, czy nienaprzykrzał się xiężnom?

— Panie Generale — odpowiedziała xiężna, — my jemu winne jesteśmy byt nasz. Wszak to niedaleko Kijowa tłum Tatarów na nas napadł; żeby nie siostrzan pański, to byśmy nigdy niepowróciły do naszéj ziemi; on to zastawił nas swoim mieczem.

— Wielka sztuka zwyciężać, będąc w obronie tak pięknych pań! Mnie staremu rady by niedali: choć to u mnie ręka jeszcze nie stara; a chociaż Samusiek rozbija obozy tatarskie, nie bardzo bym się nastraszył jego pałasza, jak mnie xiężne widzicie.

— A ja bym się zląkł wujaszka i pewnie bym mu niedotrzymał placu.

— O jaki filut: to na uszanowanie składam; tak to lubię. Widzicie xiężne, chłopak ma serce dobre: proszę go kochać, bo wart tego. Ale tu Samusiu twoja służba się kończy: podziękuj xiężnom że ci pozwoliły być ich sługą.

— Ale Wujaszku, ja do brzegu Dniestru muszę xiężne doprowadzić, takiem się obowiązał: za cóż mnie tych kilka godzin zazdrościcie.

— Ot, ot, jak kotek pokazuje pazury. Waść choć sobie hetmanisz na Zaporożu, tu musisz robić tak jak Waści każę. Do Dniestru nie daleko, i ja sam xiężne obie doprowadzę, bo tam są moi, których mi opatrzyć trzeba: a Waść ruszaj

co tchu na swoje Zaporoże, gdzie tak się rozporządzisz, ażeby za pierwszém wezwaniem, Rzeczpospolita miała z Waści pociechę. A choć to łysą głowę i siwego wąsa oddać xiężnom za młokosa nie osobliwsza zamiana: wszelako służba tego wymaga, a ja przeproszę xiężne, żem ich kilka godzin nanudził.

— Ani myśl Mości Generale, by towarzystwo tak znakomitego męża, jakim jest zacny Humiecki, mogło nam ciężyć; wszak to my dawne znajome.

— O szczeréj życzliwości Waszéj Xiążęcéj Mości nie wątpię: ale xiężniczkę o przebaczenie błagam. Bo to ja wiém, że do młodéj dziewicy przystąpić z siwym wąsem, to tak jak do psa z jeżem. A możem powiedział nic do rzeczy: bo to człowiek z małego ciągle przestaje to z żołdactwem, to z końmi, a z damami, zwłaszcza równie dostojnémi, tak dobrze jak nigdy, więc staremu żołnierzowi wybaczycie. Wszak to niemiałem jak lat trzydzieści, kiedy się ożeniłem z xiężniczką Zbaraską, a byłem niewinny jak panienka. A moja żonka to był cud piękności, ledwo nie sprostała by xiężniczce, którą mam zaszczyt widzieć. Już mnie w głowie nie były ani potyczki, ani konie — choć moje stado jest pierwsze w Polsce: niech Samuś powie. Otóż pan Bóg niepozwolił jéj żyć ze mną nad jeden rok: padła jak kwiatek kosą ścięty. Ach Xiężna Imość, co też to się ze mną działo, kiedy jeszcze teraz za nią czasem zapłaczę, a przecie na Śty. Michał skończy się lat dwadzieścia dziewięć. W wielu to ja bitwach szukałem śmierci, a jéj znaleźć nie mogłem. Bo to i wstyd mi był xiążąt Zbaraskich, że ich siostra tak prędko w moim domu umarła. Otóż w dzień jéj pogrzebu postanowiłem sobie, ba nawet Bogu dałem słowo szlacheckie, że nigdy z drugą niepoprobuję szczęścia. I przez lat kilka unikałem wszelkich kobiét, a tylko granic pilnowałem: aż nakoniec tak zjałowiałem, że dla mnie kobiéta a kamień to było wszystko jedno — co proszę byście xiężne niebrały za przymówkę. Ot, ot, może znowu nic do rzeczy powiedziałem. Przepraszam, że tak często grzeszę.

— Panie Generale, ja tak pana szanuję, że mu pozwalam w mojéj przytomności to wszystko mówić, co mu się po-

doba; a mój mąż to ciągle pana Generała poselstwo przypomina sobie.

— Niech mu Bóg za łaskawą pamięć o mnie nagradza w jego dzieciach: bo już niema czego jemu życzyć. Ma szerokie państwo, żonę gładką, a zdrowie, że w moich oczach łamał podkowy: czego ja dokazać niemogłem. To pan całą gębą: wspaniały, śmiały, do korda tęgi: a jak pije! Xiężna Dobrodzika musisz pamiętać o jednym wypadku, wydarzonym w czasie mojego poselstwa. Sprobowaliśmy siebie na gołe łby, on i ja, a trzeci piwniczy, który nalewał ciągle to Despocie, to mnie; a wino kapitalne, stary węgrzyn po antenatach. Xiężna i dziś piękna, a wtedy — ta to lat kilkanaście temu, można sobie wyobrazić co to być musiało, kiedy ja patrząc na nią, czasem musiałem przypominać sobie że mnie trzeba tęsknić za moją żoną. Otóż przy kielichu, zgadało się o żonach, a mieliśmy już oba w głowie: Despota mnie pyta: — czy twoja żona była piękniejsza od mojéj, czy nie? A ja powiedziałem: równe, — bo jużci nie mogłem i mojéj nieboszczce wyrządzić zniewagi; a Despota na to: — Otóż moja piękniejsza, sam to przyznasz, jak ją poznasz taką jaką jest w istocie: chodź ze mną do jéj komnaty, ona śpi, osądzisz. — Ja widzę że Despota pijany, reflektuję go; gdzie tam, ani sposobu: prowadzi mnie do sypialni, a xiężna...

— Co za potrzeba Panie Generale rozgłaszać słabości mojego męża: myślałam żeś Pan jego przyjacielem.

— Otóż znowu się wyrwałem nic do rzeczy, przepraszam, przepraszam. A co się tyczy przyjaźni, pewnie na niéj nigdy się nie zawiedzie potężny Despota Rascyi.

W tém przyniesiono śniadanie.

— Panie Generale — odezwała się małżonka Despoty; — racz podzielić z nami podróżny posiłek.

— Służę Waszéj Xiążęcéj Wysokości, bo po śniadaniu zaraz wyruszyć trzeba, nam ku Dniestrowi, a Samusiowi z wielkim jego przeproszeniem ku swojéj Siczy.

Siedli za stołem, xiężne, stary Humiecki i Pan Samuel. Podano wino podróżne, które w całości było zachowane, bo ani xiężne, ani Pan Samuel innego prócz wody nieznały

napoju. Ale Generał butelkę swoją wypróżnił, czém się tak rozochocił, że więcéj niż kiedy się rozgadał, opowiadał on swoje rozmaite wypadki wojenne, łowieckie i kielichowe, co Xiężna Rascyi zdawała się słuchać z wielką przyjemnością, a w rzeczy saméj cieszyła się że Samuel w tymże czasie mógł rozmawiać z Gryzeldą, bez obawy ściągnienia na siebie czyjéj uwagi. Ale i oni nie uszli wielomówstwa Generała.

— Jak widzę Samuś się zaleca Xiężniczce Siedmiogrodzkiéj: daj mu Boże szczęście; bo to na Kasztelanica Krakowskiego nogi, nie są tak wysokie progi, chociaż by xięcia panującego. Wszakże to nikogo nie zadziwiło, że mi się dostała krew Xiążąt Ruskich, lubo nie byłem ani Senatorem, ani Starostą, a tylko Panem Humieckim, pułkownikiem Królewskim, jak nim jest Samuś: bo te Hetmaństwo jego, choć bardzo zaszczytne, ale o nim się nie mówi, gdyż o tém prawo jeszcze milczy; a może da Bóg że się odezwie, jak stanie nowy Elekt. Wtedy nasz Samuś będzie zupełnym Hetmanem, czego mu życzę z całego serca, nietylko jako wuj, ale jako zasłużony sługa Rzeczypospolitéj. Wszakże gdyby nie był wiercipiętą, byłby mężem Xiężniczki Ostrogskiéj, z tejże xiążęcéj krwi co i moja żona, jeno nieco posażniejsza, bo ja po mojéj wziąłem tylko jeden zamek, a Xiężna Halszka ma ich kilkadziesiąt. Wszystko było ukartowane przez nieboszczyka mojego szwagra: byłby teraz możniejszym niż nim może zostać przy łasce, choćby największéj, Xięcia Stefana. A może znowu nic do rzeczy powiedziałem? to przepraszam, przepraszam. Tylko że to się nie mówi na to, żeby ta xiężniczka miała być mniéj pożądaną niż jakakolwiek xiężniczka, ale na to że nie nowa rzecz dla domu Zborowskich koligacić się z mitrami; i że Samuś jak zupełnie się ustatkuje, a Król nowoobrany wesprze go wysokim urzędem, a zechce się udać do Xięcia Stefana, ja mu nieodmówię błogosławieństwa; bo w tém nic nierozsądnego nieupatrzę. A jeżeli nie dostanie rekuzy, a ja jako wuj pana młodego zaproszony będę na wesele, to przy odebraniu wieńca jak wystąpię z oracją, zakończę ją w ten sposób:

Żeni się równy z równą
Zborowski z Batorówną.

— A co może i teraz odezwałem się nic do rzeczy? to przepraszam. Cóż na to powie Xiężniczka Siedmiogrodzka?

Gryzelda siedziała jak na szpilkach: zdobyła się jednak na to iż mu powiedziała:

— Pan Generał jak uważam lubisz wierszyki.

— A tak, nie inaczéj: bo dopiéro po odbytéj poetyce ze szkół uciekłem, i to mi pozostało, że czasem kadencją lubię zakończyć mój dyskurs. Mojéj chorągwi towarzysze powtarzają moje wierszyki, ale ja jak je wypowiém, to zaraz o nich zapominam; nie tak jak Pan Kochanowski co swoje wiersze na pamięć sypie jakby z rękawa; i jest co słuchać; ale zato na koniu jeździ po łacinie, i ani go namówić do tańca z Niemcami lub Tatarami. No, xiężne panie, już śniadanie skończone, za które dzięki składam, boście mnie ugościły i nakarmiły; choć na ich łaskę nie miałem czasu zasłużyć, jak ten hultaj Samuś. Co to za szczęśliwy człowieczek! Tak się uwinął z Tatarami że niemam nic do roboty. Pożegnaj się Waść Samusiu z temi dostojnemi paniami, a Xiężniczce nie zapomnij powiedzieć przy pożegnaniu: do zobaczenia.

— Czy Pan Generał nieprzyjmie miejsca w naszym pojeździe? rzekła xiężna.

— A broń Boże, ja jeszcze nieranny: koń wierzchowy — to mój pojazd; ale Xiężne panie z oka niespuszczę. Dałby Bóg, żeby kto na nas napadł po drodze: dowiedziałyby się Xiężne, że jeszcze stary nie tak zszedł z pola, żeby z niego czasem nie było pożytku. Bywaj Waść zdrów panie siestrzeńcze, do obaczenia w Krakowie. Składam dostojnym Xiężnom jeszcze raz moje dzięki, a wychodzę naprzód powiedzieć parę słów moim porucznikom, i za pozwoleniem Xiężn, cóś szepnę ich usłudze, żeby zaraz była gotowość do wyjazdu. A potém, trzeba wyprawić komendę dla przeprowadzenia Tatarów do Kamieńca.

Ledwo Generał wyszedł, a już słychać było jak wrzeszczał na wszystkie strony.

Pan Samuel przybliżył się do Xiężnéj Rascyi, i rzekł:

— Powierzam Xiężnie mój los i wszystkie moje nadzieje, bo serce mnie ostrzega, że na jéj życzliwości nigdy się nie zawiodę.

— To ci dowiodę w skutku, o tém nie wątp rycerzu. Musisz się rozstać z Gryzeldą, ale w téj chwili tak przykréj dla twojego serca, pokaż się równie mężnym, jakeś dopiéro się nim pokazał na polu sławy.

Rycerz wziął rękę Gryzeldy, któréj smutek był nadto widoczny, ucałował tę rękę, chciał coś jéj powiedzieć, po kilkakrotnie usta otwierał, ale na żaden wyraz zdobyć się nie mógł. Przez chwil kilka trwała ta milcząca scena: dopóki rycerz nie opatrzył się że łzy natłokiem cisną się z oczów jego. Zawstydzony niemęzką słabością, zakrył czoło szyszakiem, spuścił kratę od przyłbicy, i odszedł z gwałtownym pośpiechem. Wkrótce potém Generał przybiegł donieść że wszystko w pogotowiu. Xiężna Rascyi zajęła miejsce obok Gryzeldy drżącéj jak listek: Generał siadł na swojego rumaka, ale tak był zajęty i swoją komendą i zbrojnym orszakiem Xiężn, że o wszystkiém inném zapomniał, i z niemałém zadowolnieniem dam, dla których każdy w téj chwili okazał by się natrętnym, przestał się niemi zajmywać; a Pan Samuel jakby przykuty do wrót gospody, okiem ścigał pojazd Xiężn, dopóki nie zniknął w przestrzeni.

XIII.

Po długiém ociąganiu się, znaglony rozkazem brata swojego Króla Francuzkiego, przybył nakoniec do Polski Henryk Walezyusz, więcéj niż od roku obrany Król Polski, za jednomyślną zgodą całego narodu. Jeżeli ta nieskwapliwość jego dla swoich nowych poddanych, nieco oziębiła ich przychylność, można powiedzieć, że jego przybycie do reszty ich odczarowało. Leniwy, mało przystępny, podejrzanych obyczajów i to w sposobie u nas niesłyszanym; wychowania tak dalece zaniedbanego, że nawet języka łacińskiego nierozumiał, i w stosunkach swoich z niektórymi Panami Rady, bez tłumacza obchodzić się niemógł. W kilka dni po jego koronacji można było widzieć, że jeżeli był znudzony swoimi poddanymi, i oni nie mniéj żałowali swojego wyboru.

Kraków był napełniony panami i szlachtą; każdy chciał się zbliżyć do Króla poprzedzonego odgłosem sławy rycerskiéj, uzyskanéj w wojnach domowych Francji. I każdy z zadziwieniem przekonywał się, że gnuśny Henryk nie miał siebie za zwierzchnika narodu wolnego, ale za wygnańca w dzikiéj krainie, za więźnia pod strażą barbarzyńców zostającego. Panowie i szlachta, często z sobą naradzali się o przyszłych losach Rzeczypospolitéj, bo każdy przewidywał że jak tylko Król otrzyma wiadomość o śmierci brata, którego stan długiego żywota nie obiecywał, Państwo opuści, gdzie nieznajduje tych zabaw do których nawykł w Paryżu, a

nadewszystko, gdzie Król zniewieściałości Zachodniéj swobodnie nie mógł się oddawać.

Nigdy Polska znakomitszych ludzi niemiała. Był to okres najwyższéj jéj potęgi i sławy. Zaprzeczać nawet nie można że szerzenie się różnowierstwa, jak każda nowość, objawiło jakieś skutki, mogące omamić umysły nie przewidujące że ruch nieprawy, jakkolwiek okazuje świetne zjawisko, rzuca nasiona zgubne, a częstokroć zabójcze dla ciała zbiorowego, które mu niebacznie do siebie dopuściło przystępu. Ten ruch pobudził nauki, a z niemi i tę ogładę zachodnią, do któréj, zwłaszcza wyższe części naszego społeczeństwa lgnąć zaczęły z zapałem. Zapomniano że w narodzie wolnym, zgoda i jedność obywatelów droższe być powinny od nauki i kunsztów, które tylko jak najmniejszéj ich ilości mogą być udziałem. Że jeżeli, o czém wątpić niemożna, one doskanalą tych, że tak powiem wybranych, co są zdolni je rozwinąć w wysokim stopniu; za to do ohydnéj zgnilizny umysłowéj przyprowadzają nierównie liczniejszą massę takich, którzy tylko jakąś cząstkę zawodu naukowego przebiedz mogą, i to tylko z oświecenia przyjmują, co w niém jest niebezpiecznego i szkodliwego. Ludzie prawdziwie uczeni nie ubiegają się za urzędami, bo sama nauka jest zdolną zapełnić czczość serca i umysłu; umieją poznać że ona swoich zwolenników robi poniekąd niezdolnymi do kierowania ludźmi, jakiemi są w istocie a nie jakimi by być powinni; że ludzie nauki, rzadko kiedy są ludźmi czynu. Bo zdolność praktyczna, jakieś natchnienie oświecające człowieka powołanego do władzy, a bez których ona skutecznie sprawowaną nie będzie, nie jest udziałem ani ludzi ostrzelanych z nauką, ani nawet rzeczywiście uczonych, ale tych, co tylko zapatrując się na czyny, instynktowy czują wstręt od wszystkich dedukcyj naukowych i uczonych, które albo się zupełnie zastosować niedadzą, albo w samém zastosowaniu kłamstwo zadają, tym którzy w nich zbyt wiarę pokładali. Ta uczoność wieku Zygmuntowskiego, jako nie wypływająca z żywiołów narodowych, była tylko fenomenalną, a więc nie obiecującą pomyślnych wypadków dla narodu, który jako szczep Słowiański wcale miał inne

powołanie do spełnienia, niż uprawianie nauk, przemysłu i kunsztów, które zdaje się być udziałem wyłącznym narodów Łacińskich i Germańskich. A w istocie, wprowadzenie ogłady zagranicznéj i wyobrażeń zachodnich, zniszczyło jedność obywatelską, i zwątliło tę równość szlachecką — węgielny kamień bytu Polskiego narodu — bo już nadto wielka różnica wyobrażeń zrobiła się była między szlachtą na prowincii osiadłą, a tą która w stolicy, była bliższą steru rządowego. Zresztą, w społeczności która pomimo rożnicy majątków i położeń towarzyskich, opierała się na równości, rownowaga nie mogła się utrzymać, tylko na jedności religijnéj, silnie wyznawanéj od wszystkich części zbiorowego ciała. Ona jedna mogła zastąpić słabość władz wykonawczych, tam, gdzie każdy chętniéj na największe zamieszanie by zezwolił, niż na ścieśnienie w czémkolwiek swobód indywidualnych choćby najuboższego obywatela. Protestantyzm nie zdołał ani się wkorzenić, ani siebie rozprzestrzenić w Polsce; ale co gorsza, wprowadził niedowiarstwo, zwłaszcza między tymi, którym poruczono było kierować narodem, właśnie kiedy natura ustawy społeczeństwa wymagała najwyższéj wiary, a nawet fanatycznego wyznania wierzeń publicznych, bo ta ustawa całkiem z nich wyrosła. To nam tłómaczy, dla czego konstytucja, mądra i nadzwyczajnie zastosowana do ducha naszego, oderwawszy się od swoich zasad życiodawczych, okazała się dziwaczną, nierozsądną, barbarzyńską, tak dalece że aż obmierzła wszystkim tym co mieli słuszne czy nie słuszne wyobrażenie o swoim rozumie. I to wprowadziło u nas ducha reformy czyli zastąpienie rozumem prywatnym podania, rozumu wieków, i wszystkiego tego co było zdziałaném duchem téj religii, w któréj już przestano ufność pokładać.

Zbierano się często dla narady u Marcina Zborowskiego, Marszałka Wielkiego Koronnego. Był to człowiek dumny, światły, zwolennik ogłady zagranicznéj, a chcący ją rozprzetrzenić w całéj Rzeczypospolitéj z ferworem wyznawcy. Jak wszyscy wynarodowieni wówczas polacy, nienawidził elekcyjnego tronu i równości szlacheckiéj. I sprzyjał domowi Rakuzkiemu, wówczas najpotężniejszemu w Europie,

mamiąc siebie nadzieją, że tak jak w Węgrzech i Czechach, zrobi z Polski dziedziczną własność krwi swojéj, i uporządkuje w niéj magnacją jako stan oddzielny i uprawniony w narodzie. Była to powszechna dążność przemożnych dyssydentów; a ta, przenikniona od szlachty osiadłéj na prowincii, nie mało się przyczyniła do jéj wstrętu od zasad w Genewie i Wittembergu czerpanych. Ale świeży postępek Marcina Zborowskiego zdołał mu zjednać jéj przychylność. Głowa potężnego stronnictwa, chociaż zagorzały protestant, umiał na ostatniéj elekcji poświęcić dobru publicznemu osobiste swoje skłonności. Widząc katolików jednomyślnie sprzyjających Henrykowi, jakkolwiek niemógł czuć pociągu dla xięcia który był zbroczony krwią protestantów, niechciał rozdwajać narodu, i zostać przyczyną wojny domowéj. Przyłączył się z swoją partyą do katolików, i głuchy na nalegania Hrabi z Górki, głowy Kalwinów Wielkopolskich, i poduszczenia Xięcia Olbrachta Pruskiego, najbliższego krewnego zmarłego Króla po kądzieli, zdołał zachować jednomyślność na Sejmie Konwokacyjnym.

Ten postępek, do tego jego dostatki, liczne rodzeństwo, łatwość w obcowaniu, i wiele niezaprzeczonych przymiotów, dawały mu w ówczas wielką przewagę w narodzie. Nawet katolikom to się podobało, że kiedy w czasie koronacji, Król Henryk, pomimo obowiązku podpisanego w Paktach Konwentach, niechciał wmieścić w przysiędze swojéj tych słów: — *et pacem cum dissidentibus conservabo* — Marcin Zborowski głośno oświadczył, że jeżeli Król tych słów nie wypowie, to z koroną odejdzie i koronacją zawiesi, czém skłonił Króla. Ale co mu najwięcéj przydawało wzięłości, to brat jego Samuel, na którego wszystkich oczy były obrócone. Jego uroda, rozrzutność, sława wielkich czynów, władza co ją dzierżał na Zaporożu: wszystko to nadzwyczajne wrażenie robiło na szlachcie; a z drugiéj strony łatwość z jaką mówił językiem francuzkim, wykwintność z jaką ubierał i siebie i swój dwór, nadzwyczajna piękność jego koni wierzchowych, odgłos miłości którą pałał dla panującego rodu xiężniczki, a którą objawiał nie tylko mową, ale dewizami, cyframi, barwą i wszystkiemi powierzcho-

wnemi oznakami, z któremi się nigdy nierozstawał: to wszystko tak przypominało obyczaje dworu Walczyuszów, że Francuzcy panowie, z Królem przybyli, uważali go prawie za jednego ze swoich. Sam Król dawał mu przystęp do swojéj osoby, często z nim rozmawiał poufale, i powszechnie mówiono, że się zabierał obdarzyć jego swojemi łaskami.

Zebrało się było dla narady wielu panów szlachty u Pana Marszałka Koronnego. W tém znakomitém zgromadzeniu widać było, oprócz kilku braci gospodarza, Piotra Zebrzydowskiego, Kasztelana Wojnickiego, Pana Haraburdę Wojewodę Smoleńskiego, Pana Kmitę Wojewodę Krakowskiego, Pana Humieckiego Generała Ziem Podolskich, Pana Tyszkiewicza, Starostę Żmudzkiego, Xiążąt Radziwiłów, braci rodzonych, z których starszy był Wojewodą Wileńskim a młodszy Kardynałem świętego Kościoła Rzymskiego; Uchańskiego Prymasa, Mniszcha Wojewodę Sandomirskiego. Byli tam Xiążęta Wiśniowieccy i Ostrogscy. Niemniéj ze stanu Rycerskiego: Panowie z Tęczyna, z Górki, z Grabowa, z Mielsztyna, z Podhajec, z Potoka, z Gozdawy, z Trypola, i wielu innych. Tak iż w tém świetném gronie, ledwo nie każde województwo przedstawione było. Ale między nimi najwięcéj świetniał nauką, zdaniem i wziętością ze szlachty, Jan Zamojski, jeszcze wówczas młody, a który już był uzyskał w siedlisku nauk odgłos głęboko uczonego męża, kiedy aż został wyniesiony na przewodnika Akademii Padewskiéj. Ta mądrość, zagranicą czerpana, bynajmniéj nie ostudziła w jego sercu ani zapału wojowniczego, ani cechy rodzinnéj narodowości. Zgłębiwszy prawodawstwa wszystkich zachodnich narodów, obeznawszy się z ich ukształceniem, jeszcze silniéj, niż kiedy opuszczał ojczyznę, przekonał się, że Polska żadnemu innemu narodowi nie ustępowała nie tylko w prawodawstwie, ale nawet w tém ukształceniu z którego zachodnie ludy się pyszniły, a które jest tylko ckliwém małpiarstwem, skoro niewyraża niezatartych żywiołów odcechujących narodowość własną od innych. Podczas gdy panowie upojeni obczyzną już zaczynali przyganiać naszym ustawom, i z tém się czasem wymawiali iż

życzyli sobie je widzieć więcéj zbliżonemi do istniejących w społecznościach przodkujących w ukształceniu Europejskiém, Jan Zamojski, więcéj od nich wszystkich rozumiejący naukę stanu, utrzymywał logiczniéj, bo szczerze w to wierzył, że w Polsce ani Król miał nadto mało władzy, ani szlachcic nadto wiele swobody. Że żadna ustawa nie może być we wszystkiém doskonałą, ale nie idzie za tém, żeby rozum miał jakieś upoważnienie do niszczenia tego co się wyrobiło za pośrednictwem czasu. Że jeżeli ludziom wolno odmieniać to co inni ludzie zrobili, nie podlega ich rozbiorowi to, co wylęgło się w narodzie z konieczności, a czego ani tworców ani daty okazać nie można. Że takiemi są prawa zasadnicze narodów: a więc ktokolwiek po nie sięga, jakieby były pobudki które go do tego skłoniły, powinien być uważany za zdrajcę ojczyzny, przynajmniéj za obłąkanego człowieka, który jéj przeznaczenie na los chce puszczać. Że jako poganie czcili własne namiętności pod nazwiskiem Bogów, tak ludzie przyganiający rodzimym ustawom i łaknący za obcemi, własną zarozumiałość ubarwiają nazwiskiem miłości ojczyzny. Bo kto ją rzeczywiście miłuje, ten miłuje wszystko co w niéj jest, wszystko co się w niéj wyrobiło; miłuje ją nad własny rozum, a nienawidzi to co się jéj sprzeciwia, a jeżeli upatruje w téj pięknéj całości coś nie doskonałego, coś nawet wstydliwego: jak dobrzy synowie Noego pokryli wstydliwość ojca płaszczem, tak on usiłuje to pokryć w matce swojéj pobudzając w sobie ducha ofiary i poświęcenia, który skuteczniéj niż pióro i mowa ku dobru powszechnemu kieruje czyny pobudzone témi zasadniczémi prawami. Że duch reformy, jeżeli tylko przechodzi pewną granicę, jest przeciwny duchowi powinności i poświęcenia, który jeden tylko zachowuje narody. Że stronnik reformy, jest człowiekiem niecierpliwym, a więc ani prawym obywatelem, ani wiernym poddanym nazywać siebie może. Jakkolwiek Marcina Zborowskiego oburzały podobne zasady, szlachta, wówczas nie zepsuta, nadto im sprzyjała żeby się niestarał o przyjaźń męża, który przy szczupłym majątku, bez związków pokrewieństwa z przodkującemi w narodzie domami, bez znakomitego urzędu

któryby wspierał jego życzenia dla kraju: jedynie światłem i cnotami, władał krociami serc wolnych obywatelów, nieograniczoną ufność w nim pokładających.

Jak się zebrało to liczne zgromadzenie, gospodarz zagaił temi słowy.

— Panowie bracia! W dniu onegdajszym odebraliśmy wiadomości z Paryża, które nic dobrego nam nie rokują. Król Karol IX tak zapadł na zdrowiu, już od dawna zwątlonem, że najbieglejsi lekarze nad kilka tygodni życia mu nieobiecują. Wkrótce zda on liczbę Najwyższemu za tyle krwi przez niego zdradzieckim sposobem wylanéj. Niemoc jego, niesłychana w nauce lekarskiéj, jest widoczną karą Boską za równie niesłychane zbrodnie: bo wedle tychże doniesień, krew mu się nieprzestaje sączyć ze wszystkich porów.

— Kiedy tak, — odezwał się Pan Humiecki, — to już po nim; nie ma gadania. Miałem konia wierzchowego w Inflanciech który się urodził w stajni Sułtana Jegomości. To było pieścidełko — bywało w bitwie więcéj o niego niż o siebie się troszczę. Otoż on właśnie zapadł na taką samą chorobę. Z pod całkowitéj skóry krew mu się sączyła. Więcéj bym starania nie miał nad krewnym; wszystkich Niemców sprowadzałem do niego; dwa podobnych koni bym kupił za te pieniądze które wydałem na lekarstwa, a nic nie pomogło, i po dwu-tygodniowéj kuracji zdechł. Więc Waść Mości Panie Marszałku, śmiało możesz Królowi winszować spadku po Królu Francuzkim.

— Otoż właśnie Waszmościów zebrałem, abyście uradzili jak mamy postąpić z sobą, bo spadek po Królu Francuzkim ściśle jest skojarzony z bezkrólewiem w Polsce. Jużci w Paryżu mieszkając niepodobieństwo rządzić nami.

— Lepiéj dla nas nie będzie, — rzekł Xiąże Ostrogski, — ale też i niegorzéj; bo nasz Król choć jeszcze mieszka w Krakowie, nie wielka z niego pociecha; żeby nie tylko za górami, ale nawet za morzem siedział, mniéj by się nie mógł zajmować nami. Nawet urzędów wakujących dotąd nie rozdał, chociaż o to nieprzestają kołatać i Xiąże Prymas Jegomość i Panowie Kanclerze. Tylko od jutra do jutra wszystko odkłada. Na co daleko szukać — oto Pan Generał

Ziem Podolskich, sprowadzony został na koronacją, z brzegu Dniestrowego, na to żeby zajął krzesło po zmarłym już od półtora roku Wojewodzie Podolskim, a doczekać się nie może stopnia jemu należnego.

— O mnie mniejsza — bo czy Województwo Podolskie mnie się dostanie czy komu innemu, czy nikomu, z tego ani tak wiele pożytku, ani tak wielkiéj szkody dla Rzeczypospolitéj nie wyniknie; ale Samuś ciągle się biedzi żeby koniec zrobić z prowincją Ruską, żeby otrzymała to co się należy. Żeby jemu oddać buławę, a wtedy czterdzieście tysięcy Kozaków gotowych mieć będziem na każde zawołanie. Co to mu wtenczas myśleć o koronie Francuzkiéj; o co wyższego może pograć. Z naszą szlachtą połączoną z kozaki, zdoła w Carogrodzie nie Królewską ale Cesarską koronę włożyć na głowę. Ale cóż z takim ciemięgą poradzisz! Samuś niby w łaskach, wolny ma przystęp do Króla: otoż póki mu gada o turniejach, o bitwach na żarty, to póty go słucha, a jak się odezwie «*ex publicis,*» to ziewa i do jutra odkłada. A Mości Xiąże Prymasie! nie przymawiam Waszéj Przewielebności, ale jakiegoście cudaka nam wywieźli z Francji; bo to wszystko Waszéj Przewielebności robota. Ichmościom Panom Duchownym to tylko było w głowie, żeby stare jednowierstwo na-nowo zaprowadzić w Rzeczypospolitéj: a któż by był od tego? Ja pierwszy, nie przymawiając siestrzanom, nabożeństwa Niemieckiego cierpieć niemogę, a jednak chętniéj bym widział na naszym Tronie choćby Lutra czynnego, niż prawowiernego próżniaka — a może nic-do-rzeczy się odezwałem? to przepraszam.

— A któżby się spodziewał, — odpowiedział Prymas, — że Walezy zostawszy Królem, Tron zamieni w piernat. Wszakże powszechną był uzyskał chwałę wielkiego wojownika. Tać to matka jego, Pani i rozumu wysokiego i umiejąca rządzić choćby najburzliwszém Państwem — tego nawet Ichmoście dyssydenci jéj nie odmawiają, lubo im się nie-pomału naraziła,—otoż ona go nad wszystkie dzieci swoje miłowała i miłuje. W nim największą nadzieję zawsze pokładała. On dowodził jéj wojskami, a zawsze szczęśliwie;

on do jéj rad najtajniejszych bywał przypuszczany. Czy go kto oczarował, że tak raptem zgnuśniał.

— Ba, — odezwał się Pan Zebrzydowski, — najbujniejsze drzewo usycha jak go przesadzisz na grunt obcy.

— I ja tak mówię, Mości Kasztelanie Wojnicki, — rzekł Pan Haraburda. — My Słowianie, ani z Niemca ani z Francuza pociechy mieć nie będziemy; to na próżno. Co to mi za Król, co ani on nas, ani my jego nierozumiemy. Tać to trudno żeby my na starość uczyli się po francuzku. Żeby to licho przynajmniéj po łacinie rozumiało. Nie ma jak kilka niedziel, jak nad nami panuje, a już nam, zwłaszcza Litwinom, kością w gradle stoi. Póki on panuje, nam niegodzi się o innym myśleć, bo już przysięgi nasze otrzymał; ale jak jego nie stanie, Panowie dobrze weźcie na rozum, kogo na jego miejscu posadzić.

— O to pokój, — odpowiedział na to Pan Marszałek Koronny; — można śmiało mówić o jego następcy, bo Król jest na wylocie, aby tylko brat jego zamknął oczy, a on o tém się dowiedział, bądźcie Waszmoście pewni, że tak się od nas wysunie do swojéj Francji, że gdyby lewe oko zapomniał w Krakowskim zamku, po niego nie wróci.

— Ktoby mu pozwolił odjechać! — odezwał się Pan Kmita. — Lada Król lepszy niż bezkrólewie.

— Nie pozwolimy, — odrzekł Pan Zborowski, — to ucieczce; jużci trudno swojego Króla więzić.

— A Mości Marszałku Koronny, na to niema zgody, — odezwał się Pan Zebrzydowski. — Król nam zaprzysiągł panowanie nad nami; między nim a narodem jest nierozerwane małżeństwo, jeden drugiego aż do śmierci opuścić niemoże. Jeżeli się będzie od nas domagał abyśmy pozwolili na jego rozwód z Rzecząpospolitą, my musimy to odmówić, bo żadne prawo Boskie ani ludzkie nam podobnéj władzy nie daje. A jeżeli zechce pokryjomu nas opuścić, powinniśmy się mieć na ostróżności, bo to byłaby hańba na wieki, żeby od panowania nad nami uciekano. Cóż to? czy nasza korona jest kaźnią! Wszak my się o niego nie ubiegali. Sam się starał o nasze głosy; Monluk i Pibrak pokoju nam niedawali, tak nas za swoim kandydatem błagali — a

teraz..... Nie, nie, takiéj hańby nie zniosę, a choćbym sam jeden miał pozostać przy mojém zdaniu, nie dopuszczę żeby uciekał.

TĘCZYŃSKI.

I ja trzymam z Panem Wojnickim, chyba po krwi mojéj Król przejdzie, nim się do granicy dostanie: daję na to słowo szlacheckie.

ZAMOJSKI.

Moi Panowie — daj Boże żeby Król który nasze przysięgi odebrał, z nami się na naszéj ziemi zestarzał. Ale jeżeli na nas poznać się nie umie, i pragnie Polskę opuścić, i tu jego woli niemamy prawa się opierać. W takim razie, jakkolwiek smutni że nami wzgardził, obrócimy serca nasze ku innemu, i starać się będziemy o wybór takiego, który nas nie zawiedzie.

PAN MARCIN.

Mojém zdaniem byłoby udać się z Koroną naszą do Cesarza Rzymskiego. To Pan sprawiedliwy, potężny, mający wojska niezliczone, któremi granice Rzeczypospolitéj łatwo rozszerzy, a nasze wolności bezpiecznie złożyć możemy u podnoża jego Tronu.

PRYMAS.

Niczego zarzucić nie można Rzymskiemu Cesarzowi. Jest to pan prawowierny, wolnemi narodami, naszemu pobratymczemi, włada łagodném berłem. Co do mnie chętnie za nim głosuję.

KMITA.

Zgoda — niech żyje Cesarz Rzymski — przyszły Król Polski!

PAN Z POTOKA.

Niema zgody na dom Rakuzki. On zmusił naszych braci Czechów do zapomnienia ich języka własnego, żeby ich na zupełnych Niemców przekształcić. On to zechce zrobić i z nami.

MNISZECH.

A to prawdziwie z deszczu pod rynnę, z Francuza zejść na Niemca.

KILKA GŁOSÓW Z SZLACHTY.

Niema zgody na Niemca! precz z Niemcami! Niech sobie Niemiec nad niemcami panuje a nie nad nami szlachtą!

HARABURDA.

Jabym wam poradził takiego, z któregobyśmy wszyscy mieli pociechę, a zwłaszcza Litwini i Rusini.

WSZYSCY.

Kogo?

HARABURDA.

Oto Cara Jana Wasilewicza.

MARSZAŁEK.

Bój się Boga, Panie Wojewodo, wszakże to człowiek okrutny, krwawy, dopuszczający się wszelkich bezprawiów.

HARABURDA.

To są tylko przesadzone odgłosy, ze złych języków pochodzące. Wszakże ja go znam na wylot. Przecie lat kilka przy nim posłowałem od Rzeczypospolitéj i patrzałem na wszystkie jego czynności. To tęgi człowiek, w kaszę sobie nie da napluć. Ale żadnéj niesprawiedliwości w nim nie widziałem. I jego poddani bardzo są do niego przywiązani. Czegoż więcéj po Królu można żądać. Odwołuję się do Pana Generała Ziem Podolskich, który w czasie mojego poselstwa blisko roku bawił na jego dworze. Pan Marszałek tylko słyszane rzeczy o nim powtarza, a Pan Generał powie co widział. Wszakże to wuj pański, zapytajcie go czy Car jest złym człowiekiem.

HUMIECKI.

Gdzież-tam! najlepszy człowiek; a jaki wspaniały! Dał mi na pamiątkę szubę z lisów czarnych. Pamiętacie kiedy to w niéj przedstawiłem siebie Królowi, jak jego Francuzi nie mogli pojąć jaki to zwierz. Bo to cieplejsze od wszystkich kożuchów, a lekkie jak piórko.... I za stołem nieraz siedziałem z Carem, i piłem z nim i polowałem, bo wielce był łaskaw na mnie. Niech powie Pan Wojewoda Smoleński. Bardzo i bardzo byłbym za tém, żeby go Królem Polskim obrano. On z nami bez tłómacza rozmawiać będzie,

bo jego mowa prawie taka sama co Litwy i Rusi, a niewiele się różni od Koronnéj. A jak będzie nad nami panował to unią Korony z Litwą da Bóg że rozciągnie na całą Moskwę. A wtedy świat będzie nasz Prawdę powiedziawszy, my z bisurmanem tylko borukamy się, a on jemu Królewstwa zabiera, i wciela do swojego chrześciańskiego Państwa. A jakie bogactwa w Moskwie! Wszystkie cerkwie kapają złotem, aż miło! A jakie konie u jego bojarów Dajcie nam jego, a obaczycie że z jego moskalami Rzeczpospolita wszystkie swoje avulsa od niemców i bissurmanów odzyska.

KARDYNAŁ RADZIWIŁŁ.

Ale Mości Panowie, rzeź Nowogroda, nie może nas nieprzestraszać. Wszystko słyszę w pień wyrznął, bez względu na stan, płeć i wiek.

HARABURDA.

Wielkie święto! Nowogrodzanie zwyczajnie kupcy, z Niemcami byli w zmowie i chcieli się od Carskiéj zwierzchności oderwać. A Carowi udało się ich uprzedzić. To prawda że się rozzłościł, ale sami sobie winni i każdy kraj ma swoje prawo. W Moskwie inne, u nas inne. A Car przeciwko praw swoich nie wykroczył. Wszakże i u nas Król sądzi wykroczenie szlachcica, choćby na gardło. Czy dawno mieliśmy tego przykład na Xięciu Sanguszce — a cóż dopiero kupca! Że kto przewinił i jemu Car kazał łeb odrąbać, któż ma prawo powiedzieć, że to jest niesprawiedliwie, kiedy swoi mówią że tak być powinno. I mnie życie i swoboda są miłe, a jednak bynajmniéj się nieobawiam mieć Cara nad sobą Królem, bo to jest Pan wielkiéj pobożności. Jak nam zaprzysiężę dochowanie naszych praw, tak je dochowa jak teraz dochowuje prawa swojego narodu.

Tu szlachta z Litwy i Rusi zaczęła wrzeszczeć: — Zgoda! niech żyje Car-Król Polski, Wielki Xiążę Litewski, Ruski i Pruski!

A szlachta Koronna znowu: — Niema zgody! nie pozwalamy! Niech sobie Pan Haraburda jedzie nazad do Moskwy jeżeli chce!

Ledwo Pan Marszałek Koronny i Xiąże Prymas wyprosili u szlachty że się uspokoiła cokolwiek. Do czego najwięcéj się przyczynił Pan Humiecki, powtarzając:

— Panowie bracia! wszakże to jeszcze nie elekcja; dajcie każdemu wymówić się, nikt tu zdania swojego nie narzuca, tylko radzi «*nemini vox deneganda.*»

Jak nastąpiło pożądane milczenie, Xiąże Kardynał się odezwał:

— Prawo kardynalne chce mieć Króla wyznania Rzymskiego, i ta okoliczność powinna wstrzymać życzliwe głosy naszych braci Litewskich i Ruskich dla Cara Jegomości. Różność wyznania przegradza go od naszego Tronu.

HARABURDA.

Różność jest w obrzędach a nie w wyznaniu. A większa część Rzeczypospolitéj tychże samych obrzędów używa. Wszakże ja sam jestem wyznania Kościoła Wschodniego, a przeto nikt mnie nie zarzuci bym niebył wierną Radą i sługą Rzeczypospolitéj.

Tu się razem odezwało kilku Senatorów i Szlachty:

— Wszakże my wszyscy zasłużeni Ojczyznie, chociaż modlimy się po słowiańsku i w zgodzie żyjemy z Ichmościami tak duchownymi jako i świeckiemi którzy się modlą po łacinie. My nie nowiniarze ani kacerze; niewynieśliśmy naszéj wiary z Genewy ani z Wittembergu, ani też z własnych wymysłów, ale otrzymaliśmy ją po przodkach naszych.

HUMIECKI.

Niech każdy się modli w jakim chce języku, byle się modlił, — a może się odezwałem nic-do-rzeczy? to przepraszam.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

Nie ubliżamy Ichmościom Panom dyssydentom, ale przypominamy im prawo kardynalne: że wiara Rzymsko-Katolicka jest «*conditio sine qua non*» otrzymania naszéj korony.

PAN Z TRYPOLA.

My nie jesteśmy dyssydenci, bo nieróżnimy się z sobą w wierze, jeno w obrządkach.

XIĄŻE OSTROGSKI.

Prawo kardynalne mówi o wierze Katolickiéj, ale nie dodaje Rzymskiéj.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

To są próżne słowa, bo wiara Wschodnia nie jest wiarą katolicką, odkąd się oderwała od powszechnego Kościoła.

PAN Z TĘCZYNA.

Słusznie mówi Xiąże Kardynał; «*Una ecclesia, una fides*» — Niema zgody na dyssydenta!

XIĄŻE OSTROGSKI.

My się nie oderwali od Kościoła powszechnego, my jego naukę dochowujemy. Żaden z naszych nie przylgnął do bezbożnościów Niemieckich, jak wielu Ichmościów z kościoła Zachodniego; a ja ręczę że Car zdoła skarcić to zuchwalstwo wyuzdane które w Niemczech powstało na obelgę N. Panny, i wszystkich Świętych, a które zaraziło wielu Ichmościów Koronnych. Zgoda na Cara!

ZEBRZYDOWSKI.

Xiążę Jegomość Ostrogski nie radzi jako dobry obywatel, ale po prostu za krwią swoją gardłuje.

— Tak! tak! — odezwała się szlachta Wielko-Polska tłumnie. — Kniaziowie Ruscy nie powinni mieć głosu w téj materii, bo «*nemo judex in propria causa.*» Im się chce Cara żeby zostać pod jego opieką Xiążętami krwi Królewskiéj, a tém zniszczyć naszą równość szlachecką.

Szlachta Litewska i Ruska znowu zaczęła krzyczeć: — Zgoda na Cara! ale od naszéj równości szlacheckiéj nieodstąpimy, i prosimy zamieścić w paktach-konwentach, żeby Car nim zostanie Królem dał na siebie sponsją, że żadnego przywileju nie da Kniaziom Ruskim.

Nic już słyszyć niemożna było wśród wrzasków, tylko te słowa: «Zgoda», — «Niema zgody!» znowu tumult, i kilka szabel wyskoczyło z pochew. Ledwo Prymas zdołał uspokoić Wielką, Tęczyński Małą Polskę, Xiążę Radziwił, Wojewoda Wileński Litwę, a Pan z Potoka i Generał Ziem Podolskich Szlachtę Ruską, ciągle odgrażającą się że przemocy Panów Koronnych dłużéj znosić nie myśli.

Jak się uspokoili, Pan Haraburda odezwał się:

— Ocóż tu Panom idzie. Wszakże my nie jesteśmy Soborem żeby o artykułach wiary stanowić. Car wie o ustawach naszych, i nie tylko że nie jest przeciwny wierze Rzymskiéj, ale oświadczył że chce być przytomnym konferencyi między najuczeńszymi Biskupami naszéj i waszéj wiary, a do téj przystąpi o któréj się przekona że jest zgodniejszą z Pismem Świętém.

KMITA.

Na to zgoda. Jeżeli taka jego wola, dowodzi że jest Pan mądry. Spodziewam się że do téj konferencji przypuści i Ministrów naszego wyznania, a przekona się że nasza nauka z pomiędzy wszystkich jest najwięcéj zgodną z Pismem. Bo my tylko Słowu Bożemu wierzymy, a nie ludzkim wymysłom.

KARDYNAŁ.

Ale Panowie, te wszystkie konferencje są blichtry. Nigdy dysputa nie przełamała uporu.

GŁOS Z WIELKIÉJ-POLSKI.

Dobrze mówi Xiąże Kardynał. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Ja z miejsca mojego głosuję za Cesarzem Rzymskim.

WIELE GŁOSÓW Z WIELKIÉJ I MALÉJ POLSKI.

Cesarza Rzymskiego wszyscy zapraszamy. Niech żyje Cesarz Rzymski, Król Polski!

GŁOSY Z LITWY I RUSI.

Niema zgody na Niemca! Jeżeli nam Niemca narzucić chcecie, my zrywamy unię z Koroną.

PAN Z TRYPOLA.

Niech kto chce nad nami panuje, cudzy czy swój, byleby nie Niemiec.

Znowu powstał tumult, taki, że jeden drugiego słyszeć nie mógł. Domyślić się można było że były jakieś cierpkie przymówki, jakieś odgrażania się jednego na drugiego. Litwini i Rusini po jednéj stronie sali trzymali się razem, po drugiéj ściśniętych było widać Wielko i Mało-Polanów.

Osobną kupę składali Prusacy i wielu dyssydentów z innych prowincji, którzy ani jednego ani drugiego kandydata niechcieli a tylko przemyślali jaką by drogą Brandeburczyka wprowadzić: pod czas gdy gospodarz, duchowni i świeccy Senatorowie, od jednéj do drugiéj kupy biegali żeby obradę przyprowadzić do jakiegoś porządku. Sejmikowa szlachta żadnéj perswazji nieprzyjmowała. Hałas coraz silniejszy się wzmagał; Panowie Rady niewiedzieli co z sobą poczynać — kiedy raptem drzwi się otworzyły, i stanął na progu Pan Samuel Zborowski, a za nim Pan Kaźmierz Mroczek. Na widok powszechnie ulubionego młodzieńca, powszechne milczenie nastąpiło, poczém każdy z wypogodzoném obliczem zbliżył się do niego, jeden przed drugim chcąc okazać, że z nim zostaje w zażyłości.

XIV.

Jak powitania Pana Samuela ze wszystkimi przytomnymi się skończyły, Pan Marszałek rzekł do niego:

— A cóż to, Panie Samuelu, miałeś być na naszéj naradzie, i spóźniłeś się.

— Powracając od Króla, — odpowiedział Pan Samuel, — spotkałem mojego Mroczka jak wysiadał prosto z Zaporoża, i nim naprędce mnie się opowiedział, godziny mijały. Zresztą na tém Państwo niestraciliście, bo i bezemnie jest komu radzić. O cóż się Państwo naradzali i coście uradzili?

Marszałek.

I tobie bracie wiadomo, że Król Francuzki dogorywa, niemniéj i to, że jak umrze, naszego nic niezdoła zatrzymać. Z tego powodu łaskawi Ichmościowie duchowni i świeccy, tak z Senatu jako i stanu Rycerskiego, zebrali się u mnie żeby zawczasu umówić się o następcę Króla, żeby nie stanąć nieprzygotowanymi na konwokacji.

Pan samuel.

I jakiż kandydat urodził się z jednomyślności szlacheckiéj?

Marszałek.

W dniu dzisiejszym mój dom niemiał szczęścia być zaszczyconym jednomyślnością. Zdania się podzieliły: niektórzy się skłaniają ku Elektorowi Brandeburgskiemu — krew krwi Królów naszych; ale kandydaci, mający największe stronnictwa, są Cesarz Rzymski i Car Moskiewski. Za

pierwszym większa część Korony, za drugim cała prawie Ruś i większa część Litwy. Między temi partjami po-kilkakrotnie zrywała się zwada, i właśnie przybyciem swojém największą z tych zwad przerwałeś. Ile dotąd uważamy, partie, jedna drugiéj niechcą ustąpić. Ale na ostatniéj elekcji jeszcze straszniejsze były kłótnie między partjami, a przecie, po wyburzeniu się w wolności głosów, wszystkie one rostopiły się w jednomyślności narodowéj.

PAN Z POTOKA.

Zdaję się na Waszmości, Mości Hetmanie Zaporozki. Sam osądź, czy możemy znieść impozycją Panów Koronnych, do tego stopnia pomiatającą nami, że się już nas niepytają o zdanie, tylko po-prostu chcą w poddaństwo obrócić. Narzucają nam jakiegoś Niemca, i dziwią się że my nie mówimy «zgoda.»

PAN Z GOZDAWY.

Dla czegoż-byście Waszmoście, niemieli zaufać naszéj życzliwości dla Rzeczypospolitéj, jako obywatelów prowincji najstarszéj wiekiem.

XIĄŻE OSTROGSKI.

Między naszemi prowincjami starszeństwa niema.

HRABIA Z GÓRKI.

Pozwól, Mości Xiąże, że o Rusi i Litwie słychać niebyło, kiedy już Orzeł Biały gnieździł się w puszczach Wielkopolskich.

PAN Z TRYPOLA.

Niech Pan Hrabia tak bardzo się nie wynosi z swojém Gnieznem. Wiedzą wszyscy że Chrystus Pan pierwéj zawitał do Kijowa niż do Gniezna.

Znowu wszczął się rozruch między prowincjami. Ale gdy Pan Samuel dał znak że chce mówić, Panowie i szlachta dopuścili mu nakoniec głosu.

PAN SAMUEL.

Widzę braci naszych rozdwojonych: Korona jest za Cesarzem Rzymskim, Litwa i Ruś sprzyja Carowi. Prowincije są równe sobie we wszelkich prerogatywach, i jedna drugiéj

wyboru swojego narzucać niema prawa. A jak uważam, jedna drugiéj ustąpić nie myśli. Mojém więc zdaniem, obmyślić trzeciego na którego wszyscy by się mogli zgodzić.

Wiele głosów z różnych prowincijów powstało: Ma słuszność Pan Hetman Zaporozki. Co mamy się kłócić z sobą, wszystko za jednym i tym samym gardłując!

PAN Z GOZDAWY.

Inter duos litigantes tertius gaudet. Niech no Pan Hetman kogoś nam zainstynktuje, a dobrego, żeby my wszyscy się mogli na niego zgodzić.

PAN SAMUEL.

A żebyśmy obrali Jaśnie Oświeconego Stefana, Xięcia Siedmiogrodzkiego. Jest-to Pan znakomity rycerskiemi czynami: oszczędny, sprawiedliwy, wielkiéj wiary, pobłażający błędom, ostry na zbrodnie i panujący nad narodem z tejże saméj krwi co i nasz naród.

XIĄŻE OSTROGSKI.

Niczego zarzucić niemożna Xięciu Siedmiogrodzkiemu.

HRABIA Z GÓRKI.

Ja niemam nic przeciwko niemu.

XIĄŻE KARDYNAŁ.

I ja chętnie za nim głosuję.

GENERAŁ HUMIECKI.

Samusiu, Duch Święty przez ciebie przemówił. Ja na pograniczu stojąc z wojskiem Rzeczypospolitéj nasłuchałem się o nim. To ale będzie Król! Niemców niecierpi, a bisurmanom nieraz dał siebie we znaki. Chociaż to ja wiem co Samusiowi w głowie, ale coby niebyło, dobrze trafił; bo co prawda to prawda.

XIĄŻE WOJEWODA WILEŃSKI.

Cała Litwa jednomyślnie ku niemu się skłania.

PAN Z TRYPOLA.

I Ruś się zgadza na niego.

PAN Z POTOKA.

Tak, tak, na całéj Rusi ani jednego głosu przeciw niemu nie usłyszycie.

PAN ZAWISZA.

Wszak to ja Xięciu Stefanowi towarzyszyłem w wyprawie przeciwko Turkom, co to za dzielny żołnierz z niego: w pogoni zawsze pierwszy, a w odwrocie ostatni. Niech powie Pan Zamojski, bo i on był z nami. A jaki rozumny Pan, jak lubi uczonych. Jak zostanie naszym Królem, mądrość nasza nie będzie jak dziś ścieśniona w jednym Krakowie. Albo to się nie naprzykrzyło, że szlachcic z pod Smoleńska aż do Krakowa musi wyprawiać synów po rozum. On i w Wilnie i w Kijowie pozakłada różne wysokie szkoły.

PAN Z GOZDAWY.

Niech sobie bakałarzów rozsadza czy nierozsadza, to mnie wszystko jedno: aby tylko zewnątrz nasze granice rozszerzał, a wewnątrz dochowywał naszéj równości i naszéj swobody. Żeby nie dopuszczał panom marzyć sobie że są cóś więcéj niż my szlachta, dla tego że szerokie włości posiadają. Niech się cieszą swojemi bogactwami, my im tego niezazdrościmy, ale niechaj niczego nie knowają przeciwko naszéj równości. My szlachta dobrze wiemy że w Rzeczypospolitéj sa tylko trzy stany: Król, Senat i Stan Rycerski, a na czwarty stan niby magnacki nigdy niepozwolimy, i to proszę dodać do Paktów Konwentów.

PAN Z PODHAJEC.

Albo, czy to przyzwoicie, że u nas Panowie z Senatu a nawet ze stanu rycerskiego, wyrabiają sobie tytuły zagraniczne, i odznaczenia od cudzych Królów otrzymują, i je na piersiach noszą. My świeckich Xiążąt innych nie znamy tylko tych co są objęci w przywileju nieboszczyka Króla — który jemu się nie chwali, bo choć ten uprzywiléj zastrzegł równość szlachty z kniaziami Litewskimi i Ruskimi, ale wielu naszych pobałamucił, że im się zdaje że Xiąże czy Graf cóś więcéj znaczy niż szlachcic. Czy to się godzi, że szlachcic ubiega się bezkarnie o to co jest przeciwne pra-

wom kardynalnym naszéj szlacheckiéj Rzeczypospolitéj! Gdzie uderzysz, jakiś tytułowany się odezwie: a to «Hrabia z Tarnowa», «Hrabia z Górki», «Hrabia na Wiśniczu», «Hrabia na Wielkich Konczycach.» Akta nasze są zarzucone oblatami podobnych zagranicznych przywilejów. Co to jest? czy to była rzecz słyszana u ojców naszych. Nieprzymawiając Xięciu Wojewodzie Wileńskiemu i Panu Hrabiemu z Górki, otwarcie zapytam ich: kto im pozwolił nosić te krzyże na piersiach i te wyszywane gwiazdy na kontuszach. Pfe! wstydźcie się Waszmoście, że z obywatelów przekształcacie się w służalców obcych Królów. Ja zgadzam się na Xięcia Stefana, ale oświadczam, że na następnym Sejmie wniosę projekt do prawa, żeby naszéj szlachcie *sub poena infamiae* nie wolno było przyjmować ani orderów, ani tytułów, ani nic takiego o czém nasze statuta nie wiedzą.

PAN ZAWISZA.

I Waszmości projekt będzie popierany od Xięcia Stefana, jak zostanie Królem. Bo on jest zupełnie tegoż samego sposobu myślenia. Wszakże kiedy Cesarz Rzymski jemu ofiarował swoje Złote Runo, on się od tego wymówił, oświadczając, że ponieważ Wilcze Zęby są klejnotem rodu Batorych, nie może dozwolić żeby baranek Cesarski był w tak niemiłém dla siebie sąsiedztwie.

SZLACHTA JEDNOGŁOŚNIE.

Zgoda! zgoda! niech żyje Król Stefan! kto mu przeciwny, taki nie jest życzliwym Rzeczypospolitéj, a my wiemy jak z takim postąpić.

PAN HARABURDA.

Car Iwan Wasilewicz ani tytułów ani orderów nie rozdaje, więc z nim równość szlachecka była by bezpieczną.

PAN Z PODHAJEC.

Niech Pan Wojewoda Smoleński nierozdwaja narodu z swojemi projektami; nie ubliżamy ani Cesarzowi ani Carowi, ale chcemy Xięcia Siedmiogrodzkiego.

WSZYSCY.

Zgoda! zgoda!

(Kniaziowie Ruscy i Litewscy poruszają swoje kołpaki, na znak zezwolenia.)

PAN SAMUEL.

Mości Janie Zamojski! — Waszmość się nie odzywasz, a przecie więcéj niż kto zbliżonym byłeś do Xięcia Siedmiogrodzkiego.

ZAMOJSKI.

Ja milczę, bo mi głosować niewolno.

WSZYSCY.

Dla czego?

ZAMOJSKI.

Panowie bracia — pokilkakrotnie wspominaliście prawa kardynalne narodu, odwołujecie się do nich co-chwila, a nieobacznie gwałcicie najkardynalniejsze prawo Rzeczypospolitéj. Prawo mówi wyraźnie: że za życia Króla o jego następcy i myśleć niewolno. Wszakże mamy dotąd Króla nad nami panującego, wszakże Xiąże Prymas bezkrólewia jeszcze nieogłosił. Czyż takowa deliberacja, zupełnie przedwcześna, nie jest jakimś świętokradztwem? Elekcja, bez natchnienia Bożego, być nie może doprowadzona do pomyślnego skutku. I ztąd, po ogłoszeniu bezkrólewia, zwołuje Prymas Sejm konwokacyjny; potém zgromadza się szlachta ze wszystkich części Rzeczypospolitéj; nakazuje się kilkotygodniowe nabożeństwo, dla uproszenia łaski Najwyższego, i dopiéro przystępuje Narod do obioru swojego Pana. Działo się tak i na ostatniéj elekcji. A teraz, dla tego że Król Francuzki chory, i że być może, że jak wiadomość pewna o jego śmierci przyjdzie, nasz Król opuści nasze państwo, żeby objąć dziedzictwo swoje: już mamy jemu wiarę zaprzysiężoną łamać. A gdyby Król dowiedziawszy się o waszym postępku, zapozwał was do sądu swojego, żebyście przed nim zdali liczbę z rozpraw waszych, żeby was zapytał: jakiém prawem chcecie mieć razem dwóch Królów Polskich: ciekawy jestem wiedzieć czémbyście zdo-

łali siebie wytłómaczyć. Upamiętajcie się Panowie bracia. Czekajmy cierpliwie jak Bóg nami rozrządzi.

Szlachta ani się odezwała, ale widać było, że te słowa Pana Zamojskiego wielce ją pomieszały: jeden po drugim wynosić się zaczęli, tak że pozostali tylko Panowie Rady, a ze stanu rycerskiego kilku krewnych gospodarza domu i Pan Zamojski który także chciał wyjść, ale którego Pan Samuel zatrzymał już przy progu.

Jak się nieco pokój wypróżnił, Pan Samuel odezwał się: Djabelnego klina wbił w głowę szlachcie Pan Zamojski, tak ją zbił z tempa, że się wyniosła jakby ją wymietli. A nie można nie wyznać że miał zupełną słuszność. Wracam od Króla i wiém że ostatni goniec z Paryża przywiózł zupełnie inne wiadomości, które nie wiele go uradowały. Jakiś szarlatan dał Królowi Karolowi lekarstwo, które mu znacznie pomogło, tak dalece że wstał z łóżka, i nawet zebrał radę swojego państwa, z którą więcéj dwóch godzin pracował. A co nieco zatrważa naszego Króla, Królowa Katarzyna do téj rady niebyła przypuszczona. Rad nie rad nasz Król musi zostać z nami. Bardzo był łaskaw na mnie, rozmawiał ze mną poufale, tak dalece że ośmielił mnie do mówienia z sobą otwarcie o moich widokach względem Zaporoża i buławy Ruskiéj.

MARSZAŁEK.

I cóż przecie od niego wytargowałeś?

PAN SAMUEL.

Nic w prawdzie stanowczego, wszakże wiele obietnic. Nakoniec powiedział mnie, że po tym wielkim turnieju, który ma pojutrze się odbyć, szczerze się zajmie interesami publicznemi. Teraz jemu nic innego w głowie jak tylko ten turniéj na którym mają się popisywać jego Panowie Francuzi.

HUMIECKI.

Już nam kością w gardle stoją te turnieje. Co to, bić się dla żartu tępemi kopijami, a nie módz używać broni na ostre. Kiedy się bawić, to bawić, a kiedy się bić, to

bić doprawdy, i używać wedle upodobania i szabli i topora. Już ci ja sam umiém bronią robić: cożby ze mnie był za nieuk gdyby przeszło czterdzieści lat zajmując się rycerskiém rzemiosłem, nie nabył człowiek w niém jakiéjś wprawy? a jednak nigdy niedałem siebie namówić do potykania się w szrankach. Z Turkiem, z Tatarem, wreszcie ze swoim do którego człowiek coś czuje, za co się nie poborukać — jak Pan Bóg przykazał. Bo między wojownikami nie mało świętych Pańskich, a Król święty Dawid, na rękę wyzwawszy Goliata, z nim bił się po kawalersku. Ale iść w gonitwę z takim do którego człowiek nic złego nie czuje tylko by drugich bawić, i czasem takiego z którym się ma zachowanie zwalić z konia żeby mu się aż kości połamały, ażeby dostać jakiś figiel kameryzowany, by go zaraz złożyć jakiéjś tam pannie, albo co gorsza cudzéj mężatce: ja mówię że to grzech, i nie przyznam się żebym tu się odezwał nic do-rzeczy. A prawdziwie nikomu się tak niedziwuję jak Królowi Jegomości, że na te igrzyska głupie lubi patrzeć, kiedy jego ojciec na podobnéj zabawie jak padł o ziemię, tak z niéj i nie powstał. Wolałoby rycerstwo i nasze i francuzkie pójść na Turka niż się oddawać tym bolącym popisom. Albo ty Samusiu! co tobie w głowie, że się ciągle tym zajmujesz. Jużci tu niema twojéj xiężniczki żebyś jej dał nagrodę o którą z kopiją dobijać się będziesz, a tylko konia zmęczysz, albo nawet i skaleczysz, Bóg wie in gratiam czego. Wolałbym ciebie widzieć na twojém Zaporożu, niż na Dworze, bo wiém że pojutrze będziesz na czele uzbrojonego kadryla, jak go nazywacie. Wszakże i Waszmość Panie Tęczyński jesteś w spisie.

TĘCZYŃSKI.

Byłem zaproszony, ale od tego wymówiłem się. Bo zupełnie trzymam z Panem Humieckim. Nigdy się nie wymówiłem kiedy mnie rozkazano iść na wojnę, ani też kiedy kto coś upatrzywszy do mnie chciał się ze mną sprobować na ostre; ale przyznam się, że mając zaszczyt zasiadania w Senacie, nie widzę by to się zgadzało z powagą mojego dostojeństwa, bym się popisywał przed publicznością jakby

jaki szermierz. I gdybym nawet do tego dał siebie skłonić, możność nieodpowiedziałaby moim chęciom, bo Bóg świadek że w całéj zbrojowni mojéj nie znajdzie się broń jak ją nazywają kortezyjna.

PAN SAMUEL.

Otoż właśnie gonitwa będzie na ostre, każdy wedle woli swojéj używać może kopii, szabli i topora, jak by na Bissurmana. Po dwudziestu-czterech zapaśników z każdéj strony spotkają się z sobą: ja z rozkazu Królewskiego z jednéj dowodzić będę, a Xiąże Janusz Radziwił, Wojewodzic Trocki, drugiéj; pięciu rycerzów Francuzkich do mnie się wpisało. Monmoransy, Pardalian, Kreki, Villaret, Brankas, w moim zastępie walczyć będą. Pan Kasztelan Wapowski i Pan Wojewoda Opaliński i jeszcze trzeci, niewiadomy, są wyznaczeni na sędziów. Nawet nieznajomym wolno potykać się w szrankach, byle sędziowie zaręczyli że są rodowitą szlachtą i pasowani na rycerzów. Konie i rysztunki zwyciężonych będą łupem zwycięzców, wedle wymiaru sprawiedliwości sędziów; a Król zamawia sobie jeszcze inne nagrody dla tych których godnymi uzna. Co to za piękne będzie igrzysko! ledwo dusza z radości nie wyskoczy na same wspomnienie. Już mój spis jest zamknięty, wszakże wolałbym Mości Panie Zamojski widzieć ciebie obok mnie, niż przeciwko.

ZAMOJSKI.

Już Xięciu Januszowi odmówiłem mojéj przytomności na tym turnieju. Rycerskich zabaw nie potępiam, ale ani mnie cudza krew bawi, ani myślę własną przelewać bez pożytku kraju. Więc ani aktorem ani nawet widzem tego turnieju nie będę, ile że mam gotować projekt obrony dla Rzeczypospolitéj, który jak najspieszniéj chcę podać Królowi jak te zabawy się skończą, a on szczerze się zajmie obowiązkami swojego powołania.

PAN MARCIN.

Dobrze mówi Pan Zamojski. I jabym poszedł za jego przykładem, choć nie wątpię że brat Samuel okryje się

chwałą, jednak wcale sobie nie życzę na te gonitwy patrzeć, ale wiele robi kto musi. Jako Marszałek Wielki Koronny muszę być nieodstępnym towarzyszem Króla Jegomości: a prawdziwie z żalem, bo przewiduję że będzie rzeź okropna.

HUMIECKI.

A ile to tam koni w niwecz pójdzie! Synowiec nieboszczki mojéj żony, młody Xiąże Zbaraski, pokoju mnie nie daje żeby mu odstąpić mojego Sokoła, co to, Panowie, czoło mojéj stajni. Worek cekinów Weneckich chciał mnie za niego wysypać. A ja, że już wiedziałem że się zapisał u xięcia do waszego turnieju, mówię mu: Mój Dymisiu, ty na próżno mnie kusisz twojemi cekinami, zgrzeszyłbym żebym powiedział że mało dajesz, ale mnie żal Sokoła. Jeszcze żebyś to jechał na doprawdy przeciwko Bissurmana, lub wreszcie Niemca, to przez wzgląd na pamięć mójéj nieboszczki żony, może bym darmo go tobie oddał: ale oszalałbym, żebym go wyprowadzał ze stajni na poniewierkę w waszych głupich igrzyskach. Albo to ja niewidział jak tam konie sednią bez pożytku dla Boga i ludzi. Proszę ciebie, Dymisiu, zaniechaj mnie. A wy wiecie że jak co powiém to ewangelia. Cóż powiecie? ledwo odemnie odstał, aż tu się czepia Pan Hrabia Kreki (Créqui), którego ze wszystkich Francuzów najlepiéj lubię i zapraszam go do siebie na obiady, bo siako tako po łacinie się tłómaczy — wszak go tam na xiędza wychowano, póki jego starszy brat nie umarł. Otóż występuje do mnie z łacińską perorą żebym mu sprzedał Sokoła. A ja mu: Waćpan Pana Boga się nie boisz: Dymiś mnie więcéj dawał; wszak ci to krew nie woda, a ja i słuchać tego niechciał, a z Waćpanem miała by być robota! Ledwom się od Francuza odczepił.

PAN MARCIN.

Więc wujaszek nie będziesz patrzał na turniéj.

HUMIECKI.

Będę, bo starego ciągnie pokusa. Ile że mam w tém

moję przyczynę. Samusiu, ja wiém co się u was święci. Ty wystąpisz na tym siwym koniu, coś go dostał od Pana Bekiesza, którego tu na koronacją posłał Xiążę Siedmiogrodzki. Tyrańskoś mnie podkupił, Panie Samuelu, niech tego Bóg ci nie pamięta. Ja się był do tego konia zapalił, bo koń dzielny, nie ma co mówić, choć to jemu daleko do mojego Sokoła. Ale zwyczajnie koniarski nałog: co nowe to lepsze. Targ w targ, aż tu djabli przynieśli Samusia: jak zaczął sypać, tak i dosypał. Jak mu się czegoś zachce, to u niego pieniądz plewa. Pan Bekiesz grzeczny kawaler, mnie pierwszeństwo oświadczył; ale jak mnie powiedział wiele mu Samuś ofiaruje, aż się porwałem za głowę. Dziękuję Wpanu za łaskę, powiedziałem; a cóż to, ten koń ma duszę, na obraz Pana Boga stworzoną, żebym za niego tak drogo płacił? Kończ Wacpan robotę z Panem Samuelem jak najprędzéj, bo drugiego jemu podobnego półgłówka nieznajdziesz. Otoż ciekawy jestem widzieć jak on się znajdzie w obrotach. Bo ja go targowałem do stada — Arabski ogier a rosły, co już jest rzadkość — ale wcale nie w téj myśli, żeby go obrócić na wierzchowca, chociaż jest dobrze ujeżdżony. Śmiałbym się z ciebie szczerze Samusiu żebyś go osednił; oj marnotrawniku, marnotrawniku!

SAMUEL.

Bardzo się cieszę że wujaszek będzie swiadkiem moich popisów: pod jego okiem wiém że dzielniéj walczyć będę.

HUMIECKI.

Daj pokój, Samusiu, wolałbyś żeby Xiężniczka Gryzelda na ciebie patrzała: przyznaj się. Z tém wszystkiém żegnam Waści, Panie Marcinie. Już drugi dzień jak niebyłem w Zamku. Sprobuję, jeżeli Król mnie przyjmie, to dobrze, jeżeli nie, to drugie dobrze. Powrócę do siebie, zejdą się do mnie na lampeczkę panowie bracia z Rusi, a kto i z innych prowincji łaskaw, z otwartém sercem mu służę.

Za Panem Humieckim i reszta pozostałych gości się ro-

zeszła. Pan Humiecki kazał siebie zawieść do Zamku; a Pan Samuel stanąwszy na ulicy, powiedział Mroczkowi: Ja idę teraz do Pana Bekiesza, a ty Kaźmierzu, jako nowoprzybyły, szukaj sobie twoich znajomych, a jutro dopowiesz mnie o Zaporożu.

XIV.

To się działo na rynku Krakowskim, którego kamienice po większéj części były własnością panów, w nich mieszkających z licznemi swojemi dwory. Hotelów, jak je dziś nazywają, wówczas nieznano, szlachta z prowincji czasowie goszcząca w stolicy, jeżeli związana była węzłem krwi czy swojactwa, czy wreszcie klienteli z panami, w tych kamienicach znajdowała dla siebie przytułek i wygodę; jeżeli z nimi żadnych związków niemiała, lokowała się czasem po klasztorach, a najczęściéj po dworkach, zwłaszcza na Kleparzu zagęszczonych, gdzie gospodarze za dość umiarkowaną cenę im dawali, jak dziś jeszcze nazywają szlacheckie obiady. Już się zagęszczały szynkownie, gdzie ludzie prostéj kondycyi, zapijali się piwem, a nawet gorzałką, która długi czas ścieśniona w aptekach, już zaczynała nabywać indygenatu w szynkowniach. Ale szlachcica, choćby nujuboższego, noga niepostała w tych osławionych zbiegowiskach rzemieślników i pośledniich służalców szlacheckich. Wszakże były winiarnie, jakby jakie kapituły, domagające się herbów. Bo plebejusze nie mieli do nich wstępu, i nawet starannie omijali ich sąsiedztwo, obawiając się buty szlacheckiéj.

Było kilka takich winiarni w Krakowie, ale najsłynniejsza z nich, przy Floriańskiéj bramie. Często tam można było spotkać mężów nawet z Senatorskiego stanu, z takich to którzy gdy się wystrzegali żon swoich, niemogli otworzyć u siebie ciągłą pijatykę, ale najczęściéj w cudzych domach

lubili się podochacać, albo do winiarni zapraszali swoich przyjaciół, żeby z nimi użyć miléj zabawy.

Gospodarz téj sławnéj winiarni, Pan Falendysz, ze znakomitéj rodziny miejskiéj Krakowskiéj, ipso facto niezaprzeczony szlachcic Polski, bo nawet niepośledni członek Skabinatu, oprócz dwóch godzin które z urzędu przepędzał na Ratuszu, resztę dnia obracał na ugoszczenie panów i szlachty. Wina dawał wyborne, z zarobkiem dobrym, wszakże jednak nie nadzwyczajnym; ale na ilości konsumpcji wychodził, bo po kilka razy na rok odnawiała się u niego piwnica. A co najwięcéj zachęcało do jego domu, marynatę dawał ile kto zażądał — darmicą, a tylko za wino kazał sobie płacić. Ten systemat raz obmyślany, a odtąd ściśle dopełniany, do tego jego grzeczność, uniżoność i dworność, to zrobiły, że jego winiarnia nigdy się niewypróżniała, w dni postne zwłaszcza, każdy szlachcic bawiący w Krakowie, miał za obowiązek prawie religijny chodzić do niego na marynatę. Pan Falendysz był wielce łatwym w borgowaniu, chociażby dla szlachcica wątpliwego funduszu, ale umiał rozkładać wpół-zaprzepaszczone kwoty na tych, których rachunki były bezpieczniejsze. I tak, jeżeli jaki możny urzędnik wypił u niego, dajmy na to, dziesięć butelek, to przynajmniéj doliczył mu do rachunku jeszcze ze dwie, któremi rozweselił ubogiego szlachcica. I to robił bez najmniejszego wyrzutu sumienia, gdyż dobrze wiedział że Rzeczpospolita szlachecka składała jedno ciało, a więc jéj członki wzajemnie wspierać się winne. Do tego sam był zwolennikiem Bachusa, znawcą niepospolitym towaru którym handlował, i bez kosztu, a nawet z widocznym zyskiem, ćwiczył się w tym kunszcie, bo codziennie był częstowany własném swojém winem. Miał przy tém wielką uczciwość i tak, jeżeli jaka beczka z jego piwnicy uległa zepsuciu, jak to często bywa w handlu, on umiał skwaśniałemu winu, chwilowo powrócić utracone przymioty, ale już z niego niecnych zysków nie ciągnął. Utajał złowieszczy obrzask rzodkwią, lub krédą, ale go nie używał jeno dla zaskarbienia przyjaciół. Zapraszał ubogą służebną szlachtę dworów którym dostarczał trunki, zmyśliwszy jakąś uroczy-

stość domową, i częstował ją winem, jak obywatel gości nawiedzających jego mieszkanie. Można łatwo wyobrazić sobie, jak wielkie znaczenie Pan Falendysz uzyskał. Pany były na niego łaskawe, szlachta go lubiła, a panów czeladki za niego ubić by się dały. Niebyła z niego figura polityczna, bo też taką być nie żądał, ale ścisłe z nim przymierze wcale niebyło do odrzucenia dla naczelnika chociażby potężnego stronnictwa; bo i on miał swoich licznych klientów, zwłaszcza w szlachcie wałęsającéj się w Krakowie, co ją był wplątał w długi, o uiszczenie się których nigdy ją nie turbował, ani nawet jéj nie odmawiał dalszego u siebie borgu.

Jak Pan Samuel skierował się ku Brackiéj ulicy, bo tam była kwatera Pana Bekiesza, Pan Kaźmierz Mroczek zastanowił się chwil kilka, przemyśliwając w którą stronę się uda, gdyż od sześciu lat, oprócz Rusi którą często nawiedzał, innych części Rzeczypospolitéj ani zaczepił kołem, a nawet od lat dwóch o krok niewyruszył z Zaporoża, gdzie z polecenia Pana Samuela rządy sprawował. W Krakowie więc już nie miał żadnych stosunków, oprócz z dworzanami Panów Zborowskich, z którymi mógł zachować pamiątki koleżeństwa szkolnego i obozowego, a których jeszcze nie miał czasu odświeżyć. Nakoniec przypomniał sobie ulicę Floriańską, przeciwno-leglą prawie ulicy Brackiéj.

— A! — powiedział sobie, — przecie żyje przyjaciel mego ojca, poczciwy Falendysz przy Florianskiéj bramie, a przynajmniéj jego winiarnia. Tam bywało, z całym Krakowem można się było poznać, tam się przepijały dworzan laffy in actu et in spe. To być nie może, żeby ten dom odmienił swoje przeznaczenie, zwłaszcza podczas takiego zjazdu.

Poczém Pan Kaźmierz posunął się ku zamierzonemu celowi. Nie omieszkał po drodze uczcić kościołek Ś-go Wojciecha, o którym jest podanie że w nim się odbyła najpierwsza Przenajświętsza Ofiara w Polsce; o kilka kroków daléj powitał uklęknieniem przy progu przepyszny kościół Panny Maryi, gmach gotycki, jeszcze dziś najwspanialszy w całéj Słowiańszczyznie; a potém w wesołéj myśli postę-

pując stanął nakoniec przed kamienicą Pana Falendysza, na któréj nie z małą radością rozpoznał dawne godło: Orła białego, zrywającego z latorośli złote winne grono.

Wszedłszy do sali która była na dole, bo jak wiadomo szlachta polska schodów nienawidzi, zastał w niéj mnóstwo biesiadników, i stoły porozstawiane w rozmaitych kierunkach ogromnéj przestrzeni; na stołach pokazywały się marynaty i kieliszki w których błyszczał węgrzyn, czasem lat sędziwych. Od razu poznał Pana Falendysza, który w polskim wykwintnym ubiorze, z szablą u boku, z serwetą za pas założoną, a z wyrwiczem w ręku, niezmordowanie zajmywał się gośćmi. Właśnie wtedy stał na-pół schylony przed dość okazałym stołem, za którym siedziało trzech Panów nieco podeszłego wieku, a których, po szkarłatnych ferezijach, można było poznać że należą do Senatorskiego stanu. Prócz ich, cały tłum biesiadników był z Rycerskiego koła. Pan Falendysz z małych butelek nalewał im wino jakie miał najlepsze w całym swoim składzie, opowiadał im różne szczegóły o tym winie: jak to jednemu rzemieślnikowi już konającemu, pobudzony itością, gdy wlał w gardło pół-kieliszka, przestał konać, i kilka godzin usnąwszy wstał z łóżka, a nazajutrz wziął się do zwykłéj pracy. Że kiedy w Cemplinie u jednego magnata to wino targował, ten mu powiedział: byli za nim u mnie Niemcy i Francuzi, ale nie dla psa kiełbasa. To wino już od stu lat spoczywa w mojéj spadkowéj piwnicy, tobie go odstąpię, bo to dla Polaków, a jedni Polacy są godni jego; ale pod warunkiem, żebyś mnie przysiągł, że żadnemu cudzoziemcowi ani butelki nie przedasz. Panowie Senatorowie z wielką wiarą słuchali tego co im mówił, a on tylko im nalewał w małe kieliszki, i własném gardłem pomagał do rychlejszego wypróżnienia butelek.

Póki rozmawiał gospodarz z Senatorami, Pan Kaźmierz jemu nieprzeszkadzał, bo wielkie uszanowanie dla starszych wiekiem lub dostojeństwem, było w obyczaju. Ale skoro tylko od Senatu przystąpił do stanu rycerskiego, zaraz do niego się zbliżył i powiedział mu:

— Kopa lat jak my się nie widzieli, Mości Ławniku, zapewne że już mnie nie poznajesz?

— Owszem, Mości Dobrodzieju, poznałem: jakże Pana zawsze na mnie łaskawego, nie poznać!

— Któż ja jestem taki?

— Wolne żarty Pańskie z prawdziwego sługi, ale od razu Pana poznałem: czym-że mam mu służyć?

— Zaraz Waszmości powiém, ale wprzódy proszę powiedzieć co ja za jeden.

— Pan jesteś Pan ... ale na cóż mnie Pan na próby bierzesz!

Niechcę ciebie dłużéj męczyć, Mości Ławniku; bardzo prosta rzecz że po kilku latach musiałeś o mnie zapomnieć — jestem Kaźmierz Mroczek, do usług Waszmościnych.

— Ach Mości Dobrodzieju! jakież to dla mnie szczęście że go widzę w dobrém zdrowiu, że tak pięknie Pan wyglądasz. Wszakże to ja sługa dawny Wielmożnego Chorążego, szanownego rodzica Pańskiego. Wszak to ja mu więcéj lat trzydziestu służę. Jeszcze tamtego tygodnia wyprawiłem dla niego, aż pod Zborów, transport wina. A Pan, żywy obraz Pana Chorążego; jakem go poznał to on był kubek w kubek takim jak Pan dzisiaj wygląda. Pozwól Panie poczęstować siebie marynatą i winem takim co go najwięcéj lubi Pan Chorąży, szanowny ojciec Pański, wino zielonkowate z pieprzykiem.

W tém drzwi od ulicy się otworzyły, i wpadł szumnie szlachcic ubrany w bekieszce czerwonéj ze złotemi potrzebami, prosto na środek sali, gdzie rozmawiał Pan Falendysz z Panem Kaźmierzem, i w pędzie potrącił Pana Falendysza. Pan Falendysz uczuł w sobie cóś podobnego do gniewu, i zabierał się uczynić uwagę względem tych których poruszenia nie są pohamowane jakiemś przyzwoitém umiarkowaniem, ale gdy w oczy mu zajrzał, spuścił swoje, i ukłonił się przed nim z oznaką największéj uniżoności; a przybyły szlachcic i Pan Mroczek razem wykrzyknęli: — Ezechiel! — Kaźmierz! i nawzajem zaczęli sobie dawać przyjacielskie uściski.

— Kochany Kaźmierzu, — rzekł do niego Pan Ezechiel, po tych przywitaniach, — tyle razy mnie częstowałeś, że już nakoniec musisz mnie pozwolić bym ciebie poczęstował ze swojego. No, Mospanie Falendysz — czy uważasz, Kaźmierzu, jaka ta facyata właśnie na handel winny stworzona: bo to pękaty jak Bachus, a trędowaty jak Sylen. Powiedzże stare nic dobrego, dla czego zamiast tego Orła dziobiącego winograd, co błyszczy nad twoją kamienicą, swojego konterfektu niezawiesiłeś: po nim prędzéj niż po orle możnaby zgadnąć co tu się przedaje.

— Wolne żarty Wielmożnego Chorążego: a jak ja się cieszę że Wielmożny Pan zawsze wesoły.

— No, mój kochany, połóż przed nami kilka dzwonków marynaty, koziego séra z Podolińca, i butelkę tego wina co wiesz że go lubię.

— Jak-to Panie, jedną tylko butelkę?

— Ciszéj! po jednéj na mój rozkaz przynosić, a ostrzegam że od każdéj butelki korek spuszczam w hajdawery, dla sprawdzenia rachunku. Dobrze ja pamiętam jakieś stary niegodziwcze, narzucił na mnie pięć butelek nadkomputowych: ta to niema jak kilka niedziel temu. Wypadało mnie ugaszczać Pana Raka, Skarbnika Wojnickiego, Marszałka dworu Pana Hrabi z Tęczyna, a mojego niedawno zwierzchnika. Zapłaciłem Waści, bom się jego wstydził, ale żeby to kogo młodszego się częstowało, odliczyłbym Waści Mospanie Ławniku, bite, ale nie talary.

— A! Wielmożny Chorąży! czy godzi się posądzać swojego przywiązanego sługę, zawsze dla niego wylanego; ja żebym nadliczał butelki, jak żyd jaki — a broń Boże! u mnie łaska Panów wszystkiém, a pieniądz niczém.

— No, no, — znamy się na tych cnotach waszych, Mości Ławniku, co to żyjecie z kwarty i łokcia, chociaż szable u boku nosicie. A tym czasem ruszaj i to zrób com kazał.

Poszedł Pan Falendysz i szybko powrócił. Chłopiec nakrył stół, zastawił go żądaném jadłem, a sam gospodarz postawił odkorkowaną butelkę, z nadzieją niepłonną, bo znał dobrze Pana Ezechiela, że ta butelka jeszcze kilka innych przywoła.

W saméj rzeczy, rozmowa się wszczęła potrzebująca ciągłego odwilżania.

— Cóż to Ezechielku, ty słyszałem na możnego obywatela wyszedłeś.

— Tak-to niby. Ludzie mi zazdroszczą, bo widzą na mnie bogatą ferezję, a niewidzą czém jest podszyta.

— Tać to mówią, że niema dobra bez ale, chciałbym się jednak dowiedzieć, jakie to *ale* tobie dokucza.

— Dużo o tém gadać. Jakeśmy się rozstali, a ja już na nogach dobrze ustać mogłem, nie chciałem was doczekać się w karczmie, bo znałem moją słabość ku tobie, żebyś mnie namówił przystać do służby Pana Samuela, a mnie na sercu było, ba! i dotąd jest, to tyrańskie zwalenie mnie z konia o ziemię, że jeżeli niezłamałem karku, to widoczny cud. A jak wiesz, Pan Hrabia z Tęczyna od dawna chciał mnie mieć u dworu swojego. Więc ja z moim Swirydem na koń, ku Krakowowi, i prosto udałem się do Krzeszowic, rezydencyi Pana Hrabiego. Tam bardzo dobrze byłem przyjęty, skarzyć się niemogę, i tak mnie Pan za serce zaraz uchwycił, że zostałem jego sługą.

— I służba zapewne miła, u dobrego Pana.

— At zachciało się. U dworu zwyczajnie jak u dworu: każdego słuchaj, z niczym się nie wymów, a tak dobrze jak swój chleb jedz. Pani Hrabina i piękna i rozumna, wszakże z Opalińskich rodu, ale pobożna, a ja dyssydent. To już wiesz z góry jak to jakoś nie gładko być musiało. W tém mój ojciec umiera, a w kilka dni po nim i matka, bo tam była zaraza nakształt morowego powietrza. Ojciec pieniędzy w kufrach dość zostawił, i niemało papierków na ludzi.

— Masz szczęście że nie będąc przy śmierci rodziców, nieponiosłeś szkody w ich spadku.

— Ba! już oficialiści kluczowi dobierali się do kufrów, w puch-by rozbili całkowitą gotówkę, ale i ja miałem przyjaciół którzy o mnie pamiętali. Pani Ekonomowa i trzech wolnych kozaków którzy byli od dzieciństwa na usługach nieboszczyka, niedopuścili mojéj krzywdy. Ofiarowali ich do wspólki przypuścić, ale nie dali sobie mówić tym językiem. Zawołali Plebana i Pastora, w ich przytomności opieczęto-

wali kufry, i zanieśli do skarbcu kościoła, gdzie dwóch kozaków wartę odbywali, a trzeci duchem pojechał do Krzeszowic dać mnie o tém wiedzieć: a ja zaraz i ruszył na Ruś: jeszcze mnie Hrabia z Tęczyna, mój Pan, dodał ludzi swoich, żeby bezpiecznie przywieść co było mojego.

— I powiedz-że mnie czyś się dobrze obłowił?

— Porządnego grosza się doczekałem. Miałem-ci ja na wstępie nie mało wydatku, bo to trzeba było wywiązać się Pani Ekonomowéj żeby już mogła na swoim chlebie siedzieć, ile że naraziwszy się oficialistom Kalnickiego Skarbu, nie było jéj tam poco gościć; a i o losie poczciwych kozaków trzeba było pomyśleć, pomimo tego że już siedzą teraz na mojéj ziemi; i niezapomniało się o xiędzu i o pastorze, i trzeba było zagodzić Generalnego Kassiera w Kalniku. Ten mnie niemiłosiernie obdarł.

— A to jakiém prawem?

— Jakiem? Ledwo dowiedziałem się że on najtroskliwiéj dobierał się był do mojego dobra, bo to on wszystkie projekta kuł na moje kufry, więc nie wiele myśląc, napadłem na niego z mojemi ludźmi, i na środku rynku wytatarowałem mu skórę należycie. Jakby niebyło, szlachcic, a do tego oficialista potężnego domu Zborowskich: zaczął mnie pieniać, a ty wiesz że gdyby niebyło na świecie Grodu, nie wiedziałbym co to strach. Rad nie rad, musiałem zgody szukać, i musiałem ją opłacić, ale tak, że dużo lat upłynie nim pomyślę skrzywdzić szlachcica.

— Z tego co mówisz widzę że już doczekałeś się własnego dziedzictwa.

— Doczekałem się. Jak przywiozłem pieniądze do Krzeszowic, Pan Hrabia sprawiedliwą i prawdziwie ojcowską mnie zrobił uwagę: że gotowy grosz u mnie się rozlezie, a szlachcicowi potrzeba ziemi, żeby nie uciekła; a że miał w Bracławskiem parę wsi, jemu nie przyległych, więc mnie namówił żebym je u niego nabył: ja w tych rzeczach nie doświadczony, bo tyle tylko że dowiedziałem się od mojego Swiryda że wsie dobre, i jest gdzie stado wypasać, zupełnie spuściłem się na mojego pana, i niemam powodu tego żałować.

— Kiedy tak, to już jesteś mieszkańcem Rusi.

— Niebardzo; chociaż Ruś weselsza nad wszystkie prowincye Rzeczypospolitéj, ale tu pod Krakowem nabyłem wioseczkę, i w niéj najczęściéj przesiaduję. Przyjedź-no do mojego Kosmyrzowa, Felendysz ci powie jaką on mnie ufundował piwnicę; tu mieszkam, a w Bracławskiém kiedy nie kiedy przebywam jako gość.

— A któż tam za ciebie gospodaruje?

— Swiryd i jeszcze ktoś.

— Co za ktoś.

— Na co to w kłaki obwijać — moja żona.

— Ty się ożenił?!

— Nie inaczéj.

— A! mój Ezechielku, wielkie sądy Boże; już ci ja podobniejszy do małżeńskiego stanu, a przecie dotąd jestem kawalerem; ale że ty się ożenił, — prędzéj bym się śmierci spodziewał.

— I ja to samo, a przecie zrobiło się nie jak ja sobie życzył, ale jak Pan Bóg chciał.

— Cóż, zakochałeś się.

— Broń Boże; ja jéj cierpieć niemogłem, anim ją zaczepił kiedykolwiek: jakoś to się zrobiło nie wiedzieć po jakiemu.

— Mój Ezechielku, proszę ciebie, opowiedz jak to było.

— A cóż robić, wyspowiadam się przed tobą ze wszystkiego. (Notabene już czwarty korek Pan Ezechiel spuścił do kieszeni). Uważaj tedy, mój Kaziu, — infaudum Casimire, jubes renovare dolorem. — Co to pieniądze znaczą na świecie! ledwo zostałem osiadłym szlachcicem, już zupełnie inném okiem zaczęto na mnie patrzeć. Kto mnie spotka, pierwszy przedemną zdejmuje czapkę, czego moja szabla dokazać nie mogła, mój worek ex abrupto uskutecznił. Wiesz Kaziu, że pieniądze to djabelna rzecz, bo nietylko działa na potrzebnego, ale nawet na takiego co go niepotrzebuje, mając swojego grosza aż do przesytu.

— Coś ty bardzo filozofujesz, mój Ezechielku.

— Ba! ożeń się, to rad nie rad filozofem zostaniesz; to wielka szkoła, Panie bracie. — Vexatio dabit intellectum, —

mówi Pismo Święte. Ztąd nie wiele ufam filozofii waszych xięży chociaż Professorów, bo nie są żonaci, a z resztą nadto dobrze im się powodzi, żeby trafnie mogli sądzić o rzeczach ludzkich.... Ale do czego ja to mówię? Ale — ale — jestem w domu. Nic dziwnego, że dworzanie mnie zasługiwali się, bo dobrze mieć takiego któremu kiedy w potrzebie powie się — pożycz, — on ma o czém nie odmówić; ale Pani Hrabina z Tęczyna, Senatorowa, moja pani, a taka pani jednorocznym dochodem mogła by nabyć we dwójnasob majątek większy niż całkowita moja substancja: jakież na nią mógł zrobić wrażenie mój chudopacholski majątek! otoż zrobił wrażenie, i zupełnie inaczéj do mnie mówiła odkąd zostałem spadkobiercą mojego ojca. A jak ty dobrze wiesz, boś także należał do czeladki wielkiego dworu, było tam mnóstwo panien respektowych, a jedna z nich Panna Barbara Starowiejska, niby to kolligatka domu Tęczyńskich, jakaś dwudziesta woda na kisielu, a ipso facto w wielkich względach u pani, a do tego uchodząca za bardzo rozumną.

— No, to już widzę rzecz jak na dłoni: rospocząłeś z nią romans.

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli mnie to przez głowę przeszło kiedykolwiek, nawet ulotnie. Kiedy ją pierwszy raz widziałem, tyle tylko o niéj pomyślałem, że gdyby nas tylko dwoje pozostało na świecie, świat by się skończył.

— Przecie jako z wysokiéj krwi musiała być przystojną.

— A żeby oślepł, kto piękniejszéj nie widział. Bo to chude, nawet popaczone, jeżeli broń Boże, w siebie będzie rodzić, o biedne plemie Zdorów!

— I jakże ciebie z nią ożenili, bo ty nie z takich żeby ciebie do czego przymusić można.

— Cóż powiesz? jakoś się tak ukartowało, że choć mnie nikt nieprzymuszał, zrobiłem z sobą co inni a nie ja chciałem. Było to przed samą elekcją, ja tylko co nabyłem dobra. Mój pan dawał wielką ucztę dla obywatelów Województwa Krakowskiego, a potém zaczęły się pląsy. Ja byłem na niéj nie jak sługa domu Tęczyńskich, ale jako obywatel, dziedzic Kosmyrzowa. Jeszcze to dopiéro byłem kupił Chorąztwo w

chorągwi brata pańskiego. — Widzisz Kaziu jak w górę poszedłem. Kielichy krążyły, ja nie od tego, kiedy wstałem od stołu, już byłem uraczony... Ale oto i próżna butelka... Falendysz, odkorkuj no razem trzy butelki, tak, a proszę o korki, i uciekaj, a nie podsłuchuj, bo to co mówię wcale do ciebie nie należy... Owoż tedy zaczęły się tańce, a kielichy jak biegały, tak biegały: djabli mnie nadali, że widząc Pannę Barbarę siedzącą, kiedy wszystkie jéj koleżanki już znalazły kawalerów, jako należącemu do tego samego co i ona dworu, żal mi się jéj zrobiło i poszedłem z nią w taniec (*).

— Rozumiem — musiałeś się z nią wdać w rozmowy.

— Uchowaj Boże; wyglądałem tylko końca tańca, bo tęskniłem do kielicha, a na moją tanecznicę ani patrzyłem. Skończył się taniec, ja poszedłem pić nie pamiętam czyje zdrowie, kielichem kolejnym, czém do reszty siebie rozmarzyłem, i usiadłem w kącie koło Pana Raka. W tém same damy wybierać zaczęły kawalerów, a Panna Barbara prosto do mnie, dyg, i wzięła mnie do tańca. Przypominam sobie że cóś mówiła do mnie w tańcu, ja naturalnie jéj odpowiedziałem: ale o czém my z sobą mówili, zabij mnie nie pamiętam. Po skończonym tańcu my usiedli obok siebie, ona z dobréj woli, a ja bo prawdę powiedziawszy ledwo na nogach utrzymać się mogłem. Teraz uważaj co z tego wyrosło. Nazajutrz winszują mnie wszyscy że się oświadczyłem zacnéj koligatce domu pańskiego, i że nie dostałem rekuzy. Ja niewiem co to jest, nawet gniewać się zacząłem, aż tu wołają mnie do Pani Hrabiny: idę, a Pan

---

*) *Uprzedzam głęboką erudycję moich krytyków i oświadczam że tu jest anachronizm. Taniec nazwany Polski, a który rzeczywiście Weneckim nazywać się powinien, dopiéro przez Henryka Walezyusza był wprowadzony do Polski. Wiadomo, że Król ten jechał do Krakowa rzemiennym dyszlem: jadąc na Wenecją gdzie czas niejaki się zatrzymał, na jednéj fecie którą mu sprawował Senat S-go Marka, sławny Palladio wymyślił dla niego ten taniec, ażeby tym sposobem wszystkie pary przed nim defilowały, i tak poznał się z całą publicznością.*

Rak idzie ze mną. Przychodzę, zastaję Hrabiowstwo a przy nich i Pannę Barbarę. Pani Hrabina do mnie występuje poważnie, że gdy na wczorajszéj biesiadzie oświadczyłem się przed jéj krewną w przytomności Pana Raka, a ona nie może wątpić o jéj skłonności ku mnie, a więc uprosiła swojego męża a opiekuna Panny, żeby na to zezwolił i dał swoje błogosławieństwo. Pan Hrabia ze swojéj strony do mnie z perorą względem naszego przyszłego swojactwa, a Pan Rak świadczy że był przy deklaracji. Mnie ruszyła ambicja, że niedotrzymać danego słowa choć po pijanemu, dla szlachcica paskudnie. Dość, że powiadam tobie, wpadłem jak wilk w jamę. Nie było co robić, padłem do nóg Państwu, jakby było za co dziękować, potém za indultem ślub, bo mnie już odetchnąć niedano. A państwo huczne dla nas sprawili wesele: zjazd był wielki, niema co mówić; ale żebyś wiedział co to się ze mną działo kiedy takiego koczkodana prowadziłem do ślubu, bo to i złość i wstyd, ale niebyło sposobu siebie wycofać. Oto i masz całą relacją mojego małżeństwa.

— Z tém wszystkiém winszuję tobie z całego serca, bo dobrze wyglądasz, trafiłeś na żonę dobrą choć nie powabną, i musisz być kontent.

— Miernie, mój kochany Kaziu. Jużci moja żona dobra, wedle rozumienia powszechnego, że nie jeden może mi jéj zazdrości, ale mnie śmiech pusty bierze, że tego roku kiedym się pożegnał z moim kawalerstwem, kalendarz Częstochowski wystąpił z konceptem, jak by umyślnie na mnie wymierzonym; słuchaj, bo to śliczne wierszyki:

— Kto sieje tatarkę,
Ma żonę Barbarkę.
A krowami orze —
Bywaj zdrów niebože.

Ażem się ich napamięć nauczył, tak to mi do smaku.

— Widzę że żony nie kochasz, ubolewam nad jéj losem.

— Oto także przyjaciel; nad nią, a nie nademną ubolewa. A wiedz o tém, babiarzu, że gdybym był w niéj szalenie zakochany, więcéj by mnie nie zawojowała. To Herod-baba, widać że w niéj jest coś z pańskiego rodu. Zaraz po we-

selu kazała mnie siebie zawieść na Ruś do moich wiosek, o których ani myślałem. Jak zajechała, tak zaraz wszystko w rękę wzięła, choć mnie ani szeląga nie wniosła. Gospodyni zawołana, sama rządzi, a mnie ani słowa powiedzieć nie wolno. Tak wszystkich sług i poddanych pobałamuciła, że nawet mój Swiryd nie mnie, ale jéj słucha. Tyle tylko mojego, że mnie stado pozwala utrzymywać, ale też za to ciągle mnie piłuje że z niego nie ma zysku, a wielki koszt. To szczęście że mam tu mój Kosmyrzów: od niéj za daleko, żeby go w ręce swoje uchwyciła. Ona tam, a ja tu; ale trzy razy na rok przyjeżdżam do niéj, opatrzyć moje stado; ona mnie z wielkim affektem przyjmuje, ja nawzajem dobre za nadobne: jakie dziesiątek dni z nią przesiedzę w najlepszéj zgodzie; przy końcu następuje burza, kiedy się upominam o jaki grosz, a ona mi go dać niechce, mówiąc że zbiera dla naszego synka, — bo wiesz że urodził mi się chłopiec, Kazio jak ty, i po waszemu chrzczony: tak Imość chciała. Ale jakoś to się kończy Krakowskim targiem: daje mnie coś jakby odczepnego, naładuje mi brykę różnemi przysmaczkami, naczęstowawszy na odjezdném wszystkiemi czułościami małżeńskiemi, i odprowadza mnie zawsze aż do pierwszego popasu; potém wraca uradowana na swoje gospodarstwo, a ja jeszcze więcéj uradowany że się od niéj oddalam na swobodne życie. Oj żeby ona tu była, śmiałobym nie wypróżniał Falendyszowskie butelki.

— Summa summarum, mój Ezechielku, ty jesteś szczęśliwym człowiekiem: masz żonę rządną, a która nawet kochaniem zbytecznem tobie się nie naprzykrza. Jednak mnie to zadziwia, że urodziwszy się w tych stronach, i mając tu stosunki pokrewieństwa z pierwszemi domami, nie woli mieszkać z tobą razem pod Krakowem niż siedzieć w obcéj dla niéj, zapadłéj Rusi.

— Ba! Ja niebyłbym od tego żeby mieszkała w Kosmyrzowie, bo bym zaraz przeniósł moję siedzibę na Ruś. Niema jak nasza Ruś, ja tu z biedy siedzę w Krakowskiém. Ale i ona ma tyle rozumu, że umie poprzestać na lepszém. Raz że gospodarstwo tam jest nierównie większe niż tu, a baba rządzić i umie i lubi, powtóre że tu w Krakowie, zwy-

czajnie kobieta zacnie urodzona, takich tysiące znajdziesz: ni ledwo na Senatorowę zważają; ale na Rusi, krewna Pani Hrabiny Tęczyńskiéj, bywała u Króla na pokojach, ma związki ze wszystkiemi mitrami i krzesłami, gdzie się pokaże pierwsze miejsce jéj ustępują, szlachcianki tameczne ją nawiedzają jakby jaki obraz cudowny, dobijają się o jéj względy — a baba dumna. A co do szczęścia, człowiek nie ma się z czego bardzo cieszyć, ale też i nie rozpacza: Sum bona mixta malis, sunt mala mixta bonis. I jak mnie widzisz, chociaż prawdę powiedziawszy, nieco mi i wstyd żem się dał zaplątać, a co gorsza że w domu moim własnym groszem wystawionym, nie umiem trzech zliczyć: z drugiéj strony, choć nie wielki pożytek mam z mojego majątku, ale że się nazywa moim, ludzie mnie szanują. Bo im nie idzie o użytek z majątku, ale o posiadanie jego. To też nie chudnę ze zgryzoty, za to że tam nie tak zupełnie napisano jakbym sobie życzył. Jednéj tylko rzeczy nie mogę darować sobie.

— Cóż takiego?

— Oto ci powiém. Po nabyciu dóbr, i mojego Chorąztwa pancernego znaku, jeszcze mnie pozostało gotówki z ojczystego spadku. Bo chociaż nieboszczyk mnie utrzymywał w czarném ścierwie, wszakże pokazuje się że więcéj o mnie pamiętał niż o duszy swojéj. A i na duszy może być spokojny, bo nieboszczyk Pan Krakowski testamentem zakwitował go z wszelkiéj kalkulacji. A mój ojciec, po śmierci swojego pana, szesnastego tygodnia poszedł za nim. Ergo conscientialiter et legaliter zostałem haeres bonorum ... Ot jakoś mnie język się plącze że reszty dopowiedzieć nie mogę, choć wiesz że ze mnie łacinnik nie lada: widać że niecnota Falendysz musiał zaipsumować wino, bo kiedy wino szczére, to owszem rozumu przybywa, a tu człowiek zapomina co jeszcze w szkołach wiedział — ale na czém-że stanąłem?

— Oto że względem spadku ojczystego jednéj rzeczy nie możesz odpuścić sobie.

— Ale ale! jestem w domu... Ja w kilka dni po ślubie, już poznałem co się święci, i że Imość wszystko pod siebie

podgarnie. Bo żona kiedy rozpoczyna gospodarstwo, to mówi z początku do męża: «to twoje,» potém: «to nasze,» a dopiéro po długiém pożyciu pozwala sobie kiedy niekiedy powiedzieć: «to moje.» Ale moja, kiedy ją zawiozłem do Kosmyrzowa, — bo dopiéro po kilku tygodniach kazała mnie się odwieść na Ruś, — od razu o każdéj rzeczy, com ją jéj pokazał jako gospodyni, powiedziała: «to moje.» Myślę sobie: źle koło Waści, Mospanie Ezechielu!.. Były papierki na ludziach, zostawione przez nieboszczyka, tych nie można było ukryć przed Jejmością: z resztą, ja do papierków nie największą wagę przywiązuję: zabrała sobie papierki, i w sepecik swój włożyła, ale gotówkę utaiłem przed nią a powoli ją wymieniałem w Krakowie na same szufryny i cekiny, żeby jak najmniéj ciążyły. A że my wyjechali wkrótce potém na Ruś, dla obejrzenia naszego hrabstwa, które tak się Imości podobało że dotąd z niego nie wyruszyła; że niebyło na kogo zdać kufra w Kosmyrzowie, bo i mój Swiryd zatęsknił za Ukrainą, i za nic niechciał zostać, więc i mój kufer poszedł za nami w bryce, bośmy dość dwornie podróż odbywali. Jakeśmy stanęli, Jmość zauważała że coś się bardzo troszczę o mój kufer, i zapytuje mnie co w nim takiego. Ja jéj na to: «kochanko, to rycerskie rynsztunki, jako topory, czekany, misiurki et cetera.» Zdawało mi się że na tém poprzestała. Ale djabli mi nadali, że zapaliłem się do stada Pana Ginowskiego, tameczнego obywatela, który wszystkie swoje remanenta sprzedawał. Spać niemogłem póki u niego nie kupiłem wszystkie klacze i ogiery. Ty wiesz, Kaziu, że znam się na koniach: otoż powiém tobie że takie mam stado, że może bym się nie pomieniał na Kalnickie. Ale to nabycie bokiem mnie wyszło.

— A to jak?

— Przed żoną Pan Ginowski wymówił się, że mu złotem zapłaciłem co do grosza, to co zacenił. Ot i zaraz kwerendy, skąd się wzięły u mnie pieniądze; nakoniec pokazało się że z mojego kufra: a więc do kufra. Ja się bronił jak mógł, ba! rozzłościłem się po mojemu, z ostatnich słów złajałem babę przy całéj czeladzi, chciałem ją wypłazować,

ona mgleć zaczęła, ja na to i patrzeć niechciałem. Ale cóż powiesz? Swiryd, jakem ochłonął z gniewu, wmówił we mnie żal, żona słaba w łóżko się położyła, a ja do niéj w przeprosiny jak by jaki żak — ciężko bo też z babskiemi łzami.. Koniec końców, nastąpiła zgoda, ale jaka? oto że oprócz jednego woreczka, co go mi udało się uchwycić, cały kufer przeniósł się do Imości, a ona wszystko co w nim było, oddała na procent Panu Hrabi z Tęczyna, którego plenipotent zaraz się urodził jakby umyślnie na to. Po czém, nacieszywszy się trochę mojém stadem, jak niepyszny wróciłem w Krakowskie.... Mówi do mnie Pan Hrabia Tęczyński: «Kuzynku, — jakże nie kuzynek, kiedy mam u niego summy na procencie, — twoja żona tobie majątek robi.» Prawda że robi, ale ja z niego nie wiele mam korzyści.

— W czépku się rodziłeś, Ezechielku, żeby nie taka żona dawno byś już przeszastał swoją ojcowiznę.

— Tać to jest cóś w tém co mówisz; ale jakkolwiek bądź, choć nawet Pan Bóg obdarzył mnie sukcessorem, wszelako żal mi mojego kawalerstwa... A ty Kaziu, powiedz mi, jak się tobie powodzi?

— Zawsze dobrze, a teraz lepiéj niż kiedy, bo mój ojciec już dał się przeprosić, i pisał do mnie; a kiedy tu jadąc z Zaporoża wstąpiłem do niego, żeby mu paść do nóg, z wylaném sercem mnie przyjął. Zresztą, jak zawsze, póki żyje Zaporoże, pieniędzy w brod; a jak Bóg da że Pana Samuela cała Rzeczpospolita przyzna Hetmanem, to i Pan Kaźmierz Mroczek, Pisarz Regestrowy, coś będzie znaczył w Krakowie... Coż, Ezechielu, nie mówisz mnie czy bywasz u dawnych twoich panów, czy zawsze coś czujesz do Pana Samuela.

— Ja u Panów Zborowskich nie bywam: na co to mi się zdało. A panów innych nieznam tylko Boga na niebie, a Króla Henryka na ziemi. Niczyim nie jestem sługą jedno Rzeczypospolitéj, a Pana Hrabi z Tęczyna jestem tylko przyjacielem i stronnikiem, i to póty, póki mi w sedno niezaleje. Co to myślisz że ja jego bardzo aprenduję! Było czego słuchać, kiedy to onegdaj sztorcem stanąłem przed nim,

że mnie niechciał procentu zapłacić, jakoby to z moją żoną była robota a nie zemną. To prawda że oblig na jéj imie. Ale i mnie w ciemie nie bito, liznąłem przecie prawa. Powiedziałem mu że choć z mojéj łaski bona uxoris, sed proventus mariti — z tego prawa jeszcze się niewyzułem. Musiał mnie zapłacić procent, choć on Pan Hrabia z Tęczyna, Kasztelan Biecki. A gdyby niebył zapłacił, to kwita z przyjaźni, a do szabli apellacija. Teraz znowu filadelfia — bo żeby nie ten procent, o który jeszcze trzeba się kiedyś będzie rozprawić z Imością, bardzo by było cienko koło Pana Ezechiela; niebyłoby czém hulać u Falendysza. Pojutrze będą turnieje — wiesz że jeżeli szlachcic na nich się spisze, to dobra sprawa. Kogo zwali, tego konia i zbroję dostanie w zysku. A tu i konie i zbroje będą nadzwyczajnéj wartości. A ty Kaźmierzu, czy nie myślisz się na nich popisywać?

— Spóźniłem się nieco, bo dopiéro dziś przybyłem do Krakowa; spis rycerzów Pana Samuela już jest zamknięty a w przeciwnéj stronie niegodzi mi się szukać szczęścia.

— Wielce się cieszę że niebędziesz czynnym na tych igrzyskach.

— A to czemu?

— Tak — widzisz że to zawsze bolące żarty. Na co się nam przydało bawić sobą drugich. Wolimy na to z miejsca spokojnego patrzeć, niż tam zejść gdzie nas nie posiano. Nieprawda?

— Nierozumiém ciebie Ezechielu: dopiéro powiedziałeś że wielki zysk dla szlachcica popisać się na turnieju, a teraz mówisz że to nie dobra zabawa; a mnie się zdawało że staniesz w szrankach.

— Nie, nie, ani myślę. To tak się mówiło z dyskursu, aby mówić. No Kaźmierzu, niechcę tobie przeszkadzać, ja wiém że masz do mówienia z Panem Samuelem, boś go dawno niewidział, a ja mam także interesa swoje do załatwienia — a coś mi niebardzo lekka głowa. Panie Falendysz! co się należy? oto masz Waść siedm korków, alias siedm złotych; wszak tak, złoty butelka; znam ja cenę Waścinego wina lepiéj niż Waść. Czy sprawiedliwie?

— Najakuratniéj Mości Chorąży Dobrodzieju. Dziękuje za już, a proszę o jeszcze.

— Będzie tego jeszcze — nieprawda Kaźmierzu drogi.

— A jakże; tyś mnie dziś uczęstował, pozwól-że bym ciebie poczęstował jutro.

— Zgoda, jutro o téj saméj porze stawię się u Falendysza. Pojutrze turniéj — więc inna zabawa, a przerwa w winiarni; ale po odbytym turnieju znowu na mnie koléj. Ale już nie u Falendysza, ale u mnie na wsi — nieprawda Kaźmierzu? Przecie muszę się pochwalić przed tobą mojém gospodarstwem. Żebyś wiedział jakie u mnie konie! A poczciwy Sędziwosz jeszcze żyje, i czasem go przejeżdżam, ale już go nie męczę, bo to zasłużony sługa.

XV.

Na rozłożystém błoniu które dotykł Kleparza, widać było wysoki parkan z ostrokołów, zajmujący przestrzeń kilkuset sążni. Były to szranki przeznaczone na igrzyska rycerskie, tak często powtarzane w bohatérskich wiekach średnich, a które od czasu kiedy za hasłem daném przez Lutra duch ofiary upadać zaczął pod ciosem racyonalizmu, coraz stały się rzadszemi, aż nakoniec zupełnie wyszły z używania. Zdaje mi się nawet że ostatni turniéj uroczysty odbył się na Polskiéj ziemi, ten właśnie o którym mówić będę. Parkan tak był gęsty, że kto niebył zaproszony w środek okolonéj przestrzeni, nie mógł widzieć co się w niéj robiło. Motłoch błąkał się po za szrankami, uszy tylko przykładając do zasklepionych szczelin parkanu, azali przynajmniéj czegoś nie dosłyszy. Prawo rycerskie nie przypuszczało innych widzów tylko ze szlacheckiego stanu; z pomiędzy plebejuszów, chyba jaki giermek powagą swojego pana poparty, pod pozorem iż do jego usług jest potrzebny, wciskał się czasem pod galerją między widzami, i tu nawet musiał skłamać sobie jakieś szlachectwo. To wyłączenie gminu od tych widowisk, nie tyle pochodziło z dumy szlacheckiéj, ile z obawy czarów, uroków i podobnych brzydkich działań, od których szlachta miała największy wstręt, a któremi ludzie prostéj kondycji, zwłaszcza baby, częstokroć bawiły się, wedle powszechnego mniemania. Rycerz zwyciężony skłonny był zawsze przypisać swoje nieszczęście wpływom złego ducha, prędzéj niż przewadze przyrodzonéj swojego

przeciwnika. Ztąd urząd Sędziów szranek był bardzo trudny. Ewinkowali przysięgą, że będą strzegli wszystkich praw rycerskich, niedopuszczając żadnych maleficiów; co było tém trudniejsze dla nich, że ludzie duchownego stanu nietylko że im żadnéj w tém pomocy nieprzynosili, ale nawet niechcieli być świadkami krwawych zabaw, które uważali być przeciwnemi zasadom religji, pokoju i zgody. Wszakże wierzenie w czary, w maleficya i tak daléj, było rozpowszechnione w narodzie, nietylko między katolikami, ale nawet między dyssydentami, a wierzenia rozpowszechnione muszą się koniecznie na czemś opierać *). W około amfiteatru wznosiły się galerje ubrane w bogate kobierce dla widzów obojga płci, tak z Senatorskiego jako i rycerskiego stanu; na dole stali giermkowie i słudzy nadworni tych co siedzieli w galerjach. A między temi galerjami i obszernością i bogactwem odznaczała się Królewska, ozdobiona chorągwiami, na których jednoczyły się — Orzeł Polski, Pogoń Litewska i Lilje Francuskie. Już widzowie zajęli swoje miejsca, już mnóstwo rycerzów w pełnéj zbroi, których twarze zakryte były, tak że tylko po ich godłach można było ich rozpoznawać, stali przy rumakach swoich, a ci rżeniem przywoływali hasło do boju. Sędziowie zajęli swoje miejsca; wszyscy tylko na Króla czekali.

Nakoniec dał się słyszeć huk dział, odgłos trąb i kotłów, zwiastujący przybycie Króla. Król jechał na białym koniu z grzywą, ogonem i kopytami czarnemi, — przecudny płód Andaluzyjskich dolin, dar Króla Hiszpańskiego, a który otrzymał jako dowód osobliwego szacunku Króla Kato-

*) *Jeszcze w mojém dzieciństwie pamiętam, że w czasie posuchy pławiono baby, żeby odkryć między niemi czarownicę, która maleficyami chciała naród przyprowadzić do głodu. Czy była w tém jaka zasada, niewiem; a czego niewiem o tém rozumować nielubię. Wszakże tylu głupich ludzi widziałem i codziennie widzę, co powstają na zabobony naszych przodków, że skłonny jestem wierzyć, że w tych zabobonach było cóś prawdziwego, choćby dla tego, że nigdy głupiec nie będzie miał wstrętu od rzeczy zupełnie głupiéj.*

lickiego po swojém świetném zwycięztwie nad Hugonotami przy Jarnac, gdzie poległ Xiążę Kondeusz, najdzielniejszy wódz odszczepieńców francuzkich. Rzęd odpowiadał bogactwem i smakiem wysokiéj wartości rumaka. Siodło, uzdy, strzemiona pokazywały w złocie gęsto oprawiane rubiny. A na czapraku z jednéj strony był wyszyty Orzeł Biały, z drugiéj trzy lilje, wszystko z dyamentów. Sam Król, jako jego dworzanie, a nawet kilku panów Polskich, miał na sobie ubiór jaki wówczas był używany na zachodzie — nieco podobny do Hiszpańskiego: ubiór złowieszczy dla Polaków. Król nosił spodnie z jedwabiu białego, bóty czerwone odstające i krótkie, westę z białego atłasu we Florencji tkanego, gęsty kołnierz z Brabanckich koronek, z pod których wisiało na złotym łańcuchu Hiszpańskie Runo. Na tém płaszcz z axamitu szkarłatnego, a na głowie ten rodzaj czapki co go tokiem nazywano, na którym błyszczał ogromny soliter, przypinający kitkę z czaplich piór. Z nim przybyli Panowie Dworu, Xiążę Radziwił-Sierotka, Wojewoda Wileński; Marcin Zborowski, Marszałek Koronny; Warszycki Cześnik i Tarło, Krajczy Koronni; Chodkiewicz, Starosta Zmudzki; Gastold, Podskarbi Litewski; Xiąże Wiśniowiecki, Wojewoda Ruski; Niemierzyc, Starosta Czernichowski; — mało co mniéj od Króla, zadziwiali dzielnością koni i bogactwem ubiorów. Król jeszcze się więcéj odznaczał urodą niż przepychem stroju; łączył regularność rysów włoską, z francuzką zgrabnością, a chociaż zniewieściały rozpustą, jego oblicza zachowały cóś tak szlachetnego i męzkiego, że nadzwyczajne robił wrażenie na tych, których poufalszemi stosunkami nie miał czasu odczarować. Nie można było przypuścić, żeby dusza nikczemna tak wspaniałe mieszkanie mogła otrzymać od Stwórcy. Zresztą zaprzeczyć nie można, że natura hojnie go była uposażyła; że mu dała wszystkie żywioły, które są zdolne wyrobić bohatéra. Ale on strwonił wszystkie jéj dary, zepsuty przez chytrą matkę i przykłady najrozpustniejszego dworu. Kiedy przybył do Polski, już był tak dalece utracił smak do cnoty, że ta przyzwoitość, cechująca jéj ówczesne społeczeństwo, na wstępie mu się niepodo-

bała. Zadziwili go nasi Biskupi, iż posiadając ogromne dostatki i nosząc najświetniejsze nazwiska, nie odważali się deptać swojego powołania; że odznaczali się czystością obyczajów i wysoką nauką, nie tak jak w ówczesnéj Francji, gdzie bogate Biskupstwa były uważane jako uposażenia młodszych członków potężnych rodzin, do otrzymania których nie dawały prawa ani nauki, ani surowe cnoty, ale jedynie wysokie urodzenie i wziętość u Dworu bez wiary, a oddanego wszystkim zabobonom. Ta surowość obyczajów naszego wyższego duchowieństwa, krzepiąca się w walce z dyssydentami, nie mało zraziła Henryka, a tém więcéj go zadziwiła, że Jagiellończykowie wcale niebyli słynni z obyczajów swoich, chociaż wysokie cnoty posiadali. Zygmunt Stary nie mało zboczeń pozwalał sobie, a syn jego był jeden z najrozpustniejszych Monarchów, wieku ocechowanego rozpustą. Król Henryk spodziewał się znaleźć w Krakowie coś podobnego do Paryża w nałogach Dworu i wyższego towarzystwa, bo niewiedział że chociaż panowie nasi częstokroć nieprzykładnym żywotem gorszyli szlachtę: opinia publiczna, dla nich wyrozumiała, była bez litości na lada przewinienia niewiasty, chociażby najwyższego stopnia w towarzystwie. Wyobrażenie hańby spadającéj na cały ród ze złego prowadzenia się żony, tak silnie było wkorzenione, że najrozpustniejszy małżonek, znieść by nie mógł wiarołomstwa swojéj towarzyszki. Gdyby ją zamordował mszcząc się za zniewagę swojéj sławy, jéj własna rodzina przyznała-by mu słuszność. Ztąd, za Zygmunta Augusta, przedmioty przelotnych affektów, bądź Króla, bądź wyuzdanych jego dworzan, były cudzoziemki, co je chęć zysku przywabiała do Krakowa, mieszczki z Gdańska, Poznania i Rygi, czasem jakieś szlachcianki z oddalonych prowincji, a noszące nazwiska nieznane w narodzie. Ale niebyło przykładu, żeby żona Senatora lub wysokiego urzędnika, albo szlachcica osiadłego, mającego jakiekolwiek poważenie w powiecie swoim, chciała zostać faworytą choćby samego Króla, a cóż dopiéro równego jéj szlachectwem, choć piastującego wysokie dostojeństwo. Albo żeby, jak to bywało we Francji, pan frymarczył żoną, która Króla lub

Xięcia jego krwi, skłoniła kn sobie serce, by z jéj hańby czerpać dla domu swojego bogactwa i zaszczyty. W narodzie naszym była wielka uczciwość. Żony żyły pod surową strażą swoich mężów, i pod jeszcze surowszą strażą opinii publicznéj, która gwoli namiętności Króla naginać się niedawała. I jakkolwiek Królowa Bona usiłowała wprowadzić do nas łatwość obyczajów Florencji i Paryża: lubo wielce przyczyniła się do zepsucia młodych panów, nasza płeć piękna ze wzgardą i wstrętem patrzała na jéj sromotne przykłady. Zajączkowska, Giżanka — faworytki Zygmunta-Augusta, nigdy przystępu znaleść nie mogły do szlacheckich domów. Henryk i jego Francuzi nie mogli zaprzeczać damom Polskim nadzwyczajnéj piękności, ale znajdowali je nudnemi, sztywnemi, niezdolnemi podnieść się do wykwintności i poloru francuzkiego. Widzieli w nich tylko piękne posągi ale bez życia, bo u nich rozpusta była życiem. Przekładali obcowanie mężczyzn więcéj odpowiednich ich sposobowi myślenia; chociaż i między mężczyznami już poznać się dawała widoczna reakcja w obyczajach, którą wprowadzeniu Jezuitów przez nieśmiertelnego Kardynała Hozyusza przypisać należy.

Król z orszakiem swoim gdy wjechał w oparkanione koło, cała publiczność zniewolona i majestatem jego godności, i nadobnością jego postawy, powitała go okrzykiem czci i uwielbienia. On zdjęciem czapki z wdziękiem wszystkim podziękował, zastanowiwszy się chwil kilka na środku amfiteatru: czém do reszty zobowiązał widzów; po czém, nakrywszy głowę, poważnie postąpił aż po pod swój balkon Królewski; tam siebie spieszył i zajął miejsce wraz z panami z nim przybyłymi. W pierwszym rzędzie galerji, siadł Król, a po prawéj i lewéj stronie kilka wysokich dam: mężczyzni tylne miejsca zajęli. Była Xiężna Lubomirska, owdowiała po Wojewodzie Krakowskim, pani lat sędziwych, słynna światłem i pobożnością, a z którą Król lubił rozmawiać, gdyż ona w młodości swojéj, jeszcze za panowania Franciszka Pierwszego, była w Paryżu: Pani Koniecpolska, Wojewodzina Bracławska; Pani Lanckorońska, Miecznikowa Koronna — obie policzone między najpiękniejszemi damami

stolicy. Ale najwięcéj zwracała ku sobie oczów, Pani Wapowska, Kasztelanowa Przemyska, z dwiema swojemi córkami, które wyglądały jakby jéj siostry. I matka i córki tak były piękne, że między niemi trudno było wybór uczynić. Kasztelanowa była z miejskiéj rodziny Krakowskiéj, nawet ubogiéj. Pan Wapowski, pomimo woli rodziców z nią się ożenił, ale ona rozumem swoim tak umiała zniewolić starego Podkomorzego Przemyskiego, ojca jéj męża, że ją wkrótce polubił nad własne córki. Król Zygmunt-August poznawszy ją we Lwowie, tak został oczarowany jéj wdziękami, że męża jéj umieścił w Senacie, jedynie żeby ją ściągnąć do stolicy. Wszakże jéj sława najmniejszego szwanku nie poniosła. Jéj piękność była jeszcze tak czarująca, że chociaż miała córki na wydaniu, było powszechne mniemanie, że Król był dla niéj za nadto grzecznym, i że z nią rozmawiając zapominał nawet o nadobnéj Xiężniczce, któréj serce swoje zostawił opuszczając Francję, a z którą się ożenił skoro tylko odziedziczył koronę po bracie. Kasztelanowa była kobieta przebiegła; ktobykolwiek siedział na tronie Polskim, umiałaby pozyskać wpływy u dworu; mąż we wszystkiém dawał siebie jéj powodować, bo przez jéj zabiegi i rady otrzymał i wysokie urzędy i kilka intratnych Królewszczyzn od nieboszczyka Króla, bez narażenia jednak sławy; i niepłonną karmił się nadzieją, że z tak zręczną żoną jeszcze do wyższych dojdzie dostojeństw. Nic Kasztelanowi nie brakowało tylko mieć spadkobiercę z płci męzkiéj: w tém jedném żona nieumiała go uszczęśliwić, bo Bóg tylko dwiema córkami pobłogosławił ich łoże. Ale te córki były tak piękne, tak dowcipne, tak starownie wychowane, że i na nich wiele liczyli rodzice, żeby wynieść dom swój znakomitymi zięciami. Starsza, była zaręczona z Koniecpolskim, Starostą Sanockim, rodzonym bratem Wojewody Bracławskiego; młodszą, Kasztelanowa długi czas przeznaczała Panu Samuelowi Zborowskiemu, i ku temu niezmordowaną usilność przykładała. Ale Pan Samuel już niewładał swojém sercem. Długo zdawał się nierozumieć przymówień Pani Kasztelanowéj, a kiedy mu otwarciéj wytłómaczyła się ze swoich widoków, on zaprzestał bywać w jéj domu. Z dru-

giéj strony bracia jego, a mianowicie Pan Marszałek Koronny, przywykli do najświetniejszych skolligacen, nie wiele okazali skwapliwości w nakłonieniu brata do zawarcia ofiarowanego związku. Kasztelanowa, widząc wzgardzoną piękność ulubionéj swojéj Taidy i związki z jéj domem, nieubłaganą powzięła niechęć dla całéj rodziny Zborowskich, i żadnéj okoliczności odtąd nie przepuściła, żeby jéj nie okazać dowodów téj niechęci. I tak, że Król pomimo życzliwości swojéj dla Pana Samuela odwlekał nadanie mu buławy Ruskiéj, to nie pochodziło wyłącznie z jego gnuśności przyrodzonéj; do tego niemało wpływały intrygi Kasztelanowéj, która jakkolwiek pamiętna na swoje obowiązki, i dość przenikliwa żeby poznać że Król nie miał dość stałości by umiał jéj wynagrodzić ich poświęcenie, wszakże korzystała ze względów Królewskich, przynajmniéj tyle, ile oględna na sławę kobieta z nich korzystać może. Żeby Pan Samuel był jéj zięciem, wszystko co żądał, od Króla natychmiast by otrzymał, przy zabiegach tak zręcznéj poplecznicki. Ale ona pałając zemstą, wszelki wpływ jaki uzyskać umiała, obracała na jego szkodę. Nie mogąc go wyrugować z życzliwości Królewskiéj, chwyciła się innego środka. Poznawszy że z pomiędzy paniczów przybyłych z nim z Francji, Pan Villaret był jemu najmilszym, umiała rozpłomienić jego serce dla swojéj Taidy, i odwrócić ku niéj uczucia, które do niej-że saméj z początku skierowane były. Ani wzajemność młodéj dziewicy dla gładkiego cudzoziemca bynajmniéj ją niezastraszała, dobrze albowiem wyrachowała, że czy Król zostanie w Polsce, czy odzierży w spadku potężniejszą koronę, zawsze jego ulubieniec między możnymi postawiony będzie. W pierwszym przypadku z indygenatem wysokie otrzyma zaszczyty, w drugiém jeszcze korzystniejsze łaski na niego spadną. Kawaler de Villaret chociaż z wysokiéj krwi Francuzkiéj, będąc młodszym bratem głowy swojego rodu, niemiał żadnego majątku, i gdyby nie względy Królewskie, stan duchowny, lub profesja w zakonie Maltańskim, byłyby dla niego jedynym środkiem utrzymania siebie z przystojnością stosowną do świetności jego krwi. Trzeba było jéj walczyć, żeby prze-

zwyciężyć wstręt Pana Kasztelana Przemyskiego od dania córki Francuzowi jakkolwiek zacnemu, ale który na niczém niebył osiadłym. Ale czegoż zręczna kobieta dokazać nie może! Sam Król prosił Kasztelana o rękę jego córki dla swojego przyjaciela, a on jéj odmówić nie śmiał. Zaręczyny natychmiast się odbyły. Król żeby Kasztelanowi ulżyć wydatku na wyprawę, konferował mu zaraz wakujące Starostwo Knyszyńskie, oświadczając przy tym datku, że o żadnym posagu Kasztelan myśléć nie powinien, gdyż póki żyć będzie, ani kawalerowi de Villaret, ani jego małżonce na niczém zbywać nie będzie.

Wkrótce miał się odbyć obrzęd weselny, a nadobna Kasztelanka szczerze przywiązana do swojego przyszłego męża, z biciem serca, z widoczną niespokojnością, okiem mierzyła te szranki, gdzie wkrótce jéj kochanek miał się potykać. On, jako i rodacy jego, byli wpisani w poczet Pana Samuela: i w tém przynajmniéj się pocieszała, że niebędzie się mierzył z tym, który powszechnie uchodził za najstraszniejszego zapaśnika w Polsce. Wszakże to, czułéj kochanki uspokoić nie mogło; było albowiem oprócz Pana Samuela niemało takich rycerzy, których prawica rzadko kiedy zawiodła, — z takimi za chwil kilka Pan Villaret miał się potykać. Na przemian strach o zdrowie i życie kochanka, znowu nadzieja zwycięztwa i widzenia u nóg swoich złożoną jego nagrodę, kołatały sercem pięknéj Taidy; i te uczucia tak się wyrażały na jéj licach, tak je barwiły, że jéj znajomi nie mogli niewyznać że nigdy równie piękną ją niewidzieli. Jéj starsza siostra, Elżbieta, obojętnym wzrokiem patrzała na szranki, w nich oczekując zabawy, bez żadnego dla serca niebezpieczeństwa, bo jéj narzeczony, odbywający wówczas poselstwo od Rzeczypospolitéj do Hana Krymskiego, niebył w Krakowie, i dopiéro za niedziel kilka miał powrócić, ażeby u stóp ołtarzy dozgonną jéj zaprzysiądz wiarę.

Już rycerze wykonali przysięgę, że żaden z nich nie nosi przy tobie nic takiego, czémby niegodziwym sposobem, pomagał męztwu i szczęściu, jakich tylko od samego Boga i jego wybranych oczekiwać wolno; że w najzaciętszéj bitwie, na głos surmy pokoju, zaprzestanie razów; że nako-

niec dochowa wszelkich praw rycerskich, jako nie godzić w konia przeciwnika, ani jego samego niżéj pancerza bronią dotykać — i tak daléj. Wojewoda Opaliński, Kasztelanowie: Wapowski i Tęczyński — Sędziowie turnieju, zajęli miejsca; a przy nich Heroldowie: Sared, Herold Francuzki, z Królem Henrykiem przybyły, i Szwarc'adler, Herold Xięcia Pruskiego, w bogatych odzieżach stali. Bo rzecz godna uwagi: lubo Polska była Rzeczpospolitą szlachecką nigdy w niéj niebyła rozwiniętą nauka herbowa, ani znajdujemy śladów, by w niéj były kiedykolwiek kollegija heraldyczne. Na turnieje przywoływano zwykle heroldów z obcych ziem, a zwłaszcza od rycerzów krzyżowych. Tych heroldów sprowadzano wielkim kosztem, i sowicie ich nagradzano; ale ich professja nigdy u nas nieotrzymała indygenatu. Nasze herby są pokryte tajemnicą, któréj dotąd nikt nie odkrył. Pozostają się wprawdzie po niektórych domach, jakieś szczątkowe podania o ich rodowych godłach, ale te coraz więcéj się zacierają, tak dalece, że wkrótce wszelkie ich ślady zaginą.

Na znak dany przez Króla, heroldowie w środku szranków stanęli, i Sared w języku łacińskim przeczytał warunki i prawa turnieju, po czém wrócili na swoje miejsca.

Igrzyska zaczęły się od pojedyńczych utarczek. Wodzowie dwóch obozów otworzyli turniéj, jeden na drugiego nacierając.

Xiąże Janusz Radziwił miał na sobie zbroję połyskującą się jak zwierciadło: jego szyszak był ozdobiony blachą złotą, a na puklerzu nosił trąby Radziwiłowskie w Orle Rzeszy Niemieckiéj.

Samuel Zborowski miał zbroję z Jorskiéj stali, złotem nabitą w girlandę, roboty przecudnéj: na zbroi, była zawieszona szarfa błękitna, już znana czytelnikowi. Jego tarcza była ze stali szmelcowanéj w błękit — godło stałości; a na niéj, zamiast rodowego herbu, błyszczała Salamandra w płomieniach, a w około niéj napis: — *Z nich się żywię.*

Obaj rycerze natarli na siebie całkowitym pędem swoich wiatronożnych rumaków. Na środku pobojowiska natknęli się kopiami o pancerze: obie kopije na drobne kawałki

się roztrzaskały, ale ani jeden ani drugi rycerz, nie opuścił strzemion. Stanęli, jak skały nieruchome.

Odgłos powszechny uwielbienia dał się słyszeć ze wszystkich galeryj.

Wodzowie, po tém dzielném spotkaniu się, wrócili każdy na swoje miejsce.

Za nimi inni rycerze popisywali się. Ze strony Samuela, Villaret szedł na Tarłę, i udało mu się go powalić; znowu ze strony Radziwiła, Pan Zawisza zsadził Pana Pardalion. Chciał go pomścić Pan Krcki, ale zwyciężonym został od Pana z Grabowa. Znowu udało się Panu Bekieszy wywrócić Pana Wojciecha z Górki, jednego z dzielniejszych rycerzy obozu Xięcia. Z jednéj strony padli: Paweł z Gozdawy, Gabriel Strzemień, Hrehory Hlebowicz, Michał Juraha, Dymitr Xiążę na Czetwertni, Hłasko z Mielsztyna; z drugiéj, niewięcéj szczęśliwego losu doświadczyli: Jakób Niemierzyc, Bogdan Szyszko, Gerasym Wołczek, Stefan Kalennik, Mateusz Odrowąż, Hrabia de Brankas. Wszakże równy był wymiar szczęścia tak dla jednéj, jako i dla drugiéj strony. Każda albowiem z początku miała dwudziestuczterech rycerzy, a już tylko piętnastu liczyła, bo wedle porządku przepisanego od Króla, rycerz który opuścił siodło, już niemiał prawa walczyć.

Rycerze spieszeni stali w milczeniu z głowami spuszczonemi na piersiach, ale Król żeby im ulżyć wstydu, kazał ich zaprosić do swojéj galeryi, i pocieszył łaskawemi słowy, oddając wszelką należną sprawiedliwość ich odwadze nie zaprzeczonéj, chociaż zdradzonéj losem.

Po tych wszystkich pojedyńczych szermach, stosownie do programatu turnieju, przyszło do ogólnéj bitwy na ostre. Każdy zapasnik użyć mógł wedle woli — kopii, topora, czekanu i miecza.

Piętnastu rycerzy z jednéj, piętnastu z drugiéj strony, rzucili się na środek bojowiska, jak dwie chmury gradowe. Szelest broni, odgłos razów, grom pocisków, — przedstawiały widowisko przerażającéj piękności: zwłaszcza kiedy w jednéj chwili, wszystkie kopie, i całe, i odłamane, cisnięte zostały, a bój rozpoczął się na miecze. W téj stra-

sznéj utarczce, przez chwil kilka los zdał się niesprzyjać Xięciu Radziwiłowi, bo ze strony jemu przeciwnéj trzech rycerzów rannych wyniesiono ze szranek, a on pięciu utracił. Już widocznie zwycięztwo zdawało się przechylać ku pocztowi Pana Samuela, któremu niepodobna była dotrzymać, ale wkrótce szala się zrównoważyła. Bo w czasie kiedy Pan Samuel zażartą bitwę toczył z Panem Zawiszą — którego olbrzymia siła mogłaby dziś uchodzić za bajeczną, — a kilku rycerzy z jego pocztu, niedopuszczali Xięciu Radziwiłowi biegnąć w pomoc Panu Zawiszy, jeden rycerz z pocztu Xięcia, który w pojedyńczych harcach niebrał udziału — widać z powodu iż chciał swoje siły oszczędzać — padł z szybkością kamienia toczącego się ze stroméj góry ku dolinie, na odsiecz Xięciu Januszowi.

Pierwszy który doznał jego ręki, był młodzieniec rozpoczynający swój zawód rycerski, Stanisław Myszkowski, Podkomorzyc Krakowski, dziedzic obszernych włości, a rodzony siestrzan Zborowskich. Nieznajomy Rycerz uderzył go mieczem po karku Rzemień łączący szyszak ze zbroją przeciętym został: krew trysnęła: pochylił się młodzieniec na szyję konia, i przez łeb padł bez przytomności na piasek. Montmorency, chcąc pomścić kolegę, rzucił się na zwycięzcę, i raził go mieczem po szyszaku tak, że głęboką szczerbą napiętnował na nim świadectwo swojéj siły. Rycerz ani się zachwiał; ale miecz szybko zawiesiwszy na temblaku, porwał topór, i w oka mgnieniu ugodził nim w przód pancerza. Francuz wytrzymać niemógł podobnego pocisku: padł na tył swojego rumaka; a rycerz przyskoczył do niego, i niedając mu czasu powstać na siodle, ręką go zrzucił. Padł Montmorency, — i powstał: ale ustać niemógł na nogach. Krew mu puściła się z gęby.

Odgłos uwielbienia podniósł się ze wszystkich galerji za to podwójne zwycięztwo, a Xiąże Janusz swobodnie pośpieszył na odsiecz Panu Zawiszy. I w porę; jeszcze chwil kilka, a byłoby zapóźno, bo już upadać zaczynał pod niezmordowanémi uderzeniami Pana Samuela, i widocznie coraz słabiéj się składał.

Zwycięztwo nieznanego rycerza przechyliło szalę szczęścia ku stronie Xięcia Janusza. Poczet przeciwny już się zaczął cofać ku balkonowi Królewskiemu, wprawdzie w porządku, wszakże zawsze się cofał, pomimo cudów waleczności któremi Pan Villaret, Pan Bekiesz i Pan z Potoka, usiłowali wstrzymać nacierających.

Pan Samuel widząc swoich cofających się, odstąpił od wpół-zwyciężonego Zawiszy i od Xięcia Radziwiła, i przybiegł do swoich. Na wstępie powalił Nałęcza i Rymwida, którzy przed innymi się byli wysunęli, i zmusił nacierających do cofnienia.

Znowu wszczęła się straszna bitwa.

Pan Samuel szukał nieznajomego rycerza, i już się ku niemu zbliżał, kiedy Xiąże Janusz na niego natarł mieczem swoim. Pan Samuel rozgniewany że Xiąże mu dopiéro wydarł zwycięztwo nad Zawiszą, z radością przyjął bój ofiarowany jemu od naczelnika strony przeciwnéj, zostawując na potém spotkanie z rycerzem który na tarczy nienosił żadnego godła, mogącego zdradzić jego nazwisko.

Wszczęła się walka zacięta między dwóma rycerzami, których świetne imiona, spadkowe w ich domach najwyższe dostojeństwa, i chwała wielkich czynów tak w kraju jako i za granicą głośna, robiły miłymi całemu narodowi.

Życzliwość widzów między nimi się podzielała. W balkonie Królewskim naturalnie większa była przychylność dla Pana Samuela, bo oprócz Xięcia Sierotki i Pani Kasztelanowéj Wapowskiéj, nikt tam niesprzyjał Xięciu Januszowi; ale po innych galeriach szala życzeń ważyła się między stronnictwami.

Krzyżowały się miecze dzielnych zapasników: z brzeszczotów sypały się iskry rozciągłe jak ogony komet. Gdzie, bądź jeden, bądź drugi, szukał miejsca w które wygodnie mógł ugodzić: tam znajdował miecz gotowy do odparcia. Długi czas nie stanowczego niebyło. Wszystkich widzów oczy tylko na nich zwrócone były; nikt niepatrzał na bitwę ich pocztów, — bitwę jednak, jakiéj podobnéj mało który z nich widział.

Już z tych oddziałów tylko drobna kupka pozostała. Wszyscy inni ranni, albo dobrze potłuczeni już wyniesieni byli z pobojowiska przez giermków: niektórzy oddani w ręce lekarzów. I kiedy oba naczelnicy walczyli z sobą, nieco opodal od nich, ze strony Xięcia, Nowodworski, kawaler Maltański, młody Żołkiewski, który w kilkanaście lat potém miał się unieśmiertelnić pod Kluzynem, i nieznajomy rycerz, czołem się stawili przeciwko Panom z Potoka i z Grabowa, Panu Bekieszy, i Panu de Villaret, którzy jedni pozostali z całego pocztu.

Podczas gdy oba szczątki wydzierali sobie uporczywie zwycięztwo, Xiąże Radziwił i Pan Samuel Zborowski przedłużali bitwę. Wszakże po twardym oporze już widać było, że Xięcia razy były i rzadsze i słabsze niż przeciwnika. Pan Samuel to spostrzegł wprzódy niżeli widze. Zagrzany chęcią skończenia téj walki, a poznawszy że jego koń zwinniejszy od Xiążęcego rumaka, w około niego zaczął się kręcić, by go wziąść w obroty. Obracał się znużony Xiąże, składał się mieczem: w tém Pan Samuel, dobywszy wszystkich sił, uderzył swoim w głowę przeciwnika tak potężnie, że aż szyszak się rozdwoił i odkrył wybladłe ze znużenia lice. Pan Samuel niedał mu odpocząć; przyskoczył do niego chcąc go rękoma powalić o ziemię; ale nieznajomy rycerz, który chociaż walczył sam z dzielnymi przeciwnikami, jednak oglądał się na swojego naczelnika, widząc jego niebezpieczeństwo, opuścił swoich, zostawując Panów Nowodworskiego i Żołkiewskiego przeciwko czterem przeciwnikom a sam przybiegł na odsiecz Xięciu. I w porę: bo już Pan Samuel prawie go trzymał w rękach. Zręcznie napadł na niego z tyłu, uchwycił go znienacka za szyszak i tak go zerwał, że Pan Samuel tyle tylko miał czasu, iż spiął konia ostrogami, i tém wyrwał się od przeciwnika; ale i Xiąże skorzystał z tego ratunku, żeby odskoczyć do swoich giermków, którzy mu zdjęli uszkodzony szyszak, a nowy włożyli.

Pan Samuel już nie myślał mu przeszkadzać, ale cały swój gniew obrócił na Rycerza który dopiéro jego siostrzeńca powalił, a teraz mu wydarł pewne zwycięztwo.

Wszczęła się między nimi walka najuporczywsza w całym tym turnieju, bo już nie na miecze ale na topory. Było to widowisko zupełnie nowe dla Króla.

Król był nieco zasmucony, bo oprócz kawalera de Villaret, wszystkich jego Francuzów zsadzono z koni. A uważając że Xiążę Radziwił w nowym szyszaku przybywał Żołkiewskiemu i Nowodworskiemu w pomoc, zatrwożył się o los Villareta, i dał rozkaz żeby wszyscy zaprzestali walkę, oprócz Pana Samuela i nieznajomego Rycerza, która to walka miała zakończyć turniéj.

Rycerze za rozkazem Królewskim miecze włożyli w pochwy i zsiedli z koni, a Król przez swojego dworu Marszałka, Pana Leśniowolskiego, zaprosił ich do swojéj galeryi. Rycerze zdjąwszy szyszaki przyszli na wezwanie Pana, który ich przyjął łaskawém powitaniem i zachęcającemi pochwałami. Ale kiedy Villaret przybliżył się do Taidy, by jéj podziękować że zwyciężonym nie został, (a to wedle ówczesnego obyczaju, gdzie rycerz przyznawał swoje powodzenie życzeniom swojéj kochanki), zdało się że na to dobył ostatka sił zwątlonych dwugodzinną walką; bo kiedy ukląkł przed nią, i wziął jéj piękną rękę żeby ją zbliżyć do ust — padł u jéj nóg bez przytomności. Sam Król pospieszył na ratunek ulubieńca i skoro ocuconym został, kazał go zanieść do zamku.

Tymczasem przedłużała się walka między Panem Samuelem a nieznajomym Rycerzem. Długi czas ani na jedną, ani na drugą stronę rozstrzygnąć się nie mogła. Częste uderzenia toporów po zbroi i szyszakach słyszeć się dawały jak łoskoty młotów kuźniczych; często ich ślady dawały się widzieć w uginaniu się pod niemi hartownéj stali; a jednak natarczywość szlachetnych szermierzów nie zdawała się zmniejszać. Strumienie potu lały się z rumaków, słyszeć się dawały prośby do Króla żeby dał znak do rozejmu, i podzielił nagrodę między równymi dzielnością przeciwnikami.

Już Król zabierał się kazać zatrąbić hasło końca gonitw, kiedy nowa okoliczność sprawiła powszechne zadziwienie. Pan Samuel zniecierpliwiony tak statecznym oporem, ra-

ptem się rzucił na przeciwnika, i cisnąwszy topór o ziemię, z szybkością błyskawicy obiema ramionami objął go w pół, usiłując zciągnąć z konia. Udało mu się go uchwycić, ale przeciwnik nawzajem porwał go za rzemień, i cały na nim się zwiesił, aż nakoniec po kilku chwilach przeważony własnym ciężarem, powalił się, ale pociągnął za sobą Pana Samuela. Padli oba rycerze jak śniegozwały gór Karpackich; ale Pan Samuel pierwszy powstał, i z mieczem dobytym przyskoczył do leżącego przeciwnika. Ten chciał się jeszcze bronić, ale na nieszczęście, miecz, który go rzadko zawodził, w gwałtownym upadku Rycerza, tak głęboko wrył się w ziemię, że już, zwłaszcza przy osłabionych siłach, wydobyć go nie mógł. Pan Samuel klękł na jego piersiach, a dobywszy puginału, przyłożył go do szyi i krzyknął: — Proś żebym ci darował życiem, albo to żelazo wtopię ci w gardło!

Tu surma zgody słyszeć się dała.

Sędziowie turnieju przybiegli i oswobodzili przyduszonego Rycerza, który wedle praw rycerskich musiał zdjąć szyszak, żeby się dać poznać swojemu zwycięzcy.

Pan Samuel poznał — Ezechiela Zdorę. I zamiast coby miał okazać jakiś dowód szacunku dzielnemu mężowi, nad którym zwycięztwo tyle go kosztowało trudu, w zapamiętałości rzucił na niego wzrok wzgardy, i w obec całéj publiczności odważył się powiedzieć Panu Tęczyńskiemu, Sędziemu turnieju:

— Sameś się Waszmość nie odważył zemną potykać, jako z równym krwią i imieniem, ale wyprawiłeś na mnie swojego służalca: ale ja na Waszmościnym karku, odwetuję moją krzywdę!

Na tę zniewagę szlacheckiego stanu, szmer powszechny powstał ze wszystkich prawie galeryi. Dały się nawet słyszeć odgrażania szlachty naprzeciwko Pana Samuela. Jedni krzyczeli: — Pan Zdora należy do stanu rycerskiego jak i Pan Zborowski, a więc równie jemu zacny. — Drudzy: — Pan Zdora choć służył u Pana Tęczyńskiego, to jemu krzywdy nie robi; ubogi szlachcic służy u bogatego i tém szlachectwa swego nie kazi; większy zaszczyt szlachcicowi

służyć na dworze Senatora, niż być watażką złodziejów Zaporozkich. — Inny jeszcze głośniéj: — Krzywda Pana Zdory jest wszystkich krzywdą: a my siebie skrzywdzić nie damy. Kiedy Pan Hetman Zaporozski pomiata ubogą szlachtą, która niemając własnego chleba je chleb możniejszych swoich braci, ogłaszamy za infamisa każdego szlachcica który jemu służyć będzie.

Kilku nierozważnémi słowami, w jednéj chwili Pan Samuel utracił całą swoją wziętość u szlachty. Brat jego, Pan Marszałek Koronny, poznał niebezpieczeństwo grożące jego domowi, w narodzie gdzie przewaga Panów nieopierała się na żadném prawie, ani na łasce Królów, ani nawet na szerokich włościach, ale wyłącznie na przywiązaniu szlachty, jedynéj samowładczyni Rzeczypospolitéj. Wybiegł więc z galeryi Królewskiéj do brata, i usiłował go przekonać żeby przeprosił Pana Ezechiela, a tym krokiem ułagodził kipiące umysły. Ale dumny Pan Samuel nietylko że do tego niedał siebie nakłonić, ale zuchwałym mierzył okiem tłumy szlacheckie, jakby ich wszystkich wyzywając, i nieprzestawał łżyć Pana Tęczyńskiego pogróżkami, mimo siebie puszczając jego Senatorską godność. Czém do najwyższego stopnia podniósł przeciwko sobie niechęć powszechną.

XVII.

Wedle praw rycerskich Pan Samuel ogłoszonym został zwycięzcą turnieju, i otrzymał od Króla w nagrodę kitę brylantową wysokiéj wartości. Jednak niemożna mu było przyznać bezwarunkowego zwycięztwa, bo i z przeciwnéj strony, ani wódz, Xiąże Radziwił, ani też pozostali zdrowi rycerze, niemogli się przyznać że zupełnie byli zwyciężonymi. Wszakże jeszcze Pan Nowodworski i Pan Żołkiewski stali na nogach i chętnie by odnowili bój, żeby ten tylko im dozwolony został. Xiąże Janusz miał jeszcze dwóch rycerzów, Pan Samuel miał ich trzech, więc walka nie tak by była nierówna, żeby już jedna strona mogła być pewną niezaprzeczonéj korzyści. I dla tego Król oba stronnictwa obdzielał nagrodami. Xiąże Janusz otrzymał tego właśnie andaluzyjskiego konia na którym król wjechał był w szranki a któremu, nawet wedle zdania Pana Generała Humieckiego, równego niebyło w całéj Polsce. Konie wielkiéj wartości, złote łańcuchy, bogate rzędy, kosztowne szuby i kobierce, rozdawał Król walecznym; a dla większego jeszcze ich uczczenia, wszystkich którzy zdrowi pozostali, zaprosił nazajutrz do swojego Królewskiego stołu. Bo trzeba wiedzieć, że na tym turnieju niemało było rannych rycerzy, nawet jeden na miejscu został, a dwóch w kilka dni potém umarło w rękach lekarzy. Co tak silne zrobiło wrażenie, że Panowie duchowni oświadczyli, że jeżeliby kto ważył się odnawiać podobne igrzyska, już potępione od Stolicy Apostolskiéj, wtedy zmuszeni będą rzucić klątwę kościelną

nietylko na samych szermierzy, ale nawet na wszystkich uczestników tych krwawych zabaw, jako sędziów i widzów obójga płci.

Osoby zbliżone do Króla, a świadome ducha polskiego, zaczynając od Marszałka Koronnego, poznały do jakiego stopnia umysły szlachty były poburzone przeciwko Pana Samuela. I dla tego zdołali namówić go żeby nadto wielkiémi uczczeniami nie nagradzał niemiłego dla niéj zwycięzcy, ale żeby się okazał łaskawym dla strony przeciwnéj, która za zupełnie zwyciężoną siebie nie miała, a zwłaszcza dla Pana Ezechiela Zdory, którego szlachta na rękach nosiła, jedynie żeby okazać niechęć Panu Samuelowi. Król kazał go zaprosić do stołu swojego, rozmawiał z nim w języku francuzkim, z którym Pan Ezechiel był poufałym. I nieszczędząc mu należytych pochwał za męztwo przez niego okazane, uwieńczył je włożeniem na jego szyję łańcucha szczerozłotego, trzy funty ważącego, zalecając mu żeby go zawsze nosił na pamiątkę jego Królewskiéj życzliwości dla niego. Pan Ezechiel uklęknąwszy, pocałował Pańskie kolano, a niewiele uważając groźne i pogardliwe spójrzenia na niego miotane przez Pana Samuela, uczuł siebie wielce uradowanym; raz z daru otrzymanego od Króla, powtóre Sędziowie turnieju przysądzili mu trzy konie, i tyleż zbroi, wszystko niemałéj wartości, po trzecie że chociaż rzeczywiście zwyciężonym został, wszakże udało mu się było zciągnąć z konia Pana Samuela, — rzecz co się jemu nigdy niebyła nadarzyła od początków jego zawodu rycerskiego, a która właśnie dla tego tak mu się zdawała nieznośną. Nawet mówiono między szlachtą, że gdyby miecz Pana Ezechiela niebył się wrył w ziemię przyciśniony ciężarem padającego rycerza, onby niezawodnie został zwycięzcą turnieju. A to mniemanie, powtarzane głosem prawie powszechnym, tyle pocieszało Pana Ezechiela, ile rozdrażniało obrażoną dumę jego zwycięzcy; tém więcéj, że Król oddawał mu sprawiedliwość odzywając się głośno do Pana de Villaret:

— Nasi Francuzi niepowinni się sromać ze swojego niepowodzenia, bo nigdy niemieli do czynienia z podobnymi

współzawodnikami. Wszakże, dzięki Panu Samuelowi, strona w której walczyli przecie wzięła górę. Ale Pan Samuel wyzna, że nigdy się niemierzył z godniejszym siebie przeciwnikiem.

— A może, Najjaśniejszy Panie, — rzekł Pan Ezechiel, — zwycięztwo drożéj jeszcze by kosztowało Pana Kasztelanica Krakowskiego, gdybym mógł mieć wolne użycie mojego oręża.

Na te słowa zakipiały gniewem źrenice Pana Samuela.

— Nie pierwszy raz, — odpowiedział — zdarzyło mi się potykać z tym niegdyś sługą mojego domu, a zawsze niewiedząc z kim miałem do czynienia. Wszak nie może się skarzyć że mu oręż wrył się w ziemię, kiedy na Rusi padł bez przytomności od jednego uderzenia mojéj kopii, właśnie gdy się bawił napadaniem bezbronnych pielgrzymów, święte miejsca nawiedzających.

— Łatwe złożę dowody, — odrzekł Pan Ezechiel, — że tych bezbronnych wedle Pana Kasztelanica pielgrzymów, omal nie całkowita chorągiew konwojowała. Przyjmuję tę przymówkę do mnie wymierzoną za żart właściwy na biesiadzie, ile że Pan Kasztelanic dotąd hetmani takimi, którzy ani z roli, ani z handlu żyją, a którzy wcale się nie brzydzą przemysłem zbrojnym na publicznych gościńcach.

— Gdyby nie Majestat Najjaśniejszego Pana, — odpowiedział z uniesieniem Pan Samuel, — byłyby to może ostatnie słowa którémi Waść dowodzisz że jeszcze żyjesz.

Tu Pan Marszałek Koronny bacząc na brata, przerwał niebezpieczną rozmowę, wnosząc zdrowie Jego Królewskiéj Mości. Wszyscy powstali na to poważne hasło, i razem spełnili kielichy. A Król pełen kortezji, nalał sobie kieliszek, powstał i wypił zdrowie miłych poddanych, a szczególnie rycerzów, tak z jednéj jako i z drugiéj strony, którzy walczyli na wczorajszych igrzyskach

Po uczcie, wszyscy się rozeszli, oprócz kilku, między którymi i Pan Samuel, którym Król kazał pozostać.

Pan Ezechiel wyszedł z Zamku do kamienicy Pana Tęczyńskiego, gdzie miał swoje locum standi w Krakowie. Tam dorwawszy się swojego powozu, kazał siebie odwieść

do Kosmyrzowa, a to dla trzech przyczyn: najważniejszą żeby nacieszyć się ze zdobytych koni i zbroi, które w dniu wczorajszym był wyprawił z ludźmi swoimi, zaraz po ich odebraniu; powtóre że Pan Kaźmierz był mu przyrzekł że nazajutrz po uczcie Królewskiéj nawiedzi go w jego domu; po trzecie że chociaż miną nadrabiał, i niby hulał jak zawsze, z tém wszystkiem kości go bolały, prawy jego bok był granatowy. A więc wedle ówczesnego zwyczaju, ledwo przybył do domu, kazał sobie krew puścić przez wiejskiego cyrulika, poczém napił się do poduszki bzu ugotowanego z szafranem, zkąd zlany potem zasnął twardo. A nazajutrz z rana poszedł do rzeczki płynącéj pośrodku jego dziedzictwa, gdzie zimnéj kąpieli użył, dla uzupełnienia kuracji. I rzeczywiście uczuł się tyle czerstwiejszym, że może potykałby się na nowo w szrankach, zwłaszcza dla podobnéj nagrody jaką otrzymał. Wyszedłszy z kąpieli, prosto poszedł do stajni, gdzie kazał sobie posłać — bo wedle ówczesnego mniemania, wyziew koński miał być rzeczą wielce pomocną. Leżąc na wysoko posłanym sianie oglądał trzy wierzchowce któremi jego stajnia wzbogaconą została, i oglądał je z wielkiém upodobaniem, tak dalece, że każdego z nich po kilkakrotnie kazał przed sobą oprowadzać; a najwięcéj go zadowolnił koń skarogniady na którym siedział Pan Myszkowski pokąd go niezwalił. Niebyło Swiryda, z którym tak lubił rozmawiać — bo to był wielki znawca wedle niego; ale stał przy nim jego koniuszy swieżo przyjęty, Pan Szerszeń, szlachcic z Zatorskiéj ziemi, wielki pochlebca, wielki gaduła, trochę konował, trochę berejter, a który już nabywał nad swoim panem jakąś przewagę, bo Pan Ezechiel pomimo burzliwość swoją, zawsze musiał mieć kogoś który nim rządził. Z nim więc rozpoczął rozmowę.

— Cóż ty mówisz, Szerszeniu, o tym koniu? słyszałem że at-sobie szkapa.

— A Panie — to koń choćby pod Króla; choć niewiele Pana kosztuje.

— At! gadasz. Zapytaj-no moich kości wiele on mnie kosztuje. Prawda że darmo się niepracowało, bo i konie

dobre i zbroje nielada; naprzykład ta zbroja po Panu Myszkowskim — to szlachecki majątek; nie prawda!

— Jakże nie! w całéj zbrojowni Pana Hrabi z Tęczyna takiéj niema.

— Słusznie mówisz, Szerszeniu, ja podobnéj wartości zbroi niewidziałem w Krzeszowicach; choć Pan Tęczyński wielki pan, a ja chudy pachołek. Jednak szlachcic, który jak ja dorobił się dziewięciu zbroi w swojéj masztarni, z których ani jedna płatnerza niepotrzebuje, może się pochwalić że nie próżnował na świecie. Bo to wszystko moja praca. Wszakże kiedy rozpoczynałem mój zawód rycerski na wojnie Inflanckiéj, to miałem z łaski nieboszczyka Pana Krakowskiego zbroję ze Zborowskiéj fabryki, ale taką, że przemyśliwałem czy nie będzie bezpieczniéj ją gdzieś cisnąć a na gołe łby się potykać, niż nosić szyszak który omal uszów mnie nie oderznął, i pancerz który mnie tak gniótł, że żebra u mnie ciągle wyglądały jak dziś wyglądają. Ale na wstępie udało mi się zdobyć na jednym mieczowym rycerzu całkowity ten rysztunek który znasz, a w którym kiedy pierwszy raz się potykałem, to zdawało mi się że kąpię w ciepłéj łaźni, tak mi było wygodnie; a moją starą bez najmniejszego żalu w kości przegrałem Towarzyszowi mojéj Chorągwi, z którym miałem przyjaźń. Albo ten łańcuch złoty co mi go dał Król Jegomość — wszakże i to nie piechotą chodzi.

— A jakże Panie — to nie tylko bogactwo, ale i zaszczyt. Pan jesteś Eques Auratus, to w Rzeszy Niemieckiéj zakrawa na Dygnitarza, i każdy Eques Auratus ma wolny przystęp do Cesarza Rzymskiego.

— Patrzaj, a ja o tém niewiedziałem, choć mnie rozumu uczono w szkole Zborowskiéj, jedno że ze mnie chciano pastora ulepić, o rycerskich rzeczach niemówiono, i to co się teraz o nich wie, to tylko z ludzkiéj rozmowy. Ale ty jak widzę, nie tak głupi jak się wydajesz. Uważaj-że, mój Szerszeniu: z koniem co go dostałem po Panu Myszkowskim ani myślę się rozstawać, choćby mi za niego dawano dwa folwarki przyległe do Kosmyrzowa. O tak ja mnie widzisz. A na djabła mnie ziemi. Jakby się bardzo rozsze-

rzyło gospodarstwo Kosmyrzowskie, to by moja Imość gotowa była tu przyjechać mnie po swojemu do niego pomagać. Ale tamte dwa konie staraj mi się przedać w Krakowie, bo już procent co go udało mi się uchwycić od Pana Tęczyńskiego dogorywa, a bez pieniędzy gotowych źle. Jak mi się popiszesz, to i dla ciebie się cóś okroi.

— O to pokój, Wielmożny Panie. W Krakowie teraz z koniem, to tak jak w oblężoném mieście z chlebem. Na mnie śmiało spuścić się można: będzie miał Wielmożny Pan kabzkę szufrynów. Ale bo Pan tych koni nieukradłeś, a własnémi oczami widziałem co Pan dokazywałeś. Bardzo było kręto koło Xięcia Radziwiła, i żeby nie Pan, to pewnie-by niedostał tego białego konia na którym Król wjechał na turniéj.

— To uważałeś jak w porę porwałem za szyszak Pana Samuela. Żeby niebył spiął swojego konia, co go za górę złota nabył od Pana Bekieszy, ten koń byłby teraz w mojéj stajni: a szkoda — zdałby się. Jednak i Pan Samuel dzielny rycerz; bo co prawda, to prawda. Wszakże to nie była z nim pierwsza dla mnie rozprawa, ale jakoś niemam do niego szczęścia. Wszakże dałem mu się przecie w znaki; już mnie nie tak źle z nim poszło jak na Rusi; a trzeci raz kiedyś może lepiéj jeszcze pójdzie. Nie święci garnki lepią. Chociaż moje życie było w jego ręku, niema co mówić, tęgi człowiek, to wyznaję, lubo żebra, pomimo mojéj kąpieli, okropnie bolą, a ten ból jest niczém w porównaniu wstydu że siedział na mnie jak jastrząb na kuropatwie i od niego zależało kozikiem mnie zarznąć jak barana, i to w przytomności zgromadzonéj szlachty ze wszystkich prowincji Rzeczypospolitéj.

— Niech Pan się nie wstydzi — słyszałem dobrze co szlachta mówiła.

— I cóż ona mówiła?

— Oto że gdyby miecz Pański nie był się wrył tak że go wydobyć nie można było, nigdyby Panu nie dał rady. A że z tego wypadku korzystał Pan Samuel, to niebardzo po kawalersku postąpił.

— Ba, w tém do niego nie mam żalu, bo i ja niebyłbym lepszym Ale to prawda że mnie miecz zawiódł, nietylko z Panem Samuelem, ale z ziemią miałem do czynienia. To było na mnie zawiele. Jednak co to było — zabij mnie, tego niepojmę. Wszakże odkąd ludzie biją się z sobą, niebyło zdarzenia żeby miecz tak strasznie ugrzązł; żaden stary o tém nie słyszał.

— A ja rozumiem co to było.

— A co?

— Czary. Odkąd Xięża niechcą się znajdować na turniejach, cóż dziwnego że uroki na pewno się popisują.

— Jużci Pan Samuel takim paskudztwem się niebawi. Gadasz głupstwa, których słuchać nawet niechcę.

— Ale ja bynajmniéj nie posądzam Pana Samuela; ktoby to na niego śmiał podobne rzucać potwarze, wszakże to Kasztelanic Krakowski, pan całą gębą. Ale niech-no pan sobie przypomni, że kiedy w całéj gotowości wyjeżdżałeś z kwatery na szranki, a ja za Panem, spotkaliśmy babę z garnkami przed sobą, a Pan ani zwróciłeś konia, ani krzyknąłeś ustąp, ale kopią ją potrąciłeś, że baba padła; a że była czarownica, o tém wątpić nie można, bo jéj garnki się nie potłukły. Pan niewidział co się za nim dzieje, ale ja dobrze uważał że ona cóś mruczała pod nosem naprzeciwko Pana. Potém wicher się zerwał i słup kurzawy prosto poszedł na Pana, a Pan że po niemiecku trzymasz, aniś się przeżegnał. Ja zaraz poznałem że będzie źle; ale Panu nic niepowiedziałem, bo pomyślałem sobie: jak Pana ostrzegę, nic nie pomoże, a jak pójdzie niedobrze dla niego gonitwa, to jeszcze gotów mnie skrzywdzić, że jemu zaziębiłem odwagę.

— Może i jest cóś w tém, bo i nasi mówią, że djabeł swoje sztuki płata. Tylko nie umieją na to poradzić jak wasi. Jużci to co się ze mną stało onegdaj, to niebyło po-ludzku, Proszę ciebie, mój Szerszeniu, upatrz porę i zanieś wszystkie moje zbroje i oręże, jeno nie razem, do swoich mnichów, żeby je wodą święconą pokropili po waszemu, ażeby djabeł do nich niemiał prawa. Tylko to zrób niby bez mojéj wiedzy: a co kosztować będzie, zapłacisz z tych pienię-

dzy co weźmiesz za moje konie — w tém na ciebie się spuszczam. Ale żebyś się przed nikim nie wymówił że ja o tém wiedziałem. Bo-by już mi oczów niepokazywać między protestantami, chociaż ja niewiele ich aprenduję. Już i tak naraziłem się domowi Zborowskich który u nich réj wodzi. Wszak uważałeś jak Pan Samuel mną pomiatał że byłem sługą Hrabi z Tęczyna. A to dla tego, że lubo górę wziął nademną, czy przez siebie czy przez djabła — w to niewchodzę, ale i to pewna że z mojéj łaski i on leżał jak długi, tylko że się prędzéj podniósł. Wszelako niech daruje Pan Samuel, ale się znalazł jak ostatni głupiec.

— To-też było co słuchać, jak nasza szlachta go beształa za to zuchwalstwo. Gdyby nie przytomność Majestatu, na miejscu byłby rozsiekany. Aż Pan Marszałek Koronny się nastraszył o niego, i spiesznie z galeryi Królewskiéj się spuścił żeby reflektować brata. I Pan Tęczyński jemu nieodpuści obelg co je w zapamiętałości na niego rzucał. Tak się wszystkim naraził, że niema poco tu długo siedzić. Ja z boku wszystkiemu się przysłuchiwałem. Nawet dworzanie domu Zborowskich głośno dali się słyszeć że wolałby nigdy nieopuszczać swojego Zaporoża, niż tu postępować ze szlachtą jakby z kozakami. Wielmożnemu Panu wszyscy tak sprzyjają, że gdyby się Panu zachciało być posłem, jednomyślnie byłbyś obrany.

— To-też ja bardzo jestem spokojny na gniew domu Zborowskich: więcéj ja ważę łaskę szlachecką, niż magnacką. Wszakże mnie bracia szlachta na rękach wyniosła z pobojowiska. Lubię Magnatów którzy niezapominają że szlachta im jest równa we wszystkiém, i tego się nie wstydzę że jadłem chleb Hrabi z Tęczyna, i że gotów jestem zdjąć czapkę przed każdym magnatem który wart tego. Za Xięcia Janusza Radziwiła naprzykład, gotów jestem łba nadstawić — i zaraz, choć wszystkie moje kości są potłuczone: bo to jest i brat i ojciec ubogiéj szlachty. Ale żebym się bał jakiego magnata, to się po mnie niepokaże. Wszakże za stołem Królewskim wczoraj Pan Samuel zaczął mnie gabać, ale ja się nawet na przytomność Najjaśniejszego Pana nieoglądałem, takem się jemu odciął, że aż Pan Marszałek Koronny,

poznawszy że może wyrosnąć z tego gardłowa sprawa dla nas obydwóch — bo ty wiesz czém to pachnie porwać się do szabli w przytomności Króla — jako pan roztropny, przerwał to co już było na wylocie, wniesieniem zdrowia Króla Jegomości. A kiedy po uczcie dano nam znak żebyśmy Zamek opuścili, to ja noga za nogą powróciłem do swojéj kwatery, wszystko oglądając się za sobą, czy i Pan Samuel nie idzie. Bo choć niebardzo się czułem być czerstwym na siłach, po tak zawziętéj walce, jednak gdyby Pan Samuel chciał koniecznie zaczepki na gołe łby, ja niebyłem od tego. Jeno że on został w zamku. Ale jak ludzie mówią, co się odwlecze, to nieuciecze. Ot wiesz co, Szerszeniu, żal mi poczciwego Kaźmierza Mroczka, że duszą i ciałem przylgnął do Pana Samuela.

— A żebyś pan był usłyszał co szlachta mówiła, tobyś go jeszcze więcéj żałował. Wszakże to nie jeden, i nie dziesięć głosów oświadczyli, że mają za infamisa każdego szlachcica, który odtąd będzie służył Panu Samuelowi.

— Otoż masz — biedny Kaźmierz! ja go znam, on za-nic w świecie jego nieodstąpi. Jakże on musi być zmartwiony. Niewidziałem go od tego czasu jak nazajutrz po naszém pierwszém spotkaniu się w winiarni u tegoż samego Falendysza, sprawił mnie porządny traktament. Obiecał dziś przybyć do Kosmyrzowa, i ja go wyglądam jak kania deszczu. Ja go tak kocham, że dla jego przyjaźni radbym z całego serca wyreyterować jakoś choć Pana Samuela z matni w którą się dobrowolnie wplątał, i wszelką urazę osobistą mimo siebie puszczam. A tém siebie nie poniżam. Bo gdyby Pan Samuel niedoświadczył we mnie strasznego przeciwnika, nie tak by się dąsał. Wszak kiedy to my na Rusi potykali się z sobą: jakoś na mnie zła godzina wybiła; czy uwierzysz że jemu zakładu dotrzymać niemogłem. Ledwo mnie trącił, a już ja leżał bez przytomności. Doprawdy to coś było podobnego do czaru. Otoż Pan Samuel był wtedy tak dobry dla mnie, że choć go do rany przyłóż. Ani konia, ani zbroi mojéj wziąść niechciał, chociaż Bogiem a prawdą one do niego należały. A jakie staranie miał o mnie.

Teraz inaczéj postąpił, bo już nie tak łatwa była zemną sprawa.

— To-też powszechnie mówiono, że Wielmożny Pan w dzielności jesteś przynajmniéj równym Panu Samuelowi.

— Czy równy, czy nie równy, ale to pewna że się jego nieboję. Ot wiesz co Szerszeniu: wielkie nudy będą w Polsce. Duchowieństwo wasze daje się z tém słyszeć, że już niepozwoli turniejów. Wyraźnie zgubić chcą ubogą szlachtę. Co to będzie. kupować za gotowe pieniądze, zamiast nabycia ich kopią, mieczem, lub toporem! A czy każdemu mieć pieniądze. Męztwo jest pieniądzem szlacheckim, a pieniądz jest męztwem kupieckiém.

— Jak to Wielmożny Pan mądrze powiedziałeś. Męztwo jest bogactwem szlachcica i prawdziwém bogactwem bo niewyczerpaném. Bo kiedy się pieniądz wydaje, tém samem ubywa; a wydatek męztwa powiększa go owszem.

— Otoż widzisz jak panowie duchowni na tchórzów chcą nas przekształcić. Żeby to przynajmniéj doczekać się wojny z Bissurmanem, jabym dziesiątek szlachty uzbroił i do mojéj chorągwi wpisał, i własnym kosztem bym ją podejmował. Bo wiém że to wszystko by mi się wróciło na Wołoszczyznie. To ziemia bogata. Każdy Ormianin i Grek tameczny złotem napchany: było by czém się pożywić. Cóś tam przebąkują Panowie Rada o wojnie. Ale ja nie mam szczęścia. Obaczysz Szerszeniu, że na złość mnie będzie Rzeczpospolita gnuśnieć w pokoju. Wszelako na próżniaka siebie niepuszczę, i nie myślę do góry brzuchem leżéć długo w Kosmyrzowie. Nie doczekam się tu wojny, to pójdę jéj szukać we Francji i zaprowadzę z sobą dziesięć kopii. Bo tam ciągle katolicy biją się z dyssydentami.

— A Pan zapewne pójdziesz na pomoc dyssydentów.

— Nie koniecznie. Do tego przystanę który mnie sowiciéj nagrodzi. Cóż tam, mojego kraju sprawa, żebym za nią darmo gardłował? Z tém wszystkiem, zaczynam wątpić o nawiedzinach Pana Kaźmierza; nieborak kłopocić się musi za swoim panem, już mu nie w głowie Kosmyrzów. Trzeba będzie samemu obiadować.

— Co Pan mówisz! Odkąd Kosmyrzów Kosmyrzowem, nigdy nie miał tyle gości, ile ich dzisiaj mieć będzie.

— A to jakich?

— Mnóstwo szlachty zabiera się Wielmożnego Pana w jego domu przywitać, dla okazania mu swojéj życzliwości.

— Otoż jest! A ty mnie o tém dotąd ani pisnął. Przepadła piwnica moja, bo jużci wina żałować nie będę. Szerszeniu kochany, biegaj na folwark żeby wszystkie gęsi do dworu zanieśli; cielęta i barany, choćby co do nogi, wyrznąć, byle u nas nikt niebył głodnym. Na ciebie się puszczam — w tém twoja głowa: bo ty u mnie i gospodarz i gospodyni. A to gradowa chmura na mnie napada. Tylko co mnie tém się troszczyć. Słuchaj Szerszeniu, ja niczego nie żałuję, ani chcę myśléć o jutrze. Ale choćby Pospolite ruszenie całéj Rzeczypospolitéj miało u mnie dziś obiadować, tego wyrazu «niemasz» — słyszeć niechcę. I jeżeli choć jeden szlachcic pokaże się nadkomputowym do misy, ja ciebie własną ręką zarznę — tego możesz być pewny.

— Niech Pan będzie spokojny: Pan jeszcze spał kiedy ja wszystko już rozporządziłem. Nie powstydzimy się przed szlachtą. Będą kotły i rożny w robocie. Niech sobie siedzą zdrowi, a przecie mis niewypróżnią. Nie tylko oni, ale i pachołki i luzaki będą mieli wygodę.

— Dobrze mój Szerszeńku, ruszaj synu. A ja wyleżę się a może i zasnę: bo mnie bok boli. Patrz jaki czarny, ale jaśniéj wygląda niż wczoraj. Grzesiu, podaj-no mydła i gorzałki i rozcieraj mnie sińce. Oj! boli. Szerszeniu, wiedz że u mnie dziwna natura: póki jest guz, człowiek radby go się pozbyć, a kiedy go niema, za nim tęskni. Idź-że sobie Szerszeńku do Podstarościego, i razem gospodarujcie, a jeżeli mis niewystarczy, od czegoż garncarz wiejski? Znajdziesz w szufladzie na to trochę grosiwa. O sztućce niema się co troszczyć, bo każdy szlachcic ma widełko i nóż za pasem, a łyżek drewnianych Podstarości dostarczy ze wsi. Szerszeńku, ty nieznasz mojéj Imości. Niczego by niebrakowało tylko żeby sama zjechała na dzisiejszą biesiadę: oto byłby lament nad bydłem i drobiem zarzniętym! A dowie się baba o moich popisach, bo to gruchnie po całéj Rze-

czypospolitéj. Szkoda że mój chłopczyk nie jest wyrostkiem, toby się cieszył, ale jeszcze przy piersiach. Żeby to człowiek doczekał się widzieć go w pancerzu przez siebie zdobytym, toby spokojnie umarł. Cóś mi się kleją powieki — będę spał. Ale żebym się zaspał, a zaczęto się zjeżdżać, zaraz mnie obudzić. Ruszaj-że sobie Szerszeniu a pamiętaj wypełnić do słowa wszystko co się tobie poleciło. Dość tego smarowania, Grzesiu. Biegaj za Panem Szerszeniem, żeby tobie wydał mój kontusz gredyturowy, biały dymowy żupan, pas jedwabny biały w różowe kwiatki, i bóty czerwone. Wszak przed szlachtą porządnie wystąpić trzeba. Czy rozumiesz? — Stój, czekaj, niezapomnij przynieść mnie szablę w jaszczur oprawną która wisi nad mojém łóżkiem, na czwartym kołku od drzwi, i ten łańcuch złoty co mi go Król Jegomość kazał zawsze nosić na jego pamiątkę. Otóż wszystko. Teraz uciekaj. Dobra-noc wam, poczciwe moje wierzchowce, — odwrócił się do ściany, i wkrótce chrapać zaczął.

Zostawmy go na wsi, a wróćmy do Krakowa.

XVII.

Po skończonéj uczcie u Króla, do późnéj nocy bawili u niego Panowie Rada, i co pierwszy raz im się wydarzyło od jego przybycia do Krakowa, słyszeli go mówiącego o rzeczach publicznych, i spostrzegli w nim chęć zajęcia się szczerze rządem nad licznemi narodami które Bóg jemu powierzył. Nawet dał się z tém słyszeć, że oczekuje przybycia Gaskończyków, co ich wedle zawartych Paktów Konwentów miał sprowadzić do Polski, żeby zaraz rozpocząć wojnę z Portą Ottomańską o Multany i Wołoszczyznę, lenności Rzeczypospolitéj, za Zygmunta Starego odpadłe.

— Jak tylko doczekam się moich Gaskończyków, — dodał Król, — zaraz zwołam Sejm we Lwowie, jako więcéj zbliżonym do granic Tureckich, a tuszę że on mnie niewzbroni Pospolitego Ruszenia dla oswobodzenia chrześciańskiego ludu z niewoli pogańskiéj.

— Święte słowa Waszéj Królewskiéj Mości, — odezwał się Xiąże Radziwił-Sierotka. — Niedawno byłem na Wschodzie, nawiedzić Grób Pański, by dzięki złożyć Zbawicielowi mojemu że potężną łaską swoją wyprowadził mnie z błędów w których wychowany byłem. Widziałem jak ludy chrześciańskie wyglądują oswobodzicielów. Przystoi zwycięzcy Mont-Kontur i Żarnak zostać mścicielem Władysława Warneńczyka. Czyż się znajdzie między nami szlachcic tak gnuśny, tak nieczuły, żeby niechciał towarzyszyć Waszéj Królewskiéj Mości w tak świętéj wyprawie.

— Za jednomyślność Sejmu gardłem mojém zaręczam, — dodał Pan Zebrzydowski.

— A Waćpan Mości Panie Samuelu, — rzekł Król, — dzielny zwycięzco wczorajszego turnieju, spodziewam się że nas nieodstapisz w Tureckich igrzyskach.

— Dwadzieścia tysięcy Zaporożców z sobą przyprowadzę nad Dniestr, na rozkaz Waszéj Królewskiéj Mości. I spodziewam się że niebędą bez korzyści.

— O to tylko idzie, — rzekł Pan Marszałek Koronny, — żeby Rzeczpospolita uznała mojego brata jako rzeczywistego naczelnika Zaporoża, żeby było wszystkiém wiadomo na mocy jakiéj powagi on nimi ma dowodzić. Bo jakiż z niego będzie pożytek, jeżeli niechętni naszemu domowi będą go wystawiać w obozie jako watażkę rozbójników, piastującego zwierzchność nieznaną w naszém prawodawstwie, a ledwo że przez nie nie potępioną.

— Wasza rzecz, Mości Panie Marszałku, — odpowiedział Król, — na przyszłym Sejmie starać się u Posłów i Panów Rady, ażeby w tym względzie nie przeciwili się naszym widokom. Bo radzibyśmy z całego serca trzecią wielką buławę utworzyć dla Pana Samuela, dla pożytku Rzeczypospolitéj. O naszych dobrych dla niéj życzeniach proszę nie wątpić, i to oświadczyć przed szlachtą. Wiemy że ludzie nam niechętni śmią głosić, jakobyśmy was niemiłowali a tylko tęsknili za krajem naszym ojczystym. Jest to potwarz, Mości Panowie, potwarz obmyślana od takich którym się przykrzy jedność Króla z Narodem. Daj Boże ażeby nasz brat Król Karol żył jak najdłuższe lata. Niepragniemy po nim spadku, i owszem prosimy Boga ażeby go raczył obdarzyć potomkiem płci męzkiéj. Aż nadto nam wystarcza Korona Polska którą nosił Ludwik, Monarcha téj krwi Kapetów, co w naszych żyłach płynie. Jesteśmy bezżenni, niemamy spadkobierców którychbyśmy losem mieli się trudnić: a więc poprzestać możemy na dożywotniéj władzy, cośmy ją z waszego wyboru otrzymali.

— Nawet o los swoich potomków, — rzekł Pan Zamojski, — Wasza Królewska Mość niemiałabyś powodu się troszczyć. My zawsze byli skłonni wynosić nad sobą krew naszych panujących. Z woli naszéj Piastowie panowali syn po ojcu, jakby na dziedzicznym tronie. Toż i Jagiellończyki, aż po-

kąd ich krew Królewska się nie wyczerpała. I gdyby Zygmunt-August był zostawił syna, do myśli by nam nieprzyszło skłonić nasze głosy ku tobie Miłościwy Panie. Wasza Królewska Mość śmiało możesz wybrać małżonkę godną siebie. Daj Boże ażebyś wraz z nią nad naszymi prawnukami panował i dla nich zostawił z krwi swojéj potomka. Pewnie po najdłuższém twojém życiu, będzie-li jéj godny, nikomu innemu korona nasza się nie dostanie.

— Słusznie mówi Pan Zamojski, — odezwał się Pan Wapowski; — wszak-to my aż po klasztorach Francuzkich szukali krwi naszych panujących, a dopiéro byśmy niemieli się cieszyć krwią Waszéj Królewskiéj Mości, krwią najwięcéj Królewską na całym świecie, krwią która panuje we Francji, w Nawarji, Luzytanji, która panowała kiedyś w Węgrzech, we Włoszech, nawet w Carogrodzie dźwigała Cesarską koronę; a której teraz nie pierwszy raz panować w Polsce. Większy dla nas zaszczyt, Miłościwy Panie, żeś przyjął naszą koronę, niż dla ciebie że my ją złożyli u stóp twoich.

Król zauważył że takowe pochlebstwo Pana Wapowskiego niedobrze przyjęte było od przytomnych, i spiesznie też odezwał się:

— Zaszczyt tylko dla nas w waszym wyborze, a odtąd wszystkie myśli, wszystkie dążności nasze ku temu jedynie obrócimy, ażebyśmy się okazali godni waszéj ufności — ażebyście nigdy niemieli powodu żałować waszéj życzliwości dla nas.

Témi słowy Król pożegnał Panów Rady i mężów Stanu rycerskiego, którzy po uczcie przedłużyli byli za wyraźnym rozkazem Królewskim swoje nawiedziny.

W narodzie tak jak nasz wrażliwym, można łatwo wyobrazić sobie ile ten wieczór u Króla przepędzony, zjednał jemu umysłów. Goście przechodząc przez obszerne komnaty Zamku między sobą powtarzali słowa Królewskie, i jeden przed drugim wynurzali swoje uczucia.

— Przecie, rzekł Pan Marszałek Koronny, — pierwszy raz po Królewsku do nas przemówił. Daj Boże żeby to była przedmowa do dostojnego działania.

— Ani wątpię o tém, — odezwał się Pan Samuel, on dotąd drzémał, ale że się już przebudził, dopiéro poznacie że jego dawna zdolność jeszcze nie tak zardzewiała, żebyśmy mieli rozpaczać. Patrzcie jaki w jego oczach pojawił się zapał, kiedy nam obiecywał wojnę z bissurmanem. Śmiało puścić możemy wodze naszym nadziejom, że klęska Warneńczyka pomszczoną zostanie

— Nic dziwnego, — rzekł Pan Wapowski, — że nam się wydawał gnuśnym, bo jeszcze się z nami niebył obeznał. Człowiek nowy znaleźć się nie umiał z ludźmi dla niego obcymi. Ale teraz wcale co innego. Ten turniéj przekonał go że my nieustępujemy jego Francuzom ani męztwem, ani dzielnością, że z nami wszystko co zechce dokaże. Teraz Waszmości rzecz, Mości Panie Hetmanie Zaporożski, jako z pomiędzy nas wszystkich najwięcéj zbliżonego do serca Królewskiego, pilnować żeby nie odkładał swoich wielkich zamiarów, i jak najśpieszniéj zwołał Sejm.

— Słusznie mówi Pan Kasztelan Przemyślski, — odezwał się Zamojski; — bo nim się Sejm zbierze, już i nadejdą oczekiwane Gaskończyki. Jest to doskonała piechota, a na niéj własnie nam zbywa. Jazdę mamy najpierwszą w świecie, bo szlachcic z natury swojéj jest zawołanym jezdzcem. Ale niesposób przezwyciężyć wstrętu naszéj szlachty od służby pieszéj, a jednak bez dobréj piechoty wyprawy wojenne jakkolwiek świetne, stanowczych korzyści nieprzynoszą. Ja w tym względzie wygotowałem projekt, który następnemu Sejmowi podam, i właśnie dla tego o poselstwo Województwa Bełzkiego starać się będę. W tym projekcie radzę żeby ze Starostw położonych w Karpackich górach i w częściach leśnych i bagnistych Rzeczypospolitéj, utworzyć stałą piechotę, która czy w wojnie czy w pokoju, zawsze by była gotową; prosząc Sejmy żeby dla większego zachętu, każdy plebejusz, któryby lat dziesięć w téj piechocie wysłużył, otrzymał w nagrodę dla siebie i potomków swoich klejnot szlachectwa.

— Nic sprawiedliwszego nad to co mówi Pan Zamojski, — rzekł Pan Humiecki; — i może być pewny, że na Sejmie, ze mnie i z moich przyjaciół będzie miał gorliwych

poplecznikow. Bo choć Pan Bóg mnie stworzył jezdzcem, i przeszło lat czterdzieści jak się bawię mojém rzemiosłem, a jednak otwarcie wyznam, że jeżeli nasze wojny nie tak korzystnie poszły ile byśmy sobie życzyli, to właśnie dla tego niedostatku piechoty, cośmy go zawsze doświadczali. Wszakże nie żebym się chwalił, ale to każdemu wiadomo, że pod Kisłakiem w puch rozbiłem Turków. Prawie wszystkie ich kotły wpadły w nasze ręce, a ich pędziłem jak trzodę owiec. Ale cóż! oni się zamknęli w Chocimie, a bez piechoty niebyło sposobu dobywać wałów, i nasze szczęście na nic się nie przydało. Bardzo się na to zgadzam, żeby wszystkich piechurów wysłużonych obdarzyć szlachectwem. Od przybytku głowa nie boli. Ja bym niebył od tego, żeby wszyscy kmiecie wysłużyli sobie szlachectwo — a może nic do-rzeczy się odezwałem?

— I owszem, - odrzekł Pan Zamojski; — żądanie Pana Generała jest zupełnie w duchu naszego prawodawstwa: my dążyć powinni do uszlachcenia całego narodu; tylko żeby nie darmo, ale żeby każdy krwią swoją okupił ten zaszczyt dla swoich potomków, tak jak nasi przodkowi dla nas okupili.

— Otóż my jedno trzymamy, co dla mnie jest niemałym zaszczytem, bo Waszmość jesteś legistą, całą gębą uczonym mężem, a ja sobie zwyczajnie prosty człowiek który szkół nieskończył. Moja cała mądrość, że wiem jak się z koniem obchodzić, i jak uczyć chorągiew żeby szła gęsiego i ocierała się o szachownice. A w tym niechwaląc siebie, moja chorągiew innym nieustępuje. I to jeszcze sztuka, że mnie w łacińskim języku przedać nie można. Coś tam Król z wami bełkotał swoim baranim językiem, ja go nierozumiał, ale mnie tłómaczono, że się zabiera do wojny. A któżby był od tego! I mnie staremu lżéj-by było umierać, żebym granic Rzeczypospolitéj strzegł nad Dunajem, a nie jak dziś nad Dniestrem. To tylko nieszczęście że Król Jegomość ani po polsku, ani po rusku, ani po łacinie nie umie, a tylko babskim językiem się tłómaczy — a nawet gorzéj niż babskim: bo nieboszczka moja żona bardzo dobrze rozumiała po łacinie, i bywało z księżami gada, że aż

miło słuchać. Jak Król zaczął mówić o wojnie, może i ja parę słów bym mu powiedział, i niekoniecznie nie do rzeczy. Ale cóż! czy on do mnie, czy ja do niego, to wszystko wyszłoby na niemieckie kazanie. A dałby Bóg żeby się wszystko jak najprędzéj ułatwiło na Sejmie. Samuś z swoimi Zaporożcami, ja z wojskiem pograniczném, Hetmani Koronni i Litewscy z Pospolitém Ruszeniem, a sam Król ze swoimi Gaskończykami. Wiecie Waszmoście że będziemy mogli o wielkie rzeczy się potargować.

Tak rozmawiając z sobą, doszli aż po za zwodzony most zamku, gdzie pojazdy na nich czekały.

Panowie Zborowscy wszyscy stali we wspólnéj kamienicy która się wznosiła na tém-że samém miejscu, gdzie dziś jest kamienica nazwana Szarą. Pan Marszałek Koronny zajmował z dworem swoim większą połowę pierwszego piętra; najroztropniejszy z jego braci, Pan Jan, Kasztelan Gnieźnieński, mieszkał na tém-że samém piętrze; inni bracia zajmowali drugie piętro i oficyny; a Pan Samuel miał swoją siedzibę na dole, blisko stajen. I chociaż odznaczał się wykwintnością odzieży, komnata i łóżko w niczém się nie odróżniały od tych jakich używali prości kozacy: końska skóra była całą jego pościelą, a kulbaka służyła mu za poduszkę.

Pan Samuel tak spoczynku potrzebował, że gdy się dostał do swojéj komnaty, nawet z Mroczkiem nie rozmawiał, ale jak najspieszniéj obnażył się z szat, rzucił na końską skórę, i nieprzebudzając się spał aż do ósméj z rana.

Wstawszy ledwo cóś rzucił na siebie, zaraz kazał zawołać Mroczka, ale go już nie znaleziono w domu, bo niemogąc się doczekać przebudzenia pańskiego, wyszedł był w miasto, i dopiéro około dziesiątéj obiecywał swój powrót. Pan Samuel trochę w złym humorze zaczął się ubierać, i właśnie kiedy wziął był na siebie ostatnią sztukę swojego wykwintnego stroju, oznajmiono mu przybycie braci jego: Pana Marszałka Koronnego i Pana Kasztelana Gnieźnieńskiego.

Powstał Pan Samuel i wyszedł na przeciwko braci star-

szych z oznaką uszanowania, jakie im się od młodszego należało.

Zajęli miejsca bracia, i Marszałek tak do niego mówić zaczął:

— Panie Samuelu! ja myśląc o publicznych rzeczach, niespuszczam z oka co tylko może być dla domu naszego z korzyścią i sławą, ale też i niemniéj co mu szkodę a nawet upadek przynosi. Źle się zrobiło z Waścinéj łaski, Panie Samuelu. Obraziłeś szlachtę onegdaj, a Pan Tęczyński, zawsze nieżyczliwy naszemu domowi, nie zaniedbuje z tego korzystać.

— I czém-że tak straszném nam zagraża? — odpowiedział Pan Samuel obojętnie.

— Czyś tak zdziczał na twojém Zaporożu że już nie umiesz patrzéć na to co się dzieje pod twojemi oczami. Kto niema u nas szlachty po sobie, ten daleko niezajdzie, a Waćpan nie pojedyńczemu szlachcicowi, wreszcie nie stronnictwu jakiemuś, ale nieobacznie całéj szlachcie się naraziłeś, i cały nasz ród na jéj nienawiść wystawiłeś.

— Czém-że ja jéj się naraził, że wymówiłem Panu Tęczyńskiemu iż na mnie swojego sługę nasłał, sam się nieodważając pomierzyć ze mną. Alboż to nieprawda? A to osobliwszy przeciwnik ten Tęczyński! Naprzód nasadził na mnie swojego famulusa — że się nieudało, teraz całkowitą szlachtę na mnie podburza. Kiedyś on zaniecha tych swoich umocowanych, i sam stanie w sprawie swojéj! Do czego jednak ja go zmuszę.

— Samuelu, Samuelu! — Waćpan zawsze do oręża się odwołujesz, a niechcesz poznać że dobra rada jest bronią skuteczniejszą od miecza. Jeden, siłą, wszystkich niezwyciężysz, a umiarkowaniem i zręcznością, może ich sobie zhołdować. Waćpana postępek w jednéj chwili wywraca tę naszą wziętość, którąśmy nabyli w narodzie przez kilkadziesiąt lat trudów i zręczności.

— Ale bo też brat nadto na rozum bierzesz. Moja waśń z Panem Tęczyńskim jest rzeczą prywatną. A jeżeli między szlachtą znajdują się tacy, którym się niepodoba że niemam za równego sobie szlachcica który w pańskich usługach

zostaje, cóż to mnie ma tak dalece obchodzić? Ja Pana brata niepoznaję. Sam pogardzasz szlachtą, czy raz mnie mówiłeś że ta demokracya szlachecka jest monstrum, jakaś tatarszczyzna, która stoi na przeszkodzie do wprowadzenia rządu mądrego, a tylko barbarzyństwo i ciemnotę utrzymuje w narodzie. Że dla tego sprzyjać powinniśmy Rakuzskiemu domowi, że on wszędzie zdołał motłoch utrzymać w karbach posłuszeństwa, porządkując możnowładztwo nadaniem mu przywilejów nienaruszonych, aby niebyło jak u nas igrzyskiem niestałéj szlachty, która dziś wynosi kogoś nad siebie, a nazajutrz kruszy swojego bałwana. A teraz znowu gardłujesz za szlachtą!

— Właśnie dla jéj pokonania trzeba ją rozbroić nabyciem u niéj popularności. Motłoch szlachecki jest zuchwały, wrażliwy, ale tak łatwowierny, że bez wielkiego zachodu można go opanować. Kuchnie i piwnice dla szlachty otworzyć, wszystkim ich głupstwom potakiwać, obstawać za jéj swobodą, bronić jéj bezprawia, powtarzać ciągle że szlachcic na zagrodzie równy Wojewodzie, a z nią zrobisz co zechcesz. Nasz dom dziś stoi na czele dyssydentów, którzy jedni wolni od przesądów, widzą wady naszéj formy rządowéj i radziby ją przekształcić na taką, jaka istnieje w państwach ukształconych. Ale niemożemy taić przed sobą że naszemu wyznaniu choć sprzyja większość panów i ludzie uczeni, w nieokrzesanéj szlachcie zbyt mało liczy stronników. Wszakże zręcznością niezmordowaną zdołałem odwrócić od osób naszych wstręt który szlachta ma do naszego wyznania; stanąłem na czele licznego stronnictwa w którém więcéj rachuję papieżników niż protestantów. Ale wieluż to ofiarami musiałem okupić tę przewagę co ją dziś dzierżę, a która przez twoją popędliwość jest zagrożoną. Z największém poświęceniem moich obowiązków dla domu Cesarskiego, na ostatniéj elekcji złączyłem się ze stronnikami Walezyusza — czém uzyskałem odgłos obywatela nad wszystkie skłonności serca miłującego ojczyznę. Jeszcze nie zachełznać buty szlacheckiéj, jeszcze cierpliwie oczekiwać nam trzeba pomyślniejszéj pory. Panie Samuelu! Waćpan koniecznie musisz pogodzić się ze szlachtą.

— Ja mam się przed nią uniżyć, mam zapomnieć tych obelżywych wyrazów, co je galerje na mnie miotały! I sam obrażony, będę ją jeszcze przepraszał! To napróżno panie bracie; pokąd prawicy mojéj wystarczy sił do dźwigania miecza, potąd przed nikim nie cofnę kroku. Czas już koniec położyć zuchwalstwu tego nikczemnego motłochu, co śmie rzucać się na dłonie które go karmią. Nasi dyssydenci ciągle od niego zagrożeni nas nieodstąpią, mamy i między papieżnikami nieodstraszonych stronników. Król naszemu domowi sprzyja. Całe Zaporoże za sobą przyprowadzę. Doczekam się, że ta zuchwała szlachta, pełzając u nóg naszych, żebrać będzie przebaczenia.

— Niebaczny! chcesz owładać Rzeczpospolitą, a sam sobą władać nie umiesz. Oto masz przed sobą naszego brata Jana, więcéj do ciebie wiekiem zbliżonego, zapytaj go, czy rozsądek, czy nasze bezpieczeństwo niewymagają twojego umiarkowania? Czy teraz więcéj niż kiedykolwiek niepotrzebujemy przychylności szlachty. Nie zapomnij że Król zapowiada blizkie zwołanie Sejmu. I cóż my rozpoczniemy na tym Sejmie, mając szlachtę przeciwko sobie?

— Samuelu. — odezwał się Pan Kasztelan Gnieźnieński; — twoja władza na Zaporożu jakkolwiek obszerna, żadném prawem nie jest upoważniona. Dopiéro jak na Sejmie otrzymasz buławę, będziesz się mógł nazywać głową potężnego stronnictwa w narodzie. A w takim stanie umysłów niema podobieństwa, ażebyśmy na Sejmie coś mogli otrzymać dla ciebie. Odmówią prawa na ustanowienie Ruskiéj buławy, żeby nie wzmocnić swojego nieprzyjaciela. Mówić za tobą, będzie rzeczą tak niepopularną, że na to się nieodważy nietylko twój przyjaciel, ale nawet brat rodzony. Ile że z tego żadnéj pomocy tobie niebędzie, a tylko narażenie się. Odmówią tobie przedmiotu twoich życzeń i naszych zabiegów, jedynie dla twojego dziecinnego prawdziwie uporu.

— Ja i bez waszego Sejmu jestem Hetmanem Zaporożskim. Ciekawy jestem wiedzieć kto mnie moją buławę odbierze; a że ją dzierżę, o tém wkrótce będę się starał moich nieprzyjaciół przekonać.

— I cóż chcesz zrobić Samuelu, — przerwał mu Pan Gnieźnieński: — najść Rzeczpospolitę ze swoimi kozakami? Sejm ogłosi że herszt rozbójników naszedł jéj granice, każe Hetmanom zwołać Pospolite Ruszenie i iść na ciebie w obronie obywatelów od łupieztwa. Czy myślisz że się znajdzie taki, który by się chciał do ciebie przyłączyć. Co innego Hetman prawdziwy, co innego Hetman urojony, który sam siebie nim nazwał. Cała twoja usilność powinna być w tém, żebyś uprawnił swoją władzę. Bo wtedy tylko, nawet w wybrykach twoich, możesz rachować na jakieś stronnictwo w narodzie. Opamiętaj się Samuelu, i dobrowolnie nie toń, kiedyś już bliski lądu.

— A to prawdziwe z wami utrapienie. Robicie się patronami złéj sprawy. Czy wy baby, że chcecie wszystko kończyć przeprosinami. Jużci dajmy na to że kogoś obraziłem, ten ktoś niech rzuci rękawicę, a ja was prosić nie będę żebyście ją za mnie podjęli. Co się z wami stało Mości Marszałku Koronny i Mości Kasztelanie! Czy już na taką biedę przyszło żeby Zborowscy mieli się obawiać Tęczyńskiego, który wolał sprawy turnieju sądzić, niż się na nim sprobować. Mnie w myśli Tęczyńskiego złapać na osobności, a nie przepraszać jego dworzanina i tych którym żal że pan szlachcicowi darował życie. Bo jużci gdyby surma niebyła się odezwała, a sędziowie nieprzybiegli na jego ratunek, toby niebyło kogo przepraszać.

— To jeszcze szczęście żeś go nie zabił, — odrzekł Pan Marszałek; teraz przynajmniéj da Bóg że się opamiętasz, że posłuchasz naszéj rady i że siebie wycofasz z piwa coś go nawarzył. Inaczéj jużby i nadziei niebyło powstania.

W tém drzwi się otworzyły i wszedł ze stukiem Pan Generał Ziem Podolskich, a za nim Pan Kaźmierz Mroczek.

— Dzień dobry! dzień dobry tobie Samusiu, i wam wszystkim tu przytomnym, — rzekł stary. — Cały ranek stałem na nogach. Od tego zacząłem że byłem u naszego Myszkowskiego. Słaby nieborak od tego cięcia co go dostał po karku, ale wyliże się. Niepomyślnie powiódł mu się turniéj, ale też to pierwsze pole chłopca; nierazem Kra-

ków zbudowano. Ja mu też powiedziałem: koń zołzy, a szlachcic guzy przejść musi; obaczysz jak to ci pójdzie na zdrowie. Wszakże to ja tak mam głowę pokiereszowaną, że aż kłopot cyrulikowi co mnie czuprynę podgala, bo dałbym mu na piwo żeby mnie brzytwą zadrasnął. A z tém nie źle mnie się dzieje, bo jak zapamiętam ani jeden szeląg nie przeniósł się z mojéj sakwy w kieszeń doktora. To mnie się nie podobało, że lekarz Jego Królewskiéj Mości karmi chłopca kuchnią łacińską. Powiedziałem jemu, bo wytrzymać niemogłem: on dostał po karku, a Waść jemu z flaszeczki lejesz cóś w gardło; wolałbyś po naszemu chléb z solą i pajęczyną przykładać do rany, prędzéjby wstał z łóżka. Ale dajże radę tym zagranicznym rozumom. Będzie zdrów chłopiec ale dobrego konia stracił. To chowu Pana Weryhy, z Województwa przecie Podolskiego. Znałem jego ojca który omal mnie się niedostał, jak go Pan Santaman przyprowadził ze Stambułu, jedno że mnie podkupił Xiąże Ostrogski, Wojewoda Kijowski. Ale u Xięcia nieumieli się z nim obchodzić, skaleczono go, a potém Xiąże darował go Panu Weryzie, który się na nim poznał i kilkunastu źrebców po nim się doczekał. Ja wszystkich naszych koni mógłbym kronikę napisać. Potém oglądałem stajnie tych wszystkich panów co się potykali na onegdajszym turnieju. Czy wiecie że ten koń wilczaty Xięcia Janusza Radziwiła, tak osedniony, że daj Boże żeby za kwartał był zdatny do pracy. Ale wyłajałem jego koniuszego porządnie, że zalał sedno gorącém sadłem wedle obyczaju Tatarskiego. Nigdy tego nierób Samusiu, broń Boże; jak ci koń osednieje, trzy razy na dzień każ mu przemywać rano wódką z popiołem, a będzie zdrów. Ja stary koniarz, na moje rady spuścić się można. Ale, ale, spotkałem Pana Mroczka i z nim tu przyszedłem; ciekawość mnie wzięła nawiedzić cię Samusiu. Niema co mówić — zbudowałem się. Złotych ludzi masz, a Pan Mroczek całą gębą człowiek. Taki porządek w twojéj stajni, że ja z lepszym się nie pochwalę. Wszystko nakręcone jak godzinnik. Niech się Królewska schowa przed twoją. Bo co prawda, to prawda. Co to za siwy koń com go targował u Pana Bekieszy, a który tobie

się dostał Samusiu, teraz już i ja przyznam żeś go nieprzepłacił. Ja dla niego byłem na waszym turnieju, i w piersi uderzywszy się wyznaję, że z całego serca życzyłem tobie żebyś go osednił, choć ty krew moja, ale zły byłem żeś mnie podkupił. Widzieliście jak nasz Samuś na nim dokazywał, myślałem że pozbawi się konia: otoż co powiecie, wygląda jakby z pod igły, ani znać że tak pracował. A Pan Mroczek po skończonym turnieju niczego niezaniedbał; konia więcéj godziny kazał przeprowadzać stępą, potém wykąpano go w letniéj wodzie z mydłem, a dopiéro dano mu siana. Tak, to lubię. Winszuję tobie takiego przyjaciela i sługi jak Pan Mroczek, z takimi chociażbyś niechciał, musiałbyś wyjść na człowieka. A cóż to Panowie siestrzany, cóś mi się zdajecie markotni. Cóż to jest?

— A panie wuju, — rzekł Pan Marszałek, — Pan Samuel nam okuniem się stawi. U niego rada starszych braci zanic. Wszystko chce robić po swojemu. Onegdaj złajał Pana Zdorę. Szlachta prawie cała za Pana Zdorę się ujmuje, my go przekonywamy że to niedobrze, a on to wszystko mimo siebie puszcza, a nasze rady ma sobie za żarty.

— Powiém wam prawdę że nie uważałem co to tam Samuś powiedział: wiem tylko że się cóś dostało i Panu Zdorze i Panu Kasztelanowi Sandomierskiemu; bo zapatrzyłem się na tego siwego konia co się jemu dostał od Pana Bekieszy. Ale w saméj rzeczy doszło i do mnie że szlachta na Samusia się odgraża. Ale to nic, ja biorę na siebie pogodzić go z Kasztelanem. Mam przez nieboszczkę żonę moją swojactwo z domem Tęczyńskich, a z nim samym szacujemy się wzajemnie. To bardzo godny Senator. Pan Zamojski mu przyznaje wielką uczoność, a ja na piśmie mogę mu dać świadectwo że z niego niepospolity żołnierz. Pod Suczawą własnémi oczami patrzałem jak prowadził swoją chorągiew, właśnie jak panienkę do tańca, aż miło. Wszakże niechwaląc siebie, po mojéj chorągwi jego będzie najlepsza w całym kompucie naszym. A jakich ma trębaczów! Z takimi bitwa to prawdziwa zabawka. Jak zatrąbią to ledwo że dusza niewyskoczy z radości, aż konie rżą. A wy to wiecie, jako ludzie choć młodzi ale doświadczeni w

naszém rzemiośle, że kiedy konie rżą przed potyczką to śmiało liczyć można na zwycięztwo. Otóż że mam u niego względy, zaproszę jego i was do siebie, i tego dokażę że on i Samuś którzy zawsze na siebie kwaśno poglądali, pokochają się. I kłótnia ma swoją dobrą stronę, bo kwasy bez niéj nigdy by się nieskończyły; jakże z nich przyjaźń zawiązać. Ale kiedy się ludzie dobrze skłócą, to już jest przesilenie. Jeden drugiemu wszystko wymówi co ma na sercu, a tém serce oczyszcza się z wszelkiego złego, i dopiéro prawdziwa zgoda. Słuchajcie mnie starego. Chciałbym mieć po ludziach tyle koni mojego chowu, ile w mojém życiu pojednałem zwaśnionych umysłów.

— Tać-to wujaszku, — odezwał się Pan Kasztelan Gnieźnieński, — zwada z Panem Tęczyńskim jeszcze niegorsze złe: nas więcéj zatrważa niechęć ledwo nie całéj szlachty tu zebranéj, którą Pan Samuel bardzo skrzywdził w osobie Pana Zdory, wynosząc się że jest sobie panem, a okazując wzgardę publicznie dla szlachty która u panów służy.

— A to nic dobrze Samusiu. Wszakże dla tego że Pan Bóg pobłogosławił nas dobrém mieniem, my nieprzestajemy być szlachtą. My wszyscy równi. A na licho Pan Bóg dałby nam kilkadziesiąt bochenków chleba na dzień dla jednego tylko brzucha! Na to nam ich daje, żeby ktoś nam pomagał do ich spożycia. A ten ktoś musi być nam równy. Bo człowiek ani sam jeść niemoże, ani z nierównymi sobie. Samusiu, na twojém Zaporożu przestawając z nierównymi sobie, odwykłeś od naszéj równości. Ani szerokie dziedzictwa, ani nawet wysoki urząd, nie są to częścią naszą jak naprzykład ręce lub głowa, co kiedy my je stracimy, już niejesteśmy takimi jakimiśmy byli wprzódy. To wszystko dobre, ale nie nasza krew — dziś je mamy, jutro możemy je stracić, a pojutrze znowu odzyskać. A my szlachta, czy bogaci czy ubodzy, wszyscy jesteśmy równi krwią, która pokąd żyjemy nam odjętą być niemoże. Kiedy za Zygmunta Pierwszego na Sejmie Lwowskim, niektórzy panowie nasi pobałamuceni zagranicą, chcieli ustanowić odrębny stan magnacki, na nasze szczęście szlachta niedopuściła tego bezprawia. Mój świętéj pamięci ojciec, chociaż był Senato-

rem i w dwójnasób miał dobra obszerniéjsze od moich — bo musiałem dzielić je z bratem — a przecie niezapomniał że jest szlachcicem, i gardłował za naszą równością; co mu się wielce chwali. A broń Boże nieszczęścia, dajmy na to żeby moje dobra odpadły w Tatarszczyznę, to ja bym już przestał być wam równy? i mielibyście prawo mną pomiatać, dla tego że własnego chleba już nie mam?! A to piękne szlachectwo które bez pieniędzy funta kłaków nie warte! A czy jest na świecie większe szczęście jak nasze? czybyśmy frymarczyli je na zagraniczne? Mam z łaski Pana Boga dobra własne, a z łaski Królów starostwa intratne. Ale co mi rok przynosi, drugiemu nic się nie dostanie: bo mnóstwo szlachty żyje wraz ze mną z moich dochodów. A mnie jednemu na co by się one przydały. Jedni zarządzają mojemi folwarkami, drudzy mojemi lasami, inni mojém myślistwem, moim dworem, mojemi stadami. Czyż to nie pociecha że kroku zrobić nie mogę żebym nie był otoczony równymi sobie. A broń Boże straty majątku, jak to bywa, zapewne byłoby mnie markotno, możebym i zapłakał, a potém bym plunął i poszedł do równego sobie krwią, ale możnego, i powiedział mu: Panie bracie, póki miałem swój chléb, były z niego kęsy i dla drugich. Dziś żem go stracił, przychodzę do twojego stołu. Znam się na koniach, jak zostanę twoim sługą, twojego chleba darmo jeść niebędę. On by mnie nieodmówił służby. I wkrótce zapomniałbym o moich przeszłych bogactwach, a o mojéj równości z moim panem nigdybym niezapomniał. A może mówię nic do rzeczy, Mości Marszałku Koronny?

— Ale najpiękniéj! najgruntowniéj! Panie wuju. Cała rzecz żeby to mogło trafić do przekonania Pana Samuela.

— Dla czego nie ma trafić. Wszakże to nie za górami ani za morzami urodziło się i wyrosło, jedno na gruncie naszéj Rzeczypospolitéj. To sobie, at zwyczajnie, fąfry młodéj mózgownicy. Spuśćcie się na mnie; choć szlachta kipi, ja ją ostudzę. Samuś śmiały, do korda łebski, konia umie prowadzić że rozkosz patrzéć, a nasza szlachta to lubi. Jutro sam pojadę z Samusiem do Zdory, żeby pierwszy krok zrobić do zgody. Korona tobie z głowy niespa-

dnie, nikt nie powie że to przez tchórzostwo, boś go pokonał, ani przez podłość, bo stary Rumiecki był z tobą. I Zdora wart tego żebyś się starał o jego przyjaźń, bo na onegdajszym turnieju ledwoś mu dał radę. Ja was z oka niespuszczał: otoż wiesz, że jakeście się wzięli do toporów, była chwila że już zaczynałem wątpić o tobie. Na Królewskich pokojach winszowałem Panu Tęczyńskiemu, że jego chorągiew ma takiego Chorążego. Wreszcie w każdym względzie winieneś go nawiedzić. Prawa rycerskie od ciebie wymagają téj grzeczności. A w tém moja głowa, że jego z sobą zabierzem ze wsi do Krakowa. Jak szlachta to obaczy, na wstępie się ułagodzi, a ja na dobitkę i Pana Tęczyńskiego i Pana Zdorę i całą szlachtę zaproszę do siebie na obiad. Ty moja krew, Samusiu, winienem ciebie ratować. Otóż przeprosisz szlachtę przy kielichu, a potém to wszystko do siebie zaprosisz. Cóż ty stoisz Samusiu jakby rozdąsany, może ci się zdaje że mówię nic do rzeczy. Zapytaj Pana Mroczka który do ciebie bardzo przywiązany, i nie dla tego się mówi że jest tu przytomnym ale powszechnie znany z męztwa i z rozsądku, że gdyby zajął senatorskie krzesło — co mu życzę z całego serca, a o czém nie wątpię że z wiekiem tego dostąpi — to pewnie że Senat by się jego niepowstydził; a on przecie tak zaporożował jak i Waść.

— I owszem, z największą wdzięcznością przyjmuję te dowody życzliwości szanownego wuja dla mnie. Ale wyznaję że z nich korzystać nie mogę. W życiu mojém nikogo jeszcze nieprzepraszałem, a już skończywszy szkoły, trudno żebym się czegoś nowego nauczył. Jeżeli miałem nieszczęście kogoś obrazić, wiadomém jest wujowi, jakim sposobem w takim wypadku zadość się czyni. Że ja niemam nic przeciwko równości szlacheckiéj, tego dowód, że od każdego szlachcica, który słusznie czy niesłusznie cóś do mnie upatrzył, przyjmuję wyzwanie na broń jaka mu się podoba. Cóż więcéj uczynić mogę?

— E, Samusiu, jak widzę tobie się w głowie kręci. Jest-to kołowacizna, życzę tobie kazać krew sobie wypuścić i położyć się. Nec Hercules contra plures — a ty z całym na-

rodem bić się chcesz. A cóż to? całą szlachtę chcesz wyrznąć do nogi, i nasze szlachectwo swoimi kozakami zastąpić? Wszakże ja, twój wuj, żebym tego niesłuchał jak zwyczajnie wybryków pustéj głowy, która jak się opamięta, sama się wstydzić będzie własnych słów, to bym omijał ciebie jako szkodliwą istotę. Wszakże ja sam szlachcic a nie co innego. Panie Marszałku, Panie Kasztelanie, zostawmy go żeby się wyszumiał: on wyraźnie gada jak z gorączki. Możemy go śmiało poruczyć staraniom i pieczy Pana Mroczka, a ten go przekona że do nas innym językiem przemawiać należy. Do zobaczenia się Panie Samuelu: spodziewam się że jakoś inaczéj pójdzie i że się przekonasz że i rozum i nawet sumienie każą pagodzić się ze szlachtą. Zapytaj Pana Mroczka: czy to, co radzą starsi choćby tylko wiekiem, jeżeli nie czém inném, jest do pogardzenia.

XVIII.

— Dobry, cnotliwy starzec, — rzekł Pan Samuel do Pana Mroczka, skoro sami zostali; — a jak szczérze do mnie przywiązany, a jaka rozsądna, jak prawdziwie obywatelska dusza!

— A jednak wahasz się Panie, iść za jego radą, tak zbawienną.

— Kaźmierzu drogi, dla ciebie nie mam nic tajnego. Sam potępiam to, co w uniesieniu powiedziałem, sam poznaje całą właściwość rad moich braci i mojego wuja, a jednak za niemi iść nie mogę. Chciałbym krwią moją okupić to com uczynił, pragnę usługami dla ojczyzny zmazać wszystkie niechęci co je naprzeciwko siebie wznieciłem: i cóż więcéj mogę uczynić? przeszłość nie jest mi podwładną.

— Panie, wzrośliśmy, wychowaliśmy się razem. Zawsze wszystkie tajniki twojego serca były odkryte przedemną. Jaki los ciebie spotka, zawsze go podzielać będę, bo znam wszystkie skarby które mieszczą się w twojéj duszy. Bądź pewny że mnie tylko twój los, twoja sława obchodzą, że głuchy jestem na te obelgi których sam jestem przedmiotem: obelgi, które na mnie miotają moi rodacy, a do których ich upoważniasz.

— Jak-to? ja miałbym się stać sprawcą jakiéjkolwiek dla ciebie przykrości, dla ciebie, jedyny mój przyjacielu!

— Nic innego mnie nie obchodzi, tylko to co ciebie Panie dotyka. A nadto jestem do ciebie przywiązany, bym myślał o niecześci która na mnie spada.

— Tybyś miał być przedmiotem obelg, mój drogi przyjacielu! ty szlachetny Kaźmierzu, na którego duszy najmniejsza skaza nigdy niepostała, ty któremu winienem wszystko co jeszcze jest dobrego we mnie... I któżby się odważył cześci twojéj dotykać... Mogę być obojętnym na własną moją krzywdę, ale biada temu, który się odważy obrazić mojego Kaźmierza .. Zaklinam ciebie na tę wspólną przyjaźń, która w naszém dzieciństwie zawiązana, już się stała częścią naszego jestestwa; wyznaj przedemną to wszystko co ciebie dotyka.

— W obec prawie całego narodu oświadczyłeś twoją wzgardę Ezechielowi, że jest sługą domu Tęczyńskich, uznałeś go niegodnym mierzenia się z tobą; czy masz się więc dziwić, że szlachta, widząc że nie zrywam z tobą moich dawnych stosunków po tak obelżywym postępku, pomawia mnie o podłość — wszakże jestem sługą twoim.

— Ty! moim sługą! Przebóg! czyż przyjaciel, towarzysz broni może być nazwanym sługą?

— Niezapieram się że jestem twoim sługą, chociaż gorliwszego przyjaciela odemnie nieznajdziesz, i ta moja służba w obliczu wszystkich dotąd mi cześć przynosiła. Ale kiedyś publicznie okazał wzgardę dla tego poświęcenia się szlachcica drugiemu szlachcicowi, lubo nadto ciebie miłuję, bym dla nierozważnego słowa zrywał z tobą stosunki od których odwyknąć już nie jestem zdolny, niedziwi mnie że szlachta ogłosiła za podłego każdego jéj członka, który widząc wzgardzone swoje usługi, przecie ich nieodmawia Chociażby ciebie wszyscy odstąpili, ja ciebie nieodstąpię, ani tobie nigdy niewymówię, że idąc za twojém przeznaczeniem, muszę z tobą pospołu nazawsze opuścić tę ojczyznę, którą nad życie i szczęście miłuję, a któréj nigdy służyć nie przestanę, chociaż na obcéj ziemi.

Tu zaczął Pan Samuel w największém poruszeniu szybko chodzić po swojéj komnacie; nakoniec zastanowił się i rzucił w objęcie swojego przyjaciela.

— Kaźmierzu, — rzekł, — ty jeden zwyciężyć mnie zdołasz. Czego sława, pycha, obowiązki dla krwi, nawet miłość wyjednaćby niezdołały, głos przyjaźni w jednéj chwili usku-

tecznił. Mogę obojętném patrzeć okiem na to wszystko co mojéj osobie zagraża, ale niewolno mnie przyjaciela z sobą razem w przepaść pogrążać. Samuel, który przed nikim niecofnął kroku, dla ciebie jednego dumę swoją składa. Uniżę się przed tymi którymi pogardzam; będę błagał ich przebaczenia. Już niechcę mieć własnéj woli: rozrządzaj mną wedle myśli twojéj, kieruj mojemi krokami. Jak piastunka dziecięcia, tak ty prowadź mnie za rękę. Chcesz — pojadę do twojego Ezechiela, niech się szczyci z mojego poniżenia niech się do woli chwali że zdołał mnie nastraszyć gniewem swoich stronników, wszystko zniosę spokojnie, bo pozostanie mnie pociecha, że przynajmniéj umiałem być przyjacielem.

— Poznaję ciebie, — odrzekł Pan Kaźmierz; — oczekiwałem tego po twojéj wielkiéj duszy. Samuelu drogi, przyznałeś mi że moje rady nigdy ciebie niezawiodły: otoż wierz mi, że siebie nie poniżysz, owszem przekonasz wszystkich że nietylko kopią i mieczem, nawet bitném rycerstwem, ale i sobą umiesz władać. Zostaniesz na nowo bożyszczem szlachty. A o Ezechiela bądź spokojnym: jak przybędziesz do niego, biedny człowiek ledwo nie oszaleje z radości; a jeżeli jeszcze obdarzysz go rynsztunkiem rycerskim, na pamiątkę twojego szacunku, to ja za niego zaręczam że będzie gardłował za ciebie i bez wahania się na rękę wyzwie każdego, który w jego przytomności nazwie ciebie dumnym. Bo on niczém tak nie jest zajęty jak powiększeniem swojéj zbrojowni.

— Dobrze więc Kaźmierzu, dziś pojedziemy do Ezechiela. Mam posłuchanie u Króla około południa, jak tylko się złatwi, zaraz powrócę, żebyś mnie zabrał. Wybierz w naszéj zbrojowni to co będziesz rozumiał że mu będzie najprzyjemniejszém. Oprócz téj zbroi w któréj przywykłem walczyć, z każdéj innéj chętnie zrobię ofiarę. Wybierz tę co ją otrzymałem w darze od Gotarda Ketlera, albo jeszcze bogatszą, którą zdobyłem na Hrabi z Buchowy, kiedym go powalił na tym sławnym turnieju Wiedeńskim, którym Cesarz Rzymski uświetnił wesele swojego syna, Arcyxięcia Maxymiliana. Pamiętam Kaźmierzu, jaką się

sławą i ty okryłeś, kiedy głośnego z tylu zwycięztw, a dumnego z wysokiéj krwi Hrabię Rysia Plaweniusza zmusiłeś do wyproszenia od ciebie życia. Już to prawda Kaźmierzu że na owym turnieju my Polacy musieli się odznaczyć, kiedy rycerze prawie wszystkich narodów walczyli, a jednak nam przyznali pierwszeństwo.

— Wtedy Cesarz gwałtem że tak powiem chciał ciebie zatrzymać na zawsze przy boku swoim, ofiarował ci godność Hrabiego Świętego Państwa. A tyś mu odpowiedział: że będąc Szlachcicem Polskim, ani obcéj służby, ani obcéj godności przyjąć nie możesz; że gdyby w tém postanowieniu mogło być jakieś wyłączenie, pewnie by było tylko dla nastepcy Cezarów, którego wielkie serce odda sprawiedliwość twojéj stałości w wypełnieniu obowiązków jakie masz dla własnego Króla i Rzeczypospolitéj. A Cesarz ci odpowiedział: że nigdy nieprzestanie dawać ci dowodów swojego szacunku, że przychylność rodu Zborowskich poczytuje być wielkim skarbem dla Austryackiego domu, i że spodziewa się że zechcesz być takim jego przyjacielem, jak jest nim i jego ojciec Kasztelan Krakowski i jego bracia. Pamiętam to wszystko, ale i tego niezapomnę, że Hrabia Ryś Plaweniusz, lubo go szczęście ze mną zawiodło, nie wyrzucił mnie iż należę do twojego dworu, owszem w czasie naszego pobytu w Wiedniu, nieprzestawał dawać mi dowodów najosobliwszego szacunku.

— Godzisz w bezbronnego poczciwy Kaźmierzu, bo już poddałem się tobie. A to jest przeciwne prawom rycerskim. Zapojmnijmy o tém co już przeszło, a po moim powrocie od Króla jedźmy do Ezechiela.

— Nie, Panie; obraziłbyś Pana Generała Ziem Podolskich, gdybyś zaniechał jego pomocy, tak życzliwie tobie ofiarowanéj. To pan mądry, chociaż pod powłoką rubaszności. I może nikt podobnego zachowania niema u szlachty. A ciebie kocha jakbyś był jego synem. On w dniu wczorajszym niemało ułagodził szlachtę, choć z tém się wymowił dopiéro że tego wszystkiego nieuważał co się na turnieju stało. Ale! — on to właśnie z takich, przed którymi cóś by się utaiło. Wczoraj poszedł do Falendysza na śnia-

danie, żeby módz cierpliwie czekać na ucztę Królewską. Otóż i ja tam byłem na wywiadach co też tam szlachta mówi o Panu. Bo u Falendysza w każdéj porze dnia jakby sejmik. Już to prawda że szlachta na Panu suchéj nitki niezostawiła. Jakby nie było, a miała prawo się gniewać. Jak wszedł Pan Generał, wszyscy go otoczyli i ledwo mu dali cóś przekąsić, bo zaraz się wzięli do kielicha by jego zdrowie spełnić. A on podjadłszy, chociaż wszystkim było wiadomo że ma być u Króla na obiedzie, jednak nie odmówił zabawy ze szlachtą i nie wzgardził kielichem. Aż tu jeden odzywa się: My wszyscy Pana kochamy, bo Pan choć magnat i wysoki urzędnik, nieprzestajesz nas uważać za braci, ale siestrzeńca Pańskiego niech djabli porwą, on nosa do góry zadziera, na nas patrzy jakby na śmieć. — A trzeba wiedzieć że ten co się odezwał był z młodszych. Na to Pan Generał: — Czémże to Pan Samuel Zborowski tak się Waści naraził? — A jużci, miał sobie za ubliżenie że szlachcic odważył się z nim potykać; i wymówił mu że kiedyś jadł chleb Pana Kasztelana Bieckiego. Nigdy się tego nie doczeka siestrzan Pański żeby poczciwy szlachcic jego chleb jadł. Bo choć my szlachta siedzimy czasem u Panów za stołem, mamy jednak swoją własną pieczenię. I Pan Ezechiel Zdora, którego przyjaźnią się zaszczycam, chociaż nie senatorskim synem, ma u siebie tak dużą pieczeń, że sam jéj nie zjada, ale czeka na sąsiada lub gościa, który mu do tego dopomoże. Żeby my się nieoglądali na przytomność Króla, a Pana Generała, naszego dobrodzieja, nie bali się zmartwić, dalibyśmy Panu Kasztelanicowi Krakowskiemu. A Pan Generał: — At, nienastawałbyś tak bardzo na Pana Samuela, bo i on młody i Waść młody, a chcieć żeby w młodéj głowie była ciągła roztropność, jest to domagać się od konia żeby się nigdy niepotknął. Jak się Waść moich lat doczekasz, to się przekonasz że i jedno i drugie być nie może. Co to mnie za jeździec co nigdy niespadł z konia! — Tu starsi się odezwali: — A! Panie Generale Dobrodzieju, niech Pan nieochrania swojego siestrzana. Całą ubogą szlachtę tak skrzywdzić, to rzecz nie do odpuszczenia. Ta to nie jednego, ani dwóch,

ale nas wszystkich z błotem zmieszał. — Jeden z nich, już stary, a który tęgo pociągał kielicha, rzekł: — A któż to śmie cóś mieć przeciwko temu że szlachcic służy u szlachcica. Ja pięćdziesiąty drugi rok, chwała Bogu, służę domowi Xiążąt Ostrogskich, na dworze którego Marszałkiem jest Pan Stadnicki, Kasztelan Żarnowiecki, Senator Rzeczypospolitéj i sam pan nie małych włości; a toż to ma dopiéro hańbić, że nie mogąc samopas nic zrobić, chudy pachołek tuli się do możnego obywatela, żeby nazwawszy siebie jego sługą, z nim pospołu służyć krajowi. Niech-że sobie Pan Kasztelanic ucieka na swoje Zaporoże, kiedy nasza równość nie ma szczęścia jemu się podobać. — Dość że ledwo nie każdy z kolei cóś dodał do Pańskiego panegiryku. A Pan Generał nic im się nie sprzeciwiał, aż kiedy to wszystko się wyszumiało w słowach, dopiéro ich ofuknął. — At, prawi, bo i wam też się zachciało, żeby człowiek namęczywszy siebie i swojego konia tak był uprzejmy, jak ten który wraca do domu po odbytém nabożeństwie. Ciekawy byłbym poznać między wami takiego, którego by zciągnięto z kulbaki w chwili kiedy już miał pewne zwycięztwo w ręku, a któryby jeszcze był łagodny jak baranek. Że się odezwał Pan Samuel nic do rzeczy, to prawda, ale dajcie mu tylko wysapać się, a on sam przyzna się do tego. A cóżto? słowo które ulatuje z ust jak ptaszek z krzaku, ma być dokumentem przed aktami przyznanym? A kto z was niewyrwał się czasem ni w pięć ni w dziewięć, a przecie za to ani na wieżę ani na grzywny niezostał wskazany. A tobyśmy za życia cuda robili, żeby ciągle tylko Duch Święty przez nas przemawiał. Pan Zdora tęgi chłopiec, bo i bronią robi jak się należy, i konia tak prowadzi że ledwo wemnie starym nie wzbudził zazdrości. A czasem śpiewacie piosenkę która się tak zaczyna:

— A czyje to koniki stoją u przewozu —
Pan Generał Humiecki jedzie do obozu.
Uciekajcie w step Tatary,
Bo na konia siadł nasz stary.

— Reszty nie powiém, bo mnie nadto chwalą, a potém

sami wiecie co tam się daléj pisze. Otoż, choć z moim siestrzanem była sprawa, podobał mi się, że kiedy został schwycony z konia, przytomności nie stracił i Pana Samuela za sobą zciągnął. Nawet nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, kiedy oba leżeli jak dłudzy. Ale pozwólcie że Samusiowi niebyło z tego śmiechu, bo i ja, i każdy z was, rozzłościłby się na jego miejscu. A w złości kantyczki się nie śpiewają. Dajcie pokój — zwyczajnie młody z młodym, pobili się, powadzili się, połajali się, a potém się pogodzą. Jak pierwsze bez nas się zrobiło, tak i drugie bez nas się zrobi. A może powiecie że mówię nic do rzeczy? — I cóż Panie! Szlachta się zaraz i uspokoiła, i tak czułościami swojemi Generała obskoczyła, że ledwo od niéj się wyprosił do Króla. Jak ten Generał nasz umie trafić w myśl szlachty, to prawdziwie do zadziwienia. Co zechce z nią robi. Otoż uważa Pan, ja dziś pojadę do Ezechiela, uprzedzę go że na jutro Pan z Generałem zapraszacie się do niego na obiad: znajdziecie u niego nie mało szlachty, wcale nam nieżyczliwéj, a nim obiad się skończy, wszyscy gotowi będą gardłować za Pana. Już w tém rozum Generała, który nas wszystkich pokieruje jak się należy.

— Dobrze drogi Kaźmierzu, jedź gdzie ciebie twoja przyjaźń dla mnie prowadzi. A ja, odszukam godnego wujaszka, przeproszę go że mimo siebie puszczałem jego prawdziwie ojcowskie rady. Wiem że jutro nie odmówi mnie swojego towarzystwa do Zdory, tam przyuczę się od niego jak postępować ze szlachtą, żeby jéj miłość i ufność uzyskać, aby z tego nastąpiła korzyść dla Rzeczypospolitéj. A jak go przeproszę, pójdę stawić się na rozkaz Królewski.

Wyszli oba — Pan Samuel z postanowieniem szczerego kierowania siebie odtąd pochodnią roztropności i umiarkowania, a Pan Kaźmierz pełen radości iż zostawuje przyjaciela w tém usposobieniu, które zawsze do rzeczy godziwych i zbawiennych doprowadza, a bez którego można być żołnierzem jakiéjś sprawy, ale nigdy jéj wodzem, chociażby przy najświetniejszych warunkach światła i męztwa osobistego. Wszakże zaprzeczyć nie można że jest jakaś fa-

talność, której nic się nie opiera, która wywraca najzbawienniejsze zamiary, a której ludzie muszą ulegać.

Pan Samuel zastał w domu Pana Generała Ziem Podolskich, i wielce zobowiązał starca poniżeniem się swojém że tak powiem. Pan Samuel pomimo dumy i gwałtowności która z niéj wypływała, miał serce szlachetne i czułe. O ile opór był mu nieznośnym, o tyle okazana mu życzliwość z serca pochodząca, jego znieważała. Duma jego była tak drażliwą, że nic łatwiejszego jak ją rozdrażnić, a wtedy przestawał już władać sobą, i ślepo ulegał wszystkim natchnieniom rażonéj namiętności. Ale łatwym był do rozbrojenia, bo nigdy niebył głuchym na głos przyjaźni.

— A widzisz Samusiu że moje sześćdziesiąt-kilkoletnie doświadczenie w las nieposzło, — rzekł do niego stary. Ty się był tak rozbrykał, żeś plótł coć ślina do gęby przynosiła, aż brzydko było słuchać, a ja powiedziałem: zostawmy go z Mroczkiem, a on się uspokoi. Jakeśmy wyszli, twoi bracia już zupełnie zwątpili byli o tobie; skarzyli się że ty zawsze im szyki mieszasz, a ja im na to: Nie bierzcie tego tak gorąco. Nie ten sam musztuk na każdego konia zdatny. Jednego, byleś cuglem pociągnął zaraz i osadzisz, drugi twardy w pysku że im więcéj go zrywasz, tém gorzéj szaleje, a i taki się znajdzie, co tylko trzéźlą go prowadzisz a musztuka znać niechce. A jednak doświadczony koniarz rąk nie opuszcza. I jak pozna naturę źrebca, da mu radę. Miałem konia domorosłego — siwy, w jabłkach, powiadam że ósmy cud świata, tak był piękny, ale był to diabolus incarnatus; to mało że do siebie przystąpić niedał, ale raz w nocy na śmierć zagryzł konia przy żłobie obok niego stojącego, a do tego tak narowisty, że kiedy siodło na niego nakładano, i to w kilku ludzi najsilniejszych jakich miałem w stajni, nadymał się że w dwójnasób robił się grubszym, potém wypróżniał się że siodło tylnemi nogami wysuwało się. A co powiesz, sam się nim zająłem, i bez ostrogi, bez harapa, a tylko głaszcząc i najpowolniéj go zażywając, oduczyłem go od wszelkich narowów że sam do mnie przychodził. Taki był posłuszny, że krucyfer mógłby na nim jechać przed Xięciem Prymasem na celebrę: ktoby

w życiu niewidział konia, mógłby na nim bezpiecznie siedzieć. Pan Tomicki, Starosta Nakielski, synowiec Pana Kanclerza, jak i papinka, bez piernata nie zaśnie, a tak do niego się palił jak jego stryj do rękopisów łacińskich. Pan Starosta w jednymże czasie starał się u mnie o tego konia, a u nieboszczyka Starzeńskiego, Koniuszego Koronnego, wielkiego mojego przyjaciela i krewnego, o córkę, którą do chrztu trzymałem. Jeszcze to nas wtedy tak rozśmieszył Xiądz Łętowski, Officyał Krakowski, mówiąc do mnie: «To wielkie zadanie, na kogo łapczywiéj patrzy Pan Starosta: czy na Waścinego konia, czy na Waściną córkę chrzestną.» Otoż w jednymże roku i jedno i drugie mu się dostało. Pan Koniuszy nie odmówił córki, na co i ja dzwoniłem, bo Starosta zacny człowiek, niemożna mu było nic zarzucić, chyba to tylko że na piernacie sypia, ale tego ani wiara, ani statuta nie bronią, chociaż śmiech ludziom. Jakoż dotąd z sobą szczęśliwie i przykładnie żyją. A ja mu darowałem tego konia do którego od roku się palił, ile że jego stryj przez niego przysłał mnie przywiléj nieboszczyka Króla na starostwo Ulanowskie, za to że własnym groszem utrzymywałem kwarcianego żołnierza na pograniczu, bo pustki były w Skarbie. Ja się o to nie upominałem, broń Boże, nigdy Króla o nic nieprosiłem, ale przyjaciele własnym instynktem za mną się wstawili. Oj! to wielka u nas rzecz Samusiu, przyjaźń ludzka. Kto ją ma, ten nie zginie. Rozgadał się stary, pomyślisz może sobie: mniejsza z tém, a przystąpmy do interesu. Już tobie pora iść do Zamku, a jeżeli Król nie zmarszczony, napędzaj go żeby nas wyprawił na Turka. Jest z łaski Pana Boga i bez jego Gaskończyków z czém i o czém pohulać, ale i to prawda, że od przybytku głowa nieboli. Ja też w domu siedzieć nie myślę. Pan Tarło, Wojewoda Lubelski i Pan Szydłowiecki, Podkomorzy Łukowski, zapisali się na mnie na kompromis — pójdę do Pana Dembińskiego, Starosty Lelowskiego, który im zainstynktował żeby się na mnie zdali: on obu stron jest przyjacielem, a mąż wedle serca Bożego; pomówię z nim o sprawie, bo to sprawa i zadawniona i zawikłana. Na biedę przyszło staremu żołnierzowi

drabować dokumenta, ale taka posługa u nas się nieodmawia. Zresztą ja tylko wedle rozsądku jaki mam mówić będę, a Pan Zamojski będzie pióro trzymał. Uprosiły to u niego strony. To człowiek nie lada ten Pan Zamojski: ja stary, a on twojego wieku, a przecie go szanuję. Bo to i żołnierz i legista. Takich nam dawajcie. Waść staraj się o jego przyjaźń, jeżeli chcesz żeby i z Waści była pociecha dla Rzeczypospolitéj. Ja pierwszy za jego zdaniem zawsze pójdę. Choć na zagranicznych xiążkach wychowany, patrzcie jaki z niego Polak. A na wszystkiém się zna. Wczoraj u Króla, ni z tego ni z owego przyszło że z nim o koniach zacząłem mówić. Cóż powiesz? wielki znawca, ażem się zadziwił. To musi być we krwi, bo pewnie tego we Włoszech jego nie uczono. Ja jemu powiedziałem: my szlachta z natury jesteśmy koniarzami, i dla tego najwięcéj szlacheckich domów pieczętuje się podkową. A on odpowiedział: że zupełnie w tém moje zdanie podziela. Ale że ja pierwszy na tę myśl napadłem, a jednak szkół nieskończyłem... No, ruszajże sobie do Króla Jegomości, a tylko proszę Waści nie mów przez jakąś życzliwość dla mnie o Województwie Podolskiém. Sam Król tego się domyśli — dobrze, a nie — to drugie dobrze. Ja wolę żeby ludzie mówili, że niedość, niż że nadto mnie nagrodzono. O moje usługi targować się nie myślę na starość, ile że, między nami, jeżeli służyłem wiernie Rzeczypospolitéj i ona dla mnie niebyła niewdzięczną... A jutro do Ezechiela Zdory zawiozę ciebie i pogodzę ze szlachtą... Spuść się na mnie. Szlachcic Polski opryskliwy, ale nie zawzięty: łatwo się obraża, ale łatwo się daje przeprosić.. Ruszaj-że sobie z Bogiem Samusiu.

Pan Samuel wrócił do kamienicy Zborowskich i zaraz kazał zaprządz. Zajechała przed dom kolasa, siadł w nią Pan Samuel i ruszył prosto do Zamku.

Przed mostem zwodowym zebrało się mnóstwo pojazdów, tak że trudno dostać się było na most. Zniecierpliwiony Pan Samuel wyskoczył z kolasy i piechotą poszedł na most. Trzeba było takiego nieszczęścia że pierwsza osoba z którą się na nim zetknął był Pan Tęczyński. I cała sierdzistość serca, jaką przeciwko niemu zachowywał odnowiła się na

tém spotkaniu. Gdyby Pan Tęczyński był jego powitał uprzejmie, możeby Pan Samuel, oddawszy dobre za nadobne, byłby daléj poszedł. Ale Pan Tęczyński równy jemu w urodzeniu, wyższy urzędem, a niemniéj od niego dumny, oczekiwał pierwszego ze strony Pana Samuela powitania, i poszedł daléj udając że go niewidzi. Pan Samuel do niego przystąpił i powiedział mu:

— Kogo Waść się boisz, temu przynajmniéj się kłaniaj.

— Boga tylko się boję, — odparł Pan Tęczyński, — a ludzi swarliwych unikam.

— Otóż mnie nieunikniesz Mości bohatérze! który przez umocowanych potykasz się z tymi, przeciwko którym masz niechęć.

— Nadto mało znamy się z sobą, bym miał być mu niechętnym. Ale nie tu miejsce żebym się komu tłómaczył z moich postępków.

— Ja czuję się w sile na każdém miejscu zmusić Waszmość do zdania mi liczby z tego co mnie obraża, — i to rzekłszy do połowy wyjął pałasz z pochwy.

— Mości Panie Zborowski, — rzekł Pan Tęczyński, — jeżeli Waszmość zapominasz gdzie się znajdujesz, ja winienem pamiętać że oto przed nami galerja na któréj lada chwila Król Jegomość może się pokazać; a Waszmości wiadomo co czeka tego, któryby w jego przytomności dobył szabli.

— Waszmość tak się umiesz ukrywać przedemną, że chyba w przytomności Króla, mogę go zmusić do zadość uczynienia za te wszystkie intrygi które ciągle knujesz na przeciwko domu naszego. Już dość cierpliwości z mojéj strony, — i dobył szablę.

— Mości Zborowski! — odrzekł Pan Tęczyński, — opamiętaj się Waszmość, a nieszczęścia na głowę swoją nieprzywołuj. O żadnych intrygach niewiem, a jeżeli — z czém się nie taję — czuję żal do familii Zborowskich, jeżeli jéj jestem przeciwny, zawsze szedłem otwarcie. Bywamy u siebie: Pan Marszałek Koronny, brat Waszmości i ja; bo przeciwność naszych zdań nie niszczy między nami szacunku, jaki w naszém położeniu winniśmy sobie wzajemnie okazywać. Jeżeli Waszmość pragniesz ze mną bitwy, niemam prawa

wchodzić w jego pobudki, ale czyż my niemożemy jéj odłożyć raczéj na inny czas i miejsce, niż zwadą prywatną okazać wzgardę Prawa publicznego, kiedy my owszem powinni dawać przykład posłuszeństwa dla niego.

— Broń się! — krzyknął Pan Samuel, — a nie trąb mi w uszy swojemi morałami.

— Na miłość Boga Panie Zborowski, w tym tylko razie zaniechaj mnie. Jeżeli gwałtem na mnie wymusisz że dobędę szabli, patrz wiele okażę świadków że w tém niebyło udziału mojéj woli, że musiałem bronić zdrowia mojego od zapamiętalca głuchego na wszystkie słowa pojednawcze, którémi usiłowałem wrócić mu przytomność.

— Jeżeli się bronić nie będziesz, — krzyknął jeszcze głośniéj niż wprzódy Pan Samuel; — nie brzeszczotem ale samą klingą przy tych wszystkich przytomnych ciebie zhańbię.

Pan Tęczyński dobył miecza, i bić się zaczęli.

Podczas kiedy się oba jeszcze sprzeczali, Król z kilku dworzanami pokazał się na tym właśnie balkonie, który był od strony zwodowego mostu. Wszyscy z nim będący, jak i on sam, widzieli jak Pan Samuel z dobytym mieczem groził Panu Tęczyńskiemu, a choć słyszeć nie mogli ich mowy, oczewiste wziąść mogli przekonanie, że Pan Samuel wyraźnie szukał zaczepki, a jego przeciwnik był zmuszony do szukania opieki w tém, co jest razem i ozdobą i obroną szlachcica. Król dał rozkaz stojącemu blisko niego Panu Wapowskiemu, Kasztelanowi Przemyskiemu, żeby jak najspiesznéj biegł na most, i w imieniu Króla dał obydwom rozkaz schować miecz w pochwę. Pan Wapowski najśpieszniéj wybiegł i trafił w porę. Bo chociaż Pan Kasztelan Tęczyński uchodził słusznie za walecznego rycerza, zbyt trudno było dla niego dotrzymać Panu Samuelowi, którego ciała dotąd niczyja szabla niezadrasnęła. Wszakże Pan Kasztelan, lubo przeświadczony o przewadze przeciwnika, przytomności nie stracił. Zaniechał boju zaczepnego oszczędzając sił swoich, i z krwią zimną zasłaniał siebie od jego rzęsistych pocisków. Ale i ta roztropność odwlec mogła

zupełną przegranę, ale nie zapewnić zwycięztwo. Już widocznie upadał na siłach, kiedy Pan Kasztelan Przemyski wpadł między nimi mówiąc:

— A co się z Waszmościami stało, wszakże Król Jegomość patrzy na obrazę swojego Majestatu, schowajcie natychmiast szable, i stawcie się przed Królem żeby mu zdać liczbę z waszego szaleństwa, a prosić go o przebaczenie. Bo pokąd szable się niezczerwienią, potąd jeszcze będzie można to wystawić za niewinną igraszkę.

— Ustąp się! — krzyknął Pan Samuel w największém uniesieniu, — a niewdawaj się nie w swoją rzecz. Jak położę tego nikczemnika, dopiéro będzie pora dla mnie wytłómaczyć się przed Królem.

Pan Wapowski zawsze zasłaniając Pana Tęczyńskiego osobą swoją jakby tarczą, odpowiedział:

— Panie Samuelu! na rany Chrystusa zaklinam Waszmość, żebyś się opamiętał. Chyba opętany jesteś, że nieumiesz zastanowić się nad tém co czynisz. Ja na to nie pozwolę byście przedłużali to, co jest zbrodnią Stanu.

— Mówię ci żebyś się ustąpił, — odrzekł Pan Samuel.

— Króla tylko rozkazy winieniem spełniać, a mimo siebie puszczam to co wychodzi z ust szaleńca. Panowie bracia co jesteście świadkami tego bezprawia, w imie Króla i prawa powołuję was byście mnie pomogli do rozdzielenia tych Panów.

Kilkunastu szlachty dobyło szabli i przyskoczyli do nich. Pan Tęczyński schował swoją i cofnął się ku dziedzińcowi Zamkowemu. Ale Pan Samuel ze złości przytomność stracił. W lewém ręku miał czekan, a że obiema rękami zarówno władał, cisnął go na Pana Wapowskiego, i w sam łeb go ugodził. Jak siekiera górala Samborskiéj ziemi w dębie, tak czekan Pana Samuela ugrzązł w czaszce Kasztelana. Drgnął nieszczęśliwy Senator, i padł bez duszy pod okiem Króla, dworu, i szlachty zebranéj na moście...

Krzyk zgrozy powstał z coraz zwiększającego się tłumu, bo wielu sług dworu Królewskiego już było na moście — Zbójca! rozbójnik! — krzyczeli wszyscy razem. Ani jeden głos przychylny niedał się słyszéć dla Pana Samuela. Roz-

gniewana szlachta rzuciła się na niego tłumnie żeby go rozsiekać. Pan Samuel mieczem otworzył sobie drogę wśród tego tłumu. Jeden, przeciwko kilkudziesiąt walczył: kto się niebacznie przybliżył do niego, doświadczył siły niezwalczonéj prawicy. Na widok kilku skaleczonych, żaden się nieodważył nacierać z bliska na niego. Szyjąc się przy żelaznéj poręczy zwodowego mostu, kiedy szlachta z któréj strony przybliżała się do niego, on na nią się rzucał, a wszyscy ustępowali jak fala morska od skały. Potém znowu powolnym krokiem postępował. Było to piękne widowisko: jeden walczył przeciwko kilkudziesiąt, i pomimo ich woli szedł gdzie mu się iść chciało.

Król, patrząc na to z balkonu, nie mógł się wstrzymać od oznak uwielbienia dla nieustraszonego rycerza.

— Panowie, — odezwał się Król do otaczających go Dworzan Polskich i Francuzkich. — Jeżeli przeciw prawu wykroczył, swojego czasu prawo go ukarze; wszakże niemożemy dopuścić, ażeby tak waleczny rycerz padł ofiarą przemagającéj ledwo że nie sto-na-sob siły. Idźcie Państwo i pomóżcie mu dostać się do swojego mieszkania, a przekonajcie szlachtę, że hańbi się swoim postępkiem.

Dworzanie wypadli na most, oświadczyli szlachcie wolę Królewską. Szlachta posłuszna natychmiast się rozeszła, a Pan Samuel swobodnie dostał się do swojego mieszkania.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
090804

Biblioteka WSP Kielce
0167253